

A black and white close-up portrait of a man with dark, messy hair and a beard. His right eye is a striking, glowing red, while the left eye is normal. He is looking slightly to the left of the camera with a serious expression. The background is dark and indistinct.

TA POWIEŚĆ

**OBUDZI
W
TOBIE
DIABŁA**

JOE HILL

ROGI

W KINACH NA HALLOWEEN 2014

Prószyński i S-ka

JOE HILL

ROGI

Przełożyła Maciejka Mazan

Prószyński i S-ka

PIEKŁO

ROZDZIAŁ 1

Ignatius Martin Perrish spędził noc w pijanym widzie, wyczyniając straszne rzeczy. Następnego ranka obudził się z bólem głowy. Dotknął skroni i poczuł coś, czego wcześniej nie było — dwa guzowate, spiczaste wyrostki. Czuł się tak chory — osłabiony, z załzawionymi oczami — że początkowo nie zwrócił na to uwagi, zbyt skacowany, żeby myśleć czy się martwić.

Ale chwiejąc się nad toaletą, zerknął na swoje odbicie w lustrze nad umywalką i zobaczył, że przez noc wyrosły mu rogi. Drgnął z zaskoczenia i po raz drugi w ciągu ostatnich dwunastu godzin obsikał sobie stopy.

ROZDZIAŁ 2

Znowu wciągnął szorty khaki — wczorajsze ciuchy — i oparł się o umywalkę, żeby przyjrzeć się sobie lepiej.

Rogi nie były duże, takie sobie, długie jak jego serdeczny palec, grube u dołu, lecz szybko się zwężały w zakrzywione do góry szpice. Pokrywała je zbyt jasna skóra, na czubkach brzydko zaogniona, jakby ostre końce miały zaraz się przez nią przebić. Przesunął palcami po ich bokach i poczuł twardość kości pod mocno napiętą, gładką tkanką.

W pierwszej chwili pomyślał, że sam jakoś napisał sobie tej biedy. Wczorajszej nocy poszedł do lasu za starą odlewnią, gdzie zginęła Merrin Williams. Ludzie zostawiali różne rzeczy dla jej upamiętnienia pod chorą wiśnią z łuszczącą się korą, spod której wyglądał nagi pień. Tak samo wyglądała Merrin — spod podartego ubrania wyglądało nagie ciało. W gałęziach ułożono pieczołowicie jej zdjęcia, wazon z wierzbowymi kotkami, laurki pofałdowane i poplamione deszczem. Ktoś — pewnie matka Merrin — zostawił ozdobny krzyżyk z przyczepionymi do niego żółtymi sztucznymi różami i plastikową Madonnę, uśmiechającą się świątobliwym kretyńskim uśmiechem opóźnionej w rozwoju.

Nie mógł znieść tego sztucznego uśmiechu. I tego krzyża, ułożonego w miejscu, w którym Merrin wykrwawiła się na śmierć z rozbitej głowy. Krzyża z żółtymi różami. Jakaś kpina. Jak poduszka w kwiatki na krzesle elektrycznym, kiepski dowcip. Niepokoiło go, że ktoś chciał tu przynieść Chrystusa. Chrystus spóźnił się o rok. Jakoś się nie pojawił, gdy Merrin Go potrzebowała.

Ig zdarł ozdobny krzyż i wdeptał go w ziemię. Musiał się odlać i zrobił to na Madonnę, przy okazji ochlapując sobie buty. Może to świętokradztwo stało się wystarczającym powodem przemiany. Ale nie — wyczuwał, że chodzi o coś więcej. Choć tego nie mógł już sobie przypomnieć. Strasznie dużo wypił.

Odwracał głowę, przyglądając się sobie w lustrze i raz po raz dotykając rogów. Jak głęboko wrasta ta kość? Czy rogi zapuściły korzenie, wdzierają się w jego mózg? Kiedy to pomyślał, w łazience zrobiło się ciemniej, jakby żarówka przygasła. Nie, ciemności zbierały się mu przed oczami, w głowie. Przytrzymał się umywalki i zaczekał, aż chwila słabości przeminie.

Wtedy to zrozumiał. Umiera. No oczywiście. Coś wdziera mu się do mózgu, jakiś guz. Tych rogów tak naprawdę nie ma. To metafora, wytwór wyobraźni. Nowotwór przeżera mu mózg i

tworzy fałszywe widzenie rzeczywistości. A skoro już widzi rogi, to pewnie za późno na ratunek.

Myśl o śmierci przyniosła ze sobą falę ulgi, fizyczne doznanie, jakby wypłynął na powierzchnię po zbyt długim pobycie pod wodą. Kiedyś omal nie utonął, w dzieciństwie cierpiał na astmę, a to zadowolenie wydało mu się równie naturalne jak oddech.

— Jestem chory — wychrypiał. — Umieram.

Powiedzenie tego na głos poprawiło mu humor.

Przyjrzał się sobie w lustrze, spodziewając się, że rogi znikną, skoro już zrozumiał, że są halucynacją, ale tak się nie stało. Zostały. Szarpnął się z niepokojem za włosy, sprawdzając, czy zdoła rogi ukryć, przynajmniej dopóki nie dojdzie do lekarza, a potem dał za wygraną, bo zrozumiał, jakie to niemądre — ukrywać coś, czego nie widzi nikt oprócz niego.

Wszedł do sypialni na drżących nogach. Po jednej stronie łóżka leżała odrzucona pościel. Na zmiętym prześcieradle pozostały zarysy krągłości Glenny Nicholson. Nie pamiętał, kiedy padł na łóżko obok niej, nie pamiętał nawet, jak wrócił do domu — kolejna brakująca część wieczoru. Aż do tej pory sądził, że spał sam, a Glenna spędziła noc gdzie indziej. Z kimś innym.

Tego wieczora wyszli razem, ale kiedy zaczął pić, oczywiście zaczął też mówić o Merrin, której rocznica śmierci miała nadejść

za parę dni. Im więcej pił, tym bardziej za nią tęsknił — i tym bardziej doskwierała mu świadomość, jak mało przypomina ją Glenna. Z tymi tatuażami i tipsami, z całą półką powieści Deana Koontza, z papierosami i policyjną kartoteką Glenna była przeciwieństwem Merrin. Iga irytował sam jej widok, siedzącej po drugiej stronie stołu, czuł, że będąc z nią, dopuszcza się czegoś w rodzaju zdrady, choć nie wiedział, czy zdradza Merrin, czy siebie. W końcu musiał odejść; Glenna ciągle gładziła go palcem po kostkach dłoni — uważała to za objaw czułości, ale jego tym z jakiegoś powodu wkurzała. Poszedł do łazienki i ukrywał się w niej przez dwadzieścia minut. Gdy wrócił, krzesło przy stoliku było puste. Przez godzinę siedział tam i pił, aż w końcu zrozumiał, że Glenna nie wróci i że wcale mu nie jest przykro. Ale później jakoś wylądowali w łóżku — tym samym, które dzielili przez ostatnie trzy miesiące.

Z sąsiedniego pokoju dobiegało odległe mamrotanie telewizora. A zatem Glenna nadal była w mieszkaniu, jeszcze nie poszła do pracy. Powinien ją poprosić, żeby zawiozła go do lekarza. Przelotna ulga na myśl o śmierci już przeminęła i teraz zaczął się bać czekających go dni i tygodni: ojciec walczący ze łzami, matka siląca się na fałszywą wesołość, kroplówki, leczenie, naświetlanie, wymioty, na które nic nie pomaga, szpitalne żarcie.

Zakradł się do pokoju, w którym Glenna w podkoszulku Guns N'Roses i wypłowiałych spodniach od pizamy siedziała na kanapie. Oglądała talk-show. Była zgarbiona, opierała się łokciami o niski stolik i palcami wkładała do ust ostatni kawałek ciasta. Przed nią stało pudełko pączków z supermarketu sprzed trzech dni i dwulitrowa butla coli light.

Zerknęła w jego stronę spod przymkniętych powiek, niechętnie, po czym znowu zwróciła wzrok na telewizor. Dzisiejszy program miał tytuł „Mój najlepszy przyjaciel jest socjopata!”. Tłuste wieśniaki zaraz będą się grzmocić krzesłami po głowach.

Glenna nie zauważyła jego rogów.

— Chyba jestem chory — powiedział.

— Nie drzyj się. Też mam kaca.

— Nie, to nie to... spójrz na mnie. Jak wyglądam? — spytał, bo chciał się upewnić.

Znowu powoli odwróciła się ku niemu i spojrzała na niego spod rzęs. Został jej na nich wczorajszy tusz, trochę rozmazany. Miała gładką, przyjemnie okrągłą twarz i gładkie, przyjemnie zaokrąglone ciało. Prawie mogłaby być modelką — dla puszystych. Ważyła siedem kilogramów więcej od niego. Nie oznaczało to, że jest groteskowo tłusta. To on był przeraźliwie chudy. Lubiała się z nim bzykać na jeźdźca, a kiedy opierała łokcie o jego pierś,

wyduśzała z niego powietrze — nieumyślne erotyczne podduszenie. Ig, który często walczył o oddech, znał wszystkich sławnych ludzi, którzy umarli z tego powodu. Taka śmierć zaskakująco często spotykała muzyków. Kevin Gilbert. Hideto Matsumoto — prawdopodobnie. Oczywiście Michael Hutchence, choć akurat w tej chwili nie miał ochoty o nim myśleć. Diabeł w tobie. W każdym z nas.

— Jesteś jeszcze pijany? — spytała.

Kiedy nie odpowiedział, pokręciła głową i znowu spojrzała na telewizor.

No, wszystko jasne. Gdyby je zobaczyła, zerwałaby się z wrzaskiem. Nie zobaczyła ich, bo ich nie było. Istniały tylko w jego mózgu. Pewnie gdyby teraz spojrzał w lustro, też by ich nie dostrzegł. Ale potem zauważył swoje odbicie w oknie i rogi nadal były. Wyglądał jak szklista, przezroczysta postać, demoniczny duch.

— Chyba muszę iść do lekarza — powiedział.

— A wiesz, co ja muszę? — spytała.

— Co?

— Zjeść pączka — oznajmiła, pochylając się nad otwartym pudełkiem. — Myślisz, że nie zaszkodzi?

— Co cię powstrzymuje? — Prawie nie rozpoznał własnego suchego głosu.

— Już zjadłam jednego i nie jestem głodna, po prostu chcę. — Spojrzała na niego oczami, w których lśniły jednocześnie strach i prośba. — Chcę zjeść wszystkie.

— Wszystkie — powtórzył.

— Nawet nie rękami. Mam ochotę się pochylić i po prostu wyżerać z pudełka. Wiem, że to wstrętne. — Przesunęła palcem od pączka do pączka, licząc. — Sześć. Myślisz, że mogę zjeść jeszcze sześć pączków?

Trudno było mu myśleć, pokonać ten niepokój, uczucie rozpierania i ciężaru w skroniach. Jej słowa nie miały sensu, stanowiły kontynuację tego nienaturalnego poranka jak z koszmaru.

— Jeśli się ze mnie nabijasz, to przestań. Powiedziałem ci, że nie czuję się dobrze.

— Chcę jeszcze pączka.

— To jedz, co mnie to obchodzi.

— No tak. Dobrze. Skoro uważasz, że mogę... — Wzięła pączka, rozdarła go na trzy części i zaczęła je wkładać do ust, nie połykając.

Wkrótce miała wypchane policzki. Zakrztusiła się cicho, powoli odetchnęła przez nos i zaczęła żuć.

Iggy przyglądał się jej z odrazą. Nigdy nie widział, żeby się tak zachowywała, nie widział czegoś takiego od liceum, gdzie uczniowie wygłupiali się w stołówce. Kiedy skończyła, parę razy sapnęła ciężko, nierówno i obejrzała się przez ramię, mierząc go niespokojnym spojrzeniem.

— Nawet mi nie smakował. Żołądek mnie boli — powiedziała.
— Myślisz, że mogę zjeść jeszcze jednego?

— Po co, skoro boli cię żołądek?

— Bo chcę być bardzo gruba. Nie tak jak teraz. Tak gruba, żebyś nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. — Wysunęła język, dotknęła nim górnej wargi z rozwagą i namysłem. — Wczoraj zrobiłam coś obrzydliwego. Chcę ci o tym opowiedzieć.

Znowu przyszło mu do głowy, że to się nie dzieje naprawdę. Ale jeśli to jakaś gorączkowa halucynacja, była uporczywa, przekonująca w najdrobniejszych szczegółach. Po ekranie telewizora chodziła mucha. Na jezdni śmignął samochód. Chwile następowały po sobie naturalnie, jakby sumując się w rzeczywistości. Ig miał wrodzony talent do rachunków. W szkole najbardziej lubił matematykę — po etyce, której nie uważał za prawdziwy przedmiot.

— Chyba nie mam ochoty wiedzieć, co wczoraj robiłaś — rzekł.

— Dlatego chcę ci powiedzieć. Żebyś poczuł obrzydzenie. Żebyś miał powód mnie zostawić. Bardzo mi przykro ze względu na to, co cię spotkało i co ludzie mówią o tobie, ale nie dam rady dłużej budzić się obok ciebie. Chcę, żebyś odszedł, a jeśli ci opowiem o tym, co zrobiłam, o tej obrzydliwości, to odejdziesz, a ja znowu będę wolna.

— Co ludzie o mnie mówią? — zapytał. Głupio, bo już wiedział.
Wzruszyła ramionami.

— O tym, co zrobiłeś Merrin. Że jesteś chorym zboczeńcem i tak dalej.

Ig gapił się na nią jak zahipnotyzowany. Fascynowało go, że każde zdanie, które wypowiadała, było gorsze od poprzedniego i że ona mówi je tak swobodnie. Bez wstydu czy skrępowania.

— To co chcesz mi powiedzieć?

— Wczoraj, kiedy mnie zostawiłeś, spotkałam Lee Tourneau. Pamiętasz, że Lee i ja kręciliśmy ze sobą w liceum?

— Pamiętam. — Lee przyjaźnił się z Igiem — kiedyś, w innym życiu — ale to już minęło, umarło razem z Merrin. Trudno utrzymać bliską przyjaźń, gdy jest się podejrzanym o morderstwo na tle seksualnym.

— Wczoraj w knajpie siedział w głębi sali, a kiedy znikłeś, postawił mi drinka. Nie rozmawiałam z nim od wieków. Zapomniałam, jak fajnie się z nim gada. Znasz Lee, nikogo nie traktuje z góry. Był dla mnie bardzo miły. Kiedy ciągle nie wracałeś, powiedział, że powinniśmy cię poszukać na parkingu, a jeśli odjechałeś, odwiezie mnie do domu. Ale na dworze zaczęliśmy się całować na całego, jak za dawnych czasów, jak wtedy, gdy byliśmy ze sobą... no i mnie poniosło, i mu obciągnęłam, na oczach paru facetów i w ogóle. Nie wygłupiłam się tak, odkąd miałam dziewiętnaście lat i jazdę po speedzie.

Ig potrzebował pomocy. Musiał się wydostać z tego mieszkania. Było za duszno, czuł ucisk w płucach.

Glenna znowu pochyliła się nad pudełkiem z pączkami, ze spokojną miną, jakby powiedziała mu coś mało ważnego — że skończyło się mleko albo znowu zużyła całą gorącą wodę.

— Myślisz, że mogę zjeść jeszcze jednego? — spytała. — Żołądek już mnie nie boli.

— Rób, co chcesz.

— Spojrzała na niego oczami lśniącymi nienaturalnym podnieceniem.

— Naprawdę?

— Zwisa mi to. Żryj.

Uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach, a potem pochyliła się nad stołem, biorąc pudełko w rękę. Zaczęła z niego wyjadać. Jadła hałaśliwie, mlaskając i dziwnie dysząc. Znowu się zakrztusiła, ramiona jej drgnęły, ale jadła dalej, wolną ręką wtlaczając pączki do ust, choć policzki miała już wypchane. Wokół jej głowy krążyła rozdrażniona mucha.

Ig ominął kanapę, zmierzając do drzwi. Glenna podniosła głowę, łapiąc powietrze. Miała przerażone oczy, a policzki i wilgotne wargi oblepione kryształkami cukru.

— Mmm — jęknęła. — Mmmmm.

Nie wiedział, czy to odgłos rozkoszy, czy rozpacz.

Mucha wylądowała jej w kąciku ust. Ig widział ją przez chwilę, a potem Glenna wysunęła język i jednocześnie przykryła muchę dłonią. Gdy opuściła rękę, muchy nie było. Glenna żuła pracowicie, rozdrabniając na paczkę wszystko, co miała w ustach.

Ig otworzył drzwi i wymknął się na zewnątrz. Gdy je zamykał, Glenna znowu pochyliła się nad pudełkiem... nurek, który napełnił płuca powietrzem i ponownie zanurza się w głębinę.

ROZDZIAŁ 3

Pojechał do Modern Medical Practice Clinic na izbę przyjęć. Ciasna poczekalnia była niemal pełna i przegrzana. Krzyczało w niej jakieś dziecko. Mała dziewczynka leżała na plecach na środku podłogi, wyjąc przeraźliwie. Jej matka siedziała na krześle pod ścianą i pochylała się, szepcząc z furją, gorączkowo, nieprzerwany potok gróźb, przekleństw i perswazji. Raz spróbowała chwycić córkę za kostkę, a wtedy dziewczynka kopnęła ją stopą w czarnym buciku ze sprzączką.

Pozostali ludzie w poczekalni z determinacją ignorowali tę scenę, gapiąc się tępo w gazety albo w stojący w kącie telewizor z przyciszonym dźwiękiem. Tu też leciał program „Mój najlepszy przyjaciel jest socjopata!”. Kilka osób zerknęło na wchodzącego Iga, parę jakby z nadzieją, może sądząc, że to ojciec dziewczynki, który wyprowadzi ją stąd i spuści solidne manto. Ale ledwie go zobaczyli, odwrócili wzrok, bo na pierwszy rzut oka było widać, że nie przyszedł tu nieść pomocy.

Ig żałował, że nie włożył kapelusza. Przyłożył rękę do czoła, jakby osłaniając oczy przed światłem, by ukryć rogi. Chyba nikt ich nie zauważył.

W ścianie w głębi pomieszczenia znajdowało się okienko, a za nim — kobieta za komputerem. Recepcjonistka gapiała się na matkę płaczącego dziecka. Kiedy Ig przed nią stanął, podniosła wzrok. Jej wargi drgnęły w uśmiechu.

— W czym mogę pomóc? — spytała. Już sięgnęła po tekturkę z przypiętymi do niej formularzami.

— Chciałbym, żeby lekarz na coś spojrział — powiedział Ig i opuścił rękę, pokazując rogi.

Kobieta zmrużyła oczy i wyduła wargi ze współczuciem.

— O, niedobrze to wygląda — powiedziała i odwróciła się do komputera.

Ig tego się nie spodziewał. Recepcjonistka zareagowała na widok rogów, jakby zobaczyła złamany palec czy wysypkę — ale jednak zareagowała. Wydawało się, że je widziała. Choć gdyby je naprawdę zobaczyła, nie wyobrażał sobie, żeby ograniczyła się do wyduęcia ust i odwrócenia wzroku.

— Będę musiała zadać panu parę pytań. Nazwisko?

— Ignatius Perrish.

— Wiek?

— Dwadzieścia sześć lat.

— U kogo pan się leczy?

— Nie byłem u lekarza od bardzo dawna.

Podniosła głowę i przyjrzała mu się z namysłem, znowu marszcząc brwi. Sądził, że zaraz go zgani za zaniedbanie regularnych wizyt. Dziewczynka wrzasnęła jeszcze głośniejsze. Ig odwrócił się w chwili, gdy walnęła matkę w kolano czerwonym wozem strażackim, jedną z zabawek położonych w kącie dla dzieci w poczekalni. Matka wyszarpnęła jej samochodzik z ręki. Dziewczynka znowu upadła na plecy i zaczęła wierzgać nogami — jak przewrócony karaluch — z nową furią zanosząc się wyciem.

— Mam ochotę jej powiedzieć, żeby zamknęła twarz temu wstrętnemu bachorowi — odezwała się recepcjonistka konwersacyjnym tonem. — Co pan na to?

— Może mi pani pożyczyć długopis? — spytał Ig; w ustach mu zaschło. Wziął formularz. — Nie mam czym tego wypełnić.

Recepcjonistka zgarbiła się, a jej uśmiech zgasł.

— Jasne — powiedziała i pchnęła długopis w jego stronę.

Odwrócił się do niej plecami i spojrzał na formularze przypięte klipsami do tekturki, ale nie mógł wyostrzyć spojrzenia.

Recepcjonistka zobaczyła jego rogi, lecz nie uznała ich za coś niezwykłego. A potem powiedziała o płaczącej dziewczynce i bezradnej matce: „Mam ochotę jej powiedzieć, żeby zamknęła twarz temu wstrętnemu bachorowi”. I spytała, co o tym sądzi. Tak

jak Glenna, która zastanawiała się, czy może pochylić się nad pudełkiem i wyżerać pączki jak świnia z koryta.

Rozejrzał się za wolnym miejscem. W poczekalni znajdowały się dokładnie dwa puste krzesła, po obu stronach matki. Gdy ruszył w ich stronę, dziewczynka zrobiła wielki wdech i wydała przeraźliwy wrzask, od którego zatrzęsły się szyby, a niektórzy w poczekalni się wzdrygnęli. Ten dźwięk szarpał człowieka jak porywisty wicher.

Ig usiadł obok skulonej matki, która uderzała się w nogę zwiniętą gazetą — choć Ig miał wrażenie, że tak naprawdę miała ochotę uderzyć co innego. Dziewczynka jakby opadła z sił po ostatnim wrzasku i leżała na plecach, a łzy spływały jej po czerwonej, brzydkiej buzi. Jej matka także była czerwona. Zerknęła na Iga żałościwie i przewróciła oczami. Wydawało mu się, że przelotnie zatrzymała spojrzenie na jego rogach — tylko przelotnie.

— Przepraszam za ten idiotyczny hałas — powiedziała i dotknęła ręki Iga.

Ledwie to zrobiła, ledwie go musnęła, Ig już wiedział, że ta kobieta nazywa się Allie Letterworth i od czterech miesięcy sypia ze swoim instruktorem golfa, z którym spotyka się w motelu nieopodal pola golfowego. Tydzień temu zasnęli po sesji

wyczerpującego bzykania, a Allie miała wyłączony telefon, więc nie odebrała coraz bardziej rozpaczliwych telefonów od córki wracającej z letniego obozu. Mała denerwowała się coraz bardziej, gdzie jest mama. Gdy Allie w końcu przyjechała, spóźniona o dwie godziny, jej córka była w hysterii — czerwona na twarzy, zasmarkana, z dzikim spojrzeniem przekrwionych oczu. Allie musiała jej kupić pluszaka za sześćdziesiąt dolarów i bananowo-lodowy deser, żeby małą uspokoić i kupić jej milczenie. Tylko w ten sposób mogła trzymać męża w nieświadomości. Gdyby wiedziała, co to będzie za uprzykrzony bachor, nigdy by go nie urodziła.

Ig cofnął rękę.

Dziewczynka zaczęła tupać i stękać. Allie Letterworth westchnęła, pochyliła się do Iga i powiedziała:

— Tak między nami, chętnie bym ją kopnęła prosto w ten rozpieszczony tyłek, ale boję się, co ludzie powiedzą. Myślisz...

— Nie — uciął Ig.

Po prostu nie mógł wiedzieć tego, co o niej wiedział, ale wiedział, tak jak znał jej numer komórki i adres. Wiedział też z całkowitą pewnością, że Allie Letterworth nie mówiłaby z obcym o kopaniu córki w tyłek. Powiedziała to, jakby rozmawiała z samą sobą.

— Nie — powtórzyła, otwierając gazetę i wypuszczając ją z rąk. — Chyba nie mogę. Ciekawe, czy powinnam wstać i wyjść. Zostawić ją tutaj i odjechać. Mogłabym zamieszkać u Michaela, ukryć się przed światem, pić gin i pieprzyć się na okrągło. Mąż by się ze mną rozwiódł z powodu zaniedbania obowiązków, ale co mi tam. Kto chciałby mieć prawo do opieki nad tą gówniarą?

— Michael to twój instruktor? — spytał Ig.

Skinęła głową jak przez sen, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Najśmieszniejsze jest to, że nigdy nie zapisałam się do niego, gdybym wiedziała, że to czarnuch. Przed Tigerem Woodsem w golfie nie było żadnych bambusów, chyba że do noszenia kijów — to jedyne miejsce, gdzie można było przed nimi uciec. Wiesz, jacy są ci czarni, zawsze wiszą na komórce i tylko rzucają kurwami, a jak patrzą na białe kobiety! Ale Michael jest po szkołach. Mówi całkiem jak biały. I to prawda, co się słyszy o czarnych fiutach. Pieprzyłam się z tłumami białych i ani jeden nie był wyposażony jak Michael. — Zmarszczyła nos i dodała: — To także nazywamy kijem.

Ig zerwał się z krzesła, szybko podszedł do okienka recepcjonistki. Pospiesznie nagryzmolił parę odpowiedzi na pytania i oddał formularz.

Za jego plecami rozległ się wrzask dziewczynki:

— Nie! Nie wstanę!

— Czuję, że muszę coś powiedzieć matce tej dziewczynki — powiedziała recepcjonistka, spoglądając ponad ramieniem Iga. Nie zwróciła uwagi na formularz. — Wiem, to nie jej wina, że ma taką wredną córkę, ale bardzo chcę jej coś powiedzieć.

Ig spojrział na dziewczynkę i jej matkę. Allie znowu się pochyliła nad małą, trąciła ją zwiniętą gazetą, sycząc coś do niej. Ig wrócił spojrzeniem do recepcjonistki.

— Jasne — powiedział eksperymentalnie.

Otworzyła usta, zawahała się i spojrzała na niego niespokojnie.

— Ale nie chcę sprowokować brzydkiej sceny.

Czubki jego rogów zapulsowały nagłym, nieprzyjemnym żarem. Trochę się zdziwił — znowu, a miał rogi ledwie od godziny — że natychmiast się ugięła, gdy tylko dał jej pozwolenie.

— Jak to „sprowokować”? — spytał, niespokojnie szarpiąc za małą bródkę, którą hodował od jakiegoś czasu. Zaciekawiał się, czy uda mu się recepcjonistkę do tego skłonić. — Dziwne, jak się teraz traktuje dzieci, prawda? Właściwie trudno winić dziecko, skoro rodzic nie potrafi go dobrze wychować.

Recepcjonistka uśmiechnęła się z rozdrażnieniem i wdzięcznością. Widząc to, poczuł kolejne wrażenie przeszywające mu rogi — lodowaty dreszcz.

Wstała i spojrzała ponad nim na kobietę z dziewczynką.

— Proszę pani! — zawołała. — Proszę pani!

— Tak? — odezwała się Allie Letterworth, podnosząc głowę z nadzieją. Może się spodziewała, że jej córka została wezwana na wizytę.

— Wiem, że pani córka jest bardzo zdenerwowana, ale jeśli nie potrafi jej pani uspokoić, może by pani łaskawie pomyślała, kurwa, o nas i zabrała swój szeroki zad razem z tym bachorem na dwór, żebyśmy nie musieli wysłuchiwać wrzasków? — spytała recepcjonistka, uśmiechając się plastikowym, przyszpilonym uśmiechem.

Z twarzy Allie Letterworth odpłynęły kolory; na jej białych policzkach zostało tylko parę rozpalonych, czerwonych plam. Chwyła córkę za nadgarstek. Dziewczynka miała twarz w ohydny odcieniu szkarłatu i usiłowała się wyrwać, wbijając paznokcie w dłoń matki.

— Co? — spytała Allie. — Co pani powiedziała?

— Głowa! — krzyknęła recepcjonistka, przestając się uśmiechać i wściekle stukając się w prawą skroń. — Głowa mi pęka, a pani dzieciak wyje i...

— Wal się! — wrzasnęła Allie Letterworth, wstając chwiejnie.

— ...gdyby miała pani wzgląd na innych...

— W dupę se wsadź!

— ...złapałaby pani tego wyjącego bachora i zaciągnęła go stąd do wszystkich diabłów...

— Ty wyschnięta pipo!

— ...ale nie, pani tylko siedzi i się obcyndala...

— Marcy, idziemy — rzuciła Allie, szarpiąc córkę za przegub.

— Nie! — krzyknęła dziewczynka.

— Powiedziałam: idziemy! — powtórzyła matka, ciągnąc ją do wyjścia.

Na progu córka Allie Letterworth wyszarpnęła się z chwytu matki i popędziła przez poczekalnię, ale potknęła się o wóz strażacki i upadła. Znowu się rozryczała, jeszcze przeraźliwiej niż dotąd, ściskając zakrwawione kolano. Jej matka nie zwróciła na to uwagi. Rzuciła torebkę i zaczęła wrzeszczeć na recepcjonistkę, która odpyskowywała jak nakręcona. Rogi Iga pulsowały dziwnie przyjemnym uczuciem pełności i ciężaru.

Ig stał najbliżej dziewczynki, a matka nie zamierzała do niej podejść, więc chwycił małą za nadgarstki i podniósł. Kiedy jej dotknął, zrozumiał, że ona nazywa się Marcia Letterworth i że dziś rano specjalnie rzuciła swoje śniadanie na kolana matki, bo matka zmusiła ją do pójścia do lekarza na wypalenie kurzajek, a ona tego nie chciała, bo będzie boleć, a matka jest głupia i zła.

Marcia zwróciła ku niemu twarz. Jej oczy — pełne łez — płonęły przejrzystym, intensywnym błękitem lutownicy.

— Nienawidzę mamusi — powiedziała. — Chcę podpalić jej łóżko. Chcę ją spalić na amen.

ROZDZIAŁ 4

Pielęgniarka, która zważyła Iga i zmierzyła mu ciśnienie, powiedziała, że jej były mąż chodzi z dziewczyną, która jeździ sportowym żółtym saabem. Wiedziała, gdzie ta dziewczyna zaparkowała, i miała ochotę pójść tam podczas przerwy obiadowej i zrobić kluczykami długą, wielką rysę na boku samochodu. Miała ochotę zostawić psie gówno na siedzeniu kierowcy. Ig siedział skamieniały na leżance, zaciskał pięści i milczał.

Zdejmując mu mankiet ciśnieniomierza, pielęgniarka musnęła palcami jego ramię, a on zrozumiał, że niszczyła już inne samochody, wiele razy: nauczyciela, który wyrzucił ją za ściąganie na egzaminie, przyjaciółki, która wypaplała jej tajemnicę, prawnika jej byłego męża za bycie prawnikiem jej byłego męża. Ig zobaczył ją w wyobraźni, dwunastoletnią, ryjącą gwoździem w karoserii czarnego oldsmobile'a ojca i zostawiającą brzydką białą szramę wzdłuż boku samochodu.

W gabinecie było za zimno, klimatyzator szalał. Kiedy pojawił się doktor Renald, Ig dygotał już z wyziębienia i zdenerwowania. Pochylił głowę, żeby pokazać rogi. Powiedział, że nie rozróżnia rzeczywistości od złudzeń. Wyznał, że chyba ma zwidy.

— Ludzie ciągle mówią mi o różnych sprawach — dodał. — Strasznych sprawach. Co mają ochotę zrobić, a nikomu by się do tego nie przyznali. Mała dziewczynka powiedziała mi przed chwilą, że ma ochotę spalić własną matkę. Pańska pielęgniarka — że chce zniszczyć samochód jakiejś biednej kobiety. Boję się. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Lekarz przyjrzał się rogom. Jego czoło pobruździły zmarszczki zmartwienia.

— To rogi — zauważył.

— Wiem, że rogi.

Doktor Renald pokręcił głową.

— Wyglądają na zaognione na czubkach. Bolać?

— Jak diabli.

— Ha. — Lekarz przesunął dłonią po ustach. — Pan pozwoli, że je zmierzę.

Otoczył je taśmą mierniczą u podstawy, a potem zmierzył je od skroni do czubka i odległość między nimi. Nagryzmolił jakieś cyferki na recepcie. Przesunął po rogach stwardniałymi palcami, obmacał je z uwagą, ze skupioną miną, a Ig dowiedział się czegoś, czego nie chciał wiedzieć. Dowiedział się, że doktor Renald parę dni temu stał w swojej ciemnej sypialni, wyglądał zza zasłony i

masturbował się, patrząc na pluskające się w basenie przyjaciółki swojej siedemnastoletniej córki.

Lekarz znowu się cofnął ze zmartwionym spojrzeniem starych szarych oczu. Wydawało się, że podjął jakąś decyzję.

— Wie pan, co chcę zrobić?

— Co?

— Chcę rozgnieść parę oxycontinów i wciągnąć. Obiecałem sobie, że nie będę wciągać w pracy, bo mnie to otępia, ale nie wiem, czy zdołam wytrzymać jeszcze sześć godzin.

Ig nie od razu zrozumiał, że lekarz czeka na jego opinię w tej kwestii.

— Moglibyśmy porozmawiać o tym czymś na mojej głowie?

Lekarz zgarbił się, odwrócił, westchnął przeciągle i świszczaco.

— Panie doktorze, proszę — powiedział Ig. — Potrzebuję pomocy. Ktoś musi mi pomóc.

Doktor Renald niechętnie spojrzał na niego.

— Nie wiem, czy to się dzieje naprawdę — ciągnął Ig. — Wydaje mi się, że wariuję. Jak to możliwe, że ludzie nie reagują na widok tych rogów? Gdybym zobaczył kogoś rogatego, obsikałbym sobie nogi. — I dokładnie to zrobił, gdy po raz pierwszy zobaczył się w lustrze.

— Trudno o nich pamiętać — wyjaśnił lekarz. — Kiedy tylko odwracam wzrok, zapominam, że pan je ma. Nie wiem dlaczego.

— Ale teraz je pan widzi.

Doktor Renald przytaknął.

— I nigdy nie spotkał się pan z czymś takim?

— A może jednak bym sobie wciągnął? — spytał lekarz. Nagle się uśmiechnął. — Podzielę się z panem. Razem się uwalimy.

Ig pokręcił głową.

— Dlaczego nie wzywa pan tu innych lekarzy? Dlaczego nie traktuje pan tego poważniej?

— Szczerze mówiąc, trudno mi się skupić na pańskim problemie. Ciągle myślę o pigułkach w mojej aktówce i tej dziewczynie, z którą przyjaźni się moja córka. Nancy Hughes. Boże, co za dupa. Chcę jej. Ale trochę mnie mdli, kiedy o tym myślę. Smarkula jeszcze nosi aparat na zębach.

— Proszę pana o diagnozę... o pomoc. Co mam robić?

— Zastrani pacjenci — powiedział lekarz. — Myślicie tylko o sobie.

ROZDZIAŁ 5

Jechał. Nie myślał dokąd i przez chwilę to nie miało znaczenia. Wystarczyło, że się przemieszczał.

Jeśli zostało jakieś miejsce, które mógł nazwać swoim, to był nim ten samochód, ten AMC gremlin z 1972 roku. Mieszkanie należało do Glenny. Zajmowała je, zanim zaczęli ze sobą być, i będzie je zajmować, kiedy ze sobą skończą, co najwyraźniej właśnie się stało. Tuż po śmierci Merrin wprowadził się na jakiś czas do rodziców, ale nie czuł się jak w domu, już tam nie pasował. Został mu tylko samochód — pojazd, ale także przestrzeń, w której zaistniało wiele zdarzeń z jego życia, dobrych i złych.

Dobre: seks z Merrin Williams, głowa obijająca się o sufit, kolano o drążek zmiany biegów. Tylne resory były sztywne i skrzypiały przy każdym ruchu samochodu, a od tego dźwięku Merrin zagryzała wargę, żeby się nie śmiać, kiedy Ig poruszał się między jej nogami. Złe: w nocy, gdy zgwałcono i zamordowano Merrin koło starej odlewni, on odsypiał w tym samochodzie pijaństwo, nienawidząc Merrin przez sen.

Ten samochód był jego schronieniem, kiedy nie miał dokąd pójść, nie miał do roboty nic z wyjątkiem jeżdżenia po Gideon w

nadziei, że coś się wydarzy. Nocami, gdy Merrin pracowała albo musiała się uczyć, Ig jeździł razem z najlepszym przyjacielem, wysokim, chudym, półślepyim Lee Tourneau. Jechali nad rzekę, gdzie było ognisko i ich znajomi, parę furgonetek zaparkowanych na nabrzeżu, lodówka pełna coron. Siadali na masce samochodu i przyglądali się iskrom ulatującym z ogniska w niebyt, płomieniom odbitym w czarnej, burzliwej wodzie. Rozmawiali o złych sposobach umierania — w pobliżu rzeki Knowles ten temat sam się narzucał. Ig mówił, że najgorsze jest utonięcie, a mógł to poprzeć osobistym doświadczeniem. Raz rzeka go połknęła, wciągnęła i przytrzymała, wdarła mu się do gardła i Lee Tourneau rzucił się na pomoc, wyciągnął go. Lee oznajmił, że są rzeczy o wiele gorsze od utonięcia i że Ig nie ma wyobraźni. Że utonięcie nawet się nie umywa do spalenia żywcem, no ale musiał to powiedzieć, bo miał nieszczęśliwy wypadek z płonącym samochodem. Obaj wiedzieli swoje.

Najlepsze z nocy w gremlinie były te z Lee i Merrin jednocześnie. Lee wciskał się na tylne siedzenie — był z natury dżentelmenem i zawsze pozwalał Merrin siadać obok Iga — a potem się kładł z dłonią na czole, w pozie Oscara Wilde'a spoczywającego w udręczeniu na szezlongu. Jechali do kina samochodowego Paradise, pili piwo, a szaleńcy w maskach

hokejowych gonili półnagie nastolatki, które padały pod piłą łańcuchową wśród aplauzu i ryków klaksonów. Merrin nazywała to „podwójną randką”; Ig był z nią, a Lee ze swoją prawą ręką. Dla niej połowa zabawy polegała na naśmiewaniu się z Lee, ale gdy zmarła jego matka, Merrin pierwsza zjawiała się u niego i trzymała go w objęciach, gdy płakał.

Przez ułamek chwili Ig pomyślał, czyby nie wpaść do Lee; kiedyś przyjaciel wyciągnął go raz z głębiny, może zrobi to znowu. A potem przypomniał sobie o tym, co Glenna wyznała mu przed godziną, nad pączkami: „Poniosło mnie i mu obciągnęłam, na oczach paru facetów i w ogóle”. Ig usiłował poczuć to, co powinien poczuć, zniechęcić ich oboje, ale nie potrafił z siebie wykrzesać nawet marnej urazy. Miał w tej chwili inne zmartwienia. Wyrastały mu z głowy.

A zresztą Lee nie zadał mu ciosu w plecy, nie wyszarpnął spod niego ukochanej — Ig nie kochał Glenny i nie sądził, żeby ona kiedykolwiek go kochała, a z Lee coś ją łączyło, bardzo dawno temu byli parą.

Możliwe, że przyjaciele nie robią sobie takich rzeczy, ale Lee i Ig już się nie przyjaźnili. Po śmierci Merrin Lee Tourneau od niechcienia, bez jawnego okrucieństwa odciął się od Iga. W dniach tuż po znalezieniu ciała Merrin zdarzały się jakieś wyrazy

cichego, szczerego współczucia, lecz żadnych zapewnień, że Ig może na niego liczyć, żadnych propozycji spotkania. Przez tygodnie i miesiące, które nastąpiły potem, Ig zauważył, że to on dzwoni do Lee, nigdy odwrotnie, i że Lee nie stara się podtrzymać rozmowy. Lee zawsze trzymał go na dystans, dlatego do Iga nie od razu dotarło, jak totalnie i kompletnie został porzucony. Ale po jakimś czasie rutynowe wykręty Lee, by nie przyjeżdżać, nie spotykać się, zaczęły dawać do myślenia i Ig dodał wreszcie dwa do dwóch. Może nie miał wyczucia do ludzi, lecz w rachunkach był dobry. Lee pracował jako asystent kongresmena z New Hampshire i nie mógł utrzymywać znajomości z głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo na tle seksualnym. Nie podzieliły ich kłótnie ani brzydkie sytuacje. Ig to zrozumiał, dał za wygraną, nie chowając urazy. Lee — biedny, półślepy, pilny Lee — miał przyszłość. Ig nie.

Może dlatego, że myślał o plaży, zatrzymał się przy Knowles Road, przed mostem Old Fair Road. Jeśli szukał miejsca, żeby się utopić, nie mógłby znaleźć lepszego. Plaża biegła trzydzieści metrów ku nurtowi, po czym znikwała pod rwącą błękitną wodą. Mógłby wypchać kieszenie kamieniami i wejść do rzeki. Mógłby także skoczyć z mostu, był wystarczająco wysoki. Prosto na kamienie, nie do rzeki, jeśli ma się udać. Skrzywił się na samą

myśl o uderzeniu. Usiadł na masce samochodu i słuchał szumu ciężarówek pędzących w górze na południe.

Przyjeżdżał tu wiele razy. Tak jak stara odlewnia przy szosie numer siedemnaście, plaża była celem ludzi zbyt młodych, żeby mieć jakiś cel. Przypomniał sobie jeden raz z Merrin, jak złapał ich deszcz i schronili się pod mostem. Chodzili wtedy do liceum. Żadne z nich nie umiało prowadzić i nie mieli samochodu, w którym mogliby się schronić. Podzielili się przemoczonym koszykiem smażonych mały, siedząc na zarośniętym brukowanym zboczu pod mostem. Było tak zimno, że z ust buchała im para, a on trzymał zimne, zlodowaciałe dłonie Merrin.

Znalazł poplamioną gazetę sprzed dwóch dni. Kiedy znudziło ich czytanie, Merrin powiedziała, że powinni zrobić z nią coś twórczego. Coś, co podniesie na duchu wszystkich na całym świecie, stojących nad rzeką w deszczu. Pobiegli po zboczu w mżawce, kupili urodzinowe świece w 7-Eleven i wrócili. Merrin pokazała mu, jak się robi stateczki ze stron gazety, zapalili świece, umieścili je na stateczkach i po kolei puścili je na fale, w deszczu i gęstniejącym zmroku — długi szereg płomyków migoczących spokojnie w mokrych ciemnościach.

— Razem jesteśmy twórczy — powiedziała; jej zimne wargi tak bardzo zbliżyły się do jego ucha, że zadrżał. Jej oddech pachniał

małżami. Nieustannie dygotała, walcząc z atakiem śmiechu. — Merrin Williams i Iggy Perrish udoskonalają świat każdym kolejnym papierowym stateczkiem!

Albo nie zauważyła, albo postanowiła nie dostrzegać, że łódeczki wypełniają się deszczem i toną niespełna sto metrów dalej, a świece gasną.

Przypominanie sobie, co się wydarzyło i jaki wtedy był, zatrzymało ten szalony, nieopanowany wir myśli w jego głowie. Po raz pierwszy tego dnia zdołał się zastanowić, bez paniki przeanalizować, co się z nim działo.

Znowu rozważył możliwość, że stracił kontakt z rzeczywistością, że wszystko, co go dziś spotkało, to wytwór jego wyobraźni. Nie po raz pierwszy pomyliłby fantazję z prawdziwym życiem, a wiedział z doświadczenia, że ma szczególną skłonność do nieprawdopodobnych religijnych halucynacji. Nie zapomniał tamtego popołudnia w zmyślonym domku. Przez osiem lat nie było dnia, żeby o tym nie myślał. Oczywiście jeśli ten domek na drzewie był zmyślony — a tylko takie wyjaśnienie miało sens — to nie tylko przez niego. On i Merrin odkryli go razem, a to, co się tam wydarzyło, było jednym z tajnych jedwabistych węzłów, które ich ze sobą związały, czymś, nad czym można się było zastanawiać, gdy jazda samochodem w środku nocy stawała się

nudna albo gdy ze snu wyrwał ich grzmot i żadne nie mogło znowu zasnąć.

— Wiem, że to możliwe, by ludzie mieli taką samą halucynację — powiedziała kiedyś Merrin. — Ale nigdy nie sądziłam, że należę do tego typu.

Mógł sobie myśleć, że jego rogi to tylko szczególnie uporczywe i przerażające złudzenie, skok w szaleństwo, na który od dawna się zanosilo. Problem polegał na tym, że nie mógł się wyrwać z tego, co wydawało mu się rzeczywistością. Na nic nie przydawało się mówienie, że to wszystko tylko mu się wydaje, skoro i tak się działo. Wiara nie była tu do niczego potrzebna, niewiara nie miała znaczenia. Dotykał rogów za każdym razem, gdy podnosił do nich rękę. A nawet kiedy ich nie dotykał, czuł obolałe, wrażliwe czubki wystawione na chłodny wiatr od rzeki. Miały przekonującą, dosłowną twardość kości.

Zatopiony w myślach, nie usłyszał zjeżdżającego z góry radiowozu. Kierowca zatrzymał się ze zgrzytem za gremlinem i włączył na chwilę syrenę. Igowi serce zabiło boleśnie; odwrócił się szybko. Jakiś policjant wychylał się z okna po stronie pasażera.

— Co tam, Ig? — spytał. Nie jakiś policjant, tylko policjant Sturtz. Miał krótkie rękawy, eksponujące jego muskularne ramiona, opalone na złocisty brąz od ciągłego wystawiania na

słońce. Koszulka była obcisła, a on — przystojny. Z tymi rozwichrzonymi jasnymi włosami i oczami ukrytymi za lustrzanymi okularami mógłby się znaleźć w reklamie papierosów.

Jego partner, Posada, ten za kierownicą, silił się na taki sam szyk, ale mu nie wychodziło. Był zbyt wątpy, ze zbyt wydatnym jabłkiem Adama. Obaj mieli wąsy, ale te Posady były wymuskane i trochę komiczne, jak u francuskiego kelnera z komedii z Carym Grantem.

Sturtz wyszczerzył zęby. Zawsze się cieszył na jego widok. Ig nigdy nie cieszył się na widok policjantów, a najbardziej unikał Sturtza i Posady, którzy od śmierci Merrin zrobili sobie z prześladowania Iga hobby. Zatrzymywali go za przekroczenie limitu prędkości o dziesięć kilometrów, przeszukiwali jego samochód, wlepiali mu mandat za śmiecenie, włóczenie się, życie.

— Nic. Stoję sobie — powiedział Ig.

— Stoisz sobie od półgodziny! — zawołał do niego Posada, wysiadając z radiowozu. — Mówisz do siebie. Kobieta, która mieszka w okolicy, kazała dzieciom wejść do domu, bo się ciebie przestraszyła.

— Pomyśl, jak by spanikowała, gdyby wiedziała, kto to jest — szydził Sturtz. — Miejscowy zboczeniec i podejrzany o morderstwo.

— Myśl pozytywnie, nie zabił żadnych dzieci.

— Na razie.

— To ja już pojedę — odezwał się Ig.

— Zostaniesz — oznajmił Sturtz.

— Co zamierzasz? — spytał go Posada.

— Chcę go za coś posadzić.

— Za co?

— Nie wiem. Za cokolwiek. Coś mu podłożyć. Torebkę koki. Niezarejestrowaną broń. Cokolwiek. Szkoda, że nic nie mamy. Strasznie chciałbym się do niego dobrać.

— Jak tak gadasz świństwa, mam ochotę pocałować cię w usta — rzekł Posada.

Sturtz skinął głową, niezrażony tym wyznaniem. Wtedy Ig przypomniał sobie o rogach. Znowu się zaczynało, jak z lekarzem i pielęgniarką, Glenną i Allie Letterworth.

— Tak najbardziej — dodał Sturtz — to chciałbym go za coś zgarnąć i zmusić, żeby się zaczął awanturować. Miałbym pretekst, żeby mu powybijać wszystkie pierdolone zęby z tej żałosnej mordy.

— O tak. Chciałbym to zobaczyć — stwierdził Posada.

— Wiecie w ogóle, co mówicie? — spytał Ig.

— Nie — przyznał Posada.

— Tak jakby. — Sturtz zmrużył oczy. — Rozmawiamy, czy powinniśmy cię zgarnąć dla samej radochy, ale nie wiem dlaczego.

— Nie wiesz, dlaczego chcesz mnie zgarnąć?

— A nie, to wiem. Nie wiem, dlaczego o tym mówimy. Na ogół nie poruszam takich spraw.

— Dlaczego chcecie mnie zgarnąć?

— Przez tę twoją pedalską minę. Ta pedalska mina mnie wkurza. Nie przypadam za ciotami — oznajmił Sturtz.

— A ja chcę cię zgarnąć, bo może zaczniesz się szarpać, a wtedy Sturtz cię położy na masce samochodu, żeby cię skuć — powiedział Posada. — I będę miał pod co walić konia. Tylko że wyobrażę was sobie nagich.

— Więc nie chcecie mnie zgarnąć dlatego, że waszym zdaniem upiekło mi się zabicie Merrin?

— Nie, nawet cię o to nie podejrzewam — odparł Sturtz. — Cipa z ciebie, od razu byś się przyznał.

Posada parsknął śmiechem.

— Połóż ręce na dachu samochodu — rozkazał Sturtz. — Chcę zajrzeć tu i tam. Zrewidować ci tył.

Ig z ulgą odwrócił się od nich i rozpostarł ramiona na dachu samochodu. Przycisnął czoło do szyby od strony kierowcy. Chłodne szkło go koilo.

Sturtz podszedł do bagażnika. Posada stanął za Igiem.

— Potrzebuję jego kluczyków — rzucił Sturtz.

Ig sięgnął prawą dłonią do kieszeni.

— Ręce na dachu! — powstrzymał go Posada. — Ja je wezmę.

Która kieszeń?

— Prawa.

Posada wsunął dłoń do kieszeni Iga i zamknął palce na kluczykach. Wyciągnął je i rzucił Sturtzowi, który otworzył bagażnik.

— Chciałbym znowu włożyć rękę do twojej kieszeni — odezwał się Posada. — I nie wyjmować. Nie masz pojęcia, jak mi trudno nie wykorzystywać prawa do obmacywania. Ale mi się powiedziało. Rewidowania. Ha. Nie sądziłem, jak często będę musiał skuwać wysportowanych, półnagich mężczyzn. Muszę się przyznać, że nie zawsze byłem grzeczny.

— Powinieneś wyznać Sturtzowi, co do niego czujesz — powiedział Ig. W tej samej chwili jego rogi zapulsowały.

— Myślisz? — Posada był zaskoczony, lecz zaintrygowany. — Czasem myślałem... ale nie, pewnie by mi przywalił, aż bym się zesrał.

— A skąd. Na pewno na to czeka. Jak myślisz, dlaczego rozpina ten guzik na piersi?

— Zauważyłem, że zawsze tak chodzi.

— Po prostu rozepnij Sturtzowi rozporek i zrób mu laskę. Zaskocz go. Niech ma niespodziankę. Pewnie czeka, aż zrobisz pierwszy ruch. Ale nie rób nic, dopóki nie odjadę, dobrze? To tylko wasza sprawa.

Posada otoczył usta dłonią i tchnął w nią, sprawdzając oddech.

— Szlag by to — mruknął. — Nie umyłem zębów. — Strzelił palcami. — Ale w schowku mam gumę.

Odwrócił się i pobiegł do radiowozu, mamrocząc pod nosem. Bagażnik trzasnął. Sturtz wrócił niespiesznie do Iga.

— Chciałbym mieć powód, żeby cię aresztować. Chciałbym, żebyś podniósł na mnie rękę. Mógłbym skłamać, że mnie obmacywałeś. Zrobiłeś mi propozycję. Zawsze uważałem, że wyglądasz ciotowato. Kręcisz tyłkiem i masz takie spojrzenie, jakbyś się chciał rozplakać. Nie wierzę, że Merrin Williams cię wpuściła do łóżka. Ten, kto ją zgwałcił, pewnie zafundował jej pierwsze dobre rżnięcie w życiu.

Ig miał wrażenie, że w gardle utknął mu kamień.

— Co byś zrobił — spytał — gdyby dotknął cię mężczyzna?

— Wsadziłbym mu latarkę w dupę. Niech homoś ma, jak tak lubi. — Potem zastanowił się i dodał: — Chyba że byłbym pijany. Wtedy pewnie dałbym zrobić sobie laskę. — Znowu się zastanowił,

po czym spytał z nadzieją: — Chcesz mnie dotknąć, żebym mógł ci wsadzić...

— Nie. Ale chyba masz rację co do gejów. Trzeba im wyznaczyć granicę. Jak raz pozwolisz homosiowi się dotknąć, ludzie powiedzą, że sam też jesteś homosiem.

— Wiem, że mam rację. Nie musisz mi mówić. Skończyliśmy, jedź. Nie chcę cię znowu przyłapać pod tym mostem, jasne?

— Tak.

— Tak naprawdę to chcę cię przyłapać. Z prochami w samochodzie. Rozumiesz?

— Tak.

— To w porządku. O ile się rozumiemy. A teraz spadaj. — Sturtz rzucił kluczyki na żwir.

Ig zaczekał, aż policjant odejdzie, po czym podniósł je i usiadł za kierownicą. Po raz ostatni zerknął na radiowóz w lusterku wstecznym. Sturtz siedział już na fotelu pasażera, trzymając oburącz formularz na podkładce. Wpatrywał się w niego ze zmarszczonymi brwiami, zastanawiając się, co wpisać. Posada spoglądał na niego z tęsknotą i pożądaniem. Gdy Ig ruszył, Posada oblizał wargi, pochylił się i zniknął pod deską rozdzielczą.

ROZDZIAŁ 6

Pojechał nad rzekę, żeby obmyślić plan, lecz po całym tym myśleniu miał w głowie taki sam mętlik jak godzinę temu. Pomyślał o rodzicach i nawet przejechał parę przecznic w stronę ich domu, ale potem nerwowo obrócił kierownicą, skręcając w boczną uliczkę. Potrzebował pomocy, a nie sądził, żeby mogli mu jej udzielić. Wolał nie myśleć, co mógłby dostać od nich... z jakich potajemnych pragnień mogliby mu się zwierzyć. A jeśli jego matkę toczy żądza rżnięcia się z małymi chłopcami? Albo ojca?

A poza tym od śmierci Merrin coś się między nimi zmieniło. Cierpieli, widząc, co się z nim dzieje. Nie pytali, jak mu się żyje, ani razu nie odwiedzili mieszkania Glenny. Glenna spytała, dlaczego nigdy nie spotkają się na obiedzie, i zarzuciła Igowi, że się jej wstydzi, co było prawdą. Bolało ich także, że przez niego na ich nazwisko padł cień, ponieważ całe miasto wiedziało, że to Ig zgwałcił i zamordował Merrin Williams, a upiekło mu się, bo jego bogaci i ustosunkowani rodzice zadzwonili do kogo trzeba i ukręcili łeb sprawie.

Jego ojciec był przez jakiś czas gwiazdą drugiego gatunku. Grał z Sinatrą i Deanem Martinem, brał udział w ich nagraniach.

Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych nagrał też własne płyty dla Blue Tone — cztery — a jego marzący, wyrafinowany kawałek zatytułowany „Fishin’ with Pogo” znalazł się na liście stu największych hitów. Ojciec ożenił się z tancerką z Vegas, wystąpił gościnnie w telewizyjnych programach, w paru filmach i w końcu zamieszkał w New Hampshire, żeby mama Iga miała blisko do rodziny. Później został sławnym profesorem w Berklee College of Music, od czasu do czasu grającym w Boston Pops Orchestra.

Ig zawsze lubił słuchać gry ojca. Powiedzieć, że ojciec grał, wydawało się niemal błędem. Było na odwrót — to trąbka grała na nim. Jego policzki wydymały się i kłęły, jakby to w niego wdmuchiowano powietrze, złote wentyle zdawały się chwytać go za palce jak magnesy przyciągające opiłki żelaza, zmuszały je do tańca w niespodziewanych, oszałamiających zrywach. Zamykał oczy i pochylał głowę, kołysał biodrami, jakby wkręcał tors jak świder w sam rdzeń swojego jestestwa, wydobywając muzykę gdzieś z głębin brzucha.

Starszy brat Iga poszedł z zapalem w ślady ojca. Terence co wieczór występował w telewizji jako gwiazda własnego wieczornego programu rozrywkowego „Hothouse”, który pojawił się znikąd i rozmazał po podłodze resztę wieczornej konkurencji.

Terry grał na trąbce w warunkach niebezpiecznych dla życia i zdrowia, zagrał „Ring of Fire” w ognistym kręgu z Alanem Jacksonem, a „High and Dry” z Norah Jones w zbiorniku z wodą. Brzmiał średnio, ale widowisko było pierwsza klasa. Terry miał ostatnio dobrą passę.

Miał też własny styl gry, inny od ojca. Jego pierś napinała się tak bardzo, że wydawało się, iż lada chwila strzeli mu guzik u koszuli. Oczy wychodziły mu z orbit, tak że wyglądał na wiecznie zdziwionego. Kołysał się w przód i tył jak wańka-wstańka. Twarz promieniała mu szczęściem i czasami wydawało się, że jego trąbka się śmieje. Odziedziczył po ojcu najcenniejszy talent: im dłużej ćwiczył, tym numer wydawał się mniej wypracowany i stawał się bardziej naturalny, zaskakujący i pełen życia.

Jako nastolatek Ig nie znosił słuchać gry brata i wymyślał najróżniejsze wymówki, żeby wykręcić się od pojechania z rodzicami na występ Terry’ego. Z zazdrości dostawał bólu brzucha, nie mógł zmrużyć oka w nocy przed wielkim koncertem brata w szkole i potem, w miejscowych klubach. A już zwłaszcza nie znosił słuchać Terry’ego razem z Merrin, nie mógł znieść jej zachwyty, patrzeć, jak porywa ją jego muzyka. Kiedy kołysała się do rytmu swinga Terry’ego, Ig wyobrażał sobie, że jego brat wyciąga niewidzialne ręce do jej bioder. Ale z tego też już wyrósł. I

to dawno. Teraz cieszyła go tylko jedna chwila dnia — oglądanie „Hothouse”, kiedy Terry grał.

Ig też by grał, gdyby nie astma. Nie potrafił nabrać dość powietrza, żeby zadać w trąbkę. Wiedział, że ojciec chciał, by został muzykiem, ale kiedy Ig dął, brakowało mu tlenu, w piersi czuł mdlący skurcz, a przed oczami robiło mu się ciemno. Raz zemdlął z wysiłku.

Kiedy stało się jasne, że z trąbką mu nie wyjdzie, próbował grać na fortepianie, ale też szło mu kiepsko. Nauczyciel, przyjaciel ojca, był pijakiem z przekrwionymi oczami, cuchnącym fajkowym dymem. Kazał Igowi samemu ćwiczyć jakiś beznadziejnie trudny utwór, a sam szedł do sąsiedniego pokoju, żeby się zdrzemnąć. Potem matka zaproponowała grę na kontrabasie, ale Ig stracił już zainteresowanie instrumentami. Zainteresował się Merrin. Kiedy był w niej zakochany, nie potrzebował rodzinnych występów.

W końcu będzie musiał się zobaczyć z ojcem i matką, no i z Terryem też. Jego brat był w mieście, przyleciał nocnym lotem na osiemdziesiąte urodziny babci, bo „Hothouse” miał wakacyjną przerwę w emisji. Terry wrócił do Gideon po raz pierwszy od śmierci Merrin i nie zamierzał zostać długo, wracał pojutrze. Ig nie miał mu za złe pragnienia szybkiej ucieczki. Ten skandal wybuchł w chwili, gdy program zaczynał zyskiwać popularność i

mógł kosztować Terry'ego wszystko. Dobrze o Terrym świadczyło, że w ogóle przyjechał do Gideon, gdzie ktoś mógłby mu zrobić zdjęcie z bratem mordercą — zdjęcie, za które „Enquirer” zapłaciłby co najmniej tysiąc. Ale Terry nie wierzył w winę Iga. Był jego najgłośniejszym i najzapalczywszym obrońcą w czasach, gdy jego stacja wolałaby, żeby ograniczył się do cierpkiego „Bez komentarza”.

Ig mógłby ich unikać, ale wcześniej czy później musiał podjąć ryzyko spotkania z nimi. Może, myślał, z rodziną będzie inaczej. Może są na mnie odporni i ich tajemnice pozostaną tajemnicami. Kochali go, a on ich. Miłość musi coś znaczyć. Może przynajmniej nauczy się to kontrolować, jakoś to wyłączać, cokolwiek znaczy to „to”. Może rogi znikną. Pojawiły się bez ostrzeżenia, więc może tak samo pójdą w diabły?

Przesunął dłonią przez cienkie, rzednące włosy — rzednące w wieku dwudziestu sześciu lat! — i ścisnął głowę obiema rękami. Nienawidził tej gorączkowej gonitwy myśli, tego desperackiego pędu. Niechcący musnął rogi i krzyknął ze strachu. Na usta cisnęły mu się słowa „Boże, błagam, Boże, spraw, żeby znikły...”, ale ugryzł się w język i nic nie powiedział.

Czuł dreszcz pełznący mu po ramionach. Skoro stał się diabłem, to czy mógł jeszcze wzywać Boga? Czy strzeli w niego

piorun, czy roztrzaska go w białym blasku? Czy spłonie?

— Boże — szepnął.

Nic się nie wydarzyło.

— Boże, Boże, Boże.

Przechylił głowę, czekając na jakąś reakcję.

— Błagam, Boże, niech znikną. Przepraszam, jeśli wczoraj czymś Cię wkurzyłem. Byłem pijany i zły.

Wstrzymał oddech, uniósł oczy, spojrzał na siebie w lusterku wstecznym. Rogi nie znikły. Zdążył się już do nich przyzwyczaić. Stały się częścią jego głowy. Sama myśl o tym przejęła go dreszczem wstrętu.

Kątem oka dostrzegł jakąś białą smugę znikającą po prawej stronie. Szarpnął kierownicą i zatrzymał samochód przy krawężniku. Jechał bezmyślnie, nie zwracając uwagi na otoczenie, nie mając pojęcia, gdzie się znalazł. Niechcący przybył do kościoła pod wezwaniem Świętego Serca Maryi, do którego przez dwie trzecie swego życia chodził razem z rodziną i w którym po raz pierwszy ujrzał Merrin Williams.

Wyszło mu w ustach. Nie był w tym kościele, ani w żadnym innym, od śmierci Merrin, nie chciał się mieszać z tłumem, wystawiać się na spojrzenia innych parafian. Nie chciał się też pogodzić z Bogiem; uważał, że to Bóg powinien się pogodzić z nim.

Może gdyby tam wszedł i zaczął się modlić, rogi by znikły. A może... może ojciec Mould wiedziałby, co zrobić. Wtedy Ig zyskałby jakieś wsparcie.

Ojciec Mould mógłby być odporny na działanie rogów. Czy ktokolwiek zdoła stawić opór ich mocy lepiej od duchownego? Miał Boga po swojej stronie i ochronę bożego domu. Może dałoby się zamówić egzorcyzmy. Ojciec Mould musiał znać odpowiednich ludzi. Chlapięcie święconą wodą, parę zdrowasiek i wszystko wróci do normy.

Ig zostawił gremlina przy krawężniku i ruszył betonową dróżką do Świętego Serca. Już sięgał do drzwi, ale zastanowił się i cofnął dłoń. A jeśli od dotknięcia klamki ręka stanie mu w ogniu? A jeśli nie będzie mógł wejść? A jeśli przy próbie przekroczenia progu jakaś mroczna moc go odepchnie, rzuci na wznak? Zobaczył samego siebie, potykającego się w nawie, z dymem buchającym spod kołnierza koszuli, z oczami wychodzącymi z orbit jak w kreskówce, wyobraził sobie duszności i przeszywający ból.

Zmusił się, by wyciągnąć rękę i ująć klamkę. Jedno skrzydło drzwi ustąpiło pod dotykiem jego dłoni — dłoni, której nie ogarnął ogień ani żar, nie przeszył ból. Ig spojrział w mrok nawy, na rzędy ciemnych lśniących ławek. Pachniało tu starym drewnem i starymi psalterzami o wypłowiałych na słońcu skórzanych

okładkach i zetłanych stronach. Ig zawsze lubił ten zapach i z zaskoczeniem się przekonał, że nadal go lubi, nie krztusi się nim.

Przekroczył próg, rozłożył ramiona i czekał. Spojrzał na jedną rękę, potem drugą, czekając, aż spod mankietów zacznie mu się sączyć dym. Nic takiego nie nastąpiło. Uniósł rękę do rogu na prawej skroni. Nadal tam był. Spodziewał się poczuć pulsowanie, mrowienie, cokolwiek — ale nie. Kościół był niczym ciemna i cicha jaskinia, rozświetlona tylko pastelowym mżeniem blasku zza witrażowych okien. Maria u stóp zmarłego na krzyżu Syna. Jan chrzczący Jezusa w rzece.

Ig pomyślał, że powinien podejść do ołtarza, uklęknąć przed nim i błagać Boga, żeby mu odpuścił. Poczuł, że na usta ciśnie mu się modlitwa: „Proszę, Boże, jeśli sprawisz, że rogi znikną, zawsze będę Ci służył, wrócę do kościoła, zostanę księdzem, będę szerzył Słowo, będę szerzył Słowo w upalnych krajach Trzeciego Świata, gdzie wszyscy mają trąd, o ile trąd jeszcze istnieje, ale proszę, niech znikną, niech znowu będę taki jak dawniej”. Ale nie zdążył powiedzieć tego na głos. Zanim zrobił krok, usłyszał cichy zgrzyt metalu o metal i odwrócił głowę.

Nadal stał w wejściu, a po jego lewej stronie widniały lekko uchylone drzwi i schody. Prowadziły w dół do małej sali gimnastycznej, której parafianie mogli używać do różnych celów.

Znowu rozległ się brzęk. Ig dotknął drzwi, które uchyliły się szerzej; dobiegła go fala muzyki country.

— Halo! — zawołał.

Znowu brzęk i odgłos, jakby ktoś się zachłysnął.

— Tak?! — zawołał ojciec Mould. — Kto tam?

— Ig Perrish.

Zapadła chwila ciszy. Trochę za długa.

— Zejdź do mnie — odezwał się Mould.

Ig ruszył po schodach.

W głębi piwnicy rząd jarzeniówek oświetlał puszystą wykładzinę, parę ogromnych nadmuchiwanych piłek, równoważnie — wyposażenie na lekcję gimnastyki. Ale koło schodów niektóre jarzeniówki się przepaliły i było ciemniej. Stała tu ławka treningowa. Ojciec Mould leżał na niej na wznak.

Czterdzieści lat temu Mould był skrzydłowym w Syracuse, a potem komandosem służącym krajowi w Żelaznym Trójkącie. Nadal miał onieśmielającą posturę hokeisty, władczość żołnierza. Ruszał się powoli, lubił brać w objęcia ludzi, którzy go rozbawili, i był rozbrajający jak stary, delikatny bernardyn, który lubi sypiać na kanapie, choć mu nie wolno. Miał na sobie szary dres i stareńkie, zdarte adidas. Jego krzyżyk zwisał ze sztangi; zakołysał się, gdy Mould ją opuścił i z wysiłkiem uniósł znowu.

Koło ławy stała siostra Bennett. Ona też sylwetką przypominała trochę hokeistę — szerokie ramiona i męska twarz o grubych rysach, krótkie kędzierzawe włosy przytrzymane fioletową opaską. Miała dobrany do niej kolorem fioletowy dres. Siostra Bennett uczyła etyki u Świętego Judy i lubiła rysować wykresy na tablicy, dowodząc, w jaki sposób decyzje prowadzą nieubłaganie do zbawienia (trójkąta, który wypełniała puszystymi, pękatymi chmurkami) albo nieubłaganie do piekła (kwadrat pełen płomieni).

Brat Iga, Terry, niemiłosiernie z niej kpił, rysując własne wykresy dla uciechy kolegów z klasy. Wykazywały one, jak po licznych groteskowych lesbijskich romansach siostra Bennett sama wparuje do piekła, gdzie z największą radością odda się niepokojącym praktykom seksualnym z diabłem. W ten sposób Terry zrobił furorę w stołówce Świętego Judy — przedsmak przyszłej sławy. Było to także jego pierwsze zetknięcie z wymiarem sprawiedliwości, bo ktoś na niego w końcu doniósł (jakiś anonimowy kabel, po dziś dzień niezdemaskowany). Terry został zaproszony do gabinetu ojca Moulda. Spotkanie miało miejsce za zamkniętymi drzwiami, które jednak nie stłumiły świstu drewnianej packi spadającej na tyłek Terry'ego, a po dwudziestym uderzeniu — krzyków Terry'ego. Wszyscy w szkole

je słyszeli. Dźwięki niosły się przez przewody wentylacyjne przestarzałego systemu grzewczego do każdej sali. Ig wiercił się na krześle, cierpiąc razem z bratem. W końcu zatkał uszy, żeby tego nie słyszeć. Terry dostał zakaz występu na koncercie na koniec roku — do którego ćwiczył miesiącami — i pałę z zachowania.

Ojciec Mould usiadł, wycierając twarz ręcznikiem. U stóp schodów było najciemniej i przez głowę Iga przemknęła myśl, że Mould nie widzi jego rogów.

— Witaj, ojcze — powiedział.

— Ignatius! Wieki cię nie widziałem. Gdzie się podziewałeś?

— Mam mieszkanie w centrum — oznajmił Ig głosem ochryplym z przejęcia. Nie spodziewał się tak dobrotliwego tonu, ojcowskiej życzliwości. — Nawet niedaleko. Chciałem wstąpić, ale...

— Wszystko z tobą dobrze?

— Nie wiem. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Chodzi o moją głowę. Spójrz na moją głowę, ojcze.

Ig zrobił krok naprzód i lekko się skłonił ku światłu. Widział cień swojej głowy na zamiecionej cementowej podłodze, sterczące mu ze skroni rogi, dwa, z cienkimi zakrzywionymi czubkami. Niemal bał się reakcji Moulda; zerknął na niego nieśmiało. Na

twarzą księdza pozostał cień uprzejmego uśmiechu. Mould zmarszczył brwi w zamyśleniu, przyglądając się rogom szklistym, zdziwionym spojrzeniem.

— Wczoraj się upiłem i zrobiłem coś strasznego — powiedział Ig. — A kiedy się ocknąłem, już tak wyglądałem i nie wiem, co robić. Nie wiem, w co się zmieniam. Może ojciec mi powie, co robić.

Ojciec Mould patrzył na niego przez kolejną długą chwilę z otwartymi ustami, zaskoczony.

— No, mały — odezwał się w końcu. — Chcesz, żebym ci powiedział, co robić? Moim zdaniem powinieneś wrócić do domu i się powiesić. To prawdopodobnie najlepsze wyjście dla ciebie, twojej rodziny... tak naprawdę dla wszystkich. W magazynie za kościołem mam sznur. Przyniosę go, jeśli to cię skieruje na właściwą drogę.

— Dlaczego... — zaczął Ig i musiał odkaszlnąć. — Dlaczego ojciec chce, żebym się zabił?

— Bo zamordowałeś Merrin Williams, a ważny żydowski prawnik twojego tatusia cię wybronił. Słodka, mała Merrin Williams! Miałem dla niej wiele uczuć. Cyce takie sobie, ale dupcia śliczna i mała. Powinni się wsadzić. Chciałem, żeby cię

wsadzili. Siostró, proszę mnie asekurować. — Położył się na ławeczce.

— Ale ja tego nie zrobiłem! — zaprotestował Ig. — Nie zabiłem jej.

— Żartowniś z ciebie — powiedział Mould, sięgając do sztangi. Siostra Bennett stanęła nad jego głową. — Wszyscy wiedzą, że to ty. Równie dobrze możesz odebrać sobie życie. I tak pójdziesz do piekła.

— Już w nim jestem.

Mould stęknął, opuścił sztangę i znowu ją podniósł. Ig zauważył, że siostra Bennett wpatruje się w niego nieruchomym wzrokiem.

— Na ogół dojrzewam do popełnienia samobójstwa koło obiadu — oznajmiła bez wstępów. — Nienawidzę tych spojrzeń ludzi. Tych opowiadanych za moimi plecami dowcipów o lesbijkach. Wezmę ten sznur, jeśli ty go nie chcesz.

Mould wydzwignął sztangę ze stęknięciem.

— Bez przerwy myślę o Merrin Williams. Szczególnie podczas rżnięcia jej matki. Jej matka wiele tu dla mnie robi. Głównie na czworakach. — Uśmiechnął się. — Biedaczka. Codziennie się modlimy. Przeważnie o twoją śmierć.

— Ksiądz... złożył przysięgę czystości.

— Sraty-taty. Niech Bóg się cieszy, że nie obmacuję ministrantów. Moim zdaniem ta kobieta potrzebuje od kogoś pociechy, a od tego spierniczałego okularnika, za którego wyszła, na pewno jej nie dostaje. W każdym razie nie takiej.

— Chcę być kimś innym — odezwała się siostra Bennett. — Chcę uciec. Chcę, żeby ktoś mnie polubił. Czy ty mnie kiedykolwiek lubiłeś, Iggy?

Ig przełknął ślinę.

— No... chyba tak. W pewnym sensie.

— Chcę z kimś sypiać — ciągnęła siostra Bennett, jakby się w ogóle nie odezwał. — Chcę, żeby w nocy ktoś trzymał mnie w ramionach. Nieważne, mężczyzna czy kobieta. Nieważne. Nie chcę dłużej być samotna. Wypisuję czeki dla kościoła. Czasami chcę wyczyścić konto i uciec z pieniędzmi. Czasami bardzo tego chcę.

— Dziwię się — wtrącił Mould — że nikt w tym mieście jeszcze cię nie załatwił za to, co zrobiłeś Merrin Williams. Porządni obywatele mogliby ci złożyć pewnej nocy wizytę, zabrać cię na miłą przechadzkę po świeżym powietrzu. Prosto do tego drzewa, pod którym zabiłeś Merrin, żeby cię na nim powiesić. Jeśli sam tego nie zrobisz, to by było prawie równie dobre.

Ig z zaskoczeniem poczuł, że się odpręża, rozluźnia zaciśnięte pięści, oddycha spokojniej. Mould zakołysał się na ławce. Siostra

Bennett chwyciła sztangę i osadziła ją ze szczękiem na stojaku.

Ig podniósł na nią wzrok.

— Co cię powstrzymuje?

— Przed czym? — spytała.

— Przed odjazdem z pieniędzmi.

— Bóg. Kocham Boga.

— Zrobił coś dla ciebie? Czy łagodzi twój ból, kiedy ludzie wyśmiewają się z ciebie za twoimi plecami? Więcej — to z Jego powodu jesteś zupełnie sama na świecie. Ile masz lat?

— Sześćdziesiąt jeden.

— Sześćdziesiąt jeden lat to starość. Prawie za późno. Prawie.

Możesz czekać choćby jeden dzień?

Dotknęła szyi; oczy miała wielkie i zaniepokojone.

— Już pójdę. — Odwróciła się i przebiegła obok niego w stronę schodów.

Ojciec Mould niemal nie zauważył jej odejścia. Usiadł, oparłszy przeguby na kolanach.

— Skończył ksiądz? — spytał Ig.

— Jeszcze jedna seria.

— Proszę pozwolić, że pomogę. — Ig stanął za ławą.

Podając księdzu sztangę, musnął jego kostki i dowiedział się, że kiedy Mould miał dwadzieścia lat, razem z innymi chłopakami

z drużyny hokejowej zasłonili twarz maskami narciarskimi i pojechali za samochodem pełnym muzułmańskich dzieci, które przyjechały z Nowego Jorku, żeby mówić w Syracuse o prawach obywatelskich. Mould i jego przyjaciele zmusili dzieci do zjechania z drogi i ścigali ich po lesie. Złapali najwolniejsze i kijami baseballowymi roztrzaskali mu nogę w ośmiu miejscach. Dzieciak przez dwa lata musiał się poruszać za pomocą balkonika.

— Naprawdę modli się ksiądz z matką Merrin o moją śmierć?

— Mniej więcej. Szczerze mówiąc, ona wzywa Boga głównie wtedy, gdy ją dymam.

— Wie ksiądz, dlaczego On mnie nie ukarał? Dlaczego Bóg nie odpowiedział na wasze modlitwy?

— Dlaczego?

— Bo nie ma żadnego Boga. Wasze modlitwy to tylko szepty w pustym pokoju.

Mould znowu uniósł sztangę — z wielkim wysiłkiem — opuścił ją i stęknął:

— Bzdura.

— To wszystko kłamstwa. Nigdy tam nikogo nie było. To ksiądz powinien skorzystać z tego sznura z szopy.

— Nie. Nie możesz mnie do tego zmusić. Nie chcę umrzeć. Kocham życie.

A więc to tak. Nie mógł zmusić ludzi do czegoś, czego nie chcieli robić. Zastanowił się, czy tak jest w tym przypadku.

Mould skrzywił się i stęknął, ale nie mógł podnieść sztangi. Ig odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

— E! — zawołał za nim Mould. — Potrzebuję pomocy!

Ig włożył ręce do kieszeni i zaczął gwizdać „When The Saints Go Marching In”. Po raz pierwszy tego ranka poczuł się dobrze. Za jego plecami Mould krztusił się i wysilał, ale Ig nawet na niego nie spojrział.

Siostra Bennett minęła go koło drzwi kościoła. Włożyła czerwone spodnie i bluzkę bez rękawów w stokrotki. Zaczesała włosy do góry. Na jego widok drgnęła i omal nie upuściła torebki.

— Wyjeżdżasz? — spytał Ig.

— Nie... nie mam samochodu. Chciałam wziąć kościelny, ale boję się, że mnie złapią.

— Wyczyściłaś kościelne konto. Co cię obchodzi samochód?

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym pochyliła się i pocałowała go w kącik ust. Ig poczuł dotyk jej warg i dowiedział się o tym straszliwym kłamstwie, które opowiedziała matce, kiedy miała dziewięć lat, i o okropnym dniu, gdy impulsywnie pocałowała swoją uczennicę, ładną szesnastolatkę Britt, i o

potajemnym, rozpaczliwym porzuceniu wiary. Zobaczył to wszystko, zrozumiał i wcale się tym nie przejął.

— Niech cię Bóg błogosławi — powiedziała siostra Bennett.

Musiał się roześmiać.

ROZDZIAŁ 7

Nie zostało mu nic innego, jak spotkać się z rodzicami. Ruszył w stronę domu.

Cisza w samochodzie go denerwowała. Włączył radio, ale go rozdrażniło, było gorsze od ciszy. Rodzice mieszkali piętnaście minut drogi za miastem, więc miał za dużo czasu do rozmyślań. Bardziej bał się ich reakcji tylko wtedy, gdy trafił na noc do aresztu, gdzie przesłuchiowano go w sprawie śmierci Merrin.

Wywiadowca, niejaki Carter, rozpoczął od przesunięcia po stole jej zdjęcia. Później, gdy Ig znalazł się sam w celi, zdjęcie go odnalazło, pojawiało się za każdym razem, gdy zamykał oczy. Merrin wydawała się zupełnie biała na tle brązowych liści, leżała na wznak, nogi razem, ręce przy bokach, rozrzucone włosy. Twarz miała ciemniejszą od ziemi, a usta pełne liści. Spod jej włosów sączyła się ciemna strużka zaschniętej krwi, obrysowująca kontur kości policzkowej. Merrin miała na szyi jego krawat, którego szeroki koniec skromnie zasłaniał jej lewą pierś. Ig nie potrafił wyrzucić z głowy tego obrazu, szarpiącego mu nerwy i żołądek, aż wreszcie — nie wiadomo po ilu godzinach, bo w celi nie było

zegara — padł na kolana przed stalową muszlą klozetową i z wymiotował.

Następnego dnia bał się spotkania z matką. To była najgorsza noc jego życia i przypuszczał, że pewnie także jej. Nigdy wcześniej nie miał kłopotów z prawem. Matka pewnie nie mogła spać; wyobrażał ją sobie, jak siedzi w kuchni w nocnej koszuli, nad filiżanką zimnej ziołowej herbatki, z czerwonymi oczami i pobladłą twarzą. Jego ojciec także pewnie nie spał i towarzyszył matce. Ig zastanawiał się, czy Derrick Perrish siedział obok niej cicho, równie przestraszony i milczący jak ona, nie mając do roboty nic prócz czekania, czy też był rozdrażniony i wybuchowy, czy krążył po kuchni, mówiąc matce, co zrobić, jak zaradzą kłopotom i kto mu za to beknie.

Ig postanowił nie płakać na widok matki i to mu się udało. Ona też nie płakała. Wystroiła się jak na spotkanie z radą nadzorczą uniwersytetu, a jej szczupła, pociągła twarz była uważna i spokojna. To ojciec wyglądał, jakby płakał. Prawie niczego nie zauważał. Miał nieświeży oddech.

— Nie rozmawiaj z nikim oprócz prawnika — powiedziała matka. To były pierwsze słowa, jakie padły z jej ust. — Do niczego się nie przyznawaj.

— Do niczego się nie przyznawaj — powtórzył ojciec, objął go i zaczął płakać. Potem wykrztusił między szlochami: — Nie obchodzi mnie, co się wydarzyło.

Wtedy Ig zrozumiał: rodzice uwierzyli w jego winę. To mu nie przyszło do głowy. Nawet gdyby to zrobił — nawet gdyby go schwytano na gorącym uczynku — sądził, że rodzice będą wierzyć w jego niewinność.

Po południu wyszedł z posterunku. Mocne, ukośnie padające promienie październikowego słońca raziły go w oczy. Nie postawiono mu żadnych zarzutów. Nigdy. I nigdy nie oczyszczono go z podejrzeń. Aż po dziś dzień pozostał „obiektem obserwacji”.

Na miejscu zabójstwa zebrano dowody, może nawet ślady DNA — Ig nie wiedział, bo policja zachowała takie szczegóły dla siebie, lecz z całego serca wierzył, że po ich zbadaniu zostanie publicznie uniewinniony. Ale w laboratorium w Concord wybuchł pożar i próbki zebrane ze zwłok Merrin spłonęły. Ta wiadomość go przybiła. Trudno było mu nie dawać wiary przesądom, nie czuć mrocznych sił, które sprzysięgły się przeciwko niemu. Uśmiech szczęścia okazał się fałszywy. Jedynym ocalałym dowodem był odcisk opony marki Goodyear. Gremlin Iga jeździł na michelinach. To nie przeważało w żadną stronę, wprawdzie niezbite dowody na winę Iga nie istniały, lecz także nic go jednoznacznie nie

uniewinniało. Jego zeznanie, że spędził tę noc w samotności, że urwał mu się film w samochodzie za zrujnowanym Dunkin' Donuts na jakimś odludziu, nawet w jego uszach brzmiało jak rozpaczliwe, kulawe kłamstwo.

W tych pierwszych miesiącach po przeprowadzce do domu rodzice opiekowali się Igiem, jakby znowu był dzieckiem, i to chorym na gripę. Chcieli go wyleczyć zupą i książkami. Chodzili na paluszkach po własnym domu, jakby się bali, że sprawy i odgłosy ich codziennego życia wytrącą go z równowagi. Ciekawe, że okazywali mu tyle troski, sądząc, że był zdolny tak strasznie skrzywdzić dziewczynę, którą także kochali.

Ale kiedy nie postawiono mu zarzutów i proces przestał stanowić bezpośrednie zagrożenie, rodzice odsunęli się od niego, schowali się w sobie. Kochali go i byli gotowi o niego walczyć, gdy wszystko wskazywało na to, że czeka go proces, ale ledwie się okazało, że nie trafi za kratki, z ulgą go pożegnali.

Mieszkał z nimi dziewięć miesięcy. Kiedy Glenna spytała, czy chce płacić z nią czynsz na spółkę, nie namyślał się długo. Po wyprowadzce widywał rodziców tylko podczas wizyt w ich domu. Nie spotykali się w mieście na obiad, nie chodzili razem do kina ani na zakupy, oni nigdy nie przychodzili do niego. Czasem, gdy wpadał do domu, dowiadywał się, że ojciec wyjechał do Francji na

festiwal jazzowy albo do Los Angeles, żeby pracować nad muzyką do filmu. Nigdy nie znał planów ojca, a ojciec go nie uprzedzał, że wyjeżdża z miasta.

Z matką odbywał pogawędki na ganku. Nie rozmawiali o niczym ważnym. Zanim Merrin umarła, miał podjąć pracę w Anglii, ale potem jego życie się wykoleiło. Powiedział matce, że wróci do szkoły, że złożył podania do Brown i Columbii. I naprawdę złożył; na mikrofali w mieszkaniu Glenny. Jedno posłużyło jako podkładka pod kawałek pizzy, drugie pozoczyły wyschnięte brązowe półksiężycy po kubkach z kawą. Matka chciała opłacić jego naukę, zachęcała go i dopingowała, nie zadając krępujących pytań, na przykład czy zamierza zjawić się w tych szkołach na rozmowie kwalifikacyjnej, czy ma na oku jakąś pracę, zanim go przyjmą. Żadne z nich nie chciało zdruzgotać tej kruchej iluzji powrotu do normalności, nadziei, że wszystko się ułoży, że jego życie znowu zacznie się toczyć normalnym torem.

Podczas rzadkich wizyt w domu swobodnie czuł się tylko z Verą, babką, która mieszkała z rodzicami. Nie wiedział, czy w ogóle pamiętała, że kiedyś zatrzymano go pod zarzutem morderstwa. Po operacji biodra, po której, nie wiadomo dlaczego, wcale nie poczuła się lepiej, poruszała się tylko w wózku inwalidzkim. Ig woził ją na spacerzy zwirową drogą, przez las na

północ od domu rodziców aż na Queen's Face, wysoką skalną półkę, z której skakali paralotniarze. W ciepłe, wietrzne lipcowe dni widywało się ich pięciu lub sześciu, szybujących na prądach wznoszących — dalekie latawce w tropikalnych kolorach, kołyszące się i śmigające po niebie. Gdy Ig patrzył z babcią na lotnie, śmiało unoszące się na powietrznych prądach za Queen's Face, czuł się niemal jak ten człowiek, którym był za życia Merrin — jak ktoś, kto chętnie pomaga innym, kto lubi zapach otwartej przestrzeni.

Wjeżdżając pod górę do domu, zobaczył Verę na podwórku — w fotelu na kółkach, z dzbankiem mrożonej herbaty na stoliku obok. Pochyliła głowę, zdrzemnęła się na słońcu. Matka Iga pewnie niedawno siedziała na dworze razem z nią — na trawie leżał zmięty kraciasty koc. Słońce prześwieciło dzbanek z herbatą i zmieniło jego krawędź w brylantową obręcz, srebrną aureolę. Trudno było sobie wyobrazić spokojniejszą scenę, ale ledwie Ig zatrzymał samochód, poczuł, że nie ma ochoty wysiadać. Bał się spotkania z ludźmi, których chciał zobaczyć.

Wysiadł. Co miał zrobić.

Na podjeździe stał czarny, nieznany mu mercedes z tablicami rejestracyjnymi z Alamo. Wynajęty wóz Terry'ego. Ig zaproponował bratu, że przywiezie go z lotniska, ale Terry uznał,

że to bez sensu, miał przylecieć późno i chciał mieć własny samochód. Mogli się spotkać nazajutrz. Dlatego Ig wyjechał z Glenną i w rezultacie upił się samotnie przy starej odlewni.

Spotkania z Terrym bał się najmniej. Wybaczyłby mu wszystko, każdy potajemny wybryk i haniebny występki. Był mu to winien. Może Terry przyjechał spotkać się z nim. Kiedy Ig miał największe kłopoty w życiu, Terry codziennie udzielał wywiadów gazetom, twierdząc, że to wszystko bzdury, kompletne banialuki, że jego brat nie mógłby skrzywdzić dziewczyny, którą kochał. Ig pomyślał, że jeśli ktokolwiek może mu teraz pomóc, to tylko Terry.

Zbliżył się do Very. Matka zostawiła ją, odwróconą twarzą w stronę długiego, porośniętego trawą zbocza, sięgającego do starego drewnianego płotu na dole. Vera dotykała uchem ramienia, oczy miała zamknięte, lekko posapywała. Patrząc na nią, gdy tak odpoczywała, Ig poczuł, że napięcie powolutku go opuszcza. Przynajmniej z nią nie będzie musiał rozmawiać, nie będzie musiał wysłuchiwać jej tajemnic, najstraszniejszych chuci. To już coś. Spojrzał na jej szczupłą, zniszczoną, pomarszczoną twarz, czując wdzięczność za wspólne poranki przy herbacie, ciasteczkach z masłem orzechowym i teleturniejach. Włosy miała związane z tyłu, ale wymykały się ze wsuwek i długie pasma koloru księżycowego światła wiły się jej na policzkach. Delikatnie

położył rękę na jej dłoni — na chwilę zapominając, do czego to może doprowadzić.

Dowiedział się wtedy, że babcia nie miewa żadnych bólów w biodrze, ale lubi być wożona w fotelu i obsługiwana. Miała osiemdziesiąt lat i to ją do czegoś uprawniało. Zwłaszcza lubiła komenderować córką, która ma się za nie wiadomo kogo, bo jest tak bogata, że może się podcierać dwudziestodolarówkami, żona wielkiego niegdysiejszego gwiazdora, matka pseudocelebryty i zdeprawowanego mordercy. Choć właściwie zrobiła karierę, taniej dziwce poszczęściło się złapać małomiasteczkowego sławnego fiutka ze skłonnością do sentymentalizmu. Wróciła z Vegas z mężem i portfelem pełnym kart kredytowych, zamiast po dziesięciu latach odsiadki i z nieuleczalną chorobą weneryczną. Vera uważała w głębi duszy, że Ig wiedział, kim była jego matka — tanią kurwą — i ta świadomość obudziła w nim patologiczną nienawiść do kobiet, stała się prawdziwą przyczyną, dla której zgwałcił i zamordował Merrin Williams. To wszystko zawsze ma związek z freudyzmem. No i oczywiście ta Williamsówna to chciwa latawica, od pierwszej chwili kręciła kuprem przed nosem chłopca, żeby dostać pierścioneł i pieniądze rodziny Iga. W tych krótkich spódniczkach i obcisłych bluzeczkach zdaniem Very sama także była nie lepsza od kurwy.

Ig puścił jej rękę, jakby był to nieizolowany przewód, który nagle kopnął go prądem. Krzyknął i cofnął się chwiejnie o krok. Babcia poruszyła się i otworzyła jedno oko.

— A, to ty.

— Przepraszam. Nie chciałem cię budzić.

— Szkoda, że zbudziłeś. Chciałam spać. We śnie jestem szczęśliwsza. Myślisz, że chciałam cię zobaczyć?

Ig poczuł chłód wsączający mu się w sam środek piersi. Babka odwróciła od niego głowę.

— Kiedy patrzę na ciebie, chcę umrzeć.

— Naprawdę?

— Nie mogę się spotykać z przyjaciółkami. Nie mogę chodzić do kościoła. Wszyscy się na mnie gapią. Wiedzą, co zrobiłeś. Mam ochotę umrzeć. A potem się tu pojawiaasz i ze mną spacerujesz. Nienawidzę tych spacerów, kiedy ludzie widzą nas razem. Nie wiesz, jak trudno jest udawać, że cię nie nienawidzę. Zawsze uważałam, że coś z tobą jest nie tak. Po bieganiu zaczynałeś tak dziwnie rzezić. Zawsze oddychałeś przez usta, ziajałeś jak pies, zwłaszcza w towarzystwie ładnych dziewczyn. I byłeś głupi. O wiele głupszy od brata. Usiłowałam to powiedzieć Lydii. Sama nie wiem, ile razy powtórzyłam jej, że coś z tobą nie tak. Nie chciała

tego słuchać i proszę, do czego to doszło. Teraz wszyscy musimy z tym żyć.

Zasłoniła oczy ręką. Broda jej drżała. Ig wycofywał się przez podwórko, słysząc jej płacz.

Wszedł przez ganek i otwarte drzwi, w mrok przestronnego holu. Roiło mu się, żeby pójść na górę do swojego starego pokoju i tam się położyć. Chciał pobyc sam, w chłodnym cieniu, otoczony plakatami muzycznych kapel i książkami z dzieciństwa. Ale przechodząc obok gabinetu matki, usłyszał szelest papieru i automatycznie odwrócił się, żeby do niej zajrzeć.

Matka pochylona nad biurkiem wertowała plik arkuszy, od czasu do czasu wyjmując jeden i wsuwając go do aktówki z miękkiej skóry. Spódniczka w prążki mocno opinała jej siedzenie. Matka była tancerką w Vegas i nadal zachowała figurę. Ig znowu ujrzał mgnienie tego, co zobaczył w głowie Very, prywatne przekonanie babki, że Lydia jest kurwą, ale szybko uznał to za starcze bredzenie.

Matka zasiadała w komitecie do spraw sztuk pięknych w New Hampshire, czytała rosyjskie powieści i nawet jeśli była tancerką, przynajmniej nosiła strusie pióra.

Lydia dostrzegła Iga w drzwiach i aktówka zsunęła się jej z kolan. Chwyciła ją, ale za późno. Dokumenty posypały się

kaskadą na podłogę. Parę sfrunęło, kołysząc się na boki, bezcelowo i niespiesznie jak płatki śniegu. Ig znowu pomyślał o lotniach. Ludzie zeskakiwali z Queen's Face i bez nich. Ukochane miejsce samobójców. Może powinien tam zaraz pojechać.

— Iggy — odezwała się matka. — Nie wiedziałam, że wpadniesz.

— Jeździłem bez celu. Nie miałem się gdzie podziać. Straszny jest ten dzień.

— O, kochanie — powiedziała, marszcząc brwi ze współczuciem. Dawno nikt nie patrzył na niego ze współczuciem, a tak bardzo tego pragnął, że kiedy wreszcie się stało, rozdygotał się i prawie zemdlał.

— Dzieje się ze mną coś strasznego, mamó — powiedział załamującym się głosem. Po raz pierwszy tego dnia poczuł się bliski łez.

— O, kochanie — powtórzyła znowu. — Dlaczego nie poszedłeś gdzie indziej?

— Słucham?

— Nie chcę już słuchać o twoich problemach.

Oczy przestały go piec, potrzeba płaczu ustąpiła równie nagle, jak się pojawiła. W rogach zatętniło mu bolesne, jątrzące pulsowanie, nie całkiem nieprzyjemne.

— Ale mam kłopoty.

— Nie chcę o tym słyszeć. Nie chcę wiedzieć. — Przykucnęła, zaczęła zbierać dokumenty i wkładać je do aktówki.

— Mamo — zaczął.

— Kiedy mówisz, mam ochotę śpiewać! — krzyknęła, puściła aktówkę i zasłoniła uszy rękami. — La-la-la-la-la! Kiedy mówisz, nie chcę tego słuchać. Chcę wstrzymywać oddech, dopóki nie odejdiesz.

Zaczerpnęła wielki łyk powietrza i wstrzymała oddech, wydymając policzki.

Ig podszedł i ukląkł obok niej, żeby musiała na niego spojrzeć. Matka kuliła się, zasłaniając uszy i zaciskając mocno wargi. Wziął aktówkę i zaczął wkładać do niej kartki.

— Zawsze się tak czujesz, kiedy mnie widzisz?

Pokiwała gwałtownie głową, z płonącymi, szeroko otwartymi oczami.

— Nie uduś się, mamo.

Matka patrzyła na niego jeszcze chwilę, otworzyła usta i odetchnęła ze świstem. Przyglądała się, jak Ig wkłada jej dokumenty do aktówki.

Gdy wreszcie zaczęła mówić, głos miała cichy, straszny, a słowa sypały się jedno po drugim jak kamienie.

— Chcę ci napisać list bardzo miły list bardzo ładnym charakterem pisma na mojej specjalnej papeterii żeby ci powiedzieć jak bardzo ja i tata cię kochamy i jak nam przykro że nie jesteś szczęśliwy i że wszyscy by na tym zyskali gdybyś po prostu wyjechał.

Schował ostatnie kartki i przykucnął, trzymając aktówkę na kolanach.

— Dokąd?

— Nie chciałeś wędrować na Alasce?

— Z Merrin.

— Albo zobaczyć Wiedeń?

— Z Merrin.

— Albo nauczyć się chińskiego? W Pekinie?

— Rozmawialiśmy z Merrin o wyjeździe do Wietnamu i uczeniu angielskiego. Ale chyba tak naprawdę nie zamierzaliśmy tego robić.

— Nie obchodzi mnie, dokąd pojedziesz, bylebym nie musiała cię co tydzień oglądać. Bylebym nie musiała słuchać, jak mówisz o sobie, jakby wszystko grało, bo nie gra i nigdy więcej nie będzie grać. Twoje wizyty mnie unieszczęśliwiają. A ja chcę być znowu szczęśliwa.

Oddał jej aktówkę.

— Nie chcę już, żebyś był moim dzieckiem — powiedziała. — To za trudne. Szkoda, że nie urodziłam tylko Terry'ego.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. A kiedy to zrobił, dowiedział się, że w głębi serca od lat nie lubiła go za to, że przez niego nabawiła się rozstępów. To on zepsuł jej ciało godne rozkładówki „Playboya”. Terry był takim małym dzieckiem, takim rozważnym, zostawił jej figurę i skórę nietkniętą, ale Ig wszystko spieszył. Kiedyś, jeszcze przed dziećmi, proponowano jej w Vegas pięć tysięcy za jedną noc z szejkiem naftowym. To były czasy! Najłatwiejsze i najlepsze zarobki jej życia.

— Nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię — odezwała się Lydia. — Nienawidzę siebie. Nigdy nie byłam dobrą matką. — Potem jakby sobie uświadomiła, że została pocałowana, i dotknęła policzka, otoczyła go dłonią. Zamrugła, walcząc ze łzami, a potem się uśmiechnęła, czując pocałunek na skórze. — Pocałowałeś mnie. Czy to znaczy... czy to znaczy, że wyjeżdżasz? — W jej głosie drżała nadzieja.

— Nigdy mnie tu nie było — odpowiedział.

ROZDZIAŁ 8

W holu spojrział na prowadzące na ganek siatkowe drzwi i opromieniony słońcem świat za nimi, i pomyślał, że powinien odejść, natychmiast, spadać stąd, zanim wpadnie na kogoś jeszcze, ojca albo brata. Zmienił zdanie co do spotkania z Terryem, postanowił jednak go unikać. W świetle tego, co mu powiedziała matka, stało się jasne, że lepiej nie wystawiać na próbę swojej miłości do innych.

Ale nie wyszedł. Odwrócił się i zaczął się wspinać po schodach. Skoro już tu jestem, pomyślał, powinienem zajrzeć do mojego pokoju i sprawdzić, czy nie chcę z niego czegoś zabrać w drogę. W jaką drogę? Tego jeszcze nie wiedział. Ale nie był pewien, czy kiedykolwiek wróci.

Schody miały sto lat i skrzypiały pod jego stopami. Ledwie dotarł na górę, gdy drzwi po prawej stronie korytarza otworzyły się i wyjrzał z nich ojciec. Ig widział to już sto razy. Ojciec łatwo się rozpraszał i zawsze musiał sprawdzić, kto wchodzi po schodach.

— O, Ig — powiedział. — Myślałem, że... — Urwał. Przeniósł spojrzenie z oczu Iggy'ego na jego rogi. Stał tak w białym

podkoszulku, prążkowanych szelkach i z bosymi stopami.

— No, to już mów — westchnął Ig. — Teraz powiesz mi coś strasznego, z czym się kryłeś. Pewnie o mnie. Mów, niech będzie z głowy.

— Chcę udawać, że robię coś ważnego, żeby nie musieć z tobą rozmawiać.

— To jeszcze nic takiego.

— Tak mi trudno się z tobą spotykać.

— Jasne. To już przerobiłem z mamą.

— Myślę o Merrin. Jaką była dobrą dziewczyną. Kochałem ją, wiesz, na swój sposób. I zazdrościłem ci. Nigdy nikogo nie kochałem tak jak wy siebie. Na pewno nie twoją matkę, tę snobistyczną kurewkę. Najgorszy błąd mojego życia. Ale Merrin... Słodkie małeństwo. Nie można było się nie uśmiechnąć, słysząc jej śmiech. Kiedy myślę, że ją zerznąłeś i zabiłeś, chce mi się rzygać.

— Nie zabiłem jej — powiedział Ig z wyschniętymi ustami.

— A najgorsze jest to — dodał Derrick Perrish — że była moją przyjaciółką, podziwiała mnie, a ja pomogłem ci ocalić skórę.

Ig znieruchomiał.

— Gene Lee prowadzi laboratorium kryminalistyczne. Jego syn parę lat temu zmarł na białaczkę, ale zanim kopnął w kalendarz, załatwiłem mu bilety na Paula McCartneya, a potem

dopilnowałem, żeby Gene i mały spotkali się z nim w garderobie i tak dalej. Po twoim aresztowaniu Gene się do mnie odezwał. Spytał, czy to zrobiłeś, a ja na to, że nie mogę mu szczerze odpowiedzieć. Dwa dni później w laboratorium w Concord wybuchł pożar. Gene nie był tam kierownikiem, pracuje w Manchester, ale zawsze uważałem...

Igowi zrobiło się słabo. Gdyby dowody z miejsca zbrodni nie przepadły, można by dowieść jego niewinności. Ale zginęły w płomieniach — jak wszystkie jego nadzieje, jak wszystkie dobre rzeczy w jego życiu. Podczas ataków paranoi wyobrażał sobie, że zawiązano skomplikowany i potajemny spisek, by go skazać i zabić. Teraz zrozumiał, że miał rację, rzeczywiście ktoś tu intrygował, ale po to, by go chronić.

— Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś być tak głupi? — spytał głosem zdławionym od uczucia bardzo bliskiego nienawiści.

— Sam sobie zadaję to pytanie. Codziennie. Kiedy świat rzuca się na twoje dzieci, kiedy się rzuca z nożem, twoim obowiązkiem jest je zasłonić. Każdy to wie. Ale to? To? Merrin była jak moja córka. Przychodziła do naszego domu codziennie od dziesięciu lat. Ufała mi. W kinie kupowałem jej popcorn, chodziłem z nią na mecze lacrosse, grałem z nią w cribbage, była piękna i cię kochała, a ty jej roztrzaskałeś czaszkę! Nie powinienem cię kryć, nie za to.

Powinieneś pójść do więzienia. Kiedy widzę cię w tym domu, mam ochotę zetrzeć ci z pyska tę żalobną minę. Nie masz się czym smucić. Upiekło ci się morderstwo. Dosłownie. I w dodatku mnie w to wciągnąłeś. Przez ciebie czuję się zbrukany. Przez ciebie chcę się myć, szorować druciakiem. Skóra mnie mrowi, kiedy do mnie mówisz. Jak mogłeś jej to zrobić? Niewielu znałem ludzi lepszych od niej. Do diabła, najbardziej w tobie podobała mi się ona!

— Mnie też.

— Chcę wrócić do gabinetu — oznajmił ojciec, oddychając ciężko przez otwarte usta. — Widzę cię i mam ochotę uciec. Do gabinetu. Do Vegas. Do Paryża. Gdziekolwiek. Chcę uciec i nie wrócić.

— I naprawdę myślisz, że ją zabiłem. Nie zastanawiasz się czasem, czy dowody, które kazałeś spalić, nie mogłyby mnie uratować? Powtarzałem ci bez przerwy, że tego nie zrobiłem. Nie przyszło ci kiedyś do głowy, że może — hipotetycznie — jestem niewinny?

Ojciec myślał przez chwilę.

— Nie. Właściwie nie. Prawdę mówiąc, zdziwiłem się, że nie skrzywdziłeś jej wcześniej. Zawsze uważałem, że dziwny z ciebie gnojek.

ROZDZIAŁ 9

Przez całą minutę stał w progu swojego pokoju, ale do niego nie wszedł, nie położył się, tak jak sobie wyobrażał. Znowu rozboleła go głowa — w skroniach, u podstawy rogów. Czuł, że coś na nie coraz bardziej napiera. Na obrzeżach jego pola widzenia drgał mrok, pulsujący wraz z tętnem.

Ponad wszystko pragnął odpoczynku, nie chciał już więcej szaleństwa. Pragnął dotyku chłodnej ręki na czole. Chciał, żeby Merrin wróciła — chciał zapłakać z twarzą ukrytą na jej kolanach, czując na karku jej poruszające się palce. Wszystkie myśli o spokoju łączyły się z nią. Każde spokojne wspomnienie dotyczyło jej: wietrzne lipcowe popołudnie, gdy leżeli w trawie nad rzeką. Deszczowy październik, gdy pili cydr w jej salonie, tuląc się do siebie pod włóczkowym kocem, zimny nos Merrin koło jego ucha.

Powiódł wzrokiem po pokoju, przyglądając się odpadkom swego życia, które tu prowadził. Zauważył stary futerał, trochę wystający spod łóżka, wyjął go i położył na materacu. W środku znajdowała się jego srebrna trąbka, zmatowiała, z wytartymi wentylami, jakby jej często używał.

Bo tak było. Nawet gdy już wiedział, że słabe płuca nigdy nie pozwolą mu na grę, z powodów, których już nie rozumiał, nadal ćwiczył. Gdy rodzice wysyłali go do łóżka, grał w ciemnościach, leżąc na plecach pod kołdrą, przebierając palcami po tłokach. Grał Milesa Davisa, Wyntona Marsalisa i Louisa Armstronga. Ale muzyka rozlegała się tylko w jego głowie, bo gdy przykładał wargi do ustnika, nie ośmielał się dąć z obawy, że znowu nastąpi fala zawrotów głowy i pojawi się czarny śnieg. Teraz te ćwiczenia nieprowadzące do żadnego praktycznego celu wydawały się bezsensowną stratą czasu.

Wytrząsnął futerał w nagłym porywie furii, wyrzucił na podłogę trąbkę i resztę akcesoriów: rurki ustnikowe, olejek do tłoków, zapasowy ustnik. Na końcu chwycił tłumik Toma Crowna, wyglądający jak wielka ozdoba choinkowa z polerowanej miedzi. Chciał nim rzucić przez cały pokój i nawet się zamachnął, lecz jego palce się nie otworzyły. Tłumik był piękny, ale nie dlatego Ig go zatrzymał. Choć nie wiedział dlaczego.

Tłumik wkładało się w czarę trąbki. Użyty poprawnie dawał zmysłowy, seksowny pomruk. Ig marszczył brwi, a niewidzialne coś usiłowało się przebić do jego świadomości. Nie pomyśl, jeszcze nie. Nawet nie zaczątek pomysłu, lecz płynne, mętne wrażenie. Coś o trąbkach. Coś o sposobie grania na nich.

W końcu odłożył tłumik i odwrócił się do futerału. Wyjął piankowe wypełnienie, włożył do niego zmianę ubrań i rozejrzał się za paszportem — nie spodziewał się wyjechać z kraju, ale chciał zabrać ze sobą wszystko, co ważne, żeby nie musiał tu już wracać.

Paszport znajdował się między kartkami wypasionej Biblii w górnej szufladzie komody — wersja króla Jakuba w białej skórzanej oprawie, ze słowami Jezusa wypisanymi złotą czcionką. Terry nazywał ją Biblią Neila Diamonda. Ig wygrał ją w dzieciństwie w konkursie wiedzy o Piśmie Świętym w szkółce niedzielnej. Jeśli chodzi o odpowiedzi Biblii, znał wszystkie pytania.

Wyjął paszport z Biblii i zawahał się, patrząc na kolumnę zamazanych kropek i kresek nagryzmołonych ołówkiem na wyklejce książki. Alfabet Morse'a. Osobiście zapisał go w Biblii Neila Diamonda ponad dziesięć lat temu. Niegdyś sądził, że Merrin Williams wysłała mu wiadomość alfabetem Morse'a, i przez dwa tygodnie usiłował napisać jej odpowiedź. Ta odpowiedź nadal tu widniała, zawarta w szeregach kropek i kresek — jego ulubiona modlitwa.

Wrzucił Biblię do futerału. Musi w niej coś być, jakieś użyteczne wskazówki, homeopatyczny lek do zażywania w

przypadku ostrego ataku diablicznego.

Nadeszła pora, by odejść, zwiąć się, zanim spotka kogoś innego — ale u stóp schodów poczuł w ustach tak wielką suchość, że przelknięcie sprawiało mu ból. Skręcił do kuchni i napił się wody z kranu. Nabral jej w złożone ręce i ochlapał twarz, a potem oparł się o zlewozmywak i otrząsnął jak pies. Otarł twarz ścierką do naczyń, z przyjemnością czując jej szorstkość na rozdrażnionej, zlodowaciałej skórze. W końcu rzucił ścierkę, odwrócił się i zobaczył brata.

ROZDZIAŁ 10

Terry opierał się o ścianę tuż koło wahadłowych drzwi. Nie wyglądał dobrze. Zarośnięty, z zapuchniętymi oczami, może z powodu alergii. Był uczulony na wszystko — pyłki, masło orzechowe, raz omal nie umarł od użądlenia pszczoły. Czarna jedwabna koszula i tweedowe spodnie zwisały na nim, jakby sporo schudł.

Przyglądali się sobie. Nie przebywali w tym samym pomieszczeniu od weekendu, gdy zginęła Merrin. Wtedy Terry wcale nie wyglądał lepiej, oniemiały z rozpaczy po niej i żalu nad Igiem. Wkrótce potem wyjechał na Zachodnie Wybrzeże — rzekomo na próby, choć Ig przypuszczał, że został wezwany w trybie pilnym na zebranie z radą nadzorczą stacji telewizyjnej w sprawie ratowania sytuacji — i do tej pory nie wrócił, zresztą nic dziwnego. Terry i przed morderstwem nie przepadał za Gideon.

— Nie wiedziałem, że tu jesteś — powiedział Terry. — Nie słyszałem, jak wszedłeś. Zapuściłeś sobie rogi pod moją nieobecność?

— Chciałem coś zmienić. Podobają ci się?

Brat pokręcił głową.

— Chcę ci coś powiedzieć — dodał, a jego jabłko Adama poruszyło się gwałtownie w górę i dół.

— Nie żałuj sobie.

— Chcę, ale nie chcę. Boję się.

— Śmiało, gadaj. To pewnie nic takiego. Cokolwiek byś powiedział, raczej mnie to nie ruszy. Mama powiedziała mi przed chwilą, że nie chce mnie nigdy więcej widzieć. A tata, że chciałby, żebym zgnił w pudle.

— Nie.

— Tak.

— O rany, Ig... — W oczach Terry'ego pojawiły się łzy. — Fatalnie się czuję z tym wszystkim. Z tym, co się z tobą dzieje. Wiem, jak ją kochałeś. Ja też ją kochałem. Merrin. Niesamowita była.

Ig skinął głową.

— Chcę ci powiedzieć... — zaczął Terry zdławionym głosem.

— Śmiało — zachęcił go łagodnie Ig.

— ...że ja jej nie zabiłem.

Ig patrzył na niego w osłupieniu. W piersi zaczęło mu się rozlewać dziwne mrowienie. Myśl, że Terry mógłby zgwałcić i zamordować Merrin, nigdy nie przyszła mu do głowy, była niemożliwa.

— Pewnie że nie.

— Kochałem was i chciałem, żebyście byli ze sobą szczęśliwi. Nigdy bym jej nie skrzywdził.

— Wiem.

— I gdybym podejrzewał, że Lee Tourneau ją zabije, starałbym się mu przeszkodzić. Myślałem, że Lee to jej przyjaciel. Bardzo chciałem ci o tym powiedzieć, ale Lee zmusił mnie do milczenia. Zmusił!

— Iiiiiiiii!!! — zawył Ig.

— On jest straszny. Nie znasz go. Myślisz, że znasz, ale naprawdę nie masz pojęcia, jaki jest.

— Iiiiiiiii!!! — wył dalej Ig.

— Lee załatwił ciebie i mnie, a ja od tej pory żyję w piekle.

Ig rzucił się korytarzem, popędził przez ciemność do drzwi wyjściowych, odepchnął siatkowy ekran, zachwiał się, porażony nagłym, oślepiającym blaskiem dnia, w oczach stanęły mu łzy, pośliznął się na schodkach, upadł na podwórko. Dźwignął się, zdyszany. Upuścił futerał po trąbce — nawet się nie zorientował, że nadal go trzyma — i podniósł go z trawy.

Ruszył przed siebie na oślep. Kąciki oczu miał mokre i wydawało mu się, że płacze, ale kiedy dotknął twarzy, na palcach została mu krew. Uniósł ręce do rogów. Ich czubki przebiły skórę i

krew spływała mu po policzkach. Uświadomił sobie, że jego rogi pulsują miarowo i choć go bolały, czuł także w skroniach coś w rodzaju nerwowego dreszczu, uczucie rozładowania całkiem podobne do orgazmu. Szedł przed siebie chwiejnie, a z jego ust popłynął strumień przekleństw. Wściekało go, że tak trudno mu oddychać, wściekała go lepka krew na policzkach i dłoniach, zbyt intensywnie niebieskie niebo, własny zapach, wściekał się, wściekał, wściekał.

Zagubiony we własnych myślach nie zauważył fotela Very, dopóki prawie się z nim nie zderzył. Stanął gwałtownie. Babka znowu przysnęła i cicho pochrapywała. Uśmiechała się do jakiejś przyjemnej myśli, a na widok spokoju i szczęścia na jej twarzy żołądek skręcił mu się z wściekłości. Ig stopą uniósł hamulec jej fotela i pchnął go lekko.

— Suka — mruknął, gdy fotel potoczył się po zboczu.

Vera uniosła głowę, opuściła, znowu ją podniosła. Fotel sunął po zielonej, wypiełgnowanej trawie, jedno koło najechało na kamień, zadrżało, a Ig pomyślał, że kiedy miał piętnaście lat, pewnego dnia zjechał wózkiem z supermarketu po trasie Evela Knievela. Właściwie to był punkt zwrotny jego życia. Czy wtedy rozwinął taką prędkość? To było coś: ten fotel nabierał prędkości jak ludzkie życie, bo ludzkie życie jest jak pocisk wycelowany w

jeden ostateczny punkt, nie może zwolnić ani zawrócić, nie wie, w co uderzy, nie wie nic, tylko pędzi. Vera rozwinęła chyba z siedemdziesiąt na godzinę, kiedy zderzyła się z ogrodzeniem na dole.

Ig ruszył ku swojemu samochodowi. Znowu oddychał swobodnie, ucisk w piersi zniknął równie szybko, jak się pojawił. W powietrzu pachniało świeżą trawą, rozgrzaną na słońcu, i zielonym miąższem liści. Ig nie wiedział, dokąd teraz pojedzie, wiedział tylko, że rusza. W trawie za nim pełzł wąż pończosznik, czarno-zielony, połyskujący jakby wilgocią. Po chwili dołączył do niego drugi i trzeci. Ig nie zwrócił na to uwagi.

Siadając za kierownicą gremlina, zaczął pogwizdywać. Dzień był naprawdę piękny.

WIŚNIA

ROZDZIAŁ 11

Wysyłała mu wiadomość.

W pierwszej chwili nie wiedział, że to ona, nie miał pojęcia, kto to robi. Nie rozumiał nawet, że to wiadomość. Zaczęło się jakieś dziesięć minut po rozpoczęciu nabożeństwa: widziany kątem oka rozbłysk złotego światła, tak jasnego, że aż drgnął. Potarł oko, usiłując usunąć świetlistą plamę, która unosiła się teraz przed nim. Mniej więcej pozbył się problemu i rozejrzał się, szukając źródła światła, ale go nie znalazł.

Dziewczyna siedziała po drugiej stronie przejścia, jedną ławkę przed nim. Miała na sobie białą letnią sukienkę i nigdy wcześniej jej nie widział. Jego spojrzenie nieustannie do niej uciekało. Nie podejrzewał jej o jakiś związek z tym błyskiem, ale po tamtej stronie ławek nie było ładniejszego widoku. Nie tylko on tak uważał. Chudy chłopak z włosami jak jedwabiste włókna kukurydzy, tak jasnymi, że wydawały się prawie białe, siedział tuż za nią i czasami pochylał się, jakby po to, żeby zerknąć jej przez ramię w dekolt. Iggy widział tę dziewczynę po raz pierwszy, ale chłopca mgliście przypominał sobie ze szkoły, choć pewnie był o rok od niego starszy.

Ignatius Martin Perrish szukał na próżno zegarka czy bransoletki, w której mogło się odbić światło rażące go w oko. Przyglądał się ludziom w okularach w metalowych oprawkach, kobietom z kolczykami dyndającymi w uszach, lecz ciągle nie mógł znaleźć przyczyny tych niepokojących błysków. Ale na ogół spoglądał na dziewczynę o rudych włosach i odsłoniętych białych ramionach.

Ta biel ramion sprawiała, że wydawały się bardziej nagie niż ręce innych kobiet w kościele. Wiele rudych ma piegi, ale ta wyglądała, jakby ją wyrzeźbiono w mydle.

Kiedy porzucił poszukiwanie źródła światła i spoglądał przed siebie, złoty rozbłysk powracał, oślepiająca flara. To go doprowadzało do szaleństwa. Jakby natrętny świetlik unosił się przy jego twarzy. Raz nawet machnął ręką, usiłując go odpędzić.

Wtedy się zdradziła, prychnęła mimowolnie, dygocząc z wysiłku, by się nie rozeźmiać. Potem na niego spojrzała — powoli, z ukosa, zadowolona z siebie i rozbawiona. Wiedziała, że została przyłapana i że nie ma sensu dłużej udawać. Ig też to wiedział — że chciała zostać złapana, że zamierzała nie przestawać, dopóki on się nie zorientuje. Ta myśl trochę wzburzyła mu krew. Dziewczyna była bardzo ładna, mniej więcej w jego wieku, włosy miała splecione w jedwabisty warkocz koloru wiśni. Dotykała

delikatnego złotego krzyżyka na szyi, obracała go lekko, by załśnił w słońcu, stał się płomieniem w kształcie krzyża. Powtórzyła ten gest powoli, jakby się przyznawała, i znowu odwróciła krzyżyk.

Ig nie mógł już skupić uwagi na tym, co mówił ojciec Mould. Nade wszystko chciał, żeby znowu na niego zerknęła, i przez długi czas tego nie robiła, jakby się z nim słodko drocząc. Ale potem rzuciła mu kolejne nieśmiałe, przeciągłe spojrzenie, prosto na niego. Błysnęła mu w oczy krzyżykiem — dwa razy długo, krótko, długo, długo, długo. Minęła chwila i wysłała inną sekwencję. Nie spuszczała z niego oczu, migocząc krzyżykiem — z uśmiechem, ale sennym, jakby zapomniała, dlaczego się uśmiecha. Skupienie jej wzroku sugerowało, że zmusza go, by coś zrozumiał, że to, co robi z krzyżykiem, ma znaczenie.

— To chyba alfabet Morse’a — odezwał się ojciec Iga kątem ust, jak więzień na spacerunku.

Ig drgnął nerwowo. Na parę chwil kościół Świętego Serca Maryi stał się telewizyjnym programem szemrzącym w tle, z niemal niedosłyszalnym dźwiękiem. Ale kiedy ojciec się odezwał, Ig ocknął się i powrócił do rzeczywistości. Zauważył z niepokojem, że penis lekko mu zesztyniał i leży rozpalony na jego udzie. Należało go skłonić, żeby oklapł, to było ważne. Lada chwila

wstaną do ostatniego hymnu i wszyscy zobaczą wybrzuszenie w jego kroku.

— Co? — szepnął.

— Sygnalizuje „Przestań się gapić na moje nogi” — wymamrotał Derrick Perrish półgębkiem, znowu jak cwaniaczek z filmu. — „Bo podbiję ci oko”.

Ig wydał śmieszny dźwięk, usiłując odkaszlnąć.

Terry też się już zainteresował. Ig siedział na końcu rzędu, po jego prawej stronie znajdował się ojciec, potem matka i Terry, więc starszy brat musiał wyciągnąć szyję, żeby zobaczyć dziewczynę. Oceniał jej walory — znowu patrzyła przed siebie — i szepnął głośno:

— Jesteś bez szans, Ig.

Lydia palnęła go psalterzem w potylicę.

— Mamo, cholera — odezwał się Terry, a wtedy znowu go uderzyła.

— Tu nie wolno tak mówić — szepnęła.

— Dlaczego nie bijesz Iga? — odszepnął. — To on się gapi na rudą. Grzeszy myślą. Chucią. Tylko spójrz. To widać. Patrz, jakie ma pożądane spojrzenie.

— Pożądliwe — poprawił Derrick.

Matka spojrzała na Iga, którego policzki zapłonęły. Potem przeniosła spojrzenie na dziewczynę, która nie zwracała na nich uwagi, udając zainteresowanie kazaniem. Po chwili Lydia prychnęła i odwróciła się do ołtarza.

— Nie szkodzi — oznajmiła. — Już się zaczęłam zastanawiać, czy Ig nie jest gejem.

Potem nadeszła pora śpiewu, więc wszyscy wstali, a Ig znowu spojrzał na dziewczynę. Gdy się podniosła z miejsca, dosięgła promienia słońca i w jej lśniących rudych włosach zapłonęła ognista korona. Dziewczyna odwróciła się i raz jeszcze obejrzała na niego. Otworzyła usta, lecz nagle krzyknęła. Miała znowu błysnąć krzyżykiem, kiedy złoty łańcuszek rozpiął się i zsunął w jej dłoń.

Ig patrzył, jak dziewczyna pochyła głowę, usiłując zapiąć naszyjnik. Potem wydarzyło się coś niefortunnego. Ten przystojny jasnowłosy chłopak w rzędzie za nią pochylił się i zrobił płochliwy, niezdarny gest ku jej karkowi, do łańcuszka. Wzdrygnęła się i odsunęła, rzuciła mu zaskoczone, niezbyt przychylnie spojrzenie.

Blondyn nie zarumienił się ani nie zawstydził. Wyglądał nie jak chłopiec, ale klasyczny posąg, surowy, nienaturalnie spokojny, o nieco grubych rysach młodego Cezara, kogoś, kto jednym ruchem skierowanego w dół kciuka mógł rzucić gromadę

zakrwawionych chrześcijan lwom. Wiele lat później taką fryzurę — krótką, prawie białą czapeczkę spopularyzował Marshall Mathers, ale w tamtych czasach wyglądała sportowo i zwyczajnie. Chłopak nosił krawat, co oznaczało klasę. Powiedział coś do dziewczyny, ale pokręciła głową. Jej ojciec pochylił się, uśmiechnął do chłopca i sam zajął się łańcuszkiem.

Ig odetchnął. Cezar popełnił taktyczny błąd, dotykając jej, kiedy się tego nie spodziewała, rozdrażnił ją, zamiast oczarować. Ojciec dziewczyny przez jakiś czas mozolił się nad łańcuszkiem, w końcu roześmiał się i machnął ręką, bo usterka nie dawała się naprawić. Dziewczyna także się roześmiała, wzięła od niego krzyżyk. Jej matka spojrzała ostro na nich i dziewczyna z ojcem podjęli śpiew.

Nabożeństwo się skończyło i gwar rozmów wezbrał jak woda wypełniająca wannę, a kościół stanowił zbiornik szczególnych rozmiarów. Jego naturalną ciszę szybko zastąpił hałas. Ig zawsze był najlepszy z matematyki i odruchowo myślał w kategoriach objętości, rozmiarów, stałych, a nade wszystko — wartości bezwzględnych. Później okazało się, że jest także dobry w logice i etyce, lecz zawdzięczał to chyba tylko zdolności do obliczania równań i zamiłowaniu do pięknej gry liczb.

Chciał porozmawiać z rudą dziewczyną, ale nie wiedział, co jej powiedzieć, i po chwili szansa minęła. Dziewczyna wyszła z ławki, rzucając mu spojrzenie, nagle nieśmiałe, lecz z uśmiechem. Potem młody Cezar znalazł się obok niej, górując nad nią i coś mówiąc. Jej ojciec znowu interweniował, ponaglił ją i wcisnął się między nią i młodego Cezara. Uśmiechnął się do niego miło, życzliwie — ale rozmawiając z nim, prowadził córkę przed sobą, coraz bardziej zwiększając odległość między nią, a chłopcem o spokojnej, rozsądnej, szlachetnej twarzy. Cezar jakoś się nie przejął i nie starał się znowu jej zagadnąć. Skinął wyrozumiale głową i nawet się odsunął, by matka dziewczyny i jakieś starsze panie — ciotki? — mogły przejść obok.

Skoro ojciec szedł tuż obok dziewczyny, nie było szans na rozmowę z nią. Ig odprowadził ją wzrokiem, modląc się w duchu, żeby obejrzała się i pomachała do niego, ale tego nie zrobiła, no oczywiście. Zresztą w przejściu między ławkami tłoczyli się wychodzący ludzie. Ojciec położył rękę na ramieniu Iga i powiedział, że zaczekają, aż się rozluźni. Ig spojrzał na przechodzącego obok młodego Cezara. I jemu towarzyszył ojciec, mężczyzna z gęstymi jasnymi wąsami, łączącymi się z bokobrodami, co nadawało mu wygląd czarnego charakteru z

westernu z Clintem Eastwoodem, kogoś stojącego po lewej stronie Van Cleefa i padającego od pierwszej salwy w finalnej bitwie.

Wreszcie w przejściu zrobiło się mniej tłoczno. Ojciec Iga zdjął ramię z jego ramienia, co oznaczało, że mogą ruszać. Ig wyszedł z ławki i puścił rodziców przodem, jak miał w zwyczaju, by sam mógł iść z Terrym. Spojrzał tęsknie na ławkę dziewczyny, a wtedy oko poraził mu rozbłysk złotego światła, jakby znowu się zaczynało. Wzdrygnął się, zamknął oko i ruszył w stronę ławki.

Dziewczyna zostawiła swój mały złoty krzyżyk, spoczywał w kwadracie światła na kopczyku złotego łańcuszka. Może o nim zapomniała, ponaglana przez ojca, który odciągał ją od jasnowłosego chłopca. Ig wziął krzyżyk, spodziewając się poczuć jego chłód. Ale był gorący, przyjemnie gorący, jak pieniążek leżący przez cały dzień na słońcu.

— Iggy! — zawołała matka. — Idziesz?

Zacisnął palce na naszyjniku, odwrócił się i szybko ruszył przed siebie. Musiał ją dogonić. Dała mu szansę, mógł ją zadziwić, stać się znalazcą zagubionych rzeczy, spostrzegawczym i uprzejmym. Ale kiedy dotarł na zewnątrz, dziewczyna znikła. Dostrzegł ją za szybą wyłożonego drewnem samochodu, obok jednej z ciotek. Jej rodzice zajmowali miejsca z przodu. Samochód właśnie ruszał.

No tak. Ale nie szkodzi. Przyjdzie następna niedziela, a wtedy Ig odda naprawiony łańcuszek. I dokładnie wiedział, co powiedzieć, gdy się przedstawi.

ROZDZIAŁ 12

Trzy dni przed pierwszym spotkaniem Iga i Merrin o pierwszej w nocy ogłuszająca detonacja obudziła mieszkającego po północnej stronie Pool Pond emerytowanego wojskowego Seana Phillipsa. Przez chwilę otępiały, myślał, że znowu jest na USS „Eisenhower” i że ktoś właśnie wystrzelił raketę RAM. Potem dobiegł go pisk opon i śmiech. Wstał z podłogi — spadł z łóżka i stłukł sobie biodro — odsunął zasłonę i zobaczył oddalającego się gruchota road runnera. Jego strącona ze słupka skrzynka pocztowa, wgnieciona i dymiąca, leżała na żwirze. Było w niej mnóstwo otworów, jakby ktoś przeciągnął po niej serią.

Nazajutrz po południu miała miejsce kolejna eksplozja, tym razem w śmietniku za Woolworthem. Bomba wybuchła z potężnym grzmotem i wyrzuciła w powietrze dziesięciometrową fontannę płonących śmieci, które spadały niczym ognisty grad i uszkodziły kilka zaparkowanych obok samochodów.

W niedzielę, gdy nieznajoma dziewczynka w Świętym Sercu obudziła w Igu miłość — a przynajmniej pożądanie — w Gideon rozległ się kolejny wybuch. Petarda o mocy równej mniej więcej jednej czwartej laski trotylu wybuchła w toalecie McDonalda na

Harper Street. Zerwała deskę, rozwaliała muszlę, roztrzaskała rezerwuar, zalała podłogę i wypełniła pomieszczenie tłustym czarnym dymem. Wszystkich ewakuowano z budynku, dopóki inspektor nie orzekł, że można do niego znowu wejść. O incydencie tym wspomniano na pierwszej stronie poniedziałkowej „Kroniki Gideon” w artykule kończącym się prośbą inspektora, by podpalacz zaprzestał wybryków, zanim ktoś straci palce albo oko.

Od wielu tygodni miasto nękały wybuchy. Zaczęło się parę dni przed czwartym lipca i ciągnęło długo potem z coraz większą częstotliwością. Terrence Perrish i jego przyjaciel Eric Hannity tym razem nie byli pierwszymi podejrzanymi. Nigdy nie zniszczyli niczyjej własności z wyjątkiem własnej, a byli za młodzi, żeby jeździć kradzionym samochodem o pierwszej w nocy i rozbijać cudze skrzynki pocztowe.

A jednak.

A jednak Eric i Terry byli na plaży w Seabrook, kiedy kuzyn Erica, Jeremy Rigg, wszedł do magazynu fajerwerków, z którego wyniósł pudełko z czterdziestoma ośmioma starymi petardami, rzekomo wyprodukowanymi w dawnych czasach, zanim sprzedaż materiałów wybuchowych o takiej mocy została prawnie zakazana. Jeremy dał sześć Ericowi jako spóźniony prezent urodzinowy, jak powiedział, choć tak naprawdę mogła nim

kierować litość. Ojciec Erica stracił pracę ponad rok temu i był człowiekiem chorowitym.

Możliwe, że Jeremy Rigg stanowił punkt zerowy w środku epidemii wybuchów i że wszystkie bomby, które eksplodowały tego lata, miały z nim jakiś związek. A może Rigg kupił je tylko dlatego, że kupowali je inni chłopcy. Może istniało wiele ognisk zapalnych. Ig nigdy się tego nie dowiedział, a zresztą to nie miało znaczenia. To tak jakby się zastanawiać, skąd wzięło się na świecie zło albo co się dzieje z człowiekiem po śmierci: interesujące ćwiczenie filozoficzne, lecz osobliwie bezsensowne, ponieważ zło i śmierć istnieją niezależnie od przyczyn, powodów i ich znaczenia. Liczyło się tylko to, że w pierwszych dniach sierpnia Eric i Terry dostali szału na punkcie wybuchów, jak wszyscy inni nastoletni chłopcy w Gideon.

Bomby nazywano Wiśniami Ewy — czerwone kulki wielkości rajskich jabłuszek, szorstkie jak cegły, z wyciśniętą na boku sylwetką niemal zupełnie nagiej kobiety. Była to ślicznotka o sterczących piersiach i zupełnie nieprawdopodobnych proporcjach: piersi jak piłki plażowe i talia osy, węższa od ud. Dla zachowania pozorów przyzwoitości jej krocze zasłaniało coś w rodzaju liścia klonowego, z czego Eric Hannity wywnioskował, że to fanka

Klonowych Liści z Toronto, a zatem kanadyjska puszczańska, która aż się prosi, żeby jej wymiętosić te cyce.

Po raz pierwszy Eric i Terry odpalili petardę w garażu Erica. Wrzucili ją w kubek na śmieci i zwiali. Eksplozja przewróciła kubek, cisnęła go przez betonową podłogę, a pokrywkę podrzuciła pod belki. Pokrywka spadła, dymiąc, zgięta, jakby ktoś ją złożył. Iga przy tym nie było, ale Terry mu wszystko opowiedział i dodał, że potem w uszach tak im dzwoniło, że nie słyszeli swoich wrzasków. Następnie zniszczeniu uległy: lalka Barbie naturalnej wielkości, stara opona, którą stoczyli ze zbocza z przyklejoną w środku petardą, oraz arbuza. Iga nie uczestniczył w żadnej z tych detonacji, ale brat zawsze go szczegółowo informował o wszystkim. Na przykład, że z Barbie nie zostało nic oprócz osmalonej stopy, która spadła z nieba, wylądowała z łoskotem na asfaltowym podjeździe Erica i podskoczyła parę razy, jakby stepowała, oraz że smród spalonej opony przyprawił wszystkich obecnych o zawroty głowy i mdłości, jak również że Eric Hannity stał zbyt blisko arbuza i w rezultacie po wybuchu musiał wziąć prysznic. Te opisy oszałamiały i dręczyły Iga, który w połowie sierpnia płonął pragnieniem zobaczenia, jak coś wylatuje w powietrze.

Dlatego gdy wszedł rankiem do spiżarki i zobaczył, że Terry usiłuje wcisnąć do szkolnego plecaka piętnastokilowego

mrożonego indyka, od razu wiedział, na co mu on. Nie prosił, żeby brat go ze sobą zabrał, nie szantażował go „Pozwól mi iść, bo powiem mamie”. Po prostu patrzył, jak Terry szarpie się z plecakiem, a kiedy stało się jasne, że indyk się nie zmieści, powiedział, że ma pomysł. Przyniósł swoją wiatrówkę z przedpokoju, zawinęli w nią indyka i każdy wziął jeden rękaw. Zawiniątko nieśli wspólnie. W ten sposób Ig dołączył do wyprawy.

Paczka z wiatrówki wytrzymała do skraju lasu pod miastem, a potem, niedługo po wejściu na prowadzącą do starej odlewni ścieżkę, Ig zauważył wózek z supermarketu, do połowy zanurzony w trzęsawisku na poboczu. Jego przednie prawe kółko telepało się wściekle, a rdza sypała się z wózka jak śnieg, ale wszystko było lepsze od dygowania indyka przez trzy kilometry. Terry kazał Igowi pchać.

Stara odlewnia wyglądała jak rozłożysta średniowieczna warownia z ciemnych cegieł, z wielkim krętym kominem na jednym końcu i ścianami podziurawionymi jak ser szwajcarski otworami po oknach. Otaczał ją wielki dawny parking z tak bardzo spękaną makadamową nawierzchnią, że prawie przestała istnieć. Z jej szczelin sterczały wielkie kępy trawy. Tego dnia było tam gwarno, dzieci jeździły w ruinach na deskorolkach, w kubie na śmieci palił się ogień. Grupa zaniedbanych nastolatków —

dwóch chłopców i niechlujna dziewczyna — stała wokół ognia. Jeden chłopak trzymał patyk z czymś w rodzaju zdeformowanej kiełbaski, poczerniałej i skręconej, wydzielającej słodki błękitny dym.

— E, patrzcie — odezwała się dziewczyna, tęga blondyna z trądzikiem i w dzinsach biodrówkach. Ig ją znał, chodziła z nim do klasy. Glenna. — Kolację podano.

— Jak, kurwa, w Święto Dziękczynienia — powiedział chłopiec w koszulce z napisem AUTOSTRADA DO PIEKŁA. Wskazał szerokim gestem ogień w kubie. — Dawaj kuraka do pieca.

Ig, który miał tylko piętnaście lat i ci obcy starsi chłopcy go onieśmielali, nie mógł się odezwać. Tchawica mu się zacisnęła, jakby już się zaczął atak astmy. Ale Terry był wyluzowany. Dwa lata starszy, posiadacz prawa jazdy, już miał pewien łobuzerski wdzięk i showmańską gotowość do zabawiania widowni. Zawsze mówił w imieniu ich obu. Na tym polegała jego rola.

— Kolacja gotowa — powiedział, wskazując głową to coś na patyku. — Twój hot dog się zwęglił.

— To nie hot dog! — pisnęła dziewczyna. — Tylko kupa! Gary piecze psie gównno!

Zgięła się wpół ze śmiechu. Dzinsy miała stare i znoszone, za miała bluzka wyglądała jak towar z przeceny z supermarketu, ale

przykrywała ją ładna czarna skórzana kurtka z wciętą talią. Nie pasowała do reszty ubrań ani do pogody i Ig w pierwszej chwili pomyślał, że dziewczyna ją ukradła.

— Chcesz gryza? — spytał chłopak w koszulce AUTOSTRADA DO PIEKŁA. Wyjął kij z ognia i podsunął go Terry’emu. — Chrupiące.

— Weź się odwal — odparł Terry. — Jestem prawiczkiem, gram na trąbce w orkiestrze dętej i mam małego fiutka. Moje życie i tak jest gówniane.

Oberwańcy wybuchnęli śmiechem, nie tyle z powodu tego, co usłyszeli, ile kto to powiedział — smukły, przystojny chłopak z zawiązaną na głowie spłowiała bandaną w barwach amerykańskiej flagi, ujarzmiającą jego rozwichrzone czarne włosy — i jak to powiedział — radosnym tonem, jakby poniżał wszystkich z wyjątkiem siebie. Terry traktował żarty jak chwyt judo, odbijał nimi energię innych, a jeśli nie mógł znaleźć innego celu swoich dowcipów, chętnie brał na muszkę siebie. Ta umiejętność doskonale przysłużyła mu się później, gdy w programie „Hothouse” poprosił Clint Eastwooda, żeby go walnął w twarz i złożył autograf na jego złamanym nosie.

Autostrada do Piekła spojrział nad ramieniem Terry’ego na idiotę stojącego na szczycie trasy Evela Knievela.

— E, Tourneau! Twój obiad gotowy.

Znowu śmiech — choć ta dziewczyna, Glenna, zrobiła się nagle nieswoja. Chłopiec na szczycie stoku nawet na nich nie spojrzał. Stał, patrząc w dół zbocza i ściskając pod pachą wielką górską deskę.

— Zjeźdzasz?! — ryknął Autostrada do Piekła, gdy nie doczekał się odpowiedzi. — Czy mam ci usmażyć także jaja?

— Jedź, Lee! — krzyknęła dziewczyna, unosząc pięść w geście zachęty. — Dawaj!

Chłopiec na szczycie stoku rzucił jej przelotne, pogardliwe spojrzenie i w tej chwili Ig go rozpoznał, zrozumiał, że to ten z kościoła, młody Cezar. Wtedy miał krawat i teraz też, a także koszulę z krótkimi rękawami, szorty khaki i conversy do kostek, włożone na gołe nogi. Już sam fakt posiadania tej deski dodał jego ubraniu alternatywnego charakteru, krawat nabrał ironicznej wymowy, jak u wokalisty kapeli punkowej.

— Nie zjedzie — odezwał się drugi chłopiec, ten z długimi włosami. — Glenna, Jezu, to większa cipa niż ty.

— Wal się — burknęła. Dla zgrai zebranej wokół kubła wyraz bólu na jej twarzy był najśmieszniejszym widokiem świata. Autostrada do Piekła zarykiwał się tak bardzo, że patyk z psim gównem wpadł mu w płomienie.

Terry lekko klepnął Iga w ramię i poszli dalej. Ig nie żałował, że odchodzą. W tej bandzie było coś niemal nieznośnie smutnego. Nie mieli nic do roboty. To straszne, że tak wyglądało podsumowanie ich letniego popołudnia — spalone gówno i urażone uczucia.

Podeszli do smukłego blondyna — Lee Tourneau — znowu zwalniając u szczytu trasy Evela Kniewela. Zbiegała stromo ku rzece; ciemnoniebieska migotliwość, połyskująca zza czarnych pni sosen. Kiedyś był to gościniec, choć trudno było sobie wyobrazić, żeby samochody jeździły po tym urwistym, spękany trawie, przerażającym, idealnym miejscu do dachowania. Z ziemi wyłaniały się grzbiety dwóch zardzewiałych, zakopanych do połowy rur, między nimi biegła wygładzona, ubita ścieżka, wypolerowana do połysku przez koła tysięcy rowerów górskich i dziesiątek tysięcy bosych stóp. Babka Vera mówiła Igowi, że w latach trzydziestych i czterdziestych, kiedy ludzie nie przejmowali się tym, co wpuszczali do rzeki, tymi rurami wlewano do wody nieczystości z odlewni. Wyglądały niemal jak tory, brakowało tylko wagoników kolejki górskiej. Ziemia po obu stronach rur była spieczona, naszpikowana kamieniami i śmieciami. Ubita dróżka między rurami stanowiła najłatwiejszą drogę na dół. Ig i Terry zwolnili, czekając, aż Lee Tourneau zjedzie.

Ale on nie zjechał. Wcale. Położył deskę na ziemi — miała namalowaną kobrę i wielkie, grube, masywne koła — i przetaczał ją w tę i we w tę stopą, jakby sprawdzał, czy dobrze jeździ. Przykucnął, podniósł ją i udał, że ogląda koło.

Nie tylko oberwańcy mu dokuczali. U stóp zbocza stał Eric Hannity ze zbieraniną innych chłopców. Gapili się w górę i od czasu do czasu wyrzaskiwali kpiny. Ktoś krzyknął, żeby Lee brał dupę w troki i zjeżdżał. Glenna znowu zawołała: „Jazda, kowboju!”. Przez jej ordynarny ton przebijała desperacja.

— Krótko mówiąc, jest tak — odezwał się Terry do Lee Tourneau. — Możesz przeżyć resztę swoich dni jako kaleka albo cienias.

— Co to znaczy? — spytał Lee.

Terry westchnął.

— To znaczy: zjedziesz?

Ig, który wiele razy zjechał tą trasą na górskim rowerze, powiedział:

— To nic takiego. Nie bój się. Ścieżka między rurami jest bardzo gładka i...

— Nie boję się — warknął Lee, jakby Ig go oskarżył.

— To jedź — powiedział Terry.

— Kółko mi się zacina.

Terry parsknął śmiechem. Złośliwym.

— Chodź, Ig.

Ig minął wózkiem Lee, zjeżdżając w wykop między rurami. Lee spojrzał na indyka i uniósł brwi w pytaniu, którego nie zadał.

— Wysadzimy go — wyjaśnił Ig. — Przyjdź popatrzeć.

— Wózek ma siedzenie dla dzieci — dodał Terry — jeśli chciałbyś zjechać.

To było wredne i Ig zrobił współczującą minę, ale Lee miał twarz nieprzeniknioną jak Spock na mostku „Enterprise”. Usunął się w bok, tuląc deskę do piersi.

Chłopcy na dole czekali na nich. Były też dwie dziewczyny, starsze, może nawet z college’u. Nie przyszły tu z chłopcami; opalały się na Coffin Rock w górze od bikini i wyciętych szortach.

Coffin Rock znajdowała się jakieś dwanaście metrów od brzegu Knowles — szeroka biała skała, jarząca się w słońcu. Kajaki dziewczyn spoczywały na małej piaszczystej łasze w górze rzeki. Widok tych rozciągniętych na kamieniu dziewczyn sprawił, że Ig pokochał świat. Dwie brunetki — może siostry — o opalonych, jędrnych ciałach i taaakich nogach, usiadły i rozmawiały ze sobą po cichu, spoglądając na chłopców. Nawet odwróciwszy się do nich plecami, Ig nadal czuł ich obecność, jakby to one, nie słońce, stanowiły główne źródło światła padającego na brzeg.

Kilkunastu chłopców czekało na przedstawienie. Siedzieli obojętnie w zwisających nad wodą gałęziach drzewa albo na rowerach górskich i gładach, a wszyscy usiłowali mieć luzacko nieszczęśliwe miny. Był to kolejny efekt uboczny obecności dziewczyn na skale. Każdy chłopak starał się wyglądać doroślej od pozostałych, zbyt dorośle, żeby tu w ogóle być. Jeśli przy okazji udało się im zasugerować kwaśną miną i wyniosłą pozą, że znaleźli się w tych okolicach tylko dlatego, że musieli opiekować się młodszym bratem — tym lepiej.

Terry — który naprawdę opiekował się młodszym bratem — miał prawo być wesóły. Wydzwignął mrożonego indyka z wózka i poszedł z nim do Erica Hannity'ego, który wstał z kamienia, otrzepując siedzenie spodni.

— Usmażymy dziada! — zawołał Hannity.

— Ja zamawiam nóżkę — powiedział Terry i paru chłopców roześmiało się wbrew sobie.

Eric Hannity był rówieśnikiem Terry'ego — ordynarny, hałaśliwy dzikus o niewyparzonym jęzorze i rękach stworzonych do łapania piłki, zarzucania wędki, reperowania motoru i klepania po tyłku. Eric Hannity był superbohaterem. W dodatku jego ojciec był dawnym żołnierzem, którzy otrzymał prawdziwą ranę, choć nie na polu walki, tylko w efekcie wypadku w barakach

— inny żołnierz trzeciego dnia służby upuścił naładowany pistolet i pocisk trafił Breta Hannity'ego w brzuch. Ojciec Erica handlował teraz kartami baseballowymi, lecz Ig nabrał podejrzeń, że jego prawdziwym zajęciem jest walka z towarzystwem ubezpieczeniowym o ugodę na sto tysięcy dolarów, które miały rzekomo zostać wypłacone lada chwila, choć na razie do tego nie doszło.

Eric i Terry zawlekli mrożonego indyka do starego pnia z wygniłą, wilgotną dziurą w środku. Eric stopą wgniół w nią indyka. Ledwie się zmieścił, tłuszcz i skóra sfałdowały się po bokach. Dwie nogi, różowe kości otulone surowym mięsem, zetknęły się ze sobą, a dziura do faszerowania stuliła się jak biały pączek.

Eric wyjął z kieszeni dwie ostatnie petardy. Jedną odłożył. Nie zwrócił uwagi na chłopca, który ją wziął, a także innych, którzy zebrali się wokół, zapatrzeni i pomrukujący z podziwem. Ig podejrzewał, że Eric zabrał tę dodatkową petardę, by sprowokować dokładnie taką reakcję. Terry ujął pozostały ładunek i wcisnął go w indyka. Piętnastocentymetrowy lont wystawał obscenicznie z tego wydętego pączka w kuprze.

— Lepiej się wszyscy schowajcie — oznajmił Eric — bo będziecie cali w indyku. E, ty, oddawaj. Jeśli któryś spróbuje

odejść z moją ostatnią petardą, nie tylko ten kurak skończy z ładunkiem w dupie.

Chłopcy rozbiegli się, przykucnęli za nabrzeżem i za pniami drzew. Choć starali się udawać niezainteresowanych, powietrze niemal trzaskało od nerwowego wyczekiwania. Dziewczyny na skale także się zainteresowały. Widziały, że coś się kroi. Jedna uniosła się na kolana i osłoniła oczy dłonią, patrząc na Terry'ego i Erica. Ig pożałował, że nie ma jakiegoś powodu, by spojrzeć na niego.

Eric postawił stopę na krawędzi pnia i wyjął zapalniczkę, którą zapalił z trzaskiem. Lont sypnął iskrami. Eric i Terry zostali jeszcze przez chwilę, spoglądając w zamyśleniu w dół, jakby powątpiewali, czy dojdzie do wybuchu. Potem zaczęli się wycofywać, ale bez pośpiechu. Była to pięknie odegrana scena, doskonale wyreżyserowana demonstracja luzu. Eric powiedział wszystkim, by się ukryli, a oni usłuchali. Dzięki temu wydawało się, że Eric i Terry, którzy zostali, żeby zapalić bombę, a potem odeszli od niej powoli i niespiesznie, mają nerwy z żelaza. Lont skwierczał przez jakieś trzy sekundy, po czym przestał. I nic się nie stało.

— Cholera — odezwał się Terry. — Może zamókł. Zrobił krok w stronę pnia.

Eric chwycił go za ramię.

— Czekaj. Czasami...

Ig nie usłyszał końca zdania. Jak wszyscy. Piętnastokilowa mrożonka Lydii Perrish wybuchła z ogłuszającym trzaskiem — tak głośnym, nagłym i przeraźliwym, że dziewczyny na skale krzyknęły. Wielu chłopców także. Ig też by wrzasnął, ale podmuch wydusił mu powietrze ze słabych płuc i mógł tylko rzeźić.

Wznoszący się strumień płomieni rozerwał indyka. Pień się rozpadł. Dymiące kawałki drewna bryznęły w powietrzu. Z nieba lunął deszcz mięsa. Kości, nadal przybrane drżącymi gruzłami surowego różowego ciała, posypały się w dół, szeleszcząc w liściach i podskakując na ziemi. Strzępy indyka spadały z pluskiem do rzeki. Później wielu chłopców twierdziło, że na dziewczyny na Coffin Rock spadły ochłapy surowego indyka, że oblał je deszcz krwi jak, cholera, w „Carrie”, ale to była przesada. Najdalej odrzucone kawałki ptaka padły sześć metrów od głazu.

Ig miał wrażenie, że uszy zatkała mu wata. Ktoś wrzasnął z przejęcia gdzieś daleko — a przynajmniej wydawało mu się, że daleko. Ale potem obejrzał się przez ramię i stwierdził, że krzycząca dziewczyna stoi niemal dokładnie za nim. To była Glenna w tej niesamowicie niesamowitej skórzanej kurtce i opinającej cycki bluzeczce. Stała obok Lee Tourneau, ściskając

jego dłoń. Uniosła zaciśniętą pięść w wieśniackim geście tryumfu. Lee zorientował się, co się dzieje, i bez słowa wysunął palce z jej ręki.

W ciszę wdarły się inne dźwięki: wrzaski, pohukiwania, śmiech. Kawałki indyka jeszcze spadały z nieba, kiedy chłopcy wyszli z kryjówek i zaczęli skakać. Jedni podrzucali w powietrze odłamki kości, a potem udawali, że uchylają się przed nimi, na nowo odgrywając chwilę wybuchu. Inni skoczyli i zawiśli na niskich gałęziach drzewa, udając, że nadepnęli na minę i wylecieli w powietrze. Kołysali się na konarach, wyjąc. Ktoś tańczył, nie wiadomo dlaczego udając, że gra na gitarze, najwyraźniej nieświadomy, że ma we włosach strzęp indyczej skóry. Wyglądało to jak scena z filmu przyrodniczego. Popisywanie się przed dziewczynami na skale na chwilę straciło znaczenie — przynajmniej dla większości chłopców. W chwili, gdy indyk wyleciał w powietrze, Ig spojrział na rzekę, by sprawdzić, czy dziewczynom nic się nie stało. Przyglądał się im, kiedy wstały, śmiejąc się i rozmawiając ze sobą z ożywieniem. Jedna skinęła głową w stronę rzeki i poszła na piaszczysty spłachetek, na którym leżały kajaki. Zamierzały odpłynąć.

Ig usiłował znaleźć jakiś powód, by je zatrzymać. Miał wózek z supermarketu, wszedł z nim parę kroków w górę stoku, a potem

zjechał, stojąc na jego tylnym końcu, byle tylko coś robić, bo lepiej mu się myślało w ruchu. Zrobił to raz, potem drugi, tak zatopiony w myślach, że prawie nie zdawał sobie sprawy, co robi.

Terry, Eric i inni chłopcy zgromadzili się wokół osmalonych szczątków pnia, żeby ocenić zniszczenia. Eric przetaczał na dłoni ostatnią petardę.

— Ty, a co teraz wysadzisz? — spytał ktoś.

Eric zmarszczył brwi w zamyśleniu i nie odpowiedział. Chłopcy zaczęli podsuwać pomysły i wkrótce musieli się przekrzykiwać. Ktoś powiedział, że przyniesie szynkę, ale Eric pokręcił głową.

— Mięso już przerobiliśmy.

Ktoś inny zaproponował, żeby zawinąć petardę w brudną pieluszkę jego siostrzyczki. Trzeci odparł, że tylko wtedy, jeśli i ona będzie w pieluszcze, i wszyscy się roześmiali.

Potem pytanie się powtórzyło — „Co teraz wysadzisz?” — i tym razem zapadła cisza, a Eric podjął decyzję.

— Nic — oznajmił i schował petardę do kieszeni.

Chłopcy jęknęli z rozpaczą, ale Terry, który znał swoją rolę w tej scenie, pokiwał głową.

Potem zaczęły się oferty i targi. Jeden chłopiec zaproponował świńskie filmy ojca w zamian za petardę. Inny — świńskie filmy, na których jest jego ojciec i matka.

— Serio, moja mama rżnie się jak wściekła suka — powiedział i chłopcy omal się nie poprzewracali ze śmiechu.

— Prędzej któryś pedał zjedzie goły w tym wózku — powiedział Eric, wskazując kciukiem Iga i wózek z supermarketu — niż oddam ostatnią petardę.

— Ja zjadę — odezwał się Ig. — Goły.

Wszyscy się odwrócili. Ig stał parę kroków od grupki chłopców i początkowo nikt nie wiedział, kto to powiedział. Potem rozległy się śmiechy i parę kpiących wrzasków. Ktoś rzucił w Iga nogą indyczą. Ig przykucnął; przeleciała mu nad głową. Kiedy się wyprostował, napotkał wzrok Erica Hannity'ego, wpatrzonego w niego ze skupieniem i przetaczającego ostatnią petardę z ręki do ręki. Terry stał tuż za jego plecami, z kamienną miną, niemal niedostrzegalnie kręcąc głową: nie ma mowy.

— Bez jaj — powiedział Eric.

— Dasz mi petardę, jeśli zjadę bez ubrania wózkiem ze zbocza? Eric Hannity przyjrzał mu się zmrużonymi oczami.

— Na sam dół. Goły. Jeśli wózek nie dojedzie na dół, nic nie dostaniesz. Choćbyś sobie kręgosłup rozpieprzył.

— Stary, mowy nie ma — odezwał się Terry. — Co ja mamie powiem, kiedy zedrzesz sobie skórę z tej chudej białej dupy?

Ig odczekał, aż ustaną rozradowane ryki, po czym odpowiedział z prostotą:

— Nic mi nie będzie.

— Umowa stoi — powiedział Eric Hannity. — Chcę to zobaczyć.

— Zaraz, zaraz, zaraz! — rzucił Terry ze śmiechem, machając ręką. Podbiegł, obszedł wózek, stanął obok Iga i wziął go za ramię. Pochylił się do jego ucha z uśmiechem, ale rzucił ostro i cicho: — Pogięło cię? Nie zjedziesz z tej góry, machając fajfusem, bo obaj wyjdziemy na porąbanych debili.

— Dlaczego? Kąпалиśmy się tutaj. Połowa tych facetów już mnie widziała bez ciuchów. Pozostali nie wiedzą, co stracili.

— Nie ma takiej opcji, żebyś zjechał w tym na sam dół. To wózek ze sklepu, cholera! Ma o, takie kółeczka! — Terry zrobił kółko z kciuka i palca wskazującego.

— Dam radę.

Terry błysnął zębami w gniewnym grymasie. Ale oczy — oczy miał przestraszone. Już widział, jak młodszy brat zostawia na zbocz strzępy twarzy i nieruchomieje w jego połowie jako krwawa, zdeformowana miazga. Ig poczuł do niego coś w rodzaju czulej litości. Terry był fajny, fajniejszy niż Ig kiedykolwiek się stanie, ale się bał. Strach zawęził mu pole widzenia, nie

pozwalając dostrzec nic z wyjątkiem tego, co mógł stracić. Ig był inny.

Teraz i Eric Hannity ruszył w jego stronę.

— Daj mu zjechać, jak chce. Nic nie tracisz. On pewnie tak, ale nie ty.

Terry zmagał się z Igiem jeszcze przez chwilę — nie słowami, ale spojrzeniem. Do odwrócenia wzroku skłonił go dźwięk, ciche, pogardliwe prychnięcie. Lee Tourneau szepnął coś do Glenny, osłaniając usta dłonią. Ale z jakiegoś powodu na zboczu zapadła niezwykła cisza i głos Lee usłyszeli wszyscy w promieniu trzech metrów:

— ...żeby nas tu nie było, kiedy przyjedzie karetka, by zeszkrobać tego gówniarza z ziemi...

Terry odwrócił się do niego z twarzą wykrzywioną wściekłością.

— Nigdzie nie pójdziesz. Stój tutaj z tą deską, na której boisz się zjechać, i patrz na przedstawienie. Przyda ci się zobaczyć, jak wyglądają prawdziwe jaja. Dobrze się przyjrzyj.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Policzki Lee Tourneau zapłonęły, oblały się najciemniejszą czerwieńią, jaką Ig kiedykolwiek widział na ludzkiej twarzy, kolorem skóry diabła z kreskówek Disneya. Glenna spojrzała na swojego chłopaka z

bólem i odrobiną niesmaku, odsunęła się od niego o krok, jakby niefajność była zaraźliwa.

We wrzawie rozbawienia, która wybuchła potem, Ig uwolnił ramię z chwytu Terry'ego. Odwrócił wózek, wepchnął go na górę po chwastach, bo nie chciał, żeby chłopcy wspinający się za nim wiedzieli to, co widział, zobaczyli to, co zobaczył. Nie chciał dawać Ericowi powodu do rezygnacji. Widownia biegła za nim, popychając się i pokrzykując.

Niedługo potem kółka wózka zaplątały się w jakiś krzak i zaczęły gwałtownie skręcać. Usiłował je naprostować. Za jego plecami rozległ się kolejny wybuch wesołości. Terry szedł szybkim krokiem u boku Iga. Chwycił przód wózka i skierował go we właściwą stronę, kręcąc głową. „Jezu”, szepnął cicho. Ig szedł dalej, pchając wózek.

Po paru krokach dotarł na szczyt wzgórza. Podjął decyzję, że to robi, więc nie było powodu wahać się czy wstydzić. Puścił wózek, chwycił gumkę szortów i zsunął je wraz z majtkami, pokazując chłopcom na dole chudy biały tyłek. Rozległy się krzyki oburzenia i przesadnego obrzydzenia. Ig wyprostował się z uśmiechem. Serce biło mu szybciej, ale tylko trochę, jak człowiekowi, który przeszedł z szybkiego marszu do lekkiego truchtu — żeby złapać

taksówkę, zanim ktoś go ubiegnie. Zrzucił szorty, nie zdejmując trampek, zdarł koszulkę.

— No, nie wstydz się — odezwał się Eric Hannity.

Terry roześmiał się — trochę za ostro — i odwrócił wzrok. Ig stanął przed grupą dzieciaków — piętnastoletni i nagusieńki, z futem i jajami, z ramionami prażącymi się w słońcu. Dobiegł go powiew dymu z ognia w kuble, gdzie nadal stał Autostrada do Piekła ze swoim długowłosym kumplem.

Autostrada do Piekła uniósł rękę z wyprostowanym palcem małym i wskazującym w uniwersalnym symbolu diabelskich rogów i wrzasnął:

— Taaa jest, mała! Zatańcz na rurze!

Z jakiegoś powodu to poraziło chłopców bardziej niż cokolwiek dotąd. Kilku omal nie przewróciło się ze śmiechu, konwulsyjnie łapali powietrze, jakby w reakcji na niesiony wiatrem trujący gaz. Ig się dziwił, jak swobodnie się czuje, nie mając na sobie nic z wyjątkiem luźnych tenisówek. Nie obchodziło go, że stoi nagi przed innymi chłopcami i że dziewczyny na Coffin Rock dostrzegą go przelotnie, zanim rzuci się do rzeki — choć to go nie zmartwiło. Ta myśl obudziła w nim radosny dreszcz podniecenia, nisko w brzuchu. Oczywiście jedna dziewczyna już na niego patrzyła: Glenna. Stała na palcach, z otwartymi ustami, zaskoczona,

rozbawiona. Lee nie było obok niej. Nie poszedł za nimi. Najwyraźniej nie chciał zobaczyć, jak wyglądają jaja.

Ig ustawił wózek w odpowiednim miejscu, wykorzystując moment chaosu, by przygotować się do zjazdu. Nikt nie zwrócił uwagi, jak uważnie ustawił wózek między wylaniającymi się z ziemi rurami.

Zjeżdżając na krótkich dystansach u stóp zbocza, przekonał się, że te dwie stare, zardzewiałe rury znajdują się mniej więcej pół metra od siebie i małe tylne kółka wózka idealnie się między nie wpasowują. Po obu ich stronach zostało jakieś pół centymetra wolnego miejsca. Gdy jakieś kółko obracało się, grożąc ściągnięciem wózka z kursu, uderzało o rurę i wracało na miejsce. Całkiem możliwe, że na tym stromym szlaku wózek wjedzie na kamień i przewróci się, ale na pewno nie skręci z trasy. Nie mógł. Będzie jechał wewnątrz tych rur jak pociąg po szynach.

Ig nadal trzymał ubranie pod pachą. Odwrócił się i rzucił je Terry'emu.

— Nigdzie z tym nie idź, zaraz będzie po wszystkim.

— Sam to powiedziałeś — odezwał się na to Eric, budząc nową falę śmiechów, ale nie ryku wesołości, na który chyba zasługiwał.

Teraz, gdy nadeszła decydująca chwila i Ig chwycił rączkę wózka, przygotowując się do startu, paru chłopców zaczęło się

niepokoić. Niektórzy starsi, bardziej rozsądni, uśmiechali się nieswojo, a w ich oczach malował się niepokój, pierwsze nerwowe zrozumienie, że może ktoś powinien to wszystko powstrzymać, zanim będzie za późno i ten dzieciak zrobi sobie poważną krzywdę. Ig uświadomił sobie, że jeśli nie wystartuje natychmiast, jakiś odpowiedzialny idiota zaraz zaprotestuje.

— To na razie — rzucił, zanim ktoś zdążył go powstrzymać, i pchnął wózek naprzód, lekko stając na nim z tyłu.

Wyglądało to jak ćwiczenie z perspektywy, dwie rury prowadzące w dół, zwężające się równomiernie aż do punktu zbiegu. Niemal od chwili, gdy wskoczył na wózek, poczuł, że zanurza się w euforyczną ciszę, maconą tylko przez pisk kółek i klekot stalowej konstrukcji. Z dołu pędziła na niego rzeka o czarnej tafli usianej brylantami słonecznego blasku. Kółka skręcały w prawo, potem w lewo, uderzały o rury i wracały na kurs, tak jak przewidział.

Po chwili wózek pędził tak szybko, że Ig mógł się go tylko trzymać. Zatrzymanie się, zeskoczenie nie wchodziło w grę. Nie spodziewał się, że rozwinie taką prędkość. Wiatr smagał jego nagą skórę tak mocno, że go paliła. Palił się, spadając, Ikar w płomieniach. Wózek uderzył w coś, jakiś kanciasty kamień, i oderwał się lewymi kółkami od ziemi, no to po ptokach, musi się

przewrócić przy tej wspaniałej, straceńczej prędkości, a jego nagie ciało wyleci w powietrze, ziemia zedrze z niego skórę jak papier ścierny, roztrzaska jego kości tak, jak roztrzaskały się kości indyka, w nagłym, głośnym jak eksplozja uderzeniu. Ale przednie lewe kółko zgrzytnęło o grzbiet rury i zjechało po nim na szlak. Dźwięk tych kółek, obracających się coraz szybciej, zmienił się w obłąkany, fałszywy gwizd, szalony pisk.

Kiedy Ig podniósł głowę, zobaczył koniec zbocza, rury zwężające się do punktu zbiegu tuż przed miejscem, w którym zjedzie z ziemnej rampy i skoczy w wodę. Dziewczyny stały na piasku obok kajaków. Jedna pokazywała go palcem. Wyobraził sobie, że przelatuje nad ich głowami, kotek wziął skrzypce, przygrywa rybce, Iggy przez księżyc robi skok.

Wózek wyprysnął z wizgiem spomiędzy rur i wystartował z rampy jak rakietą. Spadł na ubite zbocze, wyrzucając Iga w powietrze, w otwierające się przed nim niebo. Słoneczny dzień złapał go jak piłkę lądującą miękko w rękawicy, przez chwilę przytrzymał go w łagodnym uścisku — a potem wózek wzleciał w górę, stalowa krata uderzyła go w twarz, a niebo go puściło, rzuciło w czern.

ROZDZIAŁ 13

Ig miał urywki wspomnień o chwilach pod wodą, ale później uznał je za złudzenie, bo jak mógł cokolwiek pamiętać, skoro stracił przytomność?

Pamiętał czerń, ryk i wirowanie. Został wciągnięty we wzburzony strumień dusz, wystrzelony z Ziemi i wszelkiego poczucia porządku w prastary chaos. Znalazł się w samym środku jego okropności, przerażony, że to właśnie może go czekać po śmierci. Czuł, że zostaje porwany nie tylko z życia, ale od Boga, idei Boga, nadziei, rozsądku, przekonania, że wszystko ma sens, że przyczyna łączy się ze skutkiem i że tak być nie powinno, że śmierć nie powinna być taka, nawet dla grzeszników.

Walczył z tym wściekłym prądem hałasu i nicości. Zdawało mu się, że czerń chwilami pęka i odpada, ukazując przebliski zabłoconego nieba, ale potem znowu się nad nim zamykała. Wreszcie poczuł, że słabnie i tonie, odniósł wrażenie, że coś chwyta go z dołu i ciągnie. A potem nagle poczuł pod sobą coś twardego. W dotyku przypominało błoto. Po chwili dobiegł go daleki krzyk i coś uderzyło go w plecy.

Siła tego uderzenia wstrząsnęła nim, wybiła z niego mrok. Otworzył gwałtownie oczy i spojrzał w boleśnie rażący blask. Zwymiotował. Rzeka bluznęła mu z ust i nosa. Odwrócono go na bok, ucho miał przy ziemi, więc słyszał tupot nadbiegających stóp, a może łomot swojego serca. Leżał w pewnej odległości od trasy Evela Knievela, choć w tej pierwszej mglistej chwili świadomości nie potrafił ocenić, jak daleko. Tuż obok jego nosa prześlizgiwał się przegniły gumowy czarny przewód. Dopiero kiedy zniknął, Ig zrozumiał, że to wąż pełznący w błocie.

Potem w pole jego widzenia weszły liście, lekko trzepoczące na tle błękitnego nieba. Ktoś klęczał obok niego, trzymał rękę na jego ramieniu. W polu jego widzenia zaczęli pojawiać się chłopcy wypadający z krzaków, pędzący do niego.

Ig nie widział, kto przy nim klęczy, ale był pewien, że to Terry. To Terry wyciągnął go z wody i znowu zmusił go do oddychania. Przetoczył się na plecy, żeby spojrzeć w twarz brata. Chudy, wysoki chłopiec z czapeczką lodowato jasnych włosów patrzył na niego z twarzą bez wyrazu. Lee Tourneau z roztargnieniem wygładzał krawat. Szorty khaki miał przemoczone. Ig nie musiał pytać dlaczego. W tej chwili, patrząc w twarz Lee, postanowił, że sam także zacznie nosić krawaty.

Terry przedarł się przez krzaki, zobaczył Iggy'ego i wyhamował. Eric Hannity biegł tuż za nim i wpadł na niego tak gwałtownie, że prawie go przewrócił. Teraz wokół Iga stało już ze dwudziestu chłopców.

Ig usiadł, przyciągnął kolana do piersi. Znowu spojrzął na Lee i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale kiedy spróbował, poczuł ostry strzał bólu w nosie. Zgarbił się i wysmarkał na ziemię kleks krwi.

— Przepraszam za tę krew — powiedział.

— Myślałem, że nie żyjesz. Wyglądałeś trochę jak trup. Nie oddychałeś. — Lee dygotał.

— No, teraz oddycham. Dziękuję.

— Co ci zrobił? — spytał Terry.

— Wyciągnął mnie — oznajmił Ig, wskazując przemoczone szorty Lee. — Przywrócił mi oddech.

— Popłynąłeś po niego? — spytał Terry.

— Nie. — Lee zamrugał oczami, autentycznie bezradny, jakby Terry zadał mu o wiele trudniejsze pytanie: o stolicę Islandii czy kwiatowy symbol stanu. — Zobaczyłem go, kiedy już był na płyciźnie. Nie popłynąłem po niego ani... ani właściwie nic. On już...

— Wyciągnął mnie — zagłuszył go Ig, nie przyjmując do wiadomości skromnego mamrotania Lee. Doskonale pamiętał, że ktoś był z nim w wodzie, podpłynął do niego. — Nie oddychałem.

— Zrobiłeś mu sztuczne oddychanie? — spytał Eric Hannity z autentycznym niedowierzaniem.

Lee pokręcił głową, nadal zaskoczony.

— Nie, to nie tak. Ja go tylko uderzyłem w plecy, kiedy, no wiesz... kiedy... — zająknął się i nie wiedział, jak skończyć.

— Dlatego zacząłem kaszleć — podjął Ig. — Wypiłem pół rzeki. Miałem jej pełne płuca, a on ją ze mnie wydusił. — Mówił przez zaciśnięte zęby. Ból w nosie zmienił się w serię ostrych, przenikliwych impulsów jak wstrząsy elektryczne. Nawet miały kolor; kiedy zamykał oczy, widział neonowożółte błyski.

Chłopcy osłupieli ze zdumienia. To, co się właśnie wydarzyło, widywali tylko w marzeniach i telewizji. Ktoś omal nie umarł, a ktoś inny go uratował, teraz uratowany i ratownik zostali wyróżnieni jako gwiazdy ich własnego filmu, w którym oni stali się statystami albo, w najlepszym razie, aktorami drugoplanowymi. Uratowanie komuś życia oznaczało, że stało się kimś. Nie było się już Joe jakimś tam, było się Joe jakimś tam, co uratował z rzeki gołego Iga Perrisha, który prawie się utopił. Stawało się kimś na resztę życia.

Natomiast wpatrzony w twarz Lee Ig poczuł, że rozwija się w nim pierwszy pączek obsesji. Został uratowany. Miał umrzeć, a ten jasnowłosy chłopiec o pytających błękitnych oczach przywrócił mu życie. W ewangelicznym kościele idzie się do rzeki, zanurza w niej, a potem wynurza jako nowy człowiek i Ig czuł, że Lee uratował go właśnie w tym sensie. Ig chciał mu coś kupić, coś mu dać, dowiedzieć się, jaki jest jego ulubiony zespół rockowy, żeby też uznać go za swój ulubiony zespół. Chciał odrabiać prace domowe za Lee.

W krzakach rozległ się głośny trzask, jakby ktoś jechał ku nim elektrycznym wózkiem. Potem pojawiła się wśród nich ta dziewczyna, Glenna, zdyszana, z twarzą pokrytą plamami. Pochyliła się, oparła rękę na pękatym udzie i wysapała:

— Jezu, patrzcie na jego twarz. — Przeniosła spojrzenie na Lee i zmarszczyła brwi. — Lee? Coś ty zrobił?

— Wyciągnął Iga z wody — powiedział Terry.

— Odratował mnie — dodał Ig.

— Lee? — powtórzyła z miną pełną kompletnej niewiary.

— Nic nie zrobiłem — odparł Lee, kręcąc głową, a Ig musiał go za to pokochać.

Ból, który łomotał w grzbiecie jego nosa, rozkwitł, rozprzestrzenił się w czole, między oczami, zapuścił korzenie w

mózgu. Ig zaczął widzieć te neonowożółte błyski nawet z otwartymi oczami. Terry przykląkł, położył mu rękę na ramieniu.

— Ubierz się, wracamy do domu — powiedział. Wydawał się skruszony, jakby to on, nie Ig, był winien tego wygłupu. — Chyba złamałeś nos. — Podniósł wzrok na Lee Tourneau i skinął mu głową. — No hej. Wygłupiłem się. Przepraszam za to, co powiedziałem parę minut temu. Dzięki, że pomogłeś mojemu bratu.

— Daj spokój — mruknął Lee. — Nie ma co robić wielkiego halo.

Ig niemal zadrżał od jego zimnego spokoju, niechęci do pławienia się w pochwałach.

— Pójdiesz z nami? — spytał, zaciskając zęby z bólu. Spojrzał na Glennę. — Pójdziecie? Chcę powiedzieć rodzicom, co zrobił Lee.

— Wiesz co, Ig — odezwał się Terry — może lepiej nie. Nie chcemy, żeby rodzice dowiedzieli się, co się stało. Spadłeś z drzewa, dobra? Gałąź była śliska, a ty wylądowałeś na twarzy. Tak będzie... łatwiej.

— Terry, musimy im powiedzieć. Utonąłbym, gdyby on mnie nie wyciągnął.

Brat Iga otworzył usta, ale Lee Tourneau go ubiegł.

— Nie — odezwał się, prawie ostro, i spojrział na Glennę szeroko otwartymi oczami. Ona wpatrywała się w niego z takim samym wyrazem twarzy i dziwnym ruchem miała czarną skórzaną kurtkę. Potem Lee wstał. — Nie powinienem tu przychodzić. Zresztą i tak nic nie zrobiłem. — Pobiegł przez polankę, chwycił Glennę za pulchną rękę i pociągnął ją ku drzewom. W drugiej ręce niósł nowusienką deskę.

— Czekaj! — zawołał Ig, wstając. Kiedy się wyprostował, neonowe błyski wybuchły mu w głowie i poczuł, jakby nos wypełniło mu tłuczone szkło.

— Muszę już iść. Musimy.

— Eee... wpadniesz kiedyś do nas?

— Kiedyś.

— Wiesz, gdzie mieszkamy? Przy szosie, tuż za...

— Wszyscy wiedzą — przerwał Lee i już go nie było, popędził w las, ciągnąc za sobą Glennę. Dziewczyna rzuciła chłopcom ostatnie, zdesperowane spojrzenie i pozwoliła się uprowadzić.

Ból nosa spotęźniał i napływał miarowymi falami. Ig przyłożył na chwilę ręce do twarzy, a kiedy je cofnął, dłonie miał zbroczone szkarłatem.

— Chodź, Ig — powiedział Terry. — Musi cię obejrzeć lekarz.

— Mnie i ciebie.

Terry uśmiechnął się i wyplątał koszulkę Iga z kłębka ubrań, które trzymał pod pachą. Ig spojrział na nie z zaskoczeniem, aż do tej pory nie pamiętał, że stoi nagi. Terry wciągnął mu koszulkę przez głowę, jakby Ig miał pięć lat, nie piętnaście.

— Może chirurg będzie musiał też wyciągnąć nogę mamy z mojego tyłka. Ona mnie zabije, jak tylko cię zobaczy — mówił zdenerwowany. Ig wyjrzał z otworu na głowę i spojrział w oczy brata, pełne autentycznego niepokoju. — Nikomu nie powiesz, prawda? Serio, ona mnie zamorduje za to, że ci pozwoliłem zjechać w tym pieprzonym wózku. Czasami lepiej nic nie mówić.

— Rety, nie za dobrze kłamię. Mama zawsze poznaje. Ledwie otworzę usta.

Terence wyraźnie odetchnął.

— A kto ci każe otwierać usta? Cierpisz. Stój i rycz. Ja będę ściemniać. W tym jestem dobry.

ROZDZIAŁ 14

Przy następnym spotkaniu dwa dni później Lee Tourneau znowu dygotał i ociekał wodą. Miał ten sam krawat, te same szorty, deskę pod pachą. Całkiem jakby do tej pory się nie wysuszył, jakby dopiero co wyszedł z rzeki.

Zaczęło padać i Lee przemókł. Niemal białe włosy przylgnęły mu do głowy, pociągał nosem. Na ramieniu niósł moką płócienną torbę; nadawała mu wygląd gazeciarza ze starego komiksu z Dickiem Tracym.

Ig był w domu sam, co zdarzało się rzadko. Rodzice pojechali do Bostonu na przyjęcie w domu Johna Williamsa. Ostatni rok Williamsa jako dyrygenta Boston Pops dobiegał końca i Derrick Perrish występował z orkiestrą na koncercie pożegnalnym. Terry miał się opiekować bratem. Prawie całe rano przesiedział w piżamie, oglądając MTV i gadając przez telefon z kolejnymi, równie znudzonymi przyjaciółmi. Początkowo mówił wesołym, leniwym tonem, potem czujnie i z zaciekawieniem, w końcu sucho i zwięźle, tym bezdźwięcznym głosem, którym wyrażał najwyższy stopień pogardy. Przechodząc koło salonu, Ig zobaczył brata krążącego po pokoju — nieomylna oznaka przejęcia. W końcu

Terry łupnął słuchawką o widełki i pognął po schodach. Zbiegł na dół ubrany, podrzucając w dłoni kluczyki do jaguara ojca. Powiedział, że jedzie do Erica. Mówił to, unosząc górną wargę, z miną człowieka, którego czeka brudna robota, bo gdy wrócił do domu, ujrzał przewrócone kubły i śmieci rozwleczone po całym podwórku.

— Nie przydałby ci się ktoś z prawkiem? — spytał Ig. Terry miał tymczasowe prawo jazdy.

— Tylko jeśli mnie zatrzymają gliny.

Terry wyszedł; Ig zamknął za nim drzwi. Pięć minut później znowu je otworzył, bo ktoś się do nich dobijał. Ig sądził, że to Terry, który czegoś zapomniał, ale zamiast niego zobaczył Lee Tourneau.

— Jak twój nos? — spytał Lee.

Ig dotknął plastra biegnącego przez grzbiet nosa i opuścił rękę.

— Nie było za dobrze. Wejdiesz?

Lee przekroczył próg i stanął; wokół jego stóp zaczęła się tworzyć kałuża.

— Wyglądasz, jakbyś to ty utonął — powiedział Ig.

Lee się nie uśmiechnął. Jakby nie wiedział, jak to się robi. Jakby tego ranka włożył twarz po raz pierwszy i jeszcze nie opanował jej używania.

— Ładny krawat — zauważył.

Ig spojrział na siebie. Zapomniał, że go włożył. Rano we wtorek, gdy zszedł na dół w niebieskim krawacie, Terry przewrócił oczami.

— Co to? — spytał pogardliwie.

Ojciec akurat snuł się po kuchni. Spojrział na Iga, po czym oznajmił:

— Klasa. Też powinieneś spróbować, Terry.

Od tej pory Ig codziennie nosił krawat i więcej o tym nie dyskutowano.

— Co sprzedajesz? — spytał Ig, patrząc na płócienną torbę.

— Za sześć dolców — powiedział Lee. Podniósł klapę torby i wyjął trzy pisma. — Wybieraj.

Pierwsze było zatytułowane po prostu „Prawda!”. Na okładce widniała młoda para klęcząca przed ołtarzem w wielkim kościele. Ręce mieli złożone do modlitwy, twarze uniesione ku promieniom słońca prześwietlającym witraże. Wyraz ich twarzy wskazywał, że nałykali się gazu rozweselającego. Oboje mieli identyczne wariacko radosne miny. Za ich plecami stał kosmita o szarej skórze, wysoki i nagi. Położył im na głowach dłonie o trzech palcach — wyglądało to tak, jakby zamierzał zderzyć ich głowami i je rozbić — ku ich wielkiej radości. Nagłówek głosił: „Zaślubieni

przez Obcych!”. Pozostałe pisma miały tytuły „Reforma podatkowa” i „Współczesna amerykańska milicja”.

— Trzy za piętnaście — oznajmił Lee. — To na Bank Żywności Chrześcijańskich Patriotów. Ta „Prawda!” jest bardzo dobra. Science fiction o celebrytach. Jest artykuł o Stevenie Spielbergu, który wybrał się do prawdziwej Strefy 51. I jeszcze taki o chłopakach z Kiss, jak lecieli samolotem, w który trafiła błyskawica i silniki mu zgasły. Wszyscy modlili się do Chrystusa, żeby ich ocalił, a potem Paul Stanley zobaczył na skrzydle Jezusa i po chwili silniki znowu ruszyły, a pilot odzyskał panowanie nad samolotem.

— Ci z Kissa to Żydzi — zauważył Ig.

Lee wcale się nie przejął.

— No. Moim zdaniem większość ich tekstów to ścierna. Ale historia jest fajna.

Ig uznał, że to wyjątkowo wyrafinowane spostrzeżenie.

— Powiedziałeś: piętnaście za trzy?

Lee skinął głową.

— Jeśli sprzedam wystarczająco dużo, dostaję nagrodę. Stąd ta deska, co się na niej bałem zjechać.

— No co ty! — zaprotestował Ig, zaskoczony spokojnym tonem, jakim Lee przyznał się do tchórzostwa. Usłyszenie tego było

gorsze niż słuchanie Terry'ego na wzgórzu.

— Tak było — powiedział Lee niewzruszony. — Twój brat się na mnie poznał. Myślałem, że tą deską zrobię wrażenie na Glennie i jej kumplach, ale kiedy stanąłem na trasie, nie mogłem się zmusić. Mam nadzieję, że jeśli znowu spotkam twojego brata, nie będzie mi tego wypominać.

Ig poczuł krótkie, lecz dojmujące mgnienie nienawiści do starszego brata.

— Jakby miał prawo. Omal się nie posikał ze strachu, że pójdę do domu i powiem mamie, co mi się stało. Z moim bratem jedno jest pewne: w każdej sytuacji zawsze, na sto procent, najpierw będzie ratować własną dupę, a potem martwić się o innych. Chodź. Pieniądze mam na górze.

— Chcesz któreś kupić?

— Chcę kupić wszystkie. Lee zmrużył oczy.

— Rozumiem, że kupisz „Współczesną amerykańską milicję”, bo to o broni i o odróżnianiu satelity szpiegowskiego od normalnego. Ale „Reformę podatkową”?

— A czemu nie? Kiedyś będę musiał płacić podatki.

— Ludzie, którzy to czytają, na ogół starają się nie płacić.

Lee poszedł za Igiem do jego pokoju, lecz zatrzymał się na korytarzu, zaglądając ostrożnie do środka. Ig nigdy nie uważał

swojego pokoju za specjalnie efektowny — był najmniejszy na piętrze — ale nie wiedział, jak lokum bogatego gnojka wygląda w oczach Lee i czy to przemawia na jego niekorzyść. Sam też się rozejrzał, usiłując zobaczyć wszystko oczami Lee. W pierwszej chwili rzucił mu się w oczy basen za oknem, deszcz kropkujący jaskrawoniebieską powierzchnię wody. Nad łóżkiem wisiał plakat Marka Knopflera z jego autografem. Ojciec Iga grał na ostatnim albumie Dire Straits.

Trąbka leżała na łóżku, w otwartym futerale. Znajdowała się w nim także cała kolekcja innych skarbów: zwitek pieniędzy, bilety na występ George'a Harrisona, zdjęcia matki na Capri i krzyżyk z zerwanym łańcuszkiem, wisiorek tej rudej. Ig usiłował naprawić go scyzorykiem, osiągnął zerowy skutek, w końcu dał za wygraną. Zajął się innym, choć pokrewnym zadaniem. Pożyczył od Terry'ego tom Encyclopaedia Britannica z literą M i znalazł alfabet Morse'a. Nadal dokładnie pamiętał sekwencję krótkich i długich błysków, którą odpaliła w jego stronę ruda dziewczyna, ale kiedy je przetłumaczył, w pierwszej chwili uznał, że musiał się pomylić. Wiadomość była prosta, pojedyncze krótkie słowo, ale tak szokujące, że poczuł chłodny, zmysłowy dreszcz pełznący mu po plecach i głowie. Spróbował napisać stosowną odpowiedź, lekko kreśląc kropki i kreski na wyklejce okładki Biblii Neila

Diamonda, wypróbując różne wersje. Bo oczywiście sama rozmowa nie mogła wystarczyć. Dziewczyna przemówiła do niego błyskami słonecznego światła i czuł się zobowiązany do podobnej odpowiedzi.

Lee obejrzał wszystko, omiatając pokój szybkim spojrzeniem, które zatrzymał na czterech chromowanych półkach pełnych CD.

— Sporo muzyki.

— Wchodź.

Lee wszedł ciężko, uginając się pod brzemieniem ociekającej wodą płóciennej torby.

— Siadaj — powiedział Ig.

Lee przysiadł na brzegu łóżka; narzuta od razu zrobiła się mokra. Przechylił głowę, przyglądając się półkom.

— W życiu nie widziałem tyle muzyki. No, może w sklepie.

— Czego lubisz słuchać?

Lee wzruszył ramionami.

Zdumiewająca odpowiedź. Przecież wszyscy czegoś słuchają.

— Jakie masz albumy?

— Nie mam.

— Nic?

— Chyba nigdy mnie to aż tak nie interesowało — oznajmił Lee spokojnie. — Płyty są drogie, nie?

Myśl, że ktoś mógłby się nie interesować muzyką, zdumiała Iga. To tak jakby kogoś nie interesowało szczęście. Potem dotarło do niego drugie zdanie „Płyty są drogie, nie?”. Po raz pierwszy zrozumiał, że Lee nie ma pieniędzy na muzykę ani nic innego. Przypomniała mu się jego nowiuteńka deska — ale to przecież nagroda za pracę dobroczynną. No i te krawaty i koszule z krótkimi rękawami — ale pewnie matka kazała mu się tak ubierać, kiedy sprzedawał gazety, żeby wyglądał schludnie. Biedni często się nadmiernie stroją. To bogaci noszą się jak szmaciarze, starannie kompletują strój robotnika: designerskie dzinsy za osiemdziesiąt dolarów, profesjonalnie wytarte i podarte, wyciągnięte koszulki od Abercrombie & Fitcha. No i znajomość Lee z Glenną i jej kumplami, towarzystwem zalatującym marginesem. Dzieci bogatych rodziców nie pałętają się koło odlewni, zabawiając się paleniem góvien.

Lee uniósł brew — zdecydowanie przypominał Spocka — jakby zauważył zaskoczenie Iga.

— A ty czego słuchasz? — spytał.

— Nie wiem. Wszystkiego. Ostatnio mam jazdę na Beatlesów.

— Przez „ostatnio” Iga miał na myśli siedem ostatnich lat. —
Lubisz ich?

— Właściwie ich nie znam. Jacy są?

Myśl, że na świecie istnieje ktoś, kto nie zna Beatlesów, wstrząsnęła Igiem.

— No wiesz... jak Beatlesi. John Lennon i Paul McCartney.

— A, ci — powiedział Lee, ale słyhać było, że się zawstydził i tylko udaje, że wie, o co chodzi. Choć nie przykładał się do tego udawania.

Ig podszedł do półki z kolekcją Beatlesów, zastanawiając się, od czego zacząć. Najpierw wyjął płytę „Seargent Pepper”. Zawahał się, czy instrumenty dęte, akordeony i sitary spodobają się Lee, czy też wydadzą mu się dezorientujące, czy go odrzuci ta wariacka mieszanka stylów, rockowego grania zmieniającego się w śpiewy z angielskiego pubu, które z kolei zmieniają się w jazz. Lepiej byłoby na początek coś łatwiejszego, zbiór klarownych, wpadających w ucho melodii, coś rozpoznawalnego jako rock and roli. A zatem Biały Album. Ale zacząć od Białego Albumu to jak wejść na seans na ostatnie dwadzieścia minut filmu. Łapiesz, o co chodzi, ale nie wiesz, kim są bohaterowie ani dlaczego miałbyś się nimi przejmować. Beatlesi są jak historia. Słuchanie ich przypomina czytanie książki. Trzeba zacząć od „Please Please Me”. Ig zdjął całą kolekcję i położył ją na łóżku.

— Mnóstwo do słuchania. Kiedy mam ci je zwrócić?

Ig nie wiedział, że oddaje płyty, dopóki Lee nie zadał tego pytania. Lee wyciągnął go z ryczącej ciemności, wtłoczył w niego oddech i nic za to nie dostał. Płyty za sto dolarów to nic. Nic.

— Weź je — powiedział.

Lee spojrział na niego z zaskoczeniem.

— Za gazety? Musisz zapłacić gotówką.

— Nie. Nie za gazety.

— To za co?

— Za to, że nie pozwoliłeś mi się utopić.

Lee spojrział na stos płyt, położył na nich ostrożnie rękę.

— Dziękuję. Nie wiem, co powiedzieć. Poza tym, że zwariowałeś. I że nie musisz.

Ig otworzył usta, zamknął je, na chwilę obezwładniony emocjami, zbyt wielką wdzięcznością do Lee Tourneau, żeby wykrztusić prostą odpowiedź. Lee rzucił mu kolejne zaskoczone, zaciekawione spojrzenie i odwrócił wzrok.

— Grasz, tak jak twój ojciec? — spytał, wyjmując trąbkę Iga z futerału.

— Mój brat gra. Ja umiem, ale właściwie nie gram.

— Dlaczego?

— Nie mogę oddychać.

Lee zmarszczył brwi.

— Mam astmę — wytłumaczył Ig. — Brak mi tchu, kiedy próbuję grać.

— Pewnie nigdy nie będziesz sławny. — Lee nie powiedział tego złośliwie, po prostu stwierdził fakt.

— Mój tata nie jest sławny. Gra jazz. Jazzmani nie są sławni. — Już nie, dodał Ig w duchu.

— Nigdy nie słuchałem żadnej płyty twojego taty. Nie znam się na jazzie. To zwykle grają w tle w filmach o dawnych gangsterach?

— Przeważnie.

— Pewnie by mi się to spodobało. Muzyka w scenie z gangsterami i tymi dziewczynami w krótkich prostych spódniczkach. Podlotkami.

— Właśnie.

— A potem wchodzi zabójcy z karabinami maszynowymi — dodał Lee, ożywiając się po raz pierwszy, odkąd Ig go poznał. — Zabójcy w fedorach. I koszą wszystkich. Rozwalają kieliszki do szampana i bogaczy, i starych gangsterów. — Udał, że puszcza serię. — Podoba mi się taka muzyka. Muzyka do zabijania ludzi.

— Mam też coś takiego. Czekał. — Ig wyjął płytę Glenna Millera i drugą, Louisa Armstronga. Położył je obok Beatlesów. A potem, ponieważ Armstrong stał pod AC/DC, spytał:

— Podobało ci się „Back in Black”?

— To album?

Ig wziął „Back in Black” i położył na rosnącej stercie.

— Jest tam taki kawałek, „Shoot to Thrill”. Idealny do strzelania i niszczenia.

Ale Lee już pochylał się nad otwartym futerałem, przyglądając się innym skarbowi Iga. Wziął wiszący na cienkim złotym łańcuszku krzyżyk rudej. Ig patrzył na to z przykrością, nagle naszała go ochota, żeby zamknąć futerał... przytrzasnąć palce Lee, jeśli nie cofnie ich w porę. Odtrącił tę myśl, jak strzepuje się pająka z wierzchu dłoni. Zawiódł się na sobie. Jak mógł poczuć coś takiego choćby przez moment? Lee wyglądał jak dziecko porwane przez powódź — zimna woda nadal skapywała mu z nosa — i Ig pożałował, że nie wstąpił do kuchni, by zrobić mu kakao. Chciał mu dać kubek gorącej zupy i tost z masłem. Chciał mu wiele dać. Tylko nie ten krzyżyk.

Cierpliwie obszedł łóżko i sięgnął do futerału po zwitek banknotów, obracając rękę tak, żeby Lee musiał się wyprostować i cofnąć dłoń. Odliczył piątkę i dziesięć jednodolarówek.

— Za pisma — powiedział.

Lee złożył banknoty i schował je do kieszeni.

— Lubisz zdjęcia piczy?

— Piczy?

— Cipy. — Powiedział to bez skrępowania, jakby rozmawiali o muzyce.

Ig nie miał pojęcia, jak doszło do tej zmiany tematu.

— Jasne. Kto nie lubi?

— Mój dystrybutor ma różne pisma. Widziałem w magazynie bardzo dziwne rzeczy. Byś się zdziwił. Na przykład cały numer o ciężarnych.

— Yyy! — krzyknął Ig z żartobliwym obrzydzeniem.

— Żyjemy w trudnych czasach — powiedział Lee bez zauważalnej dezaprobaty. — Jest pismo o starych kobietach. „W starym piecu diabeł pali”, duża sprawa. Babki po sześćdziesiątce robią sobie palcówkę. Masz jakieś pornosy?

Odpowiedź odmalowała się wyraźnie na twarzy Iga.

— Zobaczmy — zarządził Lee.

Ig wyjął z szafy „Krainę słodczy”, jedną z dziesiątek upchniętych w niej gier.

— „Kraina słodczy” — przeczytał Lee. — Niezłe.

W pierwszej chwili Ig nie zrozumiał. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, wetknął świerszczyki akurat tam, bo nikt nie grał już w „Krainę słodczy”, nie z powodu symbolicznego tytułu.

Położył pudełko na łóżku, zdjął pokrywkę i wyjął tablicę z plastikową tacką na pionki. Pod spodem znajdował się katalog Victoria's Secret i „Rolling Stone” z nagą Demi Moore na okładce.

— Słabe — ocenił Lee bez złośliwości. — Nawet nie musisz tego ukrywać.

Odsunął „Rolling Stone” i znalazł pod nim „X-Men”, ten z Jean Grey ubraną w czarny gorset. Uśmiechnął się łagodnie.

— To dobre. Bo Phoenix jest taka słodka, dobra i troskliwa, a potem bach! Pojawia się czarna skóra. To cię kręci? Słodkie dziewczyny z diablem za skórą?

— Nic mnie nie kręci. Nie wiem, skąd to się tu wzięło.

— Każdego coś kręci — powiedział Lee i oczywiście miał rację. Ig pomyślał coś bardzo podobnego, kiedy Lee przyznał się, że nie wie, jaką muzykę lubi. — Ale walić konia nad komiksem... niedobrze. — Powiedział to spokojnie, z namysłem. — Ktoś ci to kiedyś zrobił? Ręczną robotę?

Przez chwilę pokój jakby się powiększał, jak nadmuchiwany balon. Przez głowę Iga przemknęła myśl, że Lee zaraz mu zaproponuje tę ręczną robotę, a jeśli do tego dojdzie — straszna, chora myśl — Ig będzie musiał mu powiedzieć, że nie ma nic przeciwko gejom, ale sam nim nie jest.

Tymczasem Lee ciągnął:

— Pamiętasz tę dziewczynę, z którą byłem w poniedziałek? Zrobiła mi to. Wrzasnęła, kiedy skończyłem. Śmieszne jak cholera. Szkoda, że sobie nie nagrałem.

— Serio? — spytał Ig z ulgą i zgrozą jednocześnie. — Od dawna jest twoją dziewczyną?

— To nie taki związek. To nie jest układ dziewczyna-chłopak. Ona czasem przychodzi, żeby się pożalić, kto jej dogadał w szkole i tak dalej. Wie, że moje drzwi są otwarte. — Po tym ostatnim zdaniu Ig omal się nie roześmiał, ponieważ wydawało mu się, że to żart, ale ugryzł się w język. Lee powiedział to poważnie. — Zrobiła mi w ramach przysługi. I dobrze. Gdyby nie to, pewnie bym ją zatłukł na śmierć, żeby przestała gadać.

Lee delikatnie włożył komiks do pudełka, Ig zamknął je i schował do szafy. Kiedy się odwrócił, Lee trzymał w dłoni krzyżyk, wyjął go z futerału. Na ten widok serce Iga zjechało windą do piwnicy.

— Ładny — stwierdził Lee. — Twój?

— Nie.

— Nie. Tak myślałem. Wygląda jak dziewczyński. Skąd go masz?

Najłatwiej byłoby skłamać, powiedzieć, że krzyżyk należy do matki, ale kłamstwa zawsze zmieniały mu język w kołek, a

zresztą Lee uratował mu życie.

— W kościele — powiedział Ig, wiedząc, że Lee domyśli się reszty. Nie miał pojęcia, dlaczego zwykle powiedzenie prawdy w tak drobnej sprawie wydawało mu się taką katastrofą. Przecież w mówieniu prawdy nie ma nic złego.

Lee owinął oba końce złotego łańcuszka na palec wskazujący, tak że krzyżyk zakołysał się nad jego dłonią.

— Zerwany — zauważył.

— Tak go znalazłem.

— To tej rudej?

— Zostawiła go. Chciałem jej nareperować.

— Tym? — Lee trącił palcem scyzoryk, którym Ig usiłował rozgiąć ogniówka złotego łańcuszka. — Tym nie dasz rady. Do czegoś takiego potrzebujesz cienkich szczypczyków. Wiesz, mój tata ma precyzyjne narzędzia. Naprawię to w pięć minut. W tym jestem dobry: w naprawianiu.

Lee w końcu spojrzał na Iga. Nie musiał prosić, żeby stało się jasne, czego chce. Igowi zrobiło się słabo na samą myśl, że ma oddać mu krzyżyk. Gardło zacisnęło mu się jak przed atakiem astmy. Ale istniała tylko jedna możliwa odpowiedź, jeśli nadal miał się uważać za człowieka przyzwoitego i niesamolubnego.

— Jasne — rzekł. — Weź do domu i sprawdź, czy da się z tym coś zrobić.

— Dobrze. Naprawię go i oddam jej w niedzielę.

— Mógłbyś? — Ig czuł się, jakby w brzuch wbijał mu się gładki drewniany pał, jakby ktoś go wkręcał, metodycznie owijając wokół tego pała jego wnętrzności.

Lee pokiwał głową i znowu spojrział na krzyżyk.

— Dzięki. Chciałbym to zrobić. Spytałem, co cię kręci. Chodziło mi o to, jakie dziewczyny lubisz. Ona mnie kręci. Jest w niej coś takiego... widać, że żaden facet z wyjątkiem ojca nie widział jej nago. Wiesz, że widziałem, jak łańcuszek się przerywa? Stałem w ławce za nią. Staralem się jej pomóc. Jest fajna, ale trochę zarozumiała. Chyba można powiedzieć, że większość ładnych dziewczyn zadziera nosa, dopóki się ich nie rozdziewiczy. Bo wiesz, to najcenniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek będą miały. Dlatego chłopcy się za nimi uganiają, ciągle o nich myślą — każdy chce, żeby jemu się to trafiło. Ale kiedy już jest po wszystkim, dziewczyny mogą się odprężyć i zachowywać normalnie. No, więc dziękuję, że mi to dałeś. Fajny pretekst.

— Nie ma sprawy — powiedział Ig, czując się, jakby oddał coś o wiele cenniejszego niż krzyżyk na złotym łańcuszku. Tak było sprawiedliwie. Lee zasługiwał na coś dobrego po tym, jak

uratował mu życie i nie został za to nagrodzony. Ciekawe tylko, dlaczego wydawało się, że coś tu jednak nie jest w porządku.

Powiedział, żeby Lee przyszedł, kiedy nie będzie padać, wtedy popływają w basenie, a Lee się zgodził. Ig czuł się dziwnie odłączony od własnego głosu, jakby wydawało go jakieś inne źródło, na przykład radio.

Lee szedł już z torbą do drzwi, kiedy Ig zauważył, że płyty nadal leżą na łóżku.

— Zabierz muzykę — przypomniał. Cieszył się, że Lee odchodzi. Chciał się na chwilę położyć i odpocząć. Bolał go żołądek.

Lee zerknął na płyty i powiedział:

— Nie mam ich na czym słuchać.

Ig zastanowił się, jak biedny jest Lee — czy mieszka w bloku, czy w przyczepie, czy budzą go w nocy wrzaski i trzaskanie drzwi, policjanci aresztujący pijanego sąsiada za to, że znowu pobił swoją dziewczynę. Kolejny powód, żeby nie mieć do niego pretensji o zabranie krzyżyka. Ig wyrzucał sobie, że nie potrafi się cieszyć szczęściem Lee, że nie sprawia mu przyjemności dawanie, ale nie był szczęśliwy, tylko zazdrosny.

Chcąc ukryć wstyd, zaczął grzebać wśród rzeczy na biurku. Odwrócił się z discmanem, który dostał na Gwiazdkę.

— Dzięki — powiedział Lee, kiedy Ig mu go podał. — Nie musisz mi dawać tego wszystkiego. Nic nie zrobiłem. Stałem tam i... no, wiesz.

Intensywność własnej reakcji zaskoczyła Iga — ta błyskawica w sercu, przypływ uczucia do tego chudego, bladego chłopaka o niewprawnym uśmiechu. Przypomniawszy sobie chwilę, gdy został uratowany. I to, że każda minuta, jaka upłynęła od tego momentu, jest darem. Darem od Lee. Jego żołądek się rozluźnił, a oddychanie znowu stało się łatwe.

Lee włożył discman i słuchawki do torby, którą zarzucił na ramię. Ig patrzył z okna na piętrze, jak kolega zjeżdża w deszczu po zboczu na desce, spod której grubych kół unosiły się kogucie grzebienie wody z lśniącego asfaltu.

*

Dwadzieścia minut później Ig usłyszał jaguara zatrzymującego się z tym dźwiękiem, który tak lubił, z płynnym pomrukiem silnika prosto z filmu akcji. Znowu wrócił do okna na piętrze i spojrzał na czarny samochód, spodziewając się, że drzwi się otworzą i wyłonią się z nich Terry, Eric Hannity i jakieś dziewczyny ze śmiechem i w kłębach papierosowego dymu. Ale Terry wysiadł sam i przez jakiś czas stał koło jaguara, po czym ruszył do drzwi powoli, jakby zeszywniały mu plecy, jakby stał się

dużo starszym człowiekiem, który jechał przez wiele godzin, a nie tylko przez miasto.

Ig był w połowie schodów, gdy Terry wszedł do domu z czarną czupryną lśniąca od wody. Zauważył wpatzonego w niego Iga i uśmiechnął się ze zmęczeniem.

— Cześć, bracie — powiedział. — Mam coś da ciebie.

I rzucił to coś, ciemną kulę wielkości rajskiego jabłuszka.

Ig chwycił ją i spojrzał na białą sylwetkę nagiej dziewczyny z klonowym liściem na kroczu. Petarda była cięższa, niż się spodziewał, miała szorstką, ziarnistą powierzchnię.

— Twoja wygrana — wyjaśnił Terry.

— Dzięki. Po tym wszystkim Eric pewnie zapomniał. — Tak naprawdę Ig już dawno temu przyjął do wiadomości, że złamał nos na darmo, Eric Hannity nigdy mu nie da petardy.

— No, powiedzmy. Przypomniałem mu.

— Wszystko w porządku?

— Teraz już tak. — Terry znieruchomiał z ręką na słupku balustrady. — Nie chciał płacić, bo miałeś tenisówki.

— No, to słabe. W życiu nie słyszałem takiej słabizny — powiedział Ig lekceważąco. Terry milczał. Pocierał ręką słupek balustrady. — No, ale... Pożarliście się? To tylko petarda.

— Nieprawda. Widziałeś, co się stało z indykiem?

Te słowa rozbawiły Iga. Terry rzucił mu uśmiech winowajcy.

— Nie wiesz, co chciał z nią zrobić. W szkole jest taki chłopak, którego Eric nie lubi. Znam go z zespołu. Jest w porządku. Ben Townsend. Ale, widzisz, matka Bena pracuje w ubezpieczeniach. Odbiera telefony czy coś tam. Dlatego Eric go nienawidzi.

— Tylko dlatego, że jego mama pracuje w ubezpieczeniach?

— Wiesz, że ojcu Erica nie powodzi się dobrze, nie? Nie może dźwigać, pracować i ma problemy... ze zrobieniem kupy. Autentycznie smutne. Mieli dostać ubezpieczenie, ale ciągle się odwleka. Pewnie nigdy nie dostaną. Eric chce komuś wymierzyć sprawiedliwość i wziął się na Bena.

— Tylko dlatego, że jego matka pracuje w towarzystwie ubezpieczeniowym, które oszukało tatę Erica?

— Nie! — zawołał Terry. — To jest najbardziej porąbane. Ona pracuje w zupełnie innym towarzystwie!

— To bez sensu.

— No. I nie myśl o tym za długo, bo nic nie wymyślisz. Eric chciał tym wysadzić coś, co należało do Bena Townsenda, i zadzwonił do mnie, czy mam ochotę na to popatrzeć.

— Co chciał wysadzić?

— Jego kota.

Ig miał wrażenie, że w nim coś wybuchło, jakaś zgroza granicząca z zaciekawieniem.

— Nie. Może tak powiedział, ale jaja sobie robił. Daj spokój, kot?

— Zaczął udawać, że to jaja, kiedy zobaczył, jaki jestem wściekły. Dał mi tę petardę, bo zagroziłem, że nakabluję jego ojcu. Wtedy rzucił nią w moją głowę i kazał mi spieprzać. Wiem, że ojciec dopuścił się parę razy aktów policyjnej brutalności na tyłku Erica.

— Choć nie potrafi się wysrać?

— Wysrać się nie potrafi, ale pasem machać może nadal. Mam nadzieję, że Eric nigdy nie zostanie policjantem. Strasznie jest podobny do ojca. Masz prawo zachować milczenie, kiedy przydeptuje ci gardło.

— Naprawdę powiedziałbyś jego tacie o...?

— Nie. Nigdy. Jak miałbym na niego nakablować, skoro sam w tym brałem udział? To pierwsza reguła szantażu. — Terry milczał przez chwilę. — Wydaje ci się, że kogoś znasz, ale na ogół wiesz tylko tyle, ile chcesz wiedzieć. — Spojrzał przejrzystymi oczami na Iga. — Eric to bandzior. I ja też czuję się jak bandzior, kiedy z nim jestem. Nie grasz w orkiestrze, więc nie wiesz. Trudno budzić pożądanie w kobietach i strach w mężczyznach, kiedy twoją

główną życiową umiejętnością jest granie na trąbce wojskowych melodii. Podobało mi się, jak ludzie na nas patrzyli. To z tego miałem. Nie wiem, co miał on. Oprócz tego, że płaciłem za różne rzeczy i że znamy sławnych ludzi.

Ig przetaczał w dłoni petardę. Czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nie wiedział co. To, co wreszcie przyszło mu do głowy, zabrzmiało beznadziejnie niestosownie.

— Jak myślisz, co powinienem tym wysadzić?

— Nie wiem. Ale nie rób tego beze mnie, dobra? Poczekaj parę tygodni. Aż dostanę prawo jazdy. Pojedziemy z chłopakami na Cape Cod. Rozpalimy na plaży ognisko i coś tam znajdziemy.

— Ostatni wielki wybuch tego lata.

— No. Idealne byłoby zostawienie zniszczeń widzialnych z kosmosu. A jak nie, to przynajmniej zniszczmy coś cennego, pięknego i niezastąpionego.

ROZDZIAŁ 15

Przez całą drogę do kościoła Ig miał spocone dłonie. Czuł się dziwnie, lepko. Żołądek też mu dokuczał. Wiedział dlaczego. To było idiotyczne — nawet nie znał jej imienia i nigdy się do niej nie odezwał.

Ale ona dawała mu sygnały. W kościele pełnym ludzi, w tym wielu jej rówieśników, spojrzała prosto na niego i wysłała mu wiadomość krzyżykiem z rozjarzonego złota. Nawet teraz nie wiedział, dlaczego z niej zrezygnował, czemu ją oddał jak kartę baseballową albo płytę. Powiedział sobie, że Lee to samotnik z mieszkalnej przyczepy, który potrzebuje mieć kogoś, że wszystko samo ułoży się tak, jak powinno. Usiłował cieszyć się z tego, co zrobił — tymczasem rosła w nim czarna ściana zgrozy. Nie wyobrażał sobie, co go podkusiło, że pozwolił Lee zabrać krzyżyk. Lee przyniesie go dzisiaj. Odda go dziewczynie, ona podziękuje i porozmawiają ze sobą po mszy. Oczami wyobraźni widział ich, odchodzących razem. Ruda zerknie na niego, ale obojętnie — a naprawiony krzyżyk będzie migotał w zagłębieniu u podstawy jej szyi.

Lee siedział w tej samej ławce i miał na szyi krzyżyk dziewczyny. Ig zauważył to od razu, a jego reakcja była prosta i fizyczna. Jakby jednym haustem wypił kubek boleśnie gorącej kawy. Żołądek skręcił mu się i rozboleł, krew popłynęła z wściekłą prędkością, jak nabuzowana kofeina.

Ławka przed nim pozostawała pusta aż do ostatniej chwili. Potem na miejscu, w którym tydzień temu siedziała dziewczyna, zasiadły trzy tęgie starsze panie. Lee i Ig przez pierwsze dwadzieścia minut wyciągali szyje, rozglądając się za rudą, ale nie przyszła. Nie sposób byłoby nie zauważyć jej włosów, splecionego snopa miedzianych drucików. W końcu Lee spojrzął na Iga i komicznie wzruszył ramionami, a Ig odpowiedział takim samym gestem, jakby był współspiskowcem w próbie poznania Lee z dziewczyną od alfabetu Morse'a.

A przecież nie był. Pochylił głowę, gdy nadeszła pora modlitwy, ale nie wypowiadał standardowych słów. Chciał odzyskać krzyżyk. Nie musiało być sprawiedliwie. Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek, bardziej niż oddechu, gdy zaginął w tym śmiertelnym chaosie czarnej wody i ryczących dusz. Nie znał jej imienia, ale wiedział, że dobrze im wychodzi wspólna zabawa, bycie ze sobą; nigdy w życiu nie przeżył w kościele lepszych dziesięciu minut niż te, kiedy błyskała mu światłem w oczy.

Niektórych rzeczy się nie oddaje, bez względu na to, jakie się ma długi.

*

Po mszy stał z ręką ojca na ramieniu, patrząc na mijających ich ludzi. Jego rodzina zawsze znajdowała się wśród ostatnich opuszczających zatłoczone miejsca: kościół, kino, stadion baseballowy. Lee Tourneau przeszedł obok, kiwając głową w kpiący sposób, który zdawał się oznaczać: raz się wygrywa, raz przegrywa.

Gdy rząd między ławkami opustoszał, Ig podszedł do miejsca, w którym tydzień temu siedziała dziewczyna, przyklęknął na jedno kolano i zaczął zawiązywać but. Ojciec obejrzał się na niego, ale Ig dał mu znak, że ich dogoni. Dopiero kiedy wyszli, dał sobie spokój z butem.

Trzy zażywe staruszki, które zajęły miejsce dziewczyny od alfabetu Morse'a, jeszcze go nie opuściły. Zbierały torebki, drapowały letnie szale na ramionach. Dopiero teraz Ig zrozumiał, że już je widział. Tydzień temu wyszły z matką dziewczyny — rozgadana, ścisła grupka — aż zaczął się zastanawiać, czy to nie jej ciotki. Czy jedna z nich po mszy siedziała w samochodzie z dziewczyną? Ig nie był pewien. Chciał tak sądzić, ale podejrzewał, że pozwala sobie na pobożne życzenia.

— Przepraszam... — zaczął.

— Tak? — spytała najbliższa pani, tęga kobieta o włosach ufarbowanych na metaliczny odcień brązu.

Ig wskazał palcem ławkę i pokręcił głową.

— Tu siedziała taka dziewczyna. Tydzień temu. Zostawiła coś przypadkiem i chciałem jej to oddać. Rudowłosa.

Kobieta nie odpowiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca, choć przejście między ławkami opustoszało na tyle, że mogła wyjść. W końcu Ig uświadomił sobie, że kobieta czeka, aż popatrzy jej w oczy. Zrobił to i ujrzał jej chytre spojrzenie.

— Merrin Williams — powiedziała. — Jej rodzice przyjechali do miasta w zeszły weekend, żeby przejąć nowy dom. Wiem to, bo im go sprzedałam i przy okazji pokazałam kościół. Teraz są na Rhode Island, pakują się. Przyjadą tu w przyszłą niedzielę. Na pewno wkrótce znowu się z nimi spotkam. Jeśli chcesz, przekażę to, co Merrin tu zostawiła.

— Nie, nie szkodzi.

— Mmm... Tak sądziłam, że sam zechcesz jej to oddać. Masz w oczach...

— Ja...? Co mam w oczach? — spytał Ig.

— Powiedziałabym, ale jesteśmy w kościele.

ROZDZIAŁ 16

Podczas następnej wizyty Lee poszli na basen i grali na płytkim końcu w koszykówkę, aż matka Iga przyniosła talerz grillowanych kanapek z szynką i brie. Lydia nie mogła zrobić zwykłych kanapek z szynką i żółtym serem jak inne mamy — musiały mieć klasę, w jakiś sposób sugerować jej bardziej wyrafinowane i światowe podniebienie. Ig i Lee zjedli na leżakach. Pod ich siedzeniami powstały kałuże wody. Z jakiegoś powodu zawsze spotykali się, ociekając wodą.

Lee był grzeczny dla mamy Iga, ale kiedy odeszła, podniósł górną kromkę i spojrzał na mleczny, płynny ser na szynce.

— Ktoś mi się spuścił w kanapkę — powiedział.

Ig zakrztusił się ze śmiechu, przelykając, a po chwili dostał ataku kaszlu — ostrego, przeszywającego bólem pierś. Lee uderzył go po plecach, ratując przed zadławieniem.

— Dla większości ludzi to przekąska. Dla ciebie to kolejna szansa, żeby się zabić. — Przyjrzał mu się, mrużąc oczy w słonecznym świetle. — Chyba nie znam nikogo bardziej szukającego śmierci.

— Trudniej mnie wykończyć, niż się wydaje — odpowiedział Ig. — Jak karalucha.

— Podobało mi się AC/DC. Jeśli chcesz kogoś zastrzelić, powinieneś to zrobić przy tej muzyce.

— A Beatlesi? Chciałeś kogoś zastrzelić, kiedy ich słuchałeś?

Lee zastanowił się przez chwilę poważnie.

— Siebie.

Ig znowu się roześmiał. Tajemnica Lee polegała na tym, że nigdy nie silił się na dowcipy, zdawał się nie wiedzieć, że mówi coś śmiesznego. Był powściągliwy, roztaczał aurę szklistego, niewzruszonego spokoju, która przywodziła Igowi na myśl tajnego agenta z filmu, rozbijającego głowicę jądrową... albo ją programującego. Czasami zachowywał się tak beznamiętnie — nigdy się nie śmiał, nawet z własnych żartów ani z kawałów Iga — jakby był naukowcem z innej planety, który przybył na Ziemię, by poznać ludzkie emocje. Trochę jak Mork.

Ig śmiał się, a jednocześnie czuł niepokój. Nie lubić Beatlesów to niemal równie niedobrze, co ich w ogóle nie znać.

Lee zauważył jego smutek.

— Oddam ci ich płyty.

— Nie. Zatrzymaj je i jeszcze posłuchaj. Może znajdziesz coś, co ci się spodoba.

— Coś tam mi się podobało — powiedział Lee, ale Ig widział, że to nieprawda. — Był taki jeden numer... — Lee zawiesił głos, każąc Igowi się zastanawiać, o którą z sześćdziesięciu piosenek chodzi.

A Ig zgadł.

— „Happiness Is a Warm Gun”?

Lee wycelował w niego palec, odciągnął kciukiem kurek i strzelił.

— A jazz? — zapytał Ig. — Coś ci się spodobało?

— Chyba. Nie wiem. Nie mogłem tego naprawdę słuchać.

— Jak to?

— Ciągle zapominałem, że coś gra. Jak muzyka w supermarkecie.

Ig zadrżał.

— Chcesz zostać zabójcą, jak dorośniesz? — spytał.

— Dlaczego?

— Bo lubisz tylko taką muzykę, przy której można zabijać.

— Nie. Ale powinna robić nastrój. Chyba do tego służy? Jest tłem do tego, co robisz.

Ig nie zamierzał się z Lee kłócić, ale taka ignorancja sprawiała mu ból. Miał nadzieję, że po latach przyjaźni Lee dowie się prawdy o muzyce: że jest trzecią szyną życia. Człowiek się jej

chwyta, żeby poczuć wstrząs, który wyrwie go z bagna nudnych godzin, żeby coś poczuć, żeby zapłonąć emocjami, których nie doznaje się w szkole, oglądając telewizję czy wkładając talerze do zmywarki. Ig podejrzewał, że dorastając w przyczepie, Lee przegapił wiele dobrych rzeczy. Będzie musiał nadrabiać zaległości przez parę lat.

— To co chcesz robić, kiedy dorośniesz? — spytał.

— Chciałbym być kongresmenem — odpowiedział Lee z pełnymi ustami.

— Naprawdę? Po co?

— Stworzę takie prawo, żeby wszystkie ćpające dziwki były przymusowo sterylizowane, żeby nie rodziły dzieci, którymi się nie zajmą. — Lee mówił chłodno, bez emocji.

Ig zastanowił się, czy nie chodzi o jego matkę. Lee uniósł rękę do krzyżyka na szyi, położył ją tuż nad obojczykami.

— Myślałem o niej. O naszej dziewczynie z kościoła.

— No myślę. — Ig silił się na wesoły ton, ale nawet we własnych uszach jego głos zabrzmiał ochryple, z rozdrażnieniem.

Lee jakby tego nie zauważył. Spojrzenie miał dalekie, rozkojarzone.

— Pewnie nie jest stąd. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w kościele. Pewnie przyjechała do rodziny. Na pewno nigdy więcej jej

nie zobaczymy. — Zamilkł i dodał: — Ta się wymknęła.

Nie powiedział tego melodramatycznie, raczej z poczuciem humoru.

Prawda utknęła Igowi w gardle, jak tamten kęs kanapki, którym się zakrztusił. Czekala, gotowa wydostać się na zewnątrz — „ona wróci w najbliższą niedzielę” — ale nie mógł jej wypowiedzieć. Nie mógł też skłamać, nie starczyłoby mu odwagi. Był najgorszym kłamcą świata.

Dlatego powiedział tylko:

— Naprawiłeś łańcuszek.

Lee nie spojrzał na krzyżyk, ale zaczął leniwie skubać łańcuszek jedną ręką, gapiąc się na isierki światła na powierzchni basenu.

— No. Noszę go, bo może na nią wpadnę, sprzedając gazety.

— Umilkł na chwilę. — Pamiętasz, mówiłem ci o świńskich pisemkach, które mój dystrybutor ma w magazynie. Jest jedno takie, „Pierwszy Raz”, o dziewczynach, co niby są osiemnastoletnimi dziewicami. To moje ulubione, takie zwyczajne dziewczyny. Chcesz dziewczynę, z którą możesz sobie wyobrazić, że jesteś jej pierwszym. Oczywiście dziewczyny z „Pierwszego Razu” nie są prawdziwymi dziewicami. To widać. Mają tatuaże na biodrach, za mocno malują sobie oczy i mają pseudonimy. Tylko

ubierają się jak niewiniątka. W następnym numerze będą seksownymi policjantkami albo cheerleaderkami i będą tak samo sztuczne. Ale ta dziewczyna z kościoła... ooo, to autentyk. — Uniósł krzyżyk i potarł go palcami. — Nie daje mi spokoju myśl, żeby zobaczyć coś prawdziwego. Moim zdaniem ludzie nie czują nawet połowy tego, co udają. Zwłaszcza dziewczyny zmieniają nastroje jak ciuchy tylko po to, żeby facet był ciągle nimi zainteresowany. Jak Glenna, która podtrzymuje moje zainteresowanie ręczną robotą. Nie dlatego, że to lubi. Dlatego, że nie lubi być samotna. Natomiast kiedy dziewczyna traci dziewictwo, może czuć ból, ale wie, że to się dzieje naprawdę. To może najprawdziwsza, najbardziej intymna rzecz, jaką można zobaczyć u drugiego człowieka. Zastanawiasz się, kim się stanie, kiedy w końcu odrzuci wszystkie pozy. O tym myślę, gdy myślę o tej dziewczynie z kościoła.

Ig pożałował, że zjadł te pół kanapki. Krzyżyk na szyi Lee migotał w słońcu, a kiedy Ig zamknął oczy, nadal to widział, sekwencje rozjarzonych powidoków sygnalizujących straszne ostrzeżenie. Poczul nadchodzącą migrenę.

Otworzył oczy.

— A jak polityka nie wypali, będziesz zarabiał zabijaniem?

— Pewnie tak.

— Jak to będziesz robił? Jaką bronią?

Zastanawiał się, czy sam by nie zabił Lee, żeby odzyskać krzyżyk.

— O kim mówimy? O jakiejś ćpunce, która jest winna pieniądze dilerowi? Czy o prezydencie?

Ig powoli odetchnął.

— O kimś, kto zna prawdę o tobie. O najważniejszym świadku. Jeśli przeżyje, pójdziesz do więzienia.

— Spaliłbym go w samochodzie. Podłożyłbym bombę. Stoję na chodniku, patrzę, jak wsiada. Kiedy rusza, przyciskam guzik pilota, żeby po wybuchu samochód jechał dalej, wielki płonący wrak.

— Czekaj — przerwał mu Ig. — Zaraz. Muszę ci coś pokazać.

Zignorował zaniepokojone spojrzenie Lee, wstał i poszedł do domu. Wrócił po trzech minutach z prawą ręką zaciśniętą w pięść. Lee podniósł głowę i uniósł pytająco brwi. Ig znowu usiadł w leżaku.

— Patrz. — Otworzył dłoń.

Lee spojrzał na petardę z twarzą nieruchomą jak plastikowa maska, ale ta obojętność nie zwiodła Iga, który zaczął go już poznawać. Na widok tego, co leżało na jego otwartej dłoni, Lee mimowolnie usiadł.

— Eric Hannity spłacił dług — powiedział Ig. — Dostałem to za zjechać w wózku po stoku. Widziałeś indyka, nie?

— Przez godzinę z nieba padała mielonka.

— Fajnie byłoby wsadzić to do samochodu, nie? Powiedzmy, że znajdziemy jakiś wrak. Na pewno dałoby się tym zerwać maskę. Terry powiedział, że to petarda sprzed POD.

— Co?

— Sprzed prawa ochrony dzieci. Dzisiejsze petardy są jak pierdnięcia w wannie. W ogóle się nie umywają.

— Jak można je sprzedawać, skoro są nielegalne?

— Nielegalna jest produkcja nowych. Te są z partii starych.

— Już postanowiłeś? Chcesz znaleźć wrak i go wysadzić?

— Nie. Brat kazał mi zaczekać, aż pojedziemy na Cape Cod. W weekend przed Świętem Pracy. Zawiezie mnie, kiedy dostanie prawko.

— To chyba nie moja sprawa, ale nie rozumiem, co on ma z tym wspólnego — powiedział Lee.

— Eric Hannity nie zamierzał mi zapłacić, bo zjechałem ze stoku w tenisówkach. Powiedział, że nie byłem cały goły. Ale Terry to wyśmiał i zmusił Erica. Więc jestem mu coś winien. A Terry chce czekać do Cape Cod.

Po raz pierwszy w czasie ich krótkiej przyjaźni Lee wydał się zirytowany. Skrzywił się, poruszył nerwowo na leżaku, jakby nagle coś zaczęło go uwierać w plecy.

— Głupio, że nazwali je Wiśniami Ewy. Jabłka Ewy byłyby lepsze.

— Dlaczego?

— Z powodu Biblii.

— Biblia mówi tylko, że to owoce z drzewa poznania dobra i zła. Nie twierdzi, że to jabłko. Równie dobrze mogłaby być wiśnia.

— Ja tam w to nie wierzę.

— No — przyznał Ig. — Ja też. Dinozaury.

— Wierzysz w Jezusa?

— Dlaczego nie? Pisało o nim tyle samo osób, co o Juliuszu Cezarze. — Zerknął na Lee, który tak przypominał Cezara, że jego profil powinien się znaleźć na srebrnej monecie. Brakowało mu tylko laurowego wieńca.

— Wierzysz, że czynił cuda? — spytał Lee.

— Może. Nie wiem. Czy to ma znaczenie, jeśli reszta jest prawdziwa?

— Ja raz sprawiłem cud.

Ig pomyślał, że to żadne wielkie halo. Jego ojciec mówił, że raz widział UFO na pustyni w Nevadzie, gdzie pił z perkusistą z

Cheap Trick.

— Było fajnie?

Lee skinął głową z odległym, nieco rozkojarzonym spojrzeniem bardzo błękitnych oczu.

— Naprawilem księżyc. W dzieciństwie. I później. Jestem dobry w naprawianiu. To mi idzie najlepiej.

— Jak się naprawia księżyc?

Lee zmrużył jedno oko, uniósł rękę do nieba, ujął wyimaginowany księżyc między kciuk i palec wskazujący i lekko obrócił. Cicho klasnął językiem.

— O wiele lepiej.

Ig nie chciał mówić o religii, tylko o zniszczeniach.

— Kiedy zapalę ten lont, wydarzy się prawdziwy cud. Wyślę coś do Boga. Masz jakieś pomysły, co by to mogło być?

Lee spojrzał na petardę w sposób, który skojarzył się Igowi z mężczyzną siedzącym przy barze, pijącym jakąś wódę i patrzącym na dziewczynę, która na scenie ściąga majtki. Ich przyjaźń nie trwała długo, ale już ustalili się pewien schemat — w tym momencie Ig powinien dać mu petardę, tak jak dał mu pieniądze, płyty i krzyżyk Merrin Williams. Ale nie zaproponował mu jej, a Lee nie poprosił. Ig wyjaśnił sobie, że nie dał mu jej, ponieważ zawstydził go ostatecznie, dając mu płyty. Prawda wyglądała trochę

inaczej: czuł niską potrzebę zostawienia sobie czegoś, posiadania własnego krzyżyka. Później, po wyjściu Lee, zawstydził się tego impulsu — bogaty szczeniak z basenem, obdarzający skarbami mieszkającego w przyczepie syna samotnej matki.

— Mógłbyś wsadzić ją do dyni — powiedział Lee.

— To za bardzo podobne do indyka.

A potem się zaczęło. Lee podsuwał pomysły, Ig się nad nimi zastanawiał.

Przedyskutowali zalety wrzucenia petardy do rzeki, żeby sprawdzić, czy ogłuszą nią ryby, wrzucenia jej do wygodki, żeby sprawdzić, czy dojdzie do wybuchu gejzeru gówna, wystrzelenia jej z procy w dzwonnice kościoła, by sprawdzić, co będzie, kiedy wybuchnie. Na przedmieściach znajdował się wielki billboard z napisem „Dziki Szkwał — hurtownia żeglarska”. Lee uważał, że przezabawnie będzie przymocować petardę pod literami „szk” i sprawdzić, czy w ten sposób da się zrobić napis „Dziki wał — hurtownia żeglarska”. Lee w ogóle miał mnóstwo pomysłów.

— Ciągłe się zastanawiasz, jaką muzykę lubię — rzekł. — Powiem ci, co lubię. Odgłos wybuchów i brzęk szkła. To muzyka dla moich uszu.

ROZDZIAŁ 17

Ig czekał w kolejce u fryzjera, kiedy z tyłu dobiegło go stukanie. Obejrzał się i zobaczył Glennę. Stała na chodniku tuż obok, gapiła się z nosem przyklejonym do szyby. Była tak blisko, że czułby na karku jej oddech, gdyby nie dzieląca ich tafla szkła. Oddychała na szybę, która zmatowiała od wilgoci. Glenna napisała na niej palcem: TWUJ SISIĄK, i narysowała kreskówkowego zwisającego fiuta.

Serce Igowi załomotało; szybko obejrzał się, sprawdzając, czy matka jest blisko, czy zauważyła. Ale Lydia stała za fotelem fryzjerskim, udzielała wskazówek. Terry siedział przykryty peleryną, cierpliwie czekając na uczynienie go jeszcze piękniejszym. Strzyżenie wroniego gniazda Iga przypominało przycinanie rozrośniętego żywopłotu. Nie było mowy o ładnej fryzurze, tylko o zachowaniu jakiegoś takiego porządku.

Ig obejrzał się na Glennę, gwałtownie potrząsając głową — „Idź stąd!”. Glenna wytarła szybę rękawem swojej niesamowicie niesamowitej skórzanej kurtki.

Nie była sama. Towarzyszył jej Autostrada do Piekła i ten drugi oberwaniec, który kręcił się z nimi przy odlewni, długowłosy

nastoletni chłopak. Obaj stali na parkingu, grzebiąc w kubie na śmieci. o co chodziło z tymi kubłami?

Glenna zabębniła paznokciami w szybę. Były pomalowane na kolor lodu, długie i spiczaste. Ig znowu spojrzął na matkę i zorientował się, że nikt nie zauważy jego nieobecności. Lydia mówiła coś z zaangażowaniem, rysując w powietrzu jakiś kształt, idealny zarys fryzury, a może kulę, kryształową kulę, a w tej kuli przyszłość, w której dziewiętnastoletnia fryzjerka dostawała wielki napiwek za stanie, kiwanie głową i żucie gumy, podczas gdy Lydia będzie ją pouczać, jak ma wykonać swoją pracę.

Wyszedł. Glenna odwróciła się plecami do szyby i oparła o nią jędrny, okrągły tyłek. Gapiła się na Autostradę do Piekła i jego długowłosego kumpla. Stali po obu stronach kubła i worka na śmieci. Długowłosey ciągle dotykał twarzy Autostrady do Piekła, w niemal czuły sposób. Autostrada wybuchał głośnym rechotem przy każdej pieszczocie.

— Dlaczego dałeś Lee ten krzyżyk? — spytała Glenna.

Ig był wstrząśnięty — tego nie spodziewał się usłyszeć. Sam zadawał sobie to pytanie od tygodnia.

— Powiedział, że go naprawi.

— No i naprawił. Dlaczego go nie oddał?

— Nie jest mój, tylko... takiej dziewczyny, co go zgubiła w kościele. Chciałem go naprawić i oddać, ale nie potrafiłem, a Lee powiedział, że zrobi to narzędziami swojego taty, i teraz nosi go na wypadek, gdyby ją spotkał, sprzedając gazety na cele dobroczynne.

— Dobroczynne — prychnęła. — Powinieneś mu go odebrać. I swoje płyty też.

— On nie ma żadnych.

— Bo nie chce. Gdyby chciał, toby je sobie kupił.

— No nie wiem. Płyty są dość drogie, a...

— I co z tego? Nie jest biedny. Mieszka w Harmon Gates. Mój tata zajmuje się ich trawnikiem, stąd go znam. Raz tata posłał mnie do nich, żebym posadziła piwonie. Rodzice Lee mają mnóstwo pieniędzy. Powiedział ci, że nie stać go na płyty?

Wiadomość, że Lee mieszka w Harmon Gates, ma ogrodnika, matkę — zwłaszcza matkę! — oszołomiła Iga.

— Jego rodzice mieszkają razem?

— Czasami mi na to nie wygląda, bo jego matka pracuje w szpitalu Exeter, daleko dojeżdża i często nie ma jej w domu. Pewnie tak jest lepiej. Lee się z nią nie dogaduje.

Ig pokręcił głową. Wydawało się, że Glenna mówi o kimś zupełnie innym, kimś mu nieznanym. Stworzył sobie bardzo

klarowny obraz życia Lee Tourneau — przyczepa, w której Lee mieszkał ze swoim ojcem, kierowcą ciężarówki, matka, która porzuciła go w dzieciństwie, żeby grzać koks i sprzedawać się na ulicy w Bostonie... Lee nigdy nie powiedział wprost, że mieszka w przyczepie ani że jego matka jest uzależnioną prostytutką, ale Ig uważał, że to wynika z jego widzenia świata, z unikania pewnych tematów.

— Powiedział ci, że nie ma pieniędzy? — spytała znowu Glenna.

Ig pokręcił głową.

— Tak myślałam. — Przez chwilę trącała stopą kamyk na ziemi. Potem podniosła głowę. — Jest ładniejsza ode mnie?

— Kto?

— Dziewczyna z kościoła. Ta, co nosiła krzyżyk.

Ig usiłował znaleźć właściwe słowa, miotał się w poszukiwaniu jakiegoś taktownego i miłosiernego kłamstwa — ale kłamstwa nigdy mu nie wychodziły, a jego milczenie też stanowiło jakąś odpowiedź.

— No tak — powiedziała Glenna uśmiechnięta smutno. — Tak myślałam.

Odwrócił wzrok, zbyt speszony tym nieszczęśliwym uśmiechem, żeby móc jej spojrzeć w oczy. Glenna była chyba w

porządku, bezpośrednia i szczerą.

Autostrada do Piekła i długowłose rechotali nad kubłem na śmieci — brzmiało to jak przeraźliwe wrzaski wron. Ig nie miał pojęcia, z czego się śmieją.

— Znasz samochód, który można by podpalić tak, żeby nikt się nie czepiał? Nie czyjś, jakiś wrak?

— Bo co?

— Lee chce podpalić samochód.

Zmarszczyła brwi, usiłując zrozumieć, dlaczego Ig zmienił temat na akurat taki. Potem spojrzała na Autostradę do Piekła.

— Ojciec Gary’ego, mój wujek, ma parę gruchotów w lesie za domem w Derry. Prowadzi warsztat z częściami zamiennymi. A przynajmniej tak twierdzi. Nie wiem, czy odwiedził go jakiś klient.

— Powinnaś o nich wspomnieć Lee.

W szybę za jego plecami zabębniła pięść; oboje odwrócili się i ujrzeli matkę Iga. Lydia uśmiechnęła się do Glenny i uniosła rękę w sztywnym pozdrowieniu, po czym przeniosła spojrzenie na Iga i otworzyła szeroko oczy w grymasie zniecierpliwienia. Skinął głową, ale kiedy matka się odwróciła, nie ruszył od razu do salonu. Glenna przechyliła głowę pytająco.

— Czyli... jeśli będzie się szykować jakieś podpalenie, chcesz się załapać?

— Nie bardzo. Bawcie się, dzieci. — Dzieci — powtórzyła i uśmiechnęła się szerzej. — Jak się obetniesz?

— Nie wiem. Pewnie jak zawsze.

— Powinieneś się ogolić. Na łysą pałę. Wyglądałbyś super.

— Co? Nie. No wiesz, mama.

— To przynajmniej powinieneś się obciąć na krótko i je postawić. Utlenić końce albo co. Twoje włosy to ty. Nie chcesz być kimś interesującym? — Zmierzwiała mu włosy. — Mógłbyś, bez większego wysiłku.

— Chyba nie mam prawa głosu. Mama chce, żebym miał coś praktycznego.

— A to szkoda. Lubię wariackie włosy.

— Tak? — odezwał się Gary vel Autostrada do Piekła. — To mój zad by ci się spodobał.

Oboje spojrzeli na niego i długowłosego. Wyjęli ze śmieci ścinki włosów i przykleili je do twarzy Gary'ego, tworząc kudłatą, rudawobrazową brodę, z jaką van Gogh przedstawiał się na autoportretach. Nie pasowała do błękitnawego cienia na ogolonej głowie Gary'ego.

Glenna skrzywiła się boleśnie.

— Boże. Nikt się na to nie nabierze, debilu.

— Daj mi kurtkę — zażądał Gary. — Włożę i na pewno będę wyglądał na co najmniej dwadzieścia lat.

— Będziesz wyglądał jak debil. I nie pozwolę, żeby cię w niej aresztowali.

— Świetny ciuch — zauważył Ig.

Glenna rzuciła mu zagadkowo żalösne spojrzenie.

— Dostałam od Lee. Bardzo jest hojny.

ROZDZIAŁ 18

Lee otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i je zamknął.

— Co? — spytał Ig.

Lee znowu otworzył usta, zamknął je, otworzył i powiedział:

— Podoba mi się to tra-ta-ta-ta w piosence Glenna Millera. Do tej melodii i trup by zatańczył.

Ig skinął głową bez słowa.

Siedzieli w basenie, bo sierpień powrócił. Skończyły się deszcze i te absurdalne chłody. Zrobiło się prawie czterdzieści stopni, na niebie nie było ani jednej chmurki. Lee naniósł na nos smużkę białego balsamu do opalania, żeby go sobie nie spiec. Ig miał nadmuchiwaną kółko, a Lee opierał się na materacu i obaj unosili się w ciepłej wodzie, tak zachlorowanej, że opary piekły ich w oczy. Było za gorąco, żeby się wygłupiać.

Krzyżyk nadal wisiał na szyi Lee. Spoczywał na materacu, jakby wyciągał się w stronę Iga, przyciągany jego spojrzeniem. Migotał w słońcu złotem, emitując miarowy sygnał staccato. Ig nie musiał znać alfabetu Morse'a, żeby wiedzieć, co oznacza. Sobota,

jutro Merrin Williams zjawi się w kościele. Ostatnia szansa, sygnalizował krzyżyk, ostatnia szansa, ostatnia szansa.

Lee lekko rozchylił wargi. Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale nie wie, jak zacząć. W końcu oznajmił:

— Kuzyn Glenny, Gary, organizuje za parę tygodni ognisko. U siebie. Takie pożegnanie lata. Ma parę domowych petard. Powiedział, że może też skołuje piwo. Chciałbyś przyjść?

— Kiedy?

— W ostatnią sobotę tego miesiąca.

— Nie mogę. Tata gra z Johnem Williamsem i Boston Pops. To premiera. Zawsze chodzimy na jego premiery.

— Aha, rozumiem.

Lee włożył krzyżyk do ust i zaczął go ssać w zamyśleniu. W końcu wypluł go i spytał:

— Zechcesz ją sprzedać?

— Co?

— Wiśnię Ewy. Petardę. Gary ma takiego gruchota. Mówi, że nikogo nie obejdzie, jeśli go zniszczymy. Moglibyśmy go oblać benzyną i wysadzić. — Zorientował się, że powiedział za dużo, i dodał: — Nie dlatego cię zaprosiłem. Z tobą będzie fajniej.

— Wiem. Ale głupio by mi było ci ją sprzedać.

— No wiesz, nie możesz mi ciągle wszystkiego dawać. Jeśli miałbyś ją sprzedać, ile byś chciał? Odłożyłem trochę pieniędzy z napiwków za gazety.

Albo mógłbyś pożyczyć dwudziestkę od mamci, rozległ się w głowie Iga podstępny, jedwabisty głos.

— Nie chcę od ciebie pieniędzy. Ale mogę się zamienić.

— Na co?

— Na to — oznajmił, wskazując krzyżyk.

No i się stało. Powiedział. Następny oddech zatrzymał w płucach, haust rozprężonego, cuchnącego chlorem tlenu, chemicznego i dziwnego. Lee uratował mu życie, wyciągnął nieprzytomnego z rzeki, wtłoczył w niego powietrze i Ig był gotów się odwdzięczyć, czuł, że powinien oddać Lee wszystko — z wyjątkiem tego. Dziewczyna dawała sygnały jemu, nie Lee. Ig rozumiał, że nie ma prawa targować się z Lee, nic go nie usprawiedliwiało, nie miał prawa wmawiać sobie, że zachowuje się jak przyzwoity człowiek. Ledwie zażądał zwrotu krzyżyka, poczuł, że coś w nim obumiera. Zawsze uważał się za dobrego człowieka, niezłomnego bohatera. Ale dobry człowiek by tego nie zrobił. Zatem może istnieją większe priorytety od bycia dobrym człowiekiem.

Lee wbił w niego wzrok; kąciki jego ust drgały w lekkim półuśmiechu. Ig poczuł żar rozlewający mu się na twarzy i właściwie nie całkiem żałował, cieszył się, że dla niej dał się zawstydzić.

— Wiem, że wyskakuję z tym nagle, ale chyba się w niej zabujałem. Powiedziałbym wcześniej, tylko nie chciałem ci wchodzić w drogę.

Lee bez wahania sięgnął na kark i rozpiął łańcuszek.

— Wystarczyło poprosić. Jest twój. Zawsze był. Ty go znalazłeś, nie ja. Ja go tylko naprawiłem. A jeśli to ci pomoże ją poznać, chętnie to także naprawię.

— Myślałem, że ona cię kręci. Chyba nie...

Lee machnął ręką.

— Nie będę rywalizować z przyjacielem o dziewczynę, której imienia nawet nie znam. Dałeś mi tyle płyt. Nawet jeśli większość to szajs, i tak doceniam. Nie jestem niewdzięczny, Ig. Jeśli ją kiedyś zobaczysz, będzie twoja. Stoję za tobą murem. Ale nie sądzę, żeby wróciła.

— Wróci — powiedział Ig cicho.

Lee spojrzał na niego.

Ig powiedział prawdę, zanim zdążył się powstrzymać. Musiał wiedzieć, że Lee nie ma mu tego za złe, bo są przyjaciółmi.

Pozostaną przyjaciółmi do końca życia.

Kiedy Lee się nie odezwał — unosił się na wodzie z tym półuśmiechem na pociągłej, wąskiej twarzy — Ig dodał:

— Spotkałem kogoś, kto ją zna. Nie było jej w zeszłą niedzielę, bo ona i jej rodzice przeprowadzają się z Rhode Island i wrócili po rzeczy.

Lee zdjął krzyżyk z szyi i rzucił do Iga, który go złapał, zanim łańcuszek dotknął wody.

— Bierz ją, tygrysie — powiedział Lee. — Ty to znalazłeś, a ona z jakiegoś powodu na mnie nie leci. Poza tym ostatnio i tak niczego mi nie brakuje, jeśli chodzi o laski. Glenna wczoraj przyszła do mnie, żeby powiedzieć mi o samochodzie Gary'ego, a przy okazji wzięła do buzi. Tylko na chwilę, ale wzięła. — Lee rozpromienił się jak dziecko, które dostało balonik. — Zdzira, nie?

— Niesamowita — przyznał Ig i uśmiechnął się blado.

ROZDZIAŁ 19

Ig zobaczył Merrin Williams, a potem udał, że jej nie widzi, co nie było łatwe, bo serce zaczęło mu łomotać, rzucać się o jego żebra jak wściekły pijak atakujący kraty celi. Myślał o tej chwili nie tylko codziennie, lecz niemal co godzina każdego dnia, odkąd ją zobaczył, i jego układ nerwowy prawie nie wyrabiał, iskrzył jak przeładowana sieć. Dziewczyna miała na sobie kremowe lniane spodnie i białą bluzkę z podwiniętymi rękawami, a włosy tym razem rozpuściła. Spojrzała wprost na niego, gdy szedł wraz z rodziną między ławkami, udając, że jej nie dostrzega.

Lee i jego ojciec przybyli na parę minut przed nabożeństwem i usiedli w ławce po stronie Iga, w pierwszych rzędach. Lee odwrócił głowę i zmierzył dziewczynę przeciągłym spojrzeniem od stóp do głów. Jakby tego nie zauważyła. Spoglądała ze skupieniem na Iga. Lee zakończył oględziny, odwrócił się i spojrzał na Iga spod ciężkich powiek. Pokręcił głową z kpiącą dezaprobatą, po czym znów skierował się twarzą do ołtarza.

Merrin wpatrywała się w Iggy'ego przez całe pięć pierwszych minut nabożeństwa, a on przez cały ten czas ani razu na nią nie spojrzał. Zacisnęła śliskie od potu ręce, wpatrzony w ojca Moulda.

Nie oderwała od niego wzroku, dopóki ojciec Mould nie powiedział: „Módlmy się”. Wtedy uklękła w ławce i złożyła dłonie — i właśnie wtedy Ig wyjął krzyżyk z kieszeni. Ułożył go w zagłębieniu dłoni, złapał nim słoneczny promień i skierował w jej stronę. Po jej policzku przesunął się nierealny świetlisty złoty krzyżyk, dotarł do kącika jej oka. Kiedy błysnął do niej po raz pierwszy, mrugnęła, gdy zrobił to po raz drugi — wzdrygnęła się, po trzecim razie spojrzała na niego. Trzymał nieruchomo dłoń, więc w jej zagłębieniu płonął krzyżyk czystego blasku, rzucającego poblask na policzek dziewczyny. Spojrzała na niego z niespodziewaną powagą — radiotelegrafistka z wojennego filmu, odbierająca od towarzysza broni meldunek decydujący o życiu i śmierci.

Powoli i precyzyjnie przechylał krzyżyk, wysyłając alfabetem Morse’a wiadomość, którą przez ten tydzień wykuł na pamięć. Czuł, że dokładne jej nadanie jest bardzo ważne, więc manipulował krzyżykiem ostrożnie jak napaństwem nitrogliceryny. Skończył, przez chwilę patrzył na dziewczynę, po czym zamknął krzyżyk w dłoni i znowu odwrócił wzrok, z sercem łomoczącym tak głośno, że klęczący obok ojciec musiał je chyba usłyszeć. Ale nie, modlił się z przymkniętymi oczami, pochylony nad złożonymi dłońmi.

Ig Perrish i Merrin Williams starannie unikali swojego wzroku do końca mszy. A raczej, dokładnie mówiąc, nie spoglądali na swoje twarze, choć Ig czuł, że Merrin obserwuje go kątem oka, tak jak on ją, zachwycając się jej sylwetką, gdy śpiewała, stojąc z wyprostowanymi plecami. Jej włosy płonęły.

Ojciec Mould pobłogosławił wiernych i zalecił, by się kochali, co idealnie zgadzało się z zamiarami Iga. Ludzie zaczęli wychodzić, Ig został na miejscu, z ręką ojca na ramieniu, jak zawsze. Merrin Williams wyszła z ławki, także z ojcem za plecami. Ig spodziewał się, że dziewczyna zatrzyma się i podziękuje za znalezienie jej krzyżyka, ale nawet na niego nie spojrzała. Odwróciła się do ojca i wyszli, rozmawiając ze sobą. Ig otworzył usta, żeby się do niej odezwać — a potem zauważył, że dziewczyna kieruje palec wskazujący za siebie, w stronę swojej ławki. Gest był tak niedbały, jakby machała tylko ręką, ale Ig zrozumiał z całą pewnością, że dziewczyna mu pokazuje, gdzie ma na nią poczekać.

Gdy przejście opustoszało, puścił rodziców i brata przodem. Zamiast za nimi pójść, podszedł do ołtarza i prezbiterium. Matka rzuciła mu spojrzenie; wskazał korytarz na zapleczu, w którym znajdowała się łazienka. W końcu ile razy można udawać, że się zawiązuje sznurowadło. Matka poszła dalej, trzymając rękę na

ramieniu Terry'ego, który oglądał się na Iga, podejrzliwie mrużąc oczy, ale pozwolił się odciągnąć.

Ig stał w mrocznym korytarzu prowadzącym do gabinetu ojca Moulda. Dziewczyna wkrótce wróciła, a do tego czasu kościół opustoszał. Rozejrzała się po nawie, ale nie dostrzegła Iga. Stał w mroku. Podeszła do ołtarza, zapaliła świeczkę, przeżegnała się, uklękła i zaczęła się modlić. Włosy zasłoniły jej połowę twarzy, dlatego Ig uznał, że go nie zauważy, kiedy do niej podejdzie. Wcale nie czuł, że do niej podchodzi. Nogi jakby nie należały do niego. Miał wrażenie, że ktoś go wiezie, że znowu znalazł się na wózku z supermarketu — to samo ekstatyczne, a jednocześnie mdlące poczucie nagiej pustki w żołądku, poczucie spadania z krawędzi świata, słodkiego ryzyka.

Nie przerywał jej, dopóki nie podniosła głowy.

— Cześć — odezwał się, kiedy wstała. — Znalazłem twój krzyżyk. Martwiłem się, że nie było cię tydzień temu i że już ci go nie oddam. — Wyciągnął do niej łańcuszek.

Pociągnęła za krzyżyk, wysunęła mu łańcuszek z dłoni, położyła na swojej.

— Naprawiłeś.

— Nie. Mój przyjaciel, Lee Tourneau, go naprawił. Umie naprawiać różne rzeczy.

— Aha. Podziękuj mu ode mnie.

— Sama możesz mu podziękować, jeśli nadal tu jest. Też chodzi do tego kościoła.

— Zapniesz? — spytała. Odwróciła się tyłem do niego, uniosła włosy i pochyliła głowę, ukazując biały kark.

Ig wytarł dłonie o pierś, rozpiął łańcuszek i delikatnie otoczył nim jej szyję. Miał nadzieję, że dziewczyna nie zobaczy, jak mu się trzęsą ręce.

— Widziałaś Lee — dodał Ig, żeby coś mówić. — Siedział za tobą tego dnia, kiedy pękł ci łańcuszek.

— Ten? Chciał mi go wtedy zapiąć. Myślałam, że mnie nim udusi.

— Ja cię chyba nie duszę?

— Nie.

Nie mógł sobie poradzić z zapięciem. Ręce mu za mocno drżały. Czekała cierpliwie.

— Za kogo zapaliłaś świeczkę? — spytał.

— Za moją siostrę.

— Masz siostrę?

— Już nie — powiedziała sucho, głosem wypranym z emocji.

Zrozumiał, że nie powinien pytać.

— Odczytałaś wiadomość? — palnął, posłuszny gwałtownej potrzebie, żeby zmienić temat.

— Jaką wiadomość?

— Tę, którą ci błyskałem. Alfabetem Morse'a. Znasz alfabet Morse'a, prawda?

Roześmiała się — niespodziewanie hałaśliwie, aż Ig prawie wypuścił krzyżyk. Zaraz potem jego palce zrozumiały, co robić, i zapiął łańcuszek. Odwróciła się. Była tak blisko. Gdyby trochę uniósł rękę, dotknąłby jej bioder.

— Nie. Parę razy poszłam na spotkania skautek, ale odeszłam, zanim doszłyśmy do czegoś interesującego. Biwakowania nie muszę się uczyć. Mój ojciec pracował w leśnictwie. Co mi sygnalizowałaś?

Zbiła go z tropu. Już sobie zaplanował całą tę rozmowę, z wielką starannością obmyślił każde jej pytanie i każdą swoją zręczną odpowiedź, a teraz wszystko na nic.

— Ale coś mi wtedy sygnalizowałaś? — spytał.

Znowu się roześmiała.

— Sprawdzalam tylko, jak długo mogę ci błyskać w oczy, zanim się zorientujesz, co robię. Myślałeś, że jaką wiadomość ci przesyłam?

Nie odpowiedział. Tchawica znowu mu się zacisnęła, na twarz buchnął straszliwy żar i po raz pierwszy dotarło do niego, jak idiotyczne było podejrzenie, że dziewczyna w ogóle cokolwiek mu sygnalizowała, a już tym bardziej to, co sobie wmówił — że wysłała mu słowo „my”. Żadna dziewczyna na świecie nie wysłałaby takiej wiadomości chłopakowi, z którym nigdy wcześniej nie rozmawiała. Teraz, kiedy patrzył faktom w oczy, wydało mu się to zupełnie oczywiste.

— Sygnalizowałem „To twoje” — odpowiedział w końcu, uznając, że jedynym bezpiecznym wyjściem jest zignorować pytanie, które mu zadała. Poza tym skłamał, choć zabrzmiało to jak prawda. On także sygnalizował jej pojedyncze słowo. Tym słowem było „tak”.

— Dzięki, Iggy.

— Skąd znasz moje imię? — spytał i zdziwił się, że nagle się zaróżowiła.

— Spytałam kogoś. Zapomniałam dlaczego.

— A ty jesteś Merrin.

Zapatrzyła się na niego pytającymi, zaskoczonymi oczami.

— Spytałem kogoś.

Obejrzała się na drzwi.

— Moi rodzice chyba czekają.

— W porządku.

W przedsiönku kościoła dowiedział się, że są w tej samej klasie, że jej dom znajduje się na Clapham Street i że matka zapisała ją na listę dawców krwi w akcji organizowanej przez kościół. Ig też brał w niej udział.

— Nie widziałam cię na liście — powiedziała Merrin.

Ig zrobił jeszcze trzy kroki, zanim zrozumiał, że to musiało znaczyć, iż szukała jego nazwiska. Zerknął na nią. Uśmiechała się do siebie enigmatycznie.

Wyszli; słońce świeciło tak mocno, że jego rażące promienie oślepiły Iga. Zobaczył pędzącą na niego ciemną plamę, uniósł ręce i złapał piłkę. Kiedy odzyskał wzrok, dostrzegł brata, Lee Tourneau i innych chłopców — nawet Erica Hannity’ego — oraz ojca Moulda, stojących na trawie. Mould krzyknął:

— Ig, tutaj!

Derrick Perrish i ojciec Merrin rozmawiali wesoło, jakby przyjaźnili się od lat. Matka Merrin, chuda kobieta o zaciśniętych bezkrwistych ustach, osłaniała ręką oczy i uśmiechała się do córki w nieco zbolwały sposób. Ten dzień pachniał rozgrzanym asfaltem, rozprażoną karoserią samochodów, świeżo skoszoną trawą. Ig, który nie miał sportowych zdolności, wziął zamach i rzucił piłkę idealnym łukiem. Śmignęła w powietrzu i spadła prosto w duże,

stwardniałe ręce ojca Moulda, który uniósł ją nad głowę i pobiegł przez zielony trawnik, ubrany w czarną koszulę z krótkimi rękawami i koloratkę.

Mecz trwał prawie pół godziny. Ojcowie, synowie i duchowny ścigali się po trawie. Lee został wciągnięty jako rozgrywający. Też nie był specjalnie wysportowany, ale tak wyglądał, spokojny, niemal lodowato spokojny, z krawatem zarzuconym na ramię. Merrin zrzuciła buty i również włączyła się do gry, jedyna dziewczyna wśród nich. Jej matka zawołała:

— Merrin Williams, pobrudzisz spodnie trawą i nigdy ich nie odczyścimy!

Ale ojciec machnął ręką i powiedział:

— Niech się rozerwie.

Umawiali się, że nie będą się przewracać, ale Merrin rzucała się na Iga przy każdej okazji, zbijając go z nóg. Śmieszne, był kasowany przez cienką jak słomka szesnastolatkę. Nikt nie bawił się lepiej niż sam Ig, który wręcz szukał okazji, żeby się jej podłożyć.

— Weź ty się od razu wal na ziemię, jak tylko piłka znajdzie się w grze — powiedziała po piątym czy szóstym razie. — Ja mogę tak cały dzień, słyszysz? Co cię tak śmieszy?

Bo Ig się śmiał.

Kłęcząca nad nim, jej rude włosy łaskotały go w nos. Pachniała cytryną i miętą. Krzyżyk zwisał jej z szyi, znowu do niego błyskał, przekazywał mu wiadomość o niemal nieznośnym ładunku rozkoszy

— Nic — powiedział. — Słyszę cię głośno i wyraźnie.

ROZDZIAŁ 20

Przez resztę lata ciągle na siebie wpadali. Gdy Ig jechał z matką do supermarketu, Merrin była w nim ze swoją matką i jakoś się okazywało, że idą razem, parę kroków za dorosłymi. Merrin miała torbę wiśni, które jedli razem.

— Czy to kradzież? — spytał Ig.

— Nie, jeśli zjemy dowody zbrodni — powiedziała, wypluła pestkę i oddała mu. Oddawała mu pestki, spodziewając się, że się ich pozbędzie — co czynił, wkładając je do kieszeni. Wrócił do domu, niosąc w kieszeni dzinsów słodko pachnący mokry gruzeł pestek rozmiaru dziecięcej piąstki.

A kiedy jaguar musiał pojechać na przegląd, Ig zabrał się z ojcem, bo wiedział, że w firmowym warsztacie pracuje tata Merrin. Nic nie wskazywało na to, że zastanie tam Merrin — w słoneczne środowe popołudnie — ale tam była, siedziała na biurku, machając nogami, jakby na niego niecierpliwie czekała. Wzięli sobie oranżadę z automatu i rozmawiali w korytarzu na zapleczu, pod brzęczącymi świetlówkami. Ona powiedziała mu, że jutro wybiera się z ojcem na Queen's Face. Ig powiedział, że trasa biegnie tuż za jego domem, a ona spytała, czy poszedłby z nimi.

Miała wargi zabarwione oranżadą. Nie musieli się starać, żeby być razem. Przychodziło im to najnaturalniej na świecie.

Całkiem naturalne było też zabieranie Lee. Dzięki niemu sytuacja nie stawała się zbyt poważna. Wprosił się na wyprawę na Queen's Face, powiedział, że chce sprawdzić, czy da się tam zjeżdżać na desce. Ale zapomniał ją zabrać.

Podczas wspinaczki Merrin chwyciła dekolt koszulki i powachlowała się nim, przesadnie dysząc.

— Skaczecie czasem? — spytała, wskazując wodę między drzewami. Rzeka wiła się wśród gęstwiny w dolinie, czarny wąż o roziskrzonych łuskach.

— Ig bez przerwy — odpowiedział Lee, a Ig parsknął śmiechem.

Merrin zaskoczona spojrzała pytająco, lecz Ig tylko pokręcił głową.

— Ale wiesz co? — ciągnął Lee. — Ig ma o wiele fajniejszy basen. Kiedy ją wreszcie zaprosisz?

Ig poczuł mrowiący żar na policzkach. Marzył o tym wiele razy — Merrin w bikini — ale kiedy nadarzała się okazja, żeby poprosić, brakowało mu tchu.

Przez te pierwsze tygodnie rozmawiali o jej siostrze Regan raz, tylko raz. Ig spytał, dlaczego przeprowadzili się z Rhode Island, a

Merrin odpowiedziała, wzruszając ramionami:

— Rodzice załamali się po śmierci Regan, a matka tu dorastała, ma tu całą rodzinę. Zresztą w domu jest jakoś dziwnie, odkąd nie ma Regan.

Regan zmarła w wieku dwudziestu lat na rzadką, wyjątkowo złośliwą odmianę raka piersi. Umierała tylko cztery miesiące.

— To musiało być straszne — wymamrotał Ig idiotyczny ogólnik, choć w tej chwili tylko to wydawało się na miejscu. — Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bym się czuł, gdyby Terry umarł. To mój najlepszy przyjaciel.

— Tak myślałam o Regan i o sobie. — Siedzieli w pokoju Merrin, ona odwróciła się plecami do Iga, pochyliła głowę. Czesła włosy i mówiła dalej, nie patrząc na niego: — Ale kiedy chorowałam, coś powiedziała. Coś wstrętnego. Nie podejrzewałam, że tak o mnie myślała. Poczułam, że właściwie jej nie znałam. W zasadzie mi się upiekło, biorąc pod uwagę, co powiedziała rodzicom. Chyba jej nie wybaczę tego, co powiedziała o tacie. — To ostatnie rzuciła tak lekko, jakby rozmawiali o całkiem nieważnej sprawie. Potem umilkła.

Musiało minąć kilka lat, żeby znowu porozmawiali o Regan. A gdy wtedy Merrin powiedziała mu, że zostanie lekarzem, Ig nie musiał pytać, jaką specjalizację wybierze.

Pewnego sierpniowego dnia Ig i Merrin pracowali przy zbiórce krwi w centrum naprzeciwko kościoła, rozdając papierowe kubki z gazowanym napojem i markizy. Parę wentylatorów leniwie miesiło ciepłe powietrze, a oni wypijali równie dużo soku, co roznosili. Ig właśnie zbierał odwagę, by w końcu zaprosić Merrin na basen, kiedy pojawił się Terry.

Stanął w głębi pomieszczenia, szukając wzrokiem Iga, który podniósł rękę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Terry dał mu znak głową — „Chodź tutaj”. Ten ruch był jakiś sztywny, miał w sobie napięcie i niepokój. Właściwie sama obecność brata budziła niepokój. Terry nie należał do tych, co się choćby zbliżą do kościelnej imprezy w piękne letnie popołudnie, jeśli mogą tego uniknąć. Idąc między leżankami z krwiodawcami, w których ramiona wkłuto rurki, Ig niemal nie zdawał sobie sprawy, że Merrin mu towarzyszy. Wszędzie pachniało środkiem dezynfekującym i krwią.

Kiedy Ig dotarł do brata, Terry chwycił go za ramię, ścisnął je boleśnie. Pociągnął go do holu, gdzie nie było nikogo. Za drzwiami płonął rozprążony, martwy dzień.

— Dałeś mu petardę?

Ig nie musiał pytać, o kogo chodzi. Poprzedniego dnia Lee pojechał do Gary’ego. Teraz Ig uświadomił sobie, że nie widział go

dziś w kościele.

— Razem z innymi kretynami przykleił petardę do szyby wraku i uciekł — opowiadał Terry. — Ale nie wybuchła od razu i Lee myślał, że lont zgasł. Tak bywa. Wrócił, żeby sprawdzić, i w tej chwili szyba wybuchła, a szkło bryznęło na wszystkie strony. Ig! Wyciągnęli mu z lewego oka taki kawał! Podobno to cud, że nie przebił mu mózgu.

Ig chciał krzyknąć, ale coś mu się stało z piersią, jakby dostał dawkę nowokainy. Nie mógł się odezwać, nie potrafił wydusić z gardła żadnego dźwięku.

— Gdzie twój inhalator? — odezwała się Merrin. Głos miała spokojny i pewny. Już wiedziała o jego astmie.

Z trudem wysupłał inhalator z kieszeni, upuścił na podłogę. Merrin go podniosła. Włożył inhalator do ust i odetchnął przeciągle, wessał wilgotne powietrze.

— Słuchaj, Ig — powiedział Terry. — Nie chodzi tylko o oko. Lee ma poważne kłopoty. Słyszałem, że z karetką przyjechała policja. Pamiętasz tę jego deskę? Okazuje się, że jest kradziona. Odebrali jego dziewczynie skórzaną kurtkę za dwieście dolarów. Policjanci poprosili dziś rano jego ojca o pozwolenie na przeszukanie pokoju Lee i znaleźli mnóstwo kradzionych rzeczy. Lee pracował przez parę tygodni w supermarkecie i sklepie

zoologicznym, miał klucz do korytarza służbowego, który biegnie za sklepami. Wyniósł sterty towaru. Miał gazety, które podkradał z kiosku i sprzedawał ludziom, udając, że zbiera pieniądze na jakiś zmyślony cel dobroczynny. Gnojek ma nasrane w głowie. Trafi do sądu dla nieletnich, jeśli któryś sklep go oskarży. Będzie lepiej dla niego, jeśli oślepnie na jedno oko. Może ludzie będą mu współczuć i nie...

— O Boże! — jęknął Ig, który usłyszał tylko „jeśli oślepnie na jedno oko” i „wyciągnęli mu taki kawał!”. Wszystko inne zmieniło się w niezrozumiały hałas, jakby Terry grał na trąbce jakąś awangardową melodię. Ig płakał i ścisnął dłoń Merrin. Kiedy go wzięła za rękę? Nie wiedział.

— Musisz z nim porozmawiać — oznajmił Terry. — Powiedz mu, żeby trzymał gębę na kłódkę. Musimy się zatroszczyć o własne tyłki. Jeśli ktoś się dowie, że dostał tę petardę od ciebie... a ty ode mnie... o Jezu! Wyrzucą mnie z orkiestry.

Ig nie mógł się odezwać, musiał jeszcze raz zaciągnąć się inhalatorem. Dygotał.

— Dasz mu sekundę? — warknęła Merrin. — Niech chociaż odzyska oddech.

Terry rzucił jej zaskoczone, przenikliwe spojrzenie. Rozchylił na chwilę usta. Potem je zamknął i już się nie odezwał.

— Chodź, Ig — dodała Merrin. — Wyjdźmy.

Ig poszedł za nią na dygoczących nogach. Terry został.

Powietrze stało nieruchomo, ciężkie od wilgoci i narastającego napięcia. Wcześniej niebo było czyste, teraz napłynęły ciężkie chmury, ciemne i ogromne jak flota lotniskowców. Podmuchy gorącego wiatru uderzały nie wiadomo skąd. Ten wiatr pachniał jak rozgrzane żelazo, jak szyny w słońcu, stare rury, a kiedy Ig zamknął oczy, zobaczył trasę Evela Knievela, te dwie rury wystające z ziemi jak szyny kolejki górskiej.

— To nie twoja wina — odezwała się Merrin. — On nie będzie miał ci tego za złe. Chodź. Zbiórka krwi prawie skończona. Zabierzmy nasze rzeczy i idźmy do niego. Natychmiast. Ty i ja.

Ig zadrzał na myśl, że mogłaby mu towarzyszyć. Dokonał wymiany — petarda w zamian za nią. Zabranie jej do Lee byłoby okropne. Jakby z niego kpił. Żyje dzięki Lee, a odpłacił mu, zabierając Merrin, i proszę, co się stało, Lee ośleplł na jedno oko, stracił je, i to wszystko przez Iga. On dostał dziewczynę i życie, przyjaciel — kawał szkła w oku i kalectwo. Ig znowu głęboko zaciągnął się inhalatorem, oddychanie zaczęło sprawiać mu trudność.

Kiedy wreszcie zdołał zaczerpnąć dość powietrza, powiedział:

— Nie możesz ze mną pojechać.

Już teraz coś mu podpowiadało, że może odpokutować za to, tylko rozstając się z nią, ale jednocześnie coś innego — to samo coś, co kazało mu wymienić się na krzyżyk — wiedziało, że tego nie zrobi. Podjął decyzję wiele tygodni temu, zawarł układ nie tylko z Lee, ale z samym sobą, że zrobi wszystko, by móc być z Merrin Williams. Rezygnacja z niej nie zrobi z niego pozytywnego bohatera.

— Dlaczego? To także mój przyjaciel — zaprotestowała i Ig najpierw zdziwił się, że to powiedziała, a potem — że nie domyślił się tego wcześniej.

— Nie wiem, jak się zachowa. Może będzie na mnie wściekły. Może coś powie o tej wymianie. — Ledwie te słowa padły z jego ust, zrozumiał, że nie powinien ich mówić.

— Jakiej wymianie? — Pokręcił głową, ale spytała znowu:

— Co wymieniłeś?

— Nie będziesz się gniewać?

— Nie wiem. Powiedz i zobaczymy.

— Kiedy znalazłem twój krzyżyk, Lee wziął go ode mnie, żeby naprawić. A potem chciał ten krzyżyk zatrzymać i musiałem się z nim na coś wymienić. Na tę petardę.

Zmarszczyła brwi.

— No i...?

Zapatrzył się na nią bezsilnie, błagał ją w duchu, żeby zrozumiała, ale nie rozumiała, więc wyjaśnił:

— Chciał zatrzymać krzyżyk, żeby mieć pretekst do spotkania z tobą.

Jeszcze przez chwilę nie rozumiała. Potem oczy jej błysnęły. Nie uśmiechnęła się.

— Myślisz, że wymieniłeś... — zaczęła i urwała. Zaraz podjęła, patrząc na niego ze spokojem tak zimnym, że jaja się od niego kurczyły. — Myślisz, że wymieniłeś się na mnie? Sądzisz, że tak to działa? I myślisz, że gdyby to on, nie ty, oddał mi krzyżyk, teraz byłby... — Ale nie powiedziała tego, bo wtedy musiałaby przyznać, że ona i Ig są razem, o czym wiedzieli oboje, choć żadne nie chciało tego powiedzieć na głos. Zaczęła po raz trzeci: — Ig, zostawiłam go na ławce dla ciebie.

— Zostawiłaś...?

— Nudziłam się. Strasznie się nudziłam. Siedziałam tam i wyobrażałam sobie sto innych poranków, smażenie się w słońcu w tym kościele, umieranie po troszeczkę co niedziela, kiedy ojciec Mould bredzi o moich grzechach. Musiałam mieć na co czekać. Mieć jakiś powód, żeby tu przyjść. Nie chcę już dłużej słuchać, jak jakiś facet mówi o grzechach. Sama chcę je popełniać. A potem zobaczyłam ciebie. Siedziałeś jak mały świętoszek, chłonałeś

każde słowo, jakby to było strasznie interesujące, i wiedziałam, po prostu wiedziałam, że narąbanie ci w głowie zapewni mi wiele godzin rozrywki.

*

W końcu Iga odwiedził Lee Tourneau sam. Gdy wrócił z Merrin do miejskiej świetlicy, żeby pozbierać pudełka po pizzy i puste butelki po soku, rozległ się grzmot trwający co najmniej dziesięć sekund — basowy, przeciągły pomruk, nie tyle słyszalny, ile odczuwalny. Kości Iga zadrżały jak kamertony. Pięć minut później w dach zabębnił deszcz tak głośno, że Iga musiał krzyczeć, by Merrin go usłyszała, choć stała tuż obok. Zrobiło się ciemno, a strugi wody spadały z taką siłą, że z otwartych drzwi nie było widać krawężnika. Myśleli, że pojedą do Lee rowerami, ale przyjechał ojciec Merrin, żeby odwieźć ją samochodem do domu, i musieli się rozstać.

Terry dostał prawo jazdy dwa dni wcześniej, zdał za pierwszym razem i następnego dnia zawiózł Iga do Lee Tourneau. Burza rozdarła wiele drzew, zwała słupy telefoniczne i Terry musiał lawirować jaguarem wśród połamanych gałęzi i przewróconych skrzynek pocztowych. Całkiem jakby jakaś wielka podziemna eksplozja zatrzęsała całym miastem i zostawiła je w stanie ruiny.

Osiedle Harmon Gates było plątaniną podmiejskich uliczek. Domy pomalowane na cytrusowe kolory, garaże na dwa samochody, od czasu do czasu basen na tyłach domu. Matka Lee, pielęgniarzka, około pięćdziesiątki, stała przed domem w stylu królowej Anny. Zdejmowała gałęzie z zaparkowanego cadillaca, zaciskając usta z irytacją. Terry zaczekał, aż Iga wysiądzie, i powiedział, żeby zadzwonił do domu, kiedy będzie chciał wrócić.

Lee miał duży pokój w piwnicy. Pani Tourneau zaprowadziła Iga na dół i otworzyła drzwi mrocznego pomieszczenia, w którym jedyne źródło światła stanowił mżący błękitem telewizor.

— Masz gościa — rzuciła krótko.

Wpuściła Iga do środka i zamknęła drzwi, zostawiając ich razem.

Lee siedział na posłaniu bez koszuli, ściskając mocno ramę łóżka. Akurat leciała powtórka „Bensona”, choć Lee wyłączył dźwięk, więc telewizor był tylko źródłem światła i ruchu sylwetek na ekranie. Lewe oko Lee zasłaniał bandaż spowijający mu prawie całą głowę. Rolety w oknach były opuszczone. Lee nie spojrzał na Iga, nie patrzył w telewizor, tylko w podłogę.

— Ciemno tu — odezwał się Iga.

— Od słońca boli mnie głowa.

— Jak twoje oko?

— Nie wiadomo.

— Czy jest szansa...

— Uważają, że nie stracę w nim wzroku zupełnie.

— To dobrze.

Lee milczał. Ig czekał.

— Wiesz wszystko?

— Nic mnie to nie obchodzi — oznajmił Ig. — Wyciągnąłeś mnie z rzeki. To wszystko, co muszę wiedzieć.

Nie uświadamiał sobie, że przyjaciel płacze, dopóki nie usłyszał stłumionego bolesnego jęku. Lee płakał jak ktoś znoszący pomniejszy akt sadyzmu — przypalanie papierosem wgniatanym w wierzch dłoni. Ig podszedł bliżej i potrącił stertę płyt.

— Chcesz je z powrotem? — spytał Lee.

— Nie.

— To czego chcesz? Pieniędzy? Nie mam.

— Jakich pieneędzy?

— Za te pisma, które ci sprzedałem. Za te, które ukradłem. —

To ostatnie powiedział z soczystą goryczą.

— Nie.

— To po co przyszedłeś?

— Bo jesteśmy przyjaciółmi. — Ig zrobił kolejny krok i nagle krzyknął. Lee płakał krwią, która przemoczyła bandaż i ściekała z

boku lewego policzka. — Co ci jest?

— Boli, kiedy płaczę. Muszę się nauczyć powstrzymywać smutek. — Lee oddychał gwałtownie, jego ramiona podnosiły się i opadały. — Powinienem ci powiedzieć. O wszystkim. Zachowałem się jak gówniarz, sprzedając ci te gazety. Kłamiąc, po co mi one. Kiedy poznałem cię lepiej, chciałem to odkręcić, ale było za późno. Nie tak się traktuje przyjaciela.

— Nie musimy od tego zaczynać. Strasznie żałuję, że dałem ci petardę.

— Zapomnij. Sam chciałem. Moja decyzja. Nie musisz się o to martwić. Tylko nie postanów mnie znienawidzić. Bardzo potrzebuję kogoś, kto nadal będzie mnie lubił.

Nie musiał prosić. Na widok krwi przesączającej się przez bandaż Igowi ugięły się kolana. Z największym wysiłkiem unikał myśli, jak kusił Lee, mówiąc o tym, co mogliby razem wysadzić w powietrze petardą. Jak się starał odebrać Merrin przyjacielowi, który wszedł do rzeki i go z niej wyciągnął — takiej zdrady, której nie można wybaczyć.

Usiadł obok Lee.

— Powiedziała ci, żebyś się ze mną nie zadawał — odezwał się jego przyjaciel.

— Mama? Nie, cieszy się, że do ciebie przyjechałem.

— Nie twoja mama, Merrin.

— No coś ty. Chciała ze mną przyjechać. Martwi się o ciebie.

— Tak? — Lee dziwnie zadrżał, jakby z zimna. — Wiem, dlaczego to się stało.

— To główniany wypadek. Nic więcej.

Lee pokręcił głową.

— To przypomnienie.

Ig milczał. Czekał, ale Lee nie powiedział nic więcej.

— O czym? — spytał Ig.

Lee znowu walczył ze łzami. Wytarł wierzchem ręki krew z policzka, zostawiając na nim długą ciemną smugę.

— Przypomnienie o czym? — spytał znowu Ig, ale Lee dygotał z wysiłku, by się nie rozplakać, i w końcu mu nie powiedział.

OGNISTE KAZANIE

ROZDZIAŁ 21

Ig zostawił za sobą dom rodziców, leżącą na trawie babcię i zdruzgotany fotel, Terry'ego i jego straszne wyznanie, nie mając pojęcia, dokąd jedzie. Wiedział tylko, dokąd nie jedzie: do mieszkania Glenny, do miasta. Nie zniósłby widoku kolejnej ludzkiej twarzy, dźwięku ludzkiego głosu.

Zamknął drzwi umysłu, oparł się o nie całym ciężarem, a dwie osoby napierały na nie od drugiej strony, usiłując wedrzeć się w jego myśli: jego brat i Lee Tourneau. Musiał przywołać całą siłę woli, żeby obronić przed nimi to ostatnie schronienie, wyrzucić ich z głowy. Nie wiedział, co by się stało, gdyby w końcu sforsowali drzwi, nie miał pewności, co by zrobił.

Jechał wąską szosą stanową, przez opromienione słońcem pastwiska, pod drzewami, których gałęzie zwisały nad drogą, korytarzami migotliwej ciemności. Na poboczu zauważył przewrócony wózek z supermarketu i zastanowił się, jak to jest, że te wózki trafiają na takie pustkowia. Jak widać na przykładzie, nie można przewidzieć, do jakich celów wykorzystają je inni. Ig porzucił Merrin Williams na jedną noc — w porywie

szczeniackiego, świętoszkowatego gniewu zostawił swoją najlepszą na świecie przyjaciółkę — i proszę, co się wydarzyło.

Pomyślał o tym, jak dziesięć lat temu zjechał po trasie Evela Knievela wózkowym ekspresem, i odruchowo uniósł lewą rękę do nosa, nadal skrzywionego w miejscu złamania. Jego umysł nieproszony wyrzucił obraz babci zjeżdżającej na wózku długim zboczem przed domem, dużych kół turkoczących po wyboistym trawiastym gruncie. Ig zastanowił się, co sobie złamała, gdy wreszcie zderzyła się z płotem. Miał nadzieję, że kark. Powiedziała, że kiedy go widzi, ma ochotę umrzeć, a on żył po to, by spełniać marzenia. Lubił myśleć, że zawsze był wzorowym wnukiem. Jeśli ją zabił, uzna to za dobry początek, ale nadal czekało go mnóstwo pracy.

Żołądek mu się skręcił, co wziął za objaw rozpaczki, dopóki nie usłyszał burczenia. Musiał przyznać, że jest głodny. Zastanowił się, gdzie może coś zjeść przy minimalnym kontakcie z ludźmi, i w tej samej chwili ujrzał po lewej stronie knajpę The Pit.

Tu zjedli ostatnią kolację, tu spędził ostatni wieczór z Merrin. Od tej pory nie był tutaj. Wątpił, żeby go mile powitano. Sama ta myśl stanowiła wystarczające zaproszenie. Skręcił na parking.

Było wczesne popołudnie, ten ospały czas między obiadem a drinkiem po pracy. Na parkingu stało tylko kilka samochodów,

należących pewnie, jak domyślał się Ig, do najbardziej niepoprawnych alkoholików. Na szyldzie przed drzwiami widniał napis:

SKRZYDEŁKA 10 CENTÓW
BUDWEISER 2 DOLARY
WOLNE WEJŚCIE DLA PAŃ W CZWARTKI PRZYJDŹ
ZOBACZYĆ DZIEWCZYNY
NAPRZÓD. CHŁOPAKI!

Wysiadł z samochodu, słońce świeciło mu w plecy, jego cień rozciągał się na trzy metry — czarna rogata chuda postać, kościane szpice na głowie wskazywały ku czerwonym drzwicom The Pit.

*

Kiedy przekroczył próg, Merrin już czekała. Choć meczowi przyglądał się tłum studentów, natychmiast ją zobaczył. Siedziała przy ulubionym stoliku, zwrócona twarzą do wejścia. Jej widok — jak zawsze, zwłaszcza gdy na jakiś czas się rozstawali — w przedziwny sposób przypominał mu o własnym ciele, o nagiej skórze pod ubraniem. Nie widzieli się od trzech tygodni, a po tym wieczorze znowu stracą się z oczu do Bożego Narodzenia, ale na razie czeka ich koktajl krewetkowy, piwo i figle w chłodnej, świeżo wypranej pościeli w łóżku Merrin. Rodzice Merrin byli na lotnisku

nad Winnepesaukee, a oni mieli cały dom dla siebie. Ig czuł suchość w ustach na myśl o tym, co go czeka po kolacji, i trochę żałował, że w ogóle zawracają sobie głowę drinkami i jedzeniem. Ale czuł też, że to ważne, by się nie spieszyć, by powoli smakować ten wieczór.

Nie chodziło o to, że nie mieli o czym rozmawiać. Merrin się martwiła i nie trzeba było geniusza, żeby zgadnąć powód. Ig wyjeżdżał jutro za piętnaście dwunasta liniami British Airways, żeby pracować dla Amnesty International. Miał pozostać za oceanem przez pół roku. Jeszcze nigdy nie rozstali się na tak długo.

Zawsze potrafił poznać, kiedy Merrin się czymś martwi, znał wszystkie symptomy. Zamyślała się. Wyglądała wszystko — serwetki, spódnicę, jego krawaty — jakby rozprostowując te drobiazgi, mogła wydeptać prostą ścieżkę do jakiejś czekającej ich bezpiecznej przystani. Zapominała się śmiać, stawała się niemal komicznie poważna i dojrzała. Zawsze go wtedy bawiła; przywodziła mu na myśl małą dziewczynkę strojącą się w ubrania mamy. Nie mógł brać poważnie jej powagi.

Jej troska była nielogiczna, choć Ig wiedział, że troska i logika rzadko chodzą w parze. Ale litości! Nie przyjąłby tej pracy w Londynie, gdyby go do tego nie namówiła, nie zmusiła. Merrin nie

pozwoliła mu zrezygnować, niemiłosierną argumentacją pozbawiła go wszystkich wątpliwości. Powiedziała, że dzięki półrocznemu okresowi próbnemu niczego nie ryzykuje. Jeśli mu się nie spodoba, może wrócić. Ale spodoba mu się. To dokładnie taka praca, jakiej pragnął, praca marzeń, i oboje o tym wiedzieli. A jeśli będzie zadowolony — na pewno będzie — i postanowi zostać w Anglii, ona do niego przyjedzie. Harvard miał program współpracy z londyńskim Imperial College, a jej opiekun w Harvardzie, Shelby Clarke, wybierał kandydatów, więc dostałaby się bez żadnej wątpliwości. Mogliby wynająć w Londynie mieszkanie. Ona podawałaby mu herbatę z crumpetami na five o'clock, ubrana tylko w figi, a potem będą się bzykali. Ig był bezbronny. Zawsze uważał, że słowo „figi” jest tysiąc razy seksowniejsze niż „majtki”. Dlatego przyjął pracę i został wysłany do Nowego Jorku na trzytygodniowe letnie szkolenie oraz sesję orientacyjną. Teraz wrócił, a Merrin zaczęła wszystko wyglądać, co go wcale nie zdziwiło.

Ruszył do niej, przeciskając się w tłoku. Pochylił się nad stolikiem, by ją pocałować, po czym usiadł naprzeciwko. Nie odwróciła do niego twarzy, musiał się zadowolić cmoknięciem w skroń.

Przed nią stał pusty kieliszek po martini, a kiedy zjawiała się kelnerka, Merrin zamówiła następne i piwo dla Iga. Rozkoszował się gładką linią jej szyi, ciemnym lśnieniem włosów w przyćmionym świetle i początkowo słuchał jednym uchem, pomrukując we właściwych miejscach. Ocknął się dopiero wtedy, gdy powiedziała mu, że pobyt w Londynie powinien traktować jako wakacje od ich związku, a nawet wtedy sądził, że chciała żartować. Nie rozumiał, że to nie żart, dopóki nie zaczęła tłumaczyć, że według niej oboje powinni się spotykać z innymi.

— Bez ubrania — dodał Ig.

— Nie zawadzi — oznajmiła i chlapnęła sobie tak z pół kieliszka.

Nie jej słowa, lecz sposób, w jaki piła, przyprawiły go o zimny wstrząs lęku. Piła dla kurażu i już miała za sobą jeden, może dwa drinki.

— Myślisz, że nie mogę poczekać parę miesięcy? — spytał. Chciał dodać żart o masturbacji, ale zanim dotarł do puenty, wydarzyło się coś dziwnego. Oddech utknął mu w gardle i słowa nie chciały paść.

— Nie chcę się martwić o to, co wydarzy się za parę miesięcy. Nie wiemy, co będziesz czuć za parę miesięcy. Albo co ja będę czuć. Nie chcę, byś myślał, że musisz wrócić do domu ze względu na

mnie. Ani żebyś zakładał, że do ciebie przyjadę. Myślmy tylko o tym, co dzieje się teraz. Spójrz na to w ten sposób: z iloma dziewczynami byłeś? Tak w ogóle?

Patrzył na nią w osłupieniu. Widział już wiele razy tę ładną skupioną minę, ale jeszcze nigdy go tak nie przeraziła.

— Znasz odpowiedź.

— Tylko ze mną. Nikt tak nie robi. Nikt nie przeżywa całego życia z pierwszą osobą, z którą się przespał. Nie te czasy. Na tej planecie nie ma ani jednego takiego człowieka. Trzeba mieć inne romanse. Co najmniej dwa albo trzy.

— Tak to nazywasz? Romanse? Jak wytwornie.

— Proszę bardzo. Musisz zerznąć jeszcze parę innych osób.

Tłum ryknął radośnie. Ktoś zaliczył home run.

Ig chciał coś powiedzieć, ale w ustach mu zaschło i musiał pociągnąć łyk piwa. W szklance została tylko resztką. Nie pamiętał, kiedy piwo się tu znalazło i kiedy je wypił. Było ciepławe i lekko słone, jak morska woda. Merrin wyczekała, aż do jego zamorskiej podróży zostanie dwanaście godzin, by mu to powiedzieć, by powiedzieć mu, że...

— Zrywasz ze mną? Chcesz ze mną skończyć? I zaczekałaś aż do dziś?

Kelnerka stała przy ich stoliku z koszykiem chipsów i sztucznym uśmiechem.

— Zamawiają państwo coś do picia? — spytała.

— Jeszcze raz martini i piwo — odezwała się Merrin.

— Nie chcę piwa — powiedział Ig i nie poznał własnego ochryplego, naburmuszonego, niemal dzieciennego głosu.

— W takim razie dwa martini — zamówiła Merrin.

Kelnerka odeszła.

— Co to ma znaczyć, do cholery? Mam bilet na samolot, wynajęte mieszkanie. Spodziewają się, że od poniedziałku zacznę pracę, a ty mi tu wyskakujesz z czymś takim. Czego oczekujesz? Chcesz, żebym do nich jutro zadzwonił i powiedział: „Dziękuję, że daliście mi pracę, o którą ubiegało się siedmiuset innych kandydatów, ale muszę zrezygnować”? Czy to test sprawdzający, co cenię sobie bardziej, ciebie czy pracę? Bo jeśli tak, to wiedz, że jest szczeniacki i obraźliwy.

— Nie, Ig. Chcę, żebyś pojechał i...

— Zerznął kogoś innego.

Ramiona jej drgnęły. Sam się trochę zdziwił, nie spodziewał się, że jego głos może zabrzmieć tak brzydko. Skinęła głową.

— Zrobisz to teraz albo później, ale w końcu zrobisz.

Nie wiadomo dlaczego przyszło mu do głowy zdanie wypowiedziane przez brata: „Krótko mówiąc, jest tak: możesz przeżyć resztę swoich dni jako kaleka albo cienias”. Ig nie wiedział, czy Terry naprawdę powiedział coś takiego, możliwe, że te słowa były wytworem jego wyobraźni, a jednak usłyszał je wyraźnie jak ulubioną piosenkę.

Kelnerka ostrożnie postawiła martini przed Igiem, a on przechylił je do ust, przełknął od razu jedną trzecią. Jeszcze nigdy nie pił tego drinka i słodki, palący smak go zaskoczył. Powoli wsączył mu się w gardło i rozprzestrzenił na płuca. Ig poczuł w piersi rozpalony piec, twarz go zaszczypała od potu. Uniósł rękę do gardła, szarpnął węzeł krawata, rozluźnił. Dlaczego włożył koszulę? Smażył się w niej. Znalazł się w piekle.

— Zawsze będzie cię to dręczyć — powiedziała Merrin. — Pytanie, co cię ominęło. Tacy są mężczyźni. Myślę praktycznie. Nie czekam, aż się pobierzemy i będziemy się kłócić z powodu twojego romansu z opiekunką do dziecka. Nie zamierzam być powodem twoich żalów.

Starał się zachować cierpliwość, spokojny głos, dobry humor. Spokój zdołał osiągnąć. Dobry humor nie wchodził w grę.

— Nie mów mi, jak myślą inni mężczyźni. Wiem, czego chcę. Chcę życia, o którym marzyliśmy. Ile razy rozmawialiśmy, jakie

imiona damy dzieciom? To wszystko było tylko takie gadanie?

— W tym część problemu. Zachowujesz się, jakbyśmy już mieli dzieci, jakbyśmy byli małżeństwem. Nie jesteśmy! Dla ciebie te dzieci już istnieją, bo żyjesz marzeniami, nie naprawdę. A ja nie wiem, czy w ogóle chcę mieć dzieci.

Ig zerwał krawat, rzucił go na stół. W tej chwili nie mógł znieść dotyku czegokolwiek na szyi.

— Dobrze udawałaś. A myślałem, że byłaś za przez wszystkie osiem tysięcy naszych rozmów.

— Nie wiem, za czym jestem. Nie miałam szansy oderwać się od ciebie i zastanowić się nad swoim życiem, odkąd się poznaliśmy. Nie miałam jednego dnia...

— Więc dusisz się przy mnie? To mi mówisz? Bzdura!

Odwróciła twarz, spojrzała niewidzącym wzrokiem w głąb pomieszczenia, czekając, aż minie mu gniew. Ig odetchnął przeciągle, ze świstem, zapowiedział sobie, że nie wolno mu krzyczeć, i spróbował jeszcze raz.

— Pamiętasz ten dzień w domku na drzewie? — spytał. — W tym, którego nie mogliśmy więcej znaleźć, tym z białymi zasłonami? Powiedziałaś, że zwykłym parom się to nie zdarza. Powiedziałaś, że jesteśmy inni. Powiedziałaś, że nasza miłość jest wyjątkowa, że jesteśmy jedyną parą z miliona, której dano to, co

mamy. Powiedziałaś, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Powiedziałaś, że nie można zamykać oczu na znaki.

— To nie był znak. To tylko popołudniowy seks w czymś domku na drzewie.

Ig wolno pokręcił głową. Rozmowa z nią była jak opędzanie się rękami przed chmarą szerszeni. Na nic się to nie przydaje, boli, a jednak nie można się powstrzymać.

— Nie pamiętasz, że go szukaliśmy? Szukaliśmy przez całe lato i nie zdołaliśmy go znaleźć. A ty powiedziałaś, że to był zmyślony domek.

— Powiedziałam tak, żebyśmy mogli przestać go szukać. Dokładnie o to mi chodzi. Ty i twoje magiczne myślenie. Seks nie może być tylko seksem, musi być doświadczeniem transcendentnym, przełomowym. To przygnębiające i dziwne, i mam dość udawania, że to normalne. Czy ty siebie nie słyszysz? Dlaczego w ogóle mówimy o tym pieprzonym domku na drzewie?

— Mam dość tych świństw.

— Nie podoba ci się? Nie lubisz, jak mówię o seksie? Dlaczego? Czy to ci burzy wyobrażenie o mnie? Ty nie chcesz prawdziwej kobiety. Chcesz świętą wizję, do której możesz się brandzlować.

— Widzę, że jeszcze się państwo nie zdecydowali. — Kelnerka znowu stała przy nich.

— Dwa razy to samo — rzucił Ig i odeszła.

Wpatrywali się w siebie. Ig zaciskał palce na blacie, niebezpiecznie bliski przewrócenia stolika.

— Poznaliśmy się jako dzieci — powiedziała Merrin. — Pozwoliliśmy, żeby ta znajomość stała się o wiele poważniejsza niż inne licealne znajomości. Jeśli będziemy częściej spotykać się z innymi, zyskamy porównanie. Może do siebie wrócimy i wtedy się okaże, że potrafimy się kochać jako dorośli tak, jak się kochaliśmy w dzieciństwie. Nie wiem. Po pewnym czasie może zobaczymy wyraźniej, co mamy sobie do zaoferowania.

— A co mamy sobie do zaoferowania? Mówisz jak urzędniczka z banku.

Merrin pocierała dłonią szyję, jej oczy miały żaloszny wyraz i wtedy właśnie Ig zauważył, że zdjęła krzyżyk. Zastanowił się, czy to symboliczny gest. Ten krzyżyk był jak pierścienek zaręczynowy długo wcześniej, nim któreś z nich wspomniało o zostaniu razem przez całe życie. Z całą pewnością nie pamiętał, żeby widział ją bez tego krzyżyka — po tej myśli jego pierś wypełniło mdlące, wietrzne uczucie.

— Upatrzyłaś już sobie kogoś? — spytał. — Kogoś, kogo przelecisz w celu zyskania porównania?

— Nie myślę o tym w ten sposób. Tylko...

— Owszem, myślisz. O to tu chodzi, sama to powiedziałaś. Musimy się różnić z innymi.

Otworzyła usta, zamknęła je, znowu otworzyła.

— Tak, chyba tak. Chyba chodzi też o to. Muszę sypiać z innymi. W przeciwnym razie wyjechałbyś i żyłbyś tam jak mnich. Będzie ci łatwiej, jeśli będziesz wiedział, że to robię.

— Czyli masz kogoś.

— Mam kogoś, z kim... poszłam na randkę. Raz czy dwa razy.

— Kiedy byłem w Nowym Jorku. — Nie spytał. Stwierdził. — Kogo?

— Nie znasz. To nieważne. — Ale chcę wiedzieć.

— To nieważne. Ja nie będę pytać, jak żyjesz w Londynie.

— Z kim żyję.

— Właśnie. Wszystko jedno. Nie chcę wiedzieć.

— Ale ja chcę. Kiedy to się stało?

— Kiedy co się stało?

— Kiedy zaczęłaś się z nim spotykać? Tydzień temu? Co mu powiedziałaś? Że musicie poczekać, dopóki nie wyjadę do Londynu? Poczekaliście w ogóle?

Lekko rozchyliła usta, żeby odpowiedzieć, a on dostrzegł coś w jej oczach, coś małego i trwożliwego, i z falą piekącego żaru napłynęła do niego świadomość czegoś, o czym nie chciał wiedzieć.

Zrozumiał, że Merrin dążyła do tej chwili przez całe lato, już wtedy, kiedy zaczęła naciskać, by przyjął tę pracę.

— Jak daleko to zaszło? Różniłaś się z nim?

Pokręciła głową, ale nie wiedział, czy zaprzecza, czy też odmawia odpowiedzi. Walczyła ze łzami. Z zaskoczeniem poczuł, że nie ma ochoty jej pocieszać. Znalazł się w chwycie czegoś niezrozumiałego, perwersyjnej mieszanki wściekłości i podniecenia. Odkrył ze zdziwieniem, że dobrze jest być źle potraktowanym, że to mu daje prawo ją skrzywdzić. Sprawdzić, jak wielką karę może wymierzyć. Chciał ją smagać pytaniami. A jednocześnie przed oczami zaczęły mu się wyświetlać wizje: Merrin na kolanach, w splątanej pościeli, pasma przesiewającego się przez żaluzje słońca na jej skórze, ktoś sięgający do jej nagich bioder. Ta myśl w równej mierze podnieciła go i przeraziła.

— Ig — odezwała się cicho. — Proszę.

— Daj sobie spokój z tym swoim „proszę”. O pewnych sprawach mi nie mówisz. O sprawach, o których muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć, czy już się z nim różniłaś. Powiedz, czy się już różniłaś.

— Nie.

— Dobrze. Był w twoim mieszkaniu, kiedy dzwoniłem z Nowego Jorku? Trzymał ci łapę pod spódnicą?

— Nie. Byliśmy razem na obiedzie. To wszystko. Czasem rozmawiamy. Głównie o szkole.

— Myślałaś o nim, kiedy cię rznąłem?

— O Jezu, nie. Dlaczego o to spytałeś?

— Bo chcę wiedzieć wszystko. Chcę znać każdy gówniany szczegół, którego mi nie mówisz, każdy śmierdzący sekret.

— Dlaczego?

— Bo wtedy łatwiej będzie mi cię znienawidzić.

Kelnerka stała sztywno przy ich stoliku, skamieniała w trakcie stawiania przed nimi drinków.

— Co się pani gapi? — rzucił Ig, a ona cofnęła się chwiejnie o krok.

Nie tylko ona się gapiła. Głowy przy wszystkich stolikach wokół odwróciły się w ich stronę. Parę osób patrzyło na nich z powagą, inni, głównie młode pary, z rozweseleniem, walcząc ze śmiechem. Nie ma nic zabawniejszego od hałaśliwego publicznego zerwania.

Gdy znowu spojrział na Merrin, stała za krzesłem. Trzymała jego krawat. Wzięła go, gdy go rzucił, i od tej pory nieustannie ten krawat wygładzała.

— A ty dokąd? — Chwycił ją za ramię, gdy usiłowała umknąć. Wpadła na stół. Była pijana. On też.

— Ig — odezwała się. — Boli...

Dopiero wtedy zauważył, jak mocno ściska jej ramię, aż czuł pod palcami kość. Rozwarcie ich wymagało świadomego wysiłku.

— Nie uciekam — powiedziała. — Muszę mieć chwilę, żeby się ogarnąć. — Wskazała twarz.

— Nie skończyliśmy. Wiele mi nie mówisz.

— Jeśli coś przemilczam, to nie ze złośliwości. Nie chcę widzieć twojego bólu.

— Za późno.

— Bo cię kocham.

— Nie wierzę.

Powiedział to, żeby ją zranić — tak naprawdę nie wiedział, czy jej wierzy — i poczuł dzikie podniecenie, widząc, że mu się udało. Jej oczy wypełniły się lśniącoymi łzami, zachwiała się, dla równowagi oparła dłoń na stole.

— Jeśli coś przemilczam, to po to, żeby cię chronić. Wiem, jaki jesteś dobry. Zaslugujesz na coś lepszego niż to, co dostajesz za wszystko, co we mnie zainwestowałeś.

— Wreszcie coś, z czym się zgodzę. Zasluguję na coś lepszego.

Zaczekała, aż powie coś jeszcze, ale nie mógł, znowu zabrakło mu tchu. Odwróciła się i ruszyła przez tłum w stronę łazienki. Dopił martini, patrząc za nią. Wyglądała ładnie w białej bluzce i

perłowszarej spódnicy. Zauważył, że dwóch studentów ogląda się za nią. Jeden coś powiedział, drugi się roześmiał.

Ig miał wrażenie, że krew mu zgęstniała, zamula żyły. Czuł jej łomotanie w skroniach. Nie spostrzegł, że obok jego stolika stanął jakiś mężczyzna, nie usłyszał jego „proszę pana”, nie widział go, dopóki ten człowiek nie pochylił się i nie spojrzał mu w twarz. Miał sylwetkę kulturysty, koszulka polo napinała się na jego ramionach. Małe niebieskie oczka błyskały pod kościstym nawisem czoła.

— Proszę pana — powtórzył znowu. — Muszę prosić, żeby opuścił pan z żoną lokal. Nie pozwalam obrażać personelu.

— To nie moja żona. Ja ją tylko rznąłem.

Wielki facet — barman? ochroniarz? — oznajmił:

— Nie toleruję takiego języka. Proszę iść gdzie indziej.

Ig wstał, znalazł portfel i położył na stole dwie dwudziestki, po czym ruszył do drzwi. Idąc, czuł, jak zakorzenia się w nim uczucie, że postępuje dobrze. Zostaw ją, myślał. Siedząc z nią przy stoliku, chciał z niej wydrzeć wszystkie tajemnice, przy okazji sprawiając jej jak najwięcej przykrości. Ale teraz, gdy znikła mu z oczu i odzyskał oddech, czuł, że nie powinien dawać jej okazji do dalszego usprawiedliwiania tego, co postanowiła mu zrobić. Nie chciał czekać, aż rozcieńczy jego nienawiść łzami, niech się już

dłużej nie rozwodzi nad tym, jak bardzo go kocha. Nie chciał rozumieć i nie chciał współczuć.

Merrin wróci i zobaczy pusty stolik. Jego nieobecność powie jej więcej niż on sam, gdyby został. Nieważne, że miał ją odwiedzić. Była dorosła, mogła zawołać taksówkę. Nie o to jej chodziło z tym rżnięciem się z kimś pod jego nieobecność? Żeby ustalić swój status osoby dorosłej?

Nigdy w życiu nie był tak pewny, że postępuje właściwie, a kiedy podszedł do drzwi, usłyszał zbliżający się do niego odgłos podobny do braw, klaskanie w dłonie i cichy tupot nóg. Otworzył drzwi i spojrzał na ulewne strugi deszczu.

Do samochodu wsiadł przemoczony do suchej nitki. Cofnął go, nie zapalając świateł. Włączył wycieraczki na pełną moc; zgarniały deszcz, ale woda i tak lała się strumieniami po szybie, zniekształcając mu widok. Usłyszał trzask — najechał na słup telefoniczny.

Nie miał zamiaru wysiadać i oglądać szkód. Nawet mu to nie przyszło na myśl. Ale przed wjazdem na szosę wyjrzał przez okno i za kroplami na szybie dostrzegł Merrin stojącą jakieś trzy metry od niego, skuloną na deszczu, z włosami zwisającymi jak mokre sznurki. Patrzyła na niego żałośnie, ale nie poprosiła gestem, żeby

się zatrzymał, zaczekał, wrócił. No to przydepnął pedał gazu i odjechał.

Świat za szybą rozpływał się w impresjonistyczne zielono-szare zacieki. Późnym popołudniem temperatura osiągnęła niemal trzydzieści sześć stopni, do czterdziestu brakowało niewiele. Klimatyzacja działała pełną mocą przez cały dzień. Ig siedział w jej lodowatych podmuchach, niemal nie zauważając, że dygocze w przemoczonym ubraniu.

Uczucia napływały do niego falami. Robiąc wdech, czuł nienawiść do Merrin i chciał jej to powiedzieć, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy. Robiąc wydech, czuł mdlący ból na myśl, że odjechał, zostawił ją w deszczu, pragnął wrócić i powiedzieć jej cicho, żeby wsiadła. Wydawało mu się, że ona nadal stoi w tym deszczu, czekając na niego. Zerknął w lusterko wsteczne, jakby mógł ją zobaczyć, ale przecież oddalił się od knajpy o kilometr. Natomiast ujrzał siedzący mu na ogonie policyjny radiowóz, czarny krążownik z szeregiem świateł na dachu.

Popatrzył na szybkościomierz i przekonał się, że jechał prawie setką. Jego uda dygotały, pełne niemal bolesnej mocy. Zwolnił z łomoczącym tętnem, a kiedy po prawej stronie zauważył zamknięty i zabity deskami budynek Dunkin' Donuts, zjechał na bok.

Nadal jechał za szybko, spod opon pryskały kamyki i ziemia. W bocznym lusterku zobaczył mijający go radiowóz. Tyle że to nie był radiowóz, lecz czarny pontiac GTO ze światełkami na bagażniku dachowym.

Ig siedział za kierownicą, dygocząc, i czekał, aż jego galopujące serce trochę zwolni. Po chwili uznał, że dalsza jazda przy tej pogodzie byłaby błędem, zwłaszcza że tak się upił. Postanowił poczekać, aż przestanie padać; ulewa już traciła rozpęd. Następnie pomyślał, że Merrin może do niego zadzwonić do domu, upewniając się, czy bezpiecznie dojechał. Jego matka pewnie odpowie: „Nie, Merrin, nie ma go jeszcze, czy wszystko w porządku?” — a to sprawiło mu satysfakcję.

Potem przypomniał sobie o komórce. Merrin pewnie najpierw zadzwoni na nią. Wyjął telefon z kieszeni, wyłączył i rzucił na podłogę. Nie wątpił, że Merrin będzie dzwonić, i przypuszczenie, że teraz zacznie sobie wyobrażać, iż spotkało go coś złego — że miał wypadek albo z rozpaczy umyślnie wjechał w drzewo — było przyjemne.

Teraz musiał przestać się trząść. Odchylił oparcie fotela i wyłączył silnik gremlina, wziął z tylnego siedzenia kurtkę, którą przykrył sobie nogi. Słuchał deszczu bębniącego coraz wolniej w dach. Burza już niemal zupełnie straciła rozpęd. Zamknął oczy,

rozkoszując się głębokim, dźwięcznym bębnieniem deszczu. Otworzył je dopiero o siódmej rano, gdy przez drzewa przesiewały się promienie porannego słońca.

Wrócił do domu pospiesznie, wskoczył pod prysznic, ubrał się, zabrał bagaż. Nie tak zamierzał opuścić miasto. Rodzice i Vera jedli śniadanie w kuchni. Rodzice przyglądali mu się z rozbawieniem, kiedy miotał się po domu z rozwianym włosom, zdezorganizowany. Nie pytali, gdzie był przez całą noc. Wydawało im się, że wiedzą. Ig nie miał serca ani czasu, żeby wyjaśniać im, co się stało. Matka uśmiechała się lekko i chytrze, a on wolał zostawić ją z uśmiechem niż w smutku.

Terry był w domu — „Hothouse” miał letnią przerwę — i obiecał, że odwiezie Iga na lotnisko, ale jeszcze spał. Vera powiedziała, że przez całą noc balował, wrócił do domu dopiero po wschodzie słońca. Usłyszała podjeżdżający samochód i wyrzała akurat wtedy, gdy Terry zwymiotował na podwórku.

— Szkoda, że jest w domu, a nie w Los Angeles — powiedziała babcia. — Paparazzi stracili piękne zdjęcie. Wielki gwiazdor telewizyjny wywnętrzający się w krzakach róż. Trafiłby do „People”. Nawet nie miał na sobie tego samego ubrania, w którym wyszedł.

Lydia Perrish przestała się uśmiechać i zaczęła niespokojnie skubać cząstkę grejpfruta.

Ojciec Iga rozparł się w krzesle i spojrzał na syna.

— Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakby coś cię rozbierało.

— Rzekłabym, że nie tylko Terence dobrze się bawił — oznajmiła Vera.

— Możesz prowadzić? Ubiorę się i pojedę z tobą — powiedział Derrick.

— Zostań, zjedz śniadanie. Pojadę, bo już późno. Powiedz Terry'emu, że mam nadzieję, że nikt nie zginął i że zadzwonię do niego z Anglii.

Pocałował wszystkich, powiedział, że ich kocha, i wyszedł w chłodny poranek. Na trawie lśniła brylantowa rosa. Zrobił prawie sto kilometrów w czterdzieści pięć minut. Korki zaczęły się dopiero na ostatnim odcinku, kiedy minął tor wyścigowy Suffolk Downs i przejechał obok wysokiego wzgórza z dziesięciometrowym krzyżem. Stał za szeregiem ciężarówek, w cieniu krzyża. Wszędzie indziej panowało lato, ale tu, w tym głębokim mroku, w gigantycznym rozkrzyżowanym mroku kładącym się na jezdni, panowała wczesna jesień. Iga poczuł przelotny dreszcz. Naszło go dziwne, mętne wrażenie, że to krzyż Don Orsilla, ale to przecież

niemożliwe. Don Orsillo był komentatorem wszystkich rozgrywek Red Soksów.

Wreszcie dojechał na lotnisko. W terminalu British Airways panował tłok, a Ig miał bilet na klasę ekonomiczną. Długo czekał w kolejce. W pomieszczeniu rozlegało się echo głosów, ostre stukanie szpilek na marmurowej posadzce i niezrozumiałe komunikaty z głośników. Przeszedł odprawę bagażu i czekał w następnej kolejce do odprawy paszportowej, kiedy raczej poczuł, niż usłyszał zamieszanie za plecami. Obejrzał się i zobaczył ludzi ustępujących z drogi maszerującemu w jego stronę oddziałowi policjantów w kamizelkach kuloodpornych, kaskach i z M16. Jeden z nich gestykulował, wskazując kolejkę.

Policjanci nadchodzili też z przeciwnej strony. Zbliżali się zewsząd. Ig zaciekał się, czy wyciągną kogoś z kolejki. Ktoś czekający na odprawę musiał się znajdować na czarnej liście Wielkiego Brata. Spojrzał przez ramię na policjantów z tyłu. Szli z lufami karabinów skierowanymi w dół i opuszczonymi na oczy osłonami kasków. Patrzyli z za nich na jego część kolejki. Straszne były te karabiny, ale nie tak straszne jak martwe, nieruchome spojrzenia.

Zauważył też coś jeszcze, coś najśmieszniejszego ze wszystkiego. Naszło go wariackie przekonanie, że dowódca — ten,

co gestami rozkazywał swoim ludziom rozproszyć się i obstawić
wyjścia — wskazuje na niego.

ROZDZIAŁ 22

Ig stał za progiem The Pit, czekając, aż wzrok mu się przyzwyczai do mroku przestronnego pomieszczenia, oświetlonego tylko blaskiem z panoramicznego telewizora i automatów do pokera. Przy barze siedziały dwie osoby, ledwie wyłaniające się z ciemności. Kulturysta krzątał się za barem, wieszając szklanki do piwa nad ladą w głębi. Ig zauważył, że to ten sam, który wyprosił go stąd tego wieczoru, gdy Merrin została zamordowana.

Poza tym w knajpie nie było nikogo. Ig się ucieszył. Wolał, żeby go nie widziano. Chciał zjeść obiad, nie składając zamówienia, nie odzywając się do nikogo. Właśnie usiłował obmyślić, jak tego dokonać, kiedy rozległo się ciche brzęczenie jego komórki.

Dzwonił brat. Ciemność zacisnęła się wokół Iga jak mięsień. Na myśl, że mógłby odebrać, porozmawiać z Terryem, w głowie zakręciło mu się z nienawiści i zgrozy. Nie wiedział, co miałby powiedzieć, co można powiedzieć. Trzymał komórkę, która brzęczała mu w dłoni, aż dzwonięcie ustało.

Ledwie zapadła cisza, zaczął się zastanawiać, czy Terry wie, do czego się niedawno przyznał. Mógł się dowiedzieć jeszcze czegoś, gdyby odebrał telefon. Na przykład czy trzeba widzieć rogi,

żeby poddać się ich wpływowi. Wydawało mu się, że nadal może z kimś normalnie porozmawiać przez telefon. Ciekawiło go także, czy Vera nie żyje, a on wreszcie stał się mordercą, za którego wszyscy i tak go uważają.

Nie. Nie był gotów się tego dowiedzieć, jeszcze nie. Musiał trochę pobyć sam, zanurzyć się w odosobnieniu i nieświadomości.

Jasne, rozległ się głos w jego głowie, jego głos, ale chytry i kpiący. Tak spędziłeś ostatni rok. Co znaczy jeden dzień więcej?

Kiedy zaczął widzieć w ciemności, zauważył pusty stolik w kącie, gdzie ktoś wcześniej jadł pizzę, może z dziećmi — dostrzegł plastikowe kubki ze zginanymi słomkami. Zostało parę kawałków pizzy. Co ważniejsze, dorośli, opiekujący się uczestnikami tej pizzowej uczty, wypił tylko pół szklanki jasnego piwa. Ig usiadł za stołem na ławie o winylowej tapicerce i zaczął jeść. Piwo było ciepławe. Najprawdopodobniej z tej szklanki piła osoba obsypana ropiejącymi wrzodami i z wyjątkowo agresywną opryszczką. Ale kiedy ze skroni wyrosną ci rogi, marudzenie z powodu ewentualnego kontaktu z bakteriami wydaje się odrobinę śmieszne.

Otworzyły się wahadłowe drzwi do kuchni. Z pomieszczenia wyłożonego białymi kafelkami i zalanego jarzeniowym światłem

wyszła kelnerka prosto w mrok. W jednej ręce niosła butelkę płynu do mycia, w drugiej szmatę. Ruszyła prosto na niego.

Ig oczywiście ją znał. To ona podawała drinki jemu i Merrin podczas tamtego wieczoru. Jej twarz obramowywały dwa skrzydła wiotkich czarnych włosów, podwijających się pod jej długim, spiczastym podbródkiem, tak że wyglądała jak żeńska wersja czarnoksiężnika, który zawsze bruździł Harry'emu Potterowi. Profesor Skate czy Snape, czy jakoś podobnie. Ig zamierzał przeczytać te książki z dziećmi, które planowali mieć z Merrin.

Kelnerka nie patrzyła na jego stolik, a on przesunął się ku ścianie po siedzeniu z czerwonego winylu. Było za późno, żeby dyskretnie się wymknąć. Chciał schować się pod stołem, lecz postanowił się nie wygłupiać. Po chwili kelnerka już zbierała talerze. Lampa wisiała dokładnie nad stołem, choć Ig wtulił się w ścianę, i tak światło rzuciło na blat cień jego głowy z rogami. To właśnie najpierw zobaczyła kelnerka i podniosła wzrok na Iga.

Źrenice się jej skurczyły. Pobladła. Upuściła talerze na stół ze wstrząsającym hałasem, dziwne, że żaden się nie zbił. Gwałtownie nabrała powietrza w płuca, chcąc krzyknąć, a potem zobaczyła rogi. Krzyk uwiązł jej w gardle. Znieruchomiała.

— Na szyldzie było, żeby usiąść — wyjaśnił Ig.

— Tak. W porządku. Posprzątam stolik i... i przyniosę kartę.

— Właściwie już zjadłem. — Wskazał stojące przed nim talerze.

Przeniosła wzrok z jego rogów na twarz i z powrotem. Kilka razy.

— To ty — powiedziała. — Ig Perrish.

Skinął głową.

— Rok temu obsługiwałaś mnie i moją dziewczynę podczas naszego ostatniego spotkania. Przepraszam cię za to, jak się wtedy zachowałem. Powiedziałbym, że zobaczyłaś mnie w najgorszym z moich wcieleń, ale w porównaniu z tym, kim się stałem, to pikuś.

— Wcale mi nie jest przykro.

— O... To dobrze. Myślałem, że zrobiłem na tobie okropne wrażenie.

— Nie. Chciałam powiedzieć, że wcale mi nie jest przykro, że skłamałam policji. Przykro mi tylko, że nie uwierzyli.

Igowi skręciły się wnętrzności. Znowu się zaczyna. Kelnerka mówiła na wpół do siebie, a może raczej rozmawiała ze swoim prywatnym diabłem, demonem. Ig pomyślał, że jeśli nie nauczy się jakoś tłumić działania rogów, wkrótce oszaleje. O ile już nie oszalał.

— Co im powiedziałaś?

— Że groziłeś, że ją udusisz. Powiedziałam, że sama to słyszałam.

— Dlaczego skłamałaś?

— Żebyś się nie wywinął. Żeby ci się nie upiekło. No i proszę. Ona nie żyje, a ty siedzisz tutaj. Jakoś ci się upiekło, tak jak mojemu ojcu upiekło się to, co zrobił mojej matce i mnie. Chciałam, żebyś poszedł do więzienia. — Potrząsnęła głową, odrzuciła włosy z twarzy. — No i chciałam, żeby o mnie napisali w gazecie. Chciałam być najważniejszym świadkiem. Gdybyś stanął przed sądem, pokazaliby mnie w telewizji.

Ig słuchał w osłupieniu.

— Robiłam, co mogłam — ciągnęła. — Kiedy wyszedłeś, twoja dziewczyna wybiegła za tobą i zapomniała płaszcz. Zaniosiłam go jej i zobaczyłam, że odjeżdżasz sam. Ale policji powiedziałam co innego. Powiedziałam, że kiedy wyszłam, zobaczyłam, jak wciągasz ją do samochodu, a potem odjeżdżasz nie wiadomo dokąd. I na tym wpadłam. Zdaje się, że uderzyłeś w słup telefoniczny, jeden klient usłyszał trzask i wyrzwał przez okno. Powiedział policjantom, że widział, jak ją zostawiłeś. Chcieli, żebym dała się podłączyć do wariografu, no i musiałam cofnąć tę część zeznań. A wtedy nie chcieli wierzyć i w resztę. Ale ja wiem,

co się stało. Wiem, że zwyczajnie zawróciłeś i po paru minutach po nią przyjechałeś.

— Pomyliło ci się. Zabrał ją ktoś inny. — Ig przypomniał sobie tego kogoś i zrobiło mu się niedobrze.

Ale myśl, że mogła się co do niego pomylić, wyraźnie nie interesowała kelnerki.

— Wiedziałam, że kiedyś cię znowu zobaczę. Wywleczesz mnie ze sobą na parking? Wywieziesz mnie gdzieś i wykorzystasz analnie? — W jej głosie zabrzmiała niekłamana nadzieja.

— Co? Nie. Odbiło ci?

Jej oczy nieco przygasty.

— To może chociaż mnie zastraszysz?

— Nie.

— Mogłabym powiedzieć, że mi groziłeś. Mogę powiedzieć Reggiemu, że mnie ostrzegłeś, bym pilnowała własnego nosa. Fajny pomysł. — Jej uśmiech przygastł jeszcze bardziej. Zerknęła ponuro na osiłka za barem. — Chyba mi nie uwierzy. Uważa, że jestem patologiczną kłamczucha. Pewnie ma rację. Co zrobię, lubię sobie pobujać. I co z tego? Nie powinnam mówić Reggiemu, że mój chłopak Gordon zginął w World Trade Center, a Sarze, drugiej kelnerce, że go zastrzelili w Iraku. Powinnam przewidzieć, że się zgadają. I co z tego? Gordon równie dobrze mógłby nie żyć.

Dla mnie jest trupem. Zerwał ze mną przez e-mail, więc niech spieprza na bambus. Dlaczego ja ci to wszystko mówię?

— Bo nie możesz się oprzeć.

— Właśnie. Nie mogę. — Zadrzała w niezaprzeczalnie zmysłowy sposób.

— Co twój ojciec zrobił matce i tobie? Czy cię... skrzywdził? — spytał Iga, nie do końca przekonany, czy chce wiedzieć.

— Mówił, że nas kocha, ale kłamał. Uciekł do Waszyngtonu z moją nauczycielką z piątej klasy. Założył z nią rodzinę, urodziła mu się druga córka, którą polubił bardziej niż mnie. Gdyby mnie kochał, zabrałby mnie ze sobą, a nie zostawił z matką, która jest dołującą, wściekłą starą suką. Powiedział, że zawsze będę dla niego ważna, ale kłamał. Dziad! Nienawidzę kłamców. To znaczy innych kłamców. Moje bujdy nikomu nie wadzą. Chcesz poznać bajeczkę, którą opowiadam o tobie i twojej dziewczynie?

Zjedzona pizza zmieniła się w żołądku Iga w ciężki, gliniasty gruzel.

— Chyba nie.

Kelnerka zaróżowiła się z podniecenia. Znów się uśmiechała.

— Czasami goście pytają, co jej zrobiłeś. Wystarczy mi jedno spojrzenie i wiem, ile chcą wiedzieć, podstawowe fakty czy jakieś obrzydliwe szczegóły. Studenci lecą na obrzydliwość. Mówię im, że

jak już jej rozwaliliś mózg, odwróciłeś jej zwłoki i zgwałciłeś je analnie.

Chciał wstać, uderzył kolanem o spód blatu, a jednocześnie trącił rogami wiszącą nad stołem witrażową lampę. Rozkołysała się, a jego rogaty cień przyskakiwał i odskakiwał od kelnerki raz po raz.

— Przecież nie była... To nie było... Ty chora dziwko!

— To cała ja — wyznała kelnerka z pewną dumą. — Straaasznie jestem zepsuta. Ale żałuj, że nie widziałeś ich min. Zwłaszcza dziewczyny to lubią. To podniecające — usłyszeć, że ktoś został zbrukany. Każdy lubi smakowite morderstwo na tle seksualnym, a według mnie anal ulepsza każdą historię.

— Rozumiesz, że mówisz o kobiecie, którą kochałem? —
Oddech sprawiał Igowi ból.

— Jasne. Dlatego ją zabiłeś. Tak się robi. Nie chodzi o nienawiść, tylko o miłość. Czasami żałuję, że ojciec nie kochał matki i mnie na tyle, żeby zabić nas, a potem siebie. Wtedy mielibyśmy wielką tragedię, a nie kolejne nudne, dołujące porzucenie. Gdyby starczyło mu odwagi na podwójne morderstwo, mówiliby o nas w telewizji.

— Nie zabiłem mojej dziewczyny.

— Kelnerka wreszcie jakoś zareagowała. Zmarszczyła brwi i wydeła usta ze zdziwionym rozczarowaniem.

— Ooo... To niefajnie. Byłbyś o wiele bardziej interesujący, gdybyś kogoś zabił. No, ale masz rogi na głowie. Fajnie! To bodmod?

— Co?

— Modyfikacja ciała. Sam to sobie zrobiłeś?

Ig nadal nie mógł sobie przypomnieć wczorajszego wieczoru — pamiętał wszystko aż do pijackiego wybuchu w lesie przy odlewni, reszta tonęła w przerażającej czerni — lecz znał odpowiedź na to pytanie. Przyszła do niego natychmiast, bez walki.

— Tak — powiedział. — To moja robota.

ROZDZIAŁ 23

Kelnerka stwierdziła, że byłby bardziej interesujący, gdyby kogoś zabił, więc pomyślał, że mógłby zabić Lee Tourneau.

Ucieszył się, że wie, dokąd jedzie, że może wsiąść do samochodu, mając przed sobą jasno określony cel. Spod kół bryznął piasek. Lee pracował w biurze kongresmena w Portsmouth w New Hampshire, o czterdzieści minut drogi, a Ig miał ochotę na wyprawę. Podczas jazdy chciał się zastanowić, jak to zrobić.

Najpierw sądził, że gołymi rękami. Udusi go tak, jak Lee udusił Merrin — Merrin, która go kochała, która pierwsza zapukała do jego drzwi, żeby go pocieszyć po śmierci matki. Ścisnął kierownicę, jakby już miażdżył krtań Lee, i szarpał nią tak mocno, że trzęsła się kolumna. Od lat nic nie sprawiło mu większej przyjemności niż nienawiść do Lee.

Następnie pomyślał, że w bagażniku ma chyba łyżkę do opon. Mógł włożyć kurtkę — leżała na tylnym siedzeniu — i schować łyżkę w rękawie. Gdy stanie naprzeciwko Lee, wysunie ją i zada cios. Wyobraził sobie chrupnięcie, kiedy metal uderzy w czaszkę Lee, i zadrżał z podniecenia.

Martwił się tylko, że śmierć przyjdzie za szybko, Lee nawet nie zauważył, co się stało. Najlepiej byłoby wepchnąć go do samochodu, wywieźć nad rzekę i utopić. Przytrzymać mu głowę pod wodą, patrzeć, jak się szarpie. Ig uśmiechnął się do tej myśli, nie zdając sobie sprawy, że z nozdrzy sący mu się dym, który w kabinie samochodu wygląda jak jasna letnia mgiełka.

Gdy Lee niemal zupełnie stracił wzrok w lewym oku, przycichł i spokorniał. Odpracował nieodpłatnie dwadzieścia godzin we wszystkich sklepach, z których coś ukradł, nieważne — trampki za trzydzieści dolarów czy skórzaną kurtkę za dwieście. Napisał do gazety, wyznając wszystkie swoje przestępstwa i przepraszając właścicieli sklepów, swoich przyjaciół, rodziców i parafian. Stał się religijny, zgłaszał się na ochotnika do wszystkich projektów w Świętym Sercu. Co lato pracował z Igiem i Merrin na kościelnym obozie.

W każde wakacje przemawiał do obozowiczów na niedzielnym nabożeństwie. Zawsze zaczynał od oświadczenia, że był grzesznikiem, kradł i kłamał, wykorzystywał przyjaciół i oszukiwał rodziców. Niegdyś był ślepy, lecz teraz odzyskał wzrok. Mówił to, wskazując swoje okaleczone lewe oko. Każdego lata wygłaszał ten sam umoralniający tekst. Ig i Merrin przysłuchiwali mu się z ostatnich rzędów. Gdy Lee wskazywał oko

i cytował „Amazing Grace”, Ig nieodmiennie dostawał gęziej skórki. Był dumny, że go zna, że ma swój niewielki udział w historii Lee.

A historia była piekielnie dobra. Szczególnie podobała się dziewczynom. Podobało im się i to, że był zły, i to, że się nawrócił. Podobało im się, że mówi o swojej duszy i że dzieci go kochają. W tym jego spokojnym przyznaniu się, co zrobił, bez skrepowania czy wstydu, było coś szlachetnego nie do wytrzymania. Dziewczynom, z którymi się umawiał, podobało się, że są jego jedyną słabością.

Lee studiował teologię w Bangor w stanie Maine, ale zrezygnował, gdy jego matka zachorowała. Wrócił do domu, żeby się nią zająć. Jego rodzice już się rozwiedli, ojciec wyjechał z drugą żoną do Karoliny Północnej. Lee przynosił matce lekarstwa, prał jej pościel, zmieniał pieluchy i oglądał z nią telewizję. Kiedy nie czuwał przy matce, siedział na uniwersytecie, gdzie robił dyplom z medioznawstwa. W soboty jeździł do Portsmouth, żeby pracować w biurze nowego kongresmena New Hampshire.

Zaczął jako wolontariusz, ale gdy jego matka umarła, był już pełnoetatowym pracownikiem, dyrektorem programu współpracy z organizacjami religijnymi. Wiele osób uważało, że głównie dzięki niemu kongresmen został wybrany po raz drugi. Jego przeciwnik, były sędzia, podpisał dokument przyznający ciężarnej więźniarce

prawo do aborcji w pierwszym trymestrze. Lee nazwał to karą śmierci wykonaną na nienarodzonym dziecku. Wygłaszał o tym przemówienia w połowie kościołów w stanie. Dobrze wyglądał na ambonie, w krawacie i wykrochmalonej białej koszuli, i nigdy nie zaniedbał okazji, by nazwać się grzesznikiem, a ludzie to uwielbiali.

Podczas tej kampanii Lee pokłócił się po raz pierwszy i jedyny z Merrin, choć Ig nie wiedział, czy można to nazwać kłótnią, skoro jedna strona w ogóle się nie broniła. Merrin zrobiła mu dziką awanturę w sprawie tej aborcji, ale Lee wysłuchał tego spokojnie i powiedział:

— Jeśli chcesz, żebym zrezygnował, jutro rano wręcę im wypowiedzenie. Nawet nie muszę się zastanawiać. Ale jeśli pozostanę w pracy, wykonam to, do czego mnie zaangażowano, i zrobię to dobrze.

Merrin oznajmiła, że Lee nie zna wstydu. Odpowiedział, że czasami nie wie, czy zna jakiegokolwiek uczucie, na co rzuciła:

— O Chryste, tylko mi się nie zwierzaj. Ale potem dała mu spokój.

Lee lubił na nią patrzeć. Nic dziwnego. Ig przyłapywał go czasem na przyglądaniu się Merrin, kiedy wstawiała od stołu, a spódniczka muskała jej nogi. Zawsze lubił na nią patrzeć. Ig nie

miał nic przeciwko temu. Merrin należała do niego. A po tym, co zrobił z okiem Lee — z czasem zaczął się uważać za osobiście winnego częściowej ślepoty przyjaciela — nie mógł mu odmawiać zerknięcia na piękną kobietę. Lee często mówił, że mógł stracić wzrok w obu oczach i że stara się cieszyć wszystkimi pięknymi widokami jak ostatnią odrobiną lodów. Miał talent do takich stwierdzeń, do przyznawania się z prostotą do przyjemności i błędów, bez lęku przed wyśmianiem. Zresztą nikt się z niego nie wyśmiewał. Przeciwnie, wszyscy za nim szaleli. Jego duchowa przemiana była kurewsko inspirująca. Może pewnego dnia postanowi sam zająć się polityką. Już zaczęto mu to sugerować, choć zbywał wszelkie aluzje śmiechem i tym powiedzonkiem Groucho Marksa o tym, że nie chciałby należeć do klubu, który by go przyjął.

Ig przypominał sobie, że Cezar także trzykrotnie odmawiał zajęcia tronu. Czuł w skroniach jakieś łomotanie. Miarowy, dźwięczny hałas, jakby młot uderzał w rozżarzony metal. Zjechał z międzystanowej autostrady pod budynek z wielkim szklanym trójkątnym atrium na froncie, sterczącym niczym dziób jakiegoś gigantycznego szklanego tankowca. Tam właśnie kongresmen urządził sobie biuro. Ig zatrzymał samochód przed tylnym wejściem.

Asfaltowy parking za budynkiem był w dwóch trzecich pusty. Prażył się w popołudniowym żarze. Ig zaparkował, wziął niebieską nylonową wiatrówkę z tylnego siedzenia i wysiadł. Było za gorąco na kurtkę, ale ją włożył. Ciepło słońca na twarzy i głowie, powietrze drżące nad asfaltem sprawiły mu przyjemność. Wręcz się tym upajał.

Otworzył bagażnik i uniósł klapę schowka w podłodze. Łyżka do opon była przytwierdzona śrubami do wewnętrznej strony metalowej płyty, ale śruby zardzewiały i ręce rozboleły go od odkręcania. Dał sobie spokój i zajrzał do zestawu narzędzi. Znajdowała się w nim flara, tuba w czerwonym papierze, błyszczącym i gładkim. Uśmiechnął się. Flara jest dziesięć razy lepsza od łyżki do opon. Może wypalić Lee tę jego ładną buźkę. Może nawet go zupełnie oślepi — to równie dobre jak odebranie życia. Poza tym flara bardziej mu pasowała niż łyżka do opon. Zgodnie z tradycją ogień jest jedynym przyjacielem diabła.

Ig przeszedł przez parking w drżącym z żaru powietrzu. Tego lata pojawiły się siedemnastoletnie cykady i drzewa za parkingiem trzęsły się od ich koncertu, basowego, rezonującego chrzęstu, jak pomruk wielkiego żelaznego płuca. Ich pieśń wypełniła Igowi głowę, stała się odgłosem jego migreny, szaleństwa, krystalizującej się wściekłości. Przypomniał mu się

urywek Apokalipsy świętego Jana: „A z dymu wyszła szarańcza na ziemię”. Szarańcza pojawiała się co siedemnaście lat, żeby się gzić i umierać. Lee Tourneau też był robakiem, tyle że dużo gorszym. Już się nagził, ten etap miał za sobą, teraz mógł umrzeć. Ig mu w tym pomoże. Idąc przez parking, wcisnął flarę w rękaw kurtki i przytrzymał ją prawą dłonią.

Zbliżył się do podwójnych drzwi z pleksiglasu, opatrzonych nazwiskiem szacownego kongresmena New Hampshire. Miały lustrzaną powierzchnię, w której zobaczył samego siebie: chudego, spoconego mężczyznę w kurtce zapiętej pod szyję, wypisz wymaluj psychola, który przyszedł popełnić zbrodnię. W dodatku rogatego. Czubki rogów przebiły się przez skórę skroni, różowe od krwi. Ale gorszy od rogów był jego uśmiech. Gdyby Ig stał po drugiej stronie tych drzwi i zobaczył samego siebie, przekręciłby klucz i zadzwonił na policję.

Wszedł w ciszę klimatyzowanego wnętrza. Za biurkiem siedział ostrzyżony na jeża grubas, gadający wesoło do mikrofonu z zestawu słuchawkowego. Po prawej stronie znajdowała się bramka z wykrywaczem metalu. Za ekranem siedział żujący gumę pięćdziesięcioparoletni policjant. Rozsuwana pleksiglasowa szyba za biurkiem recepcjonisty ukazywała pusty pokój z mapą New Hampshire na ścianie i monitorem telewizyjnej przemysłowej.

Siedział w nim drugi policjant — ogromny, barczysty facet pochylony nad dokumentami. Ig nie widział jego twarzy, tylko masywny kark i wielką białą łysinę, nie wiadomo dlaczego trochę nieprzyzwoitą.

Zdenerwowali go ci policjanci i wykrywacz metalu. Przypomniawszy sobie lotnisko Logan i oblał się potem. Nie odwiedzał tu Lee od ponad roku i nie pamiętał, żeby przedtem widział tu ochronę.

Recepcjonista rzucił do mikrofonu „To pa, kochanie”, wcisnął guzik na biurku i spojrzał na Iga. Miał dużą, okrągłą jak księżyc twarz i pewnie nazywał się Chet albo Chip. Jego oczy za kwadratowymi okularami lśniły przerażeniem lub zdumieniem.

— Pomóc? — spytał.

— Tak. Czy mógłby pan...

Uwagę Iga przykuło coś innego: ekran w pokoju za pleksiglasowym oknem. Ukazywał widziany przez szerokokątny obiektyw widok recepcji — rośliny doniczkowe, dyskretne pluszowe kanapy i Iga. Ale ekran chyba się zepsuł: Ig nieustannie rozwarstwiał się na dwie nakładające się na siebie postaci, które po chwili znowu się scalały. Ta część obrazu migotała i drżała. Główny obraz przedstawiał Iga takiego, jaki był — bladego, wychudłego mężczyznę o tragicznie przerzedzonych włosach, z

kozią bródką i zakrzywionymi rogami. Ale był też drugi, mroczny wizerunek, ciemny i bezkształtny, gwałtownie wdzierający się w rzeczywistość i znikający.

Ta druga wersja nie miała rogów. Całkiem jakby jego dusza usiłowała się oderwać od demona, do którego była przykuta.

Policjant, siedzący w tym pustym, jasno oświetlonym pokoju, obrócił się na krześle, by spojrzeć na ekran. Nie widać było jego twarzy, tylko ucho i lśniącą głowę jak biała armatnia kula osadzona na grubym postumencie szyi. Po chwili łupnął pięścią w monitor. Ekran na chwilę zgasł.

— Tak? — ponaglił recepcjonista.

Ig z ociąganiem wrócił do niego spojrzeniem.

— Czy... czy może się pan połączyć z Lee Tourneau? Proszę mu powiedzieć, że Ig Perrish chce się z nim spotkać.

— Muszę zobaczyć pański dowód tożsamości i wydatkować identyfikator, zanim pana wpuszczę — odpowiedział recepcjonista machinalnie, gapiąc się z fascynacją na jego rogi.

Ig zerknął na bramkę; zrozumiał, że nie przejdzie przez nią z flarą ukrytą w rękawie.

— Proszę mu powiedzieć, że tu zaczekam. I że to spotkanie leży w jego interesie.

— Nie wyobrażam sobie, żeby komuś zależało na takim spotkaniu — odpowiedział recepcjonista. — Jesteś straszny. Masz rogi i jesteś straszny. Żałuję, że przyszedłem dziś do pracy i cię zobaczyłem. Omal nie zostałem w domu. Raz na miesiąc funduję sobie dzień dla zdrowia psychicznego, zostaję w domu, wkładam babskie majtki i sobie używam. Matka jak na starą raszplę ma mnóstwo fajnych ciuszków. Na przykład gorset z czarnego atłasu, z fiszbinami i mnóstwem sznurówek, bardzo ładny. — Oczy mu się zaszklily, w kąciiku ust pojawiła się biała ślina.

— Najbardziej mi się podoba, że uważasz to za zdrowie psychiczne — odpowiedział Ig. — Zadzwoń do Lee Tourneau, dobrze?

Recepcjonista obrócił się bokiem, wcisnął guzik i wymamrotał coś do mikrofonu. Przez chwilę nasłuchiwał.

— Dobrze — rzucił, znowu odwrócił się do Iga. Jego okrągła twarz lśniła potem. — Przez cały ranek jest na spotkaniach.

— Powiedz mu, że wiem, co zrobił. Dokładnie tymi słowami. Powiedz Lee, że jeśli chce o tym porozmawiać, zaczekam pięć minut na parkingu.

Recepcjonista skinął głową i znowu lekko się odwrócił.

— Proszę pana — rzekł do mikrofonu — on mówi... mówi, że wie, co pan zrobił...? — W ostatniej chwili zmienił ton na

pytający.

Ig nie usłyszał dalszych słów recepcjonisty, bo tuż obok rozległ się głos — dobrze mu znany, choć nie słyszał go od paru lat.

— Iggy skurwysyn Perrish. — Głos Erica Hannity’ego.

Ig zobaczył łysego policjanta, który chwilę wcześniej siedział przed monitorem w pokoju za pleksiglasem. Osiemnastoletni Eric wyglądał jak nastolatek z katalogu mody wysyłkowej — wysoki, zyłasty, z krótko obciętyimi kędzierzawymi brązowymi włosami. Miał zwyczaj chodzić bosy, bez koszuli, w dżinsach zsuwających się z bioder. Teraz dobijał trzydziestki i jego twarz straciła ostre rysy, stała się nalaną bułą, a ponieważ łysiał, zaczął golić włosy, zamiast toczyć z nimi z góry przegraną walkę. Z tą łysą pałą wyglądał olśniewająco. Gdyby w uchu miał kolczyk, mógłby zagrać Mr. Cleana w telewizyjnej reklamie. Poszedł — co prawdopodobnie było nie do uniknięcia — w ślady ojca i zajął się fachem, który dawał mu zarówno władzę, jak i prawo do bicia ludzi. W czasach gdy Ig i Lee jeszcze się przyjaźnili (jeśli to w ogóle była przyjaźń), Lee wspomniał, że Eric jest dowódcą ochrony kongresmena. I że bardzo złagodniał. Lee parę razy był z nim nawet na rybach. „Oczywiście taki typ robi przynętę z wątrób demonstrantów” — kpił.

— Eric — powiedział Ig, cofając się o krok. — Jak leci?

— Ekstra. Ekstra, bo cię widzę. A ty? Jak sobie radzisz? Zabiłeś kogoś w tym tygodniu?

— U mnie też nieźle.

— Nie wyglądasz dobrze. Wyglądasz, jakbyś zapomniał wziąć pigułkę.

— Jaką pigułkę?

— No, na coś chyba jesteś chory. Na dworze trzydzieści stopni, a ty w kurtce i opływasz potem. Poza tym z głowy wyrastają ci rogi, a to już nie jest normalne. Jasne, gdybyś był zdrowy, nigdy byś nie zmiażdżył twarzy swojej dziewczynie i nie porzucił jej w lesie. Tej małej rudej cipy. — Hannity uśmiechnął się krzywo. — Od tego czasu byłem twoim fanem, wiesz? Serio. Myślałem, że ta twoja srająca pieniędzmi rodzina troszkę podupadnie. Zwłaszcza twój brat, bogaty skurwysyn. Co wieczór jest w telewizji z modelkami w bikini, nie przepracował uczciwie jednego dnia w życiu. Obrzuciłeś gównem całą rodzinę i nawet nie racycie go zeszkrobać. Coś pięknego. Nie wiem, co mógłbyś zrobić na bis. Co zrobisz na bis, Ig?

Hannity górował nad nim, cięższy o pięćdziesiąt kilo, wyższy o pół głowy. Trudno było opanować drzenie kolan.

— Chcę tylko zamienić słówko z Lee.

— Wiem, co zrobisz na bis — oznajmił Eric Hannity, jakby Ig wcale się nie odezwał. — Pojawisz się w biurze kongresmena z szaleństwem buchającym ci z uszu i bronią ukrytą pod kurtką. Masz broń, prawda? Dlatego się tak ubrałeś, żeby ją ukryć. Masz broń, a ja cię zastrzelę i trafię na pierwszą stronę „Boston Herald” za to, że skasowałem umysłowo chorego brata Terry’ego Perrisha. Ale by było! Jak ostatnio widziałem twojego brata, proponował mi darmowe bilety na swój program, jeśli kiedyś dotrę do Los Angeles. Tak mi udowadniał, jaki to jest ważny. Chciałbym być facetem, który bohatercko strzeli ci w pysk, zanim znowu zabijesz. Wtedy na pogrzebie spytam Terry’ego, czy te bilety są nadal aktualne. Tylko po to, żeby zobaczyć jego minę. No, Ig, przejdź przez wykrywacz metalu, żebym miał pretekst i mógł ci odstrzelić ten chory łeb.

— Nie wejdę. Zaczekam na zewnątrz — powiedział Ig, wycofując się do drzwi. Czuł zimną wilgoć pod pachami. Ręce zrobiły mu się śliskie od potu. Otworzył drzwi łokciem i w tej samej chwili flara wysliznęła mu się z palców. Już miała upaść na ziemię pod stopy Hannity’ego, ale zdołał ją podtrzymać kciukiem i wsunąć na miejsce.

Eric Hannity patrzył za nim z niemal zwierzęcym wyrazem głodu. Ig wyszedł na słońce.

Od przejścia z chłodu biurowca w pałac popołudniowy żar lekko zakręciło mu się w głowie. Niebo pojaśniało, pociemniało, znowu pojaśniało.

Wiedział, co robi, jadąc do biura kongresmena. Wydawało mu się, że to proste, że tak trzeba. Teraz jednak zrozumiał, że popełnił błąd. Nie zabije Lee Tourneau flarą (sam pomysł był komicznie absurdalny). Lee nawet nie wyjdzie z nim porozmawiać.

Przechodząc przez parking, przyspieszył kroku, dostosowując go do bicia serca. Pozostało mu tylko wrócić do Gideon. Znaleźć miejsce, w którym nikt mu nie będzie przeszkadzał. Pomyśleć. Poukładać sobie wszystko w głowie. Po tym wszystkim, co się dziś wydarzyło, rozpaczliwie potrzebował poukładać sobie w głowie. Przyjechanie tu było aktem impulsywnym i kompletnie szalonym, truchlał na myśl, że sobie na to pozwolił. Jakiś głos podpowiadał mu, że jeśli zaraz nie odjedzie, to nie odjedzie nigdy, bo Eric Hannity już wezwał wsparcie. (Ale inny głos uspokajał: za dziesięć minut Eric nie będzie pamiętał, że tu byłeś. Rozmawiał nie z tobą, tylko z własnym demonem).

Rzucił flarę do bagażnika, zatrzasnął klapę. Obszedł samochód i dopiero wtedy usłyszał wołanie Lee.

— Iggy?

Wewnętrzna temperatura Iggy'ego zmieniła się na dźwięk głosu Lee, spadła o parę stopni, jakby zbyt szybko wypił bardzo zimnego drinka. Odwrócił się. Zobaczył Lee przez fale unoszącego się znad asfaltu skwaru, falującą, zniekształconą postać, pojawiającą się i znikającą, ducha, nie człowieka. Jego krótkie złociste włosy płonęły rozjarzoną bielą, jakby stanęły w ogniu.

Eric Hannity z łysiną, od której bił oślepiający blask, z ramionami założonymi na potężnej piersi i dłońmi ukrytymi pod pachami, zatrzymał się w drzwiach do biura kongresmena, a Lee ruszył w stronę Iga. Wydawało się, że stąpa w powietrzu, płynie w duszącym skwarze dnia. Ale kiedy się zbliżył, jego sylwetka nabrała solidności, straciła wygląd zwiewnego, nierealnego ducha, bytu stworzonego z żaru i złudzenia optycznego, wreszcie stał się zwyczajnym krocącym po ziemi człowiekiem. Miał na sobie dzinsy i białą koszulę, strój robotnika, nadający mu wygląd stolarza, nie współpracownika politycznej szychy. Po drodze zdjął lustrzane okulary. Na szyi migotał mu cienki złoty łańcuszek.

Błękit prawego oka Lee miał odcień spłowiałego sierpniowego nieba. Obrażenie lewego nie spowodowało zwyczajnej zaćmy, która wygląda jak kremowobiały filtr. U Lee rozwinęła się zaćma korowa, przypominająca rozbryzg najbledszego błękitu, straszliwą białą gwiazdę wybuchającą w czerni źrenicy. Jego zdrowe oko,

przejrzyste i czujne, patrzyło na Iga, drugie lekko zezowało do środka i zdawało się spoglądać w dal. Lee przez nie widział, choć niewyraźnie — jak przez szybę pokrytą mydlinami. Patrzył na Iga prawym okiem. Na co patrzył lewym?

— Dostałem twoją wiadomość. No tak. Czyli wiesz.

Ig drgnął. Nie spodziewał się, że Lee — nawet poddany wpływowi jego rogów — przyzna się tak szczerze. Do tego z nieśmiałym, przepaszającym półuśmiechem, jakby zgwałcenie i zamordowanie dziewczyny było nietaktem, czymś w stylu ubłocenia nowego dywanu.

— Wiem wszystko, ty gnoju — powiedział drżącym głosem.

Lee pobladł; na jego policzkach wykwitły czerwone plamy. Podniósł lewą rękę w geście „Chwileczkę, spokojnie”.

— Ig, nie zamierzam się usprawiedliwiać. Wiedziałem, że tak nie wolno. Trochę za dużo wypilem, a ona była tak smutna... No i sytuacja wymknęła się z rąk.

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Sytuacja ci się wymknęła z rąk, skurwielu? Wiesz, że przyszedłem cię zabić.

Lee wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem zerknął przez ramię na Erica Hannity'ego.

— Gdybym miał taką przeszłość jak ty, tobym tak nie żartował. Po tym, co przeszedłeś z powodu Merrin, powinieneś

uważać, co mówisz w obecności funkcjonariusza. Zwłaszcza Erica. On nie chwyta ironii.

— To nie ironia.

Lee dotknął złotego łańcuszka na szyi.

— Nie wiem, czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie, ale czuję się z tym podle. I trochę się cieszę, że się dowiedziałeś. Nie potrzebujesz jej w swoim życiu. Bez niej będzie ci lepiej.

Ig boleśnie jęknął z wściekłości i ruszył na niego. Lee powinien się cofnąć, ale nawet nie drgnął. Posłał tylko kolejne spojrzenie Ericowi, który skinął głową. Ig też na niego zerknął — i skamieniał. Po raz pierwszy zauważył, że kabura Erica jest pusta. A była pusta z tej przyczyny, że Eric trzymał rewolwer w dłoni, którą ukrywał pod pachą. Ig właściwie nie widział broni, ale ją wyczuwał, czuł jej ciężar tak, jakby ją trzymał. Eric strzeli, bez wątplenia. Chce zabić brata Terry'ego Perrisha, dostać się na pierwsze strony — BOHATERSKI POLICJANT LIKWIDUJE DOMNIEMANEGO MORDERCĘ. Wystarczy, że Ig podniesie rękę na Lee. Rogi załatwią resztę, popchną Hannity'ego do spełnienia najgrzeszniejszych pragnień. Takie mają działanie.

— Nie wiedziałem, że tak ci zależy — odezwał się w końcu Lee, powoli i ostrożnie. — Ig, zlituj się, przecież Glenna to szmata.

Jasne, ma dobre serce, ale zawsze była szmatą. Myślałem, że mieszkasz z nią tylko dlatego, by uciec z domu rodziców.

Ig nie zrozumiał. Przez chwilę czas stanął w miejscu, nawet niemiłosierna kakofonia cykad umilkła. Potem zrozumiał, przypomniał sobie, do czego przyznała się mu dziś Glenna, to pierwsze wyznanie, które wymusiły rogi. Wydawało się niemożliwe, żeby to wszystko wydarzyło się rankiem tego samego dnia.

— Nie o nią chodzi — rzucił. — Jak mogłeś tak pomyśleć?

— To o kogo?

Ig nie mógł pojąć. Wszyscy inni mówili. Ledwie zobaczyli jego rogi, wyjawiali wszystkie tajemnice. Nie potrafili się powstrzymać. Recepcjonista chciał nosić bieliznę matki, Eric Hannity chciał mieć pretekst, by zastrzelić Iga i dostać się na pierwsze strony, a Lee wyznał tylko, że zrobiono mu laskę po pijaku.

— Merrin — wychrypiał Ig. — Mówię o tym, co zrobiłeś Merrin.

Lee przechylił głowę, odrobinę, tak że jego prawe ucho skierowało się ku niebu — jak pies nasłuchujący odległego dźwięku. Odetchnął cicho, może westchnął. Potem ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

— Pogubiłem się. Co niby miałem zrobić...

— Zabiłeś ją, bydlaku. Wiem, że to ty. Zabiłeś ją i zmusiłeś Terry'ego do milczenia.

Lee rzucił Igowi przeciągłe, szacujące spojrzenie. Znowu zerknął na Erica Hannity'ego — chyba sprawdzając, czy ich słyszy. Nie słyszał. Wówczas Lee odwrócił głowę, a jego spojrzenie stało się martwe i puste. Zmiana była tak wstrząsająca, że Ig omal nie krzyknął ze strachu — komiczna reakcja, diabeł boi się człowieka.

— Terry ci to powiedział? Jeśli tak, to kłamie.

Lee był w jakiś niezrozumiały sposób odporny na wpływ rogów. Otaczał go mur, przez który nie mogły się przebić. Ig usiłował zmusić rogi do działania — wypełniła je gęsta fala żaru, krwi i ciśnienia, ale przeminęła. Całkiem jakby grał na trąbce zatkanej kłębem szmat. Można w nią tłoczyć powietrze ze wszystkich sił, ale nie wyda dźwięku.

— Mam nadzieję, że tego nie rozpowiada. Ani ty.

— Jeszcze nie. Ale wkrótce wszyscy się dowiedzą. — Czy Lee w ogóle dostrzega rogi? Nie wspomniał o nich. Chyba nawet na nie nie spojrzał.

— Lepiej nie. — Lee zacisnął szczęki, aż na policzkach zagrały mu mięśnie. — Nagrywasz to?

— Tak — powiedział Ig, ale zbyt późno i zresztą bez sensu. Nikt, kto planowałby podstęp, nie przyznałby się do nagrywania rozmowy.

— Nieprawda. Nigdy nie nauczyłeś się kłamać. — Lee się uśmiechnął. Lewą ręką dotykał złotego łańcuszka na szyi. Drugą trzymał w kieszeni. — Ale szkoda, że tego nie robisz. Gdybyś nagrywał, dokądś by cię to zaprowadziło. A tak niczego nie udowodnisz. Może twój brat powiedział ci coś po pijaku, nie wiem. Na twoim miejscu bym o tym zapomniał. I z całą pewnością nie rozpowiadałbym tego naokoło. To by nikomu nie wyszło na zdrowie. Zastanów się. Wyobrażasz sobie, że Terry idzie na policję z taką obłąkaną historią, nie mając na jej potwierdzenie nic poza własnym słowem przeciwko mojemu, po całorocznym milczeniu? Bez żadnych dowodów na potwierdzenie swoich słów? Bo nie ma żadnych dowodów, Ig, wszystkie przepadły. Jeśli dalej będzie to powtarzał, w najlepszym wypadku czeka go koniec kariery. W najgorszym — możliwe, że obaj wylądujemy w więzieniu. Daję ci słowo, że pociągnę go za sobą.

Lee wyjął rękę z kieszeni i potarł zdrowe oko. Przez chwilę patrzył na Iga chorym, tym poprzecinanym promieniami bieli. A Ig po raz pierwszy zrozumiał, co go w tym oku od zawsze przerażało. Nie to, że było martwe, tylko... zajęte przez inną

materię. Jakby istniało dwóch Lee Tourneau. Ten pierwszy był człowiekiem, z którym Ig przyjaźnił się od ponad dziesięciu lat, człowiekiem, który przyznawał się przed dziećmi do grzechów i trzy razy w roku oddawał krew na rzecz Czerwonego Krzyża. Ten drugi Lee patrzył na otaczający go świat z taką samą zdolnością współczucia co pstrąg.

Lee opuścił rękę, niedbale włożył ją do kieszeni. Znowu zrobił krok naprzód. Ig cofnął się, pozostając poza jego zasięgiem. Nie wiedział, dlaczego to robi, nie wiedział, dlaczego fakt, że między nim a Lee Tourneau musi pozostać co najmniej metr asfaltu, nagle wydał mu się kwestią życia i śmierci. Cykady hałasowały w drzewach — drażniący brzęk doprowadzał Iga do szaleństwa.

— Była twoją przyjaciółką. Ufała ci, a ty ją zgwałciłeś, zabiłeś i porzuciłeś w lesie. Jak mogłeś?

— Jednego nie rozumiesz — powiedział Lee spokojnie. — To nie był gwałt. Na pewno wolisz tak myśleć, ale słowo daję, chciała, żebym ją przeleciał. Podrywała mnie od miesięcy. Wysyłała mi sygnały. Bawiła się słówkami. Za twoimi plecami zachowywała się jak podpuszczalska. Tylko czekała, aż wyjedziesz do Londynu, żebyśmy mogli pójść na całość.

— Nie. — Fala ciepła napłynęła Igowi na twarz, wzniosła się ku rogom. — Mogłaby się przespać z kimś innym, ale nie z tobą.

— Powiedziała ci, że chce sypiać z innymi. Jak ci się wydaje, kogo miała na myśli? Popatrz, wszystkie twoje dziewczyny mają to samo. Merrin, Glenna — wcześniej czy później wszystkie rzucają się na mojego fiuta. — Otworzył usta w drapieźnym uśmiechu bez śladu wesołości.

— Walczyła z tobą.

— Pewnie w to nie uwierzysz, ale ona też tego chciała, pragnęła, żebym siłą pokonał jej opory. Może tego potrzebowała. Tylko tak mogła przełamać zahamowania. Wszyscy mają mroczną stronę. Ona taką. Wiesz, że doszła? W tym lesie, ze mną? Ekspłodowała jak bomba. Chyba spełniłem jej fantazję. O seksie w ponurym starym lesie. O szarpaninie i odrobinie przemocy.

— A potem o ciosie kamieniem w głowę? — spytał Ig. Okrążał samochód, a Lee szedł za nim krok w krok. — O tym też marzyła?

— Lee stanął.

— Powinieneś o to spytać Terry'ego. To jego sprawa.

— Kłamiesz — szepnął Ig.

— Właściwie prawda nie istnieje. Choć to nie ma znaczenia. — Lee wyjął lewą rękę spod koszuli. Na szyi miał złoty krzyżyk, który błysnął w promieniach słońca. Włożył go do ust, przez chwilę ssał, a potem puścił. — Nikt nie wie, co zaszło tego wieczora. Czy kamieniem uderzyłem ją ja, Terry czy ty... nikt

nigdy się nie dowie, jak było naprawdę. Nie masz dowodów, a ja nie zawrę z tobą żadnego układu, więc czego chcesz?

— Chcę zobaczyć, jak umierasz, leżąc na ziemi, przerażony i pozbawiony nadziei. Tak jak ona.

Lee uśmiechnął się, jakby usłyszał komplement.

— Więc mnie zabij. No, zabij. — Zrobił szybko krok w stronę Iga, który otworzył drzwi od strony pasażera, odgradzając się od niego.

Drzwi uderzyły Lee w nogi, coś upadło na asfalt z brzękiem. Ig przelotnie dostrzegł wirujący na asfalcie czerwony scyzoryk o ośmiocentymetrowym ostrzu. Lee zachwiał się i sapnął głośno, gwałtownie wypuścił powietrze, a Ig wykorzystał tę chwilę i wskoczył do samochodu, przepelzł za kierownicę. Nawet nie próbował zamknąć drzwi.

— Eric! — krzyknął Lee. — Eric, on ma nóż!

Gremlin ożył ze zgrzytem silnika, a Ig wdepnął gaz, zanim jeszcze usadowił się w fotelu. Samochód ruszył z wizgiem, drzwi same się zamknęły. Ig zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył biegnącego truchtem Erica Hannity'ego z rewolwerem skierowanym lufą do dołu.

Spod tylnych opon bryznęły drobinki asfaltu, zamigotały złotem w słonecznym blasku. Ig jeszcze raz spojrzął w lusterko.

Zobaczył Lee i Erica stojących w chmurze pyłu. Lee znowu zamknął zdrowe oko i machał ręką, rozpędzając kłęby kurzu. Ale lewe, półślepe oko było otwarte i patrzyło za Igiem z dziwną, obcą fascynacją.

ROZDZIAŁ 24

Ominął autostradę, wracając — dokąd? Nie wiedział. Jechał bezmyślnie, nie wiedząc, co właściwie go spotkało, co to znaczy. Nie chodziło o to, co Lee powiedział albo zrobił, lecz o to, czego nie powiedział, nie zrobił. Rogi nie miały na niego wpływu. On jeden ze wszystkich spotkanych dziś ludzi powiedział Igowi tylko to, co chciał powiedzieć. O jego wyznaniu zdecydowała świadoma decyzja, nie bezwolny impuls.

Ig chciał jak najszybciej zjechać z drogi. Czy Lee wezwał policję, czy powiedział, że Ig zachowywał się jak obłąkany i rzucił się na niego z nożem? Nie, tak naprawdę Ig w to nie wierzył. Lee nie wmieszałyby policji, o ile mógłby tego uniknąć. Mimo to Ig pilnował, by nie przekroczyć limitu prędkości, sprawdzał, czy nie jadą za nim radiowozy.

Wolałby zachować chłodne opanowanie, odjechać jak Dr Dre — być zimnym jak lód sukinkotem — ale nerwy go ponosiły. Oddychał szybko. Dotarł do granic emocjonalnego wyczerpania. Wszystko zaczęło mu siadać. Nie mógł tak funkcjonować dłużej. Musiał zrozumieć, co się z nim dzieje. Potrzebował piły, ostrej piły, żeby usunąć z głowy ten żaloszny cud natury.

Słońce migotało między drzewami w kojącym, hipnotycznym rytmie. W tym samym rytmie rozbłyskiwały mu w głowie obrazy. Otwarty scyzoryk na ziemi. Babka Vera zjeżdżająca po zboczu w fotelu na kółkach. Merrin błyskająca do niego krzyżykiem w kościele tego dnia przed dziesięciu laty. Jego rogata sylwetka na ekranie w biurze kongresmena, złoty krzyżyk lśniący w letnim słońcu na szyi Lee — tu Ig drgnął z zaskoczenia, uderzając kolanami o kierownicę. Przyszła mu do głowy przykra myśl, niemożliwa myśl — że Lee nosił krzyżyk Merrin zdjęty z jej martwego ciała, trofeum. Ale nie, Merrin nie miała krzyżyka tego ostatniego wspólnego wieczora. Mimo to należał do niej. Krzyżyk wyglądał zwyczajnie, nie miał żadnych znaków szczególnych, a jednak Ig był pewien, że to ten sam, który Merrin nosiła na szyi pierwszego dnia ich spotkania.

Niespokojnie szarpał się za brodę, zastanawiając się, czy to może być tak proste, czy krzyżyk Merrin w jakiś sposób zniwelował, stłumił wpływ rogów. Krzyże odstraszą wampiry, prawda? Nie, to jakieś bzdury, nonsens. Niedawno wszedł do domu bożego, a ojciec Mould i siostra Bennert omal nie wyskoczyli ze skóry, żeby mu się zwierzyć ze swoich tajemnic i poprosić o pozwolenie na popełnienie grzechu.

Ale ojciec Mould i siostra Bennett nie znajdowali się w kościele, lecz w piwnicy. Nie w świętym miejscu, tylko w siłowni. Czy nosili krzyże, mieli jakiś symbol wiary? Ig przypomniał sobie krzyżyk ojca Moulda zwisający z końca dziesięciokilowej sztangi i pusty dekolt siostry Bennett. I co na to powiesz, Ig? Ig nic nie powiedział. Jechał przed siebie.

Po lewej stronie przemknął zamknięty Dunkin' Donuts; Ig zrozumiał, że znalazł się blisko podmiejskiego lasu, niedaleko drogi do starej odlewni. Niespełna kilometr dzielił go od miejsca, w którym zamordowano Merrin — tego samego miejsca, w którym wczoraj przeklinał, pieklił się, sikał i zemdlał. Całkiem jakby ten dzień zatoczył wielkie koło, które zawsze, nieodmiennie zaprowadzi go tam, gdzie zaczął.

Zwolnił i skręcił. Gremlin przetoczył się z chrzęstem po jednopasmowej zwirowej drodze ze szpalerami drzew po obu stronach. Piętnaście metrów dalej zagroził ją łańcuch z wygiętym znakiem „Wstęp wzbroniony”. Ig wyminął go i jechał dalej.

Wkrótce zza drzew ukazała się odlewnia. Stała na pustym polu na szczycie wzgórza i powinna się pławić w słońcu, ale była ciemna, wydawało się, że pada na nią cień. Może słońce zasłoniła chmura, ale kiedy Ig zerknął w górę, ujrzał pogodne niebo.

Dojechał na skraj łąki wokół murów odlewni i tu zatrzymał samochód. Wysiadł, nie wyłączając silnika.

W dzieciństwie odlewnia wydawała mu się ruinami zamku prosto z bajek braci Grimm, miejscem w mrocznym, gęstym lesie, gdzie okrutny książę mógłby zwabiać niewinne dziewczątka na pewną zgubę — i właśnie to się stało. Jako dorosły przekonał się z zaskoczeniem, że odlewnia wcale nie leży głęboko w lesie, najwyżej trzydzieści metrów od drogi. Ruszył w stronę miejsca, gdzie znaleziono ciało Merrin i gdzie przyjaciele i rodzina modlili się za jej duszę. Znał drogę, po śmierci Merrin bywał tu często. Pełzły za nim węże, ale udawał, że ich nie zauważa.

Wiśnia wyglądała tak jak wczoraj. Strząsnął wtedy z gałęzi zdjęcia Merrin. Pofrunęły w chwasty i krzaki. Kora — jasna, łuskowata skorupa — łuszczyła się, ukazując przegniłe, czerwone drewno. Ig wyjął fiuta i obsikał chwasty, swoje stopy, twarz plastikowej Madonny pozostawionej w zagłębieniu między dwoma najgrubszymi korzeniami. Nienawidził tej debilnie uśmiechniętej figurki, symbolu nic nieznaczącej historii, służki Boga, który nikomu się na nic nie przydawał. Nie wątpił, że gwałcona i zabijana Merrin wzywała Boga, jeśli nie głosem, to w sercu. A Bóg jej odpowiedział, że w związku z dużą ilością

interesantów jej zgłoszenie zostało umieszczone na liście oczekujących.

Ig zerknął teraz przelotnie na posążek Matki Boskiej i już odwracał wzrok, kiedy dotarło do niego, co widzi, i spojrzał jeszcze raz. Madonna wyglądała, jakby stanęła w płomieniach. Prawa połowa jej uśmiechniętej, świątobliwej twarzy poczerniała i skurczyła się jak spalona skwarka. Druga połowa rozplynęła się jak воск. Powstał na niej grymas. Igowi zakręciło się w głowie. Zachwiał się, przydepnął coś okrągłego i gładkiego, co wtoczyło mu się pod but i...

...na chwilę stała się noc, w górze wirowały gwiazdy, a on spojrzał w gałęzie, w łagodnie kołyszące się liście i powiedział:

— Widzę cię.

Do kogo się odezwał — do Boga? Zakołysał się, otoczony ciepłą nocą, a potem...

...klapnął ciężko na tyłek, usiadł z rozmachem na ziemi. Spojrzał pod nogi i zobaczył, że przydeptał butelkę, tę samą, którą tu przyniósł poprzedniej nocy. Pochylił się, potrząsnął nią i usłyszał chlupot wina.

Usiadł i spojrzał z niepokojem w gałęzie wiśni. Liście kołysały się łagodnie. Poruszył językiem, poczuł lepkość i brzydki smak w ustach. Wstał i poszedł do samochodu.

Po drodze przydepnął parę węży, nadal nie zwracając na nie uwagi. Odkorkował wino i pociągnął łyk. Było ciepłe po upalnym dniu, ale jemu to nie przeszkadzało. Smakowało jak Merrin, kiedy jej robił minetę — olejkiem i miedzią. I chwastami, jakby po godzinach spędzonych pod drzewem wchłonęło woń lata.

Podjechał do odlewni samochodem, lekko kołyszącym się na zarośniętej łące. Zbliżając się do budynku, szukał w nim oznak życia. W czasach jego dzieciństwa w gorące sierpniowe wieczory byłaby tu połowa młodych z Gideon, mających na coś nadzieję: na papierosa, piwo, pocałunek, macankę albo słodki smak własnej śmiertelności na trasie Evela Knievela. Ale ruiny stały puste i osamotnione w ostatnich promieniach słońca. Może od czasu śmierci Merrin nikt tu nie lubił przychodzić. Może rozeszła się pogłoska, że tu straszy. I może tak było.

Ig podjechał na tyły budynku. Zaparkował przy trasie Evela Knievela, w cieniu dębu. Z gałęzi zwisała niebieska spódnica z falbankami, długa czarna skarpetka i czyjś płaszcz, jakby drzewo rodziło spleśniałe ubrania. Przed przednim zderzakiem samochodu znajdowały się prowadzące ku rzece stare, zardzewiałe rury. Iggy wyłączył silnik i wysiadł.

Nie wchodził do odlewni od lat, ale wyglądała tak, jak pamiętał. Nie miała dachu, ceglane łuki i kolumny wznosiły się ku

ukośnym czerwonym promieniom słońca. Ściany pokrywała trzydziestoletnia warstwa nakładających się na siebie graffiti. Słowa nie dawały się odczytać, ale te pojedyncze wiadomości nie miały aż takiego znaczenia. Ig pomyślał, że we wszystkich chodzi o to samo: Istnieję; istniałem; chcę istnieć.

Jedna ściana częściowo się zawaliła; Ig obszedł stertę cegieł i taczkę pełną zardzewiałych narzędzi. W głębi największego pomieszczenia znajdował się komin. Żelazne drzwiczki pieca stały otworem; palenisko było tak duże, że można by w nie wpełznąć.

Zajrzał do środka i zobaczył materac otoczony kolekcją czerwonych ogarków. Z boku leżał zmięty, niegdyś błękitny koc, brudny i poplamiony. Jeszcze dalej, w kręgu miedzianego światła, dokładnie pod kominem, znajdowały się zwęglone resztki ogniska. Ig podniósł koc i powąchał. Poczł smród starego moczu i dymu.

Wracając do samochodu po butelkę i komórkę, musiał wreszcie spostrzec, że pełzną za nim węże. Słyszał szelest ich ciał na suchej trawie, było ich kilkanaście. Chwycił spomiędzy chwastów kawał starego betonu i rzucił. Jeden wąż odpełził w bok. Żaden nie ucierpiał. Wszystkie znieruchomiały, przyglądając mu się w ostatnich promieniach słońca.

Starł się patrzeć nie na nie, lecz na samochód; półmetrowy wąż spadł z dębu i klapnął na maskę gremlina z głuchym

brzękiem. Ig z krzykiem odskoczył, a potem przyskoczył, żeby go zrzucić.

Chciał złapać gada za głowę, ale chwycił za nisko, w połowie. Wąż uniósł łeb i wbił mu zęby w dłoń. Ig miał wrażenie, że ktoś wkłuł mu w ciało wielką zszywkę. Rzucił węża w krzaki. Włożył kciuk do ust i poczuł smak krwi. Nie martwił się, w New Hampshire nie ma jadowitych węży. A nie, niezupełnie. Dale Williams lubił zabierać Merrin i Iga na wyprawy do White Mountains i często ich ostrzegał, żeby uważali na grzechotniki. Ale zawsze robił to z wesołym uśmiechem, a nikt poza nim nie wspominał o grzechotnikach w New Hampshire.

Ig odwrócił się do swojej gadziej świty. Węży było już ze dwadzieścia.

— Spierdalać! — ryknął.

Znieruchomiały, przyglądając się mu z wysokiej trawy uważnymi, zwężonymi oczami jak ze złotej folii — a potem zaczęły się rozpełzać, znikać w chwastach. Igowi wydało się, że jeden rzucił mu spojrzenie pełne rozczarowania.

Ruszył wielkimi krokami do odlewni i podciągnął się na rękach do drzwi znajdujących się prawie dwa metry nad ziemią. Jedna samica nie posłuchała i popęzła za nim aż do ruiny. Wiła się niespokojnie w dole, mała pończoszniczka o delikatnym wzorze.

Patrzyła w górę roznamiętnionym, entuzjastycznym spojrzeniem grupie pod balkonem gwiazdy rocka, gotowa na wszystko, byle zostać zauważona i zaakceptowana.

— Idź się prężyć gdzie indziej! — krzyknął.

Może mu się wydawało, ale zaczęła się więc jeszcze szybciej, niemal ekstatycznie. Na myśl przyszła mu sperma wstrzyknięta w kanał rodny, wyzwolona erotyczna energia — rozpraszające skojarzenie. Odszedł czym prędzej.

*

Usiadł z butelką w piecu i z każdym łykiem wina ciemność otwierała się i rozszerzała, stawała się gęstsza. Gdy wysuszył ostatnią kroplę merlota i nie było sensu dłużej ssać szyjki butelki, zaczął ssać rankę na kciuku.

Nie brał pod uwagę spania w gremlinie — miał złe wspomnienia z ostatniego razu — a poza tym nie chciał po obudzeniu zobaczyć przedniej szyby przygniecionej kłębem węży.

Nie zapalił świeczek, bo musiałyby iść do samochodu po zapalniczkę. Wolałby nie brnąć po ciemku wśród węży. Z całą pewnością go nie zostawiły.

Uznał, że w piecu powinna się znajdować zapalniczka albo pudełko zapalek. Sięgnął do kieszeni po komórkę, chcąc rozejrzeć się w blasku jej ekranika. Ale kiedy włożył rękę do kieszeni,

oprócz telefonu znalazł coś jeszcze, płaskie kartonowe pudełko, które wydawało się, choć to niemożliwe...

Pudełko zapalek. Poczul dreszcz na plecach. Nie palił i nie miał pojęcia, skąd się wzięły zapalniczki.

Na pudełku widniał czarny ozdobny napis ZAPALNIKI LUCYFERA oraz rysunek czarnego diabła w skoku, z odrzuconą do tyłu głową, zakrzywioną capią bródką i godzącymi w niebo rogami.

Przez chwilę znowu wróciło dręczące, bliskie wspomnienie tego, co się wydarzyło wczoraj w nocy, co zrobił, ale kiedy je chwycił, umknęło. Było śliskie jak wąż.

Otworzył szufladkę pudełka. Dwanaście zapalek ze złowrogimi sinawymi łebkami. Duże, grube, kuchenne zapalniczki. Wydzielały jakiś zapach, fetor psujących się jajek. Pomyślał, że są stare, tak stare, że będzie cudem, jeśli któraś się zapali. Przeciągnął pierwszą po drasce. Od razu zapłonęła z sykiem.

Zapalił świeczki. Było sześć ustawionych w luźnym półokręgu. Po chwili już rzucały czerwone światło na cegły, a jego cień skakał i miotał się na sklepionym suficie. Rogi dawały się zauważyć. Spojrzał w dół i przekonał się, że zapalniczka wypaliła mu się w palcach. Nie zauważył tego, nie poczuł bólu, gdy ogień skwierczał mu na skórze. Potarł kciuk i palec wskazujący,

patrząc, jak zwęglone resztki zapałki się kruszą. Ukąszony kciuk już go nie bolał. W słabym świetle nawet nie widział rany.

Nie wiedział, która godzina. Nie nosił zegarka, ale miał komórkę. Na ekranie zobaczył, że dochodzi dziewiąta, kończy mu się bateria i ma pięć wiadomości na poczcie głosowej. Przyłożył telefon do ucha i odsłuchał je.

Pierwsza brzmiała:

— Ig, tu Terry. Vera jest w szpitalu. W jej fotelu zepsuły się hamulce, stoczyła się prosto na płot. Ma szczęście, że żyje. Rozbiła sobie twarz i złamała parę żeber. Trzymają ją na OIOM-ie, a za wcześnie, żeby się upić. Zadzwoń. — Sygnał i koniec. Ani jednej wzmianki o ich spotkaniu w kuchni, ale tym akurat Ig się nie zdziwił. Dla Terry'ego tego spotkania nie było.

Druga:

— Ig, tu mama. Wiem, że Terry powiedział ci o Verze. Utrzymują ją w śpiączce, dali jej kroplówkę z morfiny, ale przynajmniej jest stabilna. Rozmawiałam z Glenną. Nie wie, gdzie się podziewasz. Zadzwoń. Wiem, że dziś rozmawialiśmy, ale mam mętlik w głowie i nie mogę sobie przypomnieć, o czym ani kiedy. Kocham cię.

Ig parsknął śmiechem. Czego to ludzie nie wygadują. Z jaką łatwością kłamią.

Trzecia:

— Cześć, mały. Tu tata. Pewnie słyszałeś, że babcia Vera staranowała płot jak wykolejony pociąg. Właśnie sobie uciąłem drzemkę, a kiedy się obudziłem, na podwórku stała karetka. Powinieneś porozmawiać z mamą. Jest bardzo zdenerwowana. —
A po chwili: — Miałem o tobie przezabawny sen.

Następna wiadomość była od Glenny:

— Twoja babcia jest na OIOM-ie. Jej wózek się rozbrykał i wpadła na płot twojego domu. Nie wiem, gdzie jesteś ani co robisz. Brat cię tu szukał. Jeśli odsłuchasz tę wiadomość, twoja rodzina cię potrzebuje. Powinieneś pojechać do szpitala. — Beknęła cicho. — Ops, przepraszam. Zjadłam dziś jeden pączek z supermarketu i chyba był nieświeży. Jeśli supermarketowe pączki w ogóle mogą być nieświeże. Żołądek boli mnie przez cały dzień. — Znowu urwała i dodała: — Pojechałabym do szpitala z tobą, ale nie zostałam przedstawiona twojej babci i prawie nie znam twoich rodziców. Myślałam dzisiaj, że to dziwne. A może i nie dziwne. Może to nie dziwne. Jesteś najmilszym facetem pod słońcem. Zawsze tak uważałam. Ale w głębi duszy czuję, że wstydziliś się być ze mną po tylu latach z nią. Bo ona była taka czysta i dobra, i nigdy nie popełniała błędów, a ja jestem cała z błędów i wad. Nie mam do ciebie pretensji, wiesz? Że się wstydzisz. Niewiele to

znaczy, ale sama nie mam o sobie dobrego zdania. Martwię się o ciebie, bracie. Zajmij się babcią. I sobą.

Ta wiadomość wytrąciła go z równowagi — a może raczej jego reakcja na nią. Był gotów gardzić Glenną, nienawidzić jej, ale wbrew własnej woli przypominał sobie, dlaczego ją lubił. Glenna szczerze i od niechcienia udzielała swego mieszkania i ciała, nie miała mu za złe jego użalania się nad sobą i obsesji na punkcie Merrin. I tak było: związał się z nią, bo w pewnym sensie pomagało mu towarzystwo kogoś równie porąbanego jak on, kogo mógłby trochę lekceważyć. Glenna była słodkim, popapranym byle czym. Miała tatuaż z króliczkiem Playboya, ale nie pamiętała, kiedy go sobie zrobiła — była zbyt pijana. Miała epizody z policjantami i gazem pieprzowym, awanturami na koncertach. Miała za sobą kilka związków, wszystkie chore: z żonatym, z agresywnym dilerem trawki, z facetem, który robił jej zdjęcia i pokazywał przyjaciółom. I oczywiście z Lee.

Zastanowił się nad tym, co mu dziś wyznała na temat Lee Tourneau — Lee, który był jej pierwszą szczeniacką miłością, który dla niej kradł. Ig dotąd nie wyobrażał sobie, żeby mógł być zazdrosny o erotyczne życie Glenny. Nie uważał ich znajomości za rozwojową. Dzielili mieszkanie i łóżko, ale nie przyszłość — lecz myśl o Glennie klęczącej przed Lee Tourneau, o Lee wdzierającym

się w jej usta odebrała mu siły i przejęła obrzydzeniem graniczącym ze zgrozą. Bał się o Glennę, wiedząc, że Lee może jej zrobić krzywdę, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Poczta głosowa odgrywała ostatnią wiadomość i po chwili Terry znowu przemówił Igowi do ucha.

— Jeszcze jesteśmy w szpitalu — powiedział. — Serio, bardziej martwię się o ciebie niż o Verę. Nikt nie wie, gdzie jesteś, nie odbierasz tej zasranej komórki. Glenna twierdzi, że nie widziała cię od wczoraj. Pokłóciliście się? Jakoś marnie wyglądała. — Terry zamilkł, a kiedy znowu się odezwał, każde jego słowo zabrzmiało jak zważone i odmierzone, wybrane z nienaturalną starannością. — Wiem, że z tobą rozmawiałem, jakoś po przyjeździe, ale nie pamiętam, czy się umówiliśmy. Nie wiem. Głowa mi szwankuje. Jak odsłuchasz, zadzwoń. Daj znać, gdzie jesteś.

Ig myślał, że to już koniec. Że teraz brat się rozłączy. Ale usłyszał niepewny wdech, a potem Terry spytał ochryple i trwożnie:

— Dlaczego nie pamiętam, o czym ostatnio rozmawialiśmy?

*

Każda świeczka rzucała osobny cień na sklepiony ceglany sufit, więc nad Igiem stłoczyło się sześć diabłów bez twarzy, pochylonych

nad trumną żałobników w czerni. Kołysały się na boki w rytmie pogrzebowej pieśni, słyszalnej tylko dla nich.

Ig skubał zębami bródkę, martwiąc się o Glennę, zastanawiając się, czy Lee Tourneau ją dziś odwiedzi, kiedy będzie go szukał. Zadzwoił do niej, ale od razu przełączyło go na pocztę głosową. Nie zostawił wiadomości. Nie wiedział, co powiedzieć. „Cześć, skarbie, nie wrócę dziś do domu... chcę pobyc sam, dopóki nie zdecyduję, co zrobić z rogami, które mi wyrosły na głowie. Aha, nie rób dziś laski Lee Tourneau. To zły człowiek”. Skoro nie odebrała telefonu, to już śpi. Powiedziała, że nie czuje się dobrze. Więc dość. Starczy. Lee przecież nie będzie rąbać siekierą jej drzwi o dwunastej w nocy. Chce załatwić dawnego przyjaciela w sposób pociągający za sobą jak najmniej ryzyka.

Ig uniósł butelkę do ust, ale nic z niej nie wytrząsnął. Wypił wszystko. To go wkurzyło. Nie dość, że został wykluczony spośród ludzi, to jeszcze musi być trzeźwy. Chciał wyrzucić butelkę i znieruchomiał, wpatrzony w otwarte drzwi pieca.

Węże jakoś znalazły wejście do odlewni i było ich mnóstwo. Ile tu przylazło, ze sto? Utworzyły falujący kłęb zwrócony w stronę pieca pyszczkami o lśniących czarnych ślepiach. Po chwili wahania rzucił butelkę, która uderzyła w podłogę przed nimi, bryzgając szkłem. Większość węży odpełzła, znikła w stertach

cegieł lub wysliznęła się przez jedne z wielu drzwi. Ale niektóre tylko się trochę cofnęły i zatrzymały, mierząc go niemal oskarżycielskim spojrzeniem.

Zatrzasnął drzwi pieca i rzucił się na cuchnące posłanie, nakrywając się kocem. Jego myśli były jak gwar gniewnych głosów, ludzi krzyczących na niego, wyznających swoje grzechy, proszących o pozwolenie na popełnienie nowych. Myślał, że dziś już nie zazna snu, ale sen narzucił mu worek na głowę. Ig na sześć godzin stracił przytomność. Jakby umarł.

ROZDZIAŁ 25

Obudził się w piecu, otulony w stary, śmierdzący sikami koc. U stóp komina panował orzeźwiający chłód, a on czuł się silny i zdrowy. A gdy oprzytomniał, przyszła mu do głowy myśl, najszczęśliwsza myśl w jego życiu. To był sen. Wszystkie wydarzenia poprzedniego dnia mu się przyśniły.

Był pijany i znępany, obsikał krzyż i Matkę Boską, przeklinał Boga i własne życie, zdominowała go destrukcyjna wściekłość — tak, to wszystko się wydarzyło. Potem, w okresie zaćmienia, przywlókł się do odlewni i stracił przytomność. Reszta była wyjątkowo realistycznym koszmarem: odkrycie rogów, wysłuchiwanie kolejnych okropnych wyznań i wreszcie najgorszego — strasznej, niewiarygodnej tajemnicy Terry’ego, zwolnienie hamulca fotela i zepchnięcie Very ze wzgórza, wizyta w biurze kongresmena i niepokojąca konfrontacja z Lee Tourneau i Erikiem Hannitym, a potem powrót do odlewni, ukrycie się w tym wygasłym wielkim piecu przed stadem zakochanych w nim węży.

Westchnął z ulgą i dotknął skroni. Rogi były twarde jak kość i promieniowały nieprzyjemnym, gorączkowym żarem. Otworzył

usta, żeby krzyknąć, ale ktoś go ubiegł.

Żelazne drzwiczki pieca i ceglane sklepienie tłumili dźwięki, lecz jakby z wielkiej odległości dobiegł go przeraźliwy, dramatyczny krzyk, a potem śmiech. „Nie! Przestańcie!” — krzyczała dziewczyna. Ig pchnął drzwiczki pieca. Krew łomotała mu w żyłach.

Wypełzył z pieca w przejrzyste, czyste światło poranka. Kolejny drżący krzyk strachu — lub bólu — rozległ się po lewej stronie, zza pozbawionego drzwi wejścia. Nie, to nie krzyczała dziewczyna, tylko spanikowany chłopiec. Ig jak na skrzydłach przemknął po betonowej podłodze, minął taczkę pełną starych, rdzewiejących narzędzi. Chwycił pierwsze, które wpadło mu w rękę, nie zatrzymując się, nie patrząc, byle tylko mieć czym uderzyć.

Byli na zewnątrz, na asfalcie. Trzech ubranych i jeden w samych za ciasnych białych bokserkach, umazany błotem. Chudy, o długim torsie, miał najwyżej trzynaście lat. Pozostali byli starsi, z pierwszych klas liceum.

Chłopak z ogoloną głową w kształcie żarówki siedział na rozebrany dzieciaku, paląc papierosa. Parę kroków dalej stał grubas w białej koszulce. Miał spoconą, rozradowaną twarz i przeskakiwał z nogi na nogę, aż trzęsły mu się po dziewczynsku wypukłe piersi. Najstarszy chłopiec stał po lewej stronie,

trzymając za ogon małą, wijącą się pończoszniczką. Ig ją rozpoznał — niemożliwe, lecz prawdziwe. To ona rzucała mu wczoraj powłóczyste spojrzenia. Wyginała ciało, usiłując unieść się na tyle, by ukąsić trzymającą ją rękę, lecz na próżno. Ten trzeci chłopiec miał w drugiej ręce ogrodowy sekator. Ig znajdował się za nimi, w drzwiach prawie dwa metry nad ziemią.

— Dość! — krzyczał chłopiec w majtkach. Twarz miał brudną, ale łzy wyżłobiły w pyłe różowe linie. — Przestań, Jesse! Dość!

Ten z papierosem — Jesse — strzepnął mu popiół na twarz.

— Zamknij się, wypierdku. Będzie dość, gdy ja tak powiem.

Chłopiec już miał parę oparzeń po papierosie. Ig naliczył trzy lśniące, jaskrawoczerwone oparzenia jedno obok drugiego, zajmujące tylko jakieś trzy centymetry skóry. Układały się w trójkąt.

— Wiesz, dlaczego wypaliłem ci trójkąt? — spytał Jesse. — Tak hitlerowcy oznaczali pedałów. To twój znak. Nie musiałbym się posunąć tak daleko, ale kwiczałeś, jakby cię w dupę rznęli. Poza tym jedzie ci z paszczy futem.

— Ha! — zawołał grubas. — A to śmieszne!

— Mam tu coś w sam raz na pozbycie się tego futowego smrodu — powiedział wyrostek z węzem. — Wypłuczemy mu ryj.

Uniósł sekator, umieścił go za łbem pończoszniczki i jedną ręką nacisnął uchwyt. Rozległo się wilgotne chrupnięcie i głowa w kształcie rombu odbiła się od asfaltu z głośnym pacnięciem, jakie wydają gumowe piłki. Ciało węża drgnęło gwałtownie, zwijało się i rozwijało w silnych spazmach.

— Ooooo! — wrzasnął grubas, podskakując w miejscu. — Zdekapowałeś dziada, Rory!

Rory przykucnął przy nagim chłopcu. Krew bluzgała z gada w szybkim rytmie tętna.

— Ssij — rozkazał Rory, przysuwając truchło do ust chłopca.

— Ssij, to Jesse da ci spokój.

Jesse parsknął śmiechem i głęboko zaciągnął się papierosem, którego czubek rozświetlił się intensywną, jadowitą czerwienią.

— Dość tego — odezwał się Ig głosem, który wydał mu się obcy. Brzmiał nisko i głucho, jakby dobiegał z komina.

Papieros w ustach Jessego wybuchł jak petarda, eksplodując białym światłem. Dręczyciel wrzasnął i upadł w wysoką trawę. Ig zeskoczył w chwasty i dziabnął trzymanym w rękę narzędziem — starymi widłami o trzech zakrzywionych, pokrytych rdzą zębach — w brzuch grubego. Jakby trącił oponę, poczuł przez trzonek sprężysty opór. Grubas kaszlnął i stracił równowagę.

Ig odwrócił się i wymierzył widły w Rory'ego, który upuścił gadzie truchło. Spadło na asfalt i zaczęło się miotać, jakby jeszcze żyło i usiłowało odpełznąć.

Rory powoli wstał i wszedł tyłem na niską stertę desek, starych puszek i zardzewiałych drutów. Śmieci ustąpiły mu spod nóg, zakołysał się i usiadł.

Ig poczuł przeszywający mu płuca ból, palący żar, taki sam jak przy zbliżającym się ataku astmy. Odetchnął, usiłując się pozbyć ucisku w piersi. Z nozdrzy buchnął mu dym. Kątem oka zauważył, że chłopak w slipach dźwiga się na kolana i wyciera twarz rękami, dygocząc.

— Chciałbym uciec — odezwał się Jesse.

— Ja też — dodał grubas.

— Zostawmy Rory'ego, niech tu umiera. Jesteśmy mu coś winni czy jak?

— Przez niego musiałem całe dwa tygodnie zostawać po lekcji, bo zalał łazienkę, a ja nie zatkałem nawet jednego kibla — oznajmił grubas. — Tylko patrzyłem. Niech się goni. Chcę żyć!

— Więc lepiej uciekajcie — powiedział Ig.

Jesse i grubas rzucili się pędem do lasu.

Ig wbił widły w ziemię. Oparł się na rękojeści i spojrzał na nastolatka na stercie śmieci. Rory nie starał się wstać. Gapił się

na niego z fascynacją.

— Wyznaj mi swój największy grzech — odezwał się Iga. — Chcę wiedzieć, czy to twój debiut, czy też robiłeś już gorsze rzeczy.

— Ukradłem mamie czterdzieści dolców na piwo, a mój starszy brat John pobił ją, kiedy powiedziała, że nie wie, gdzie się podziały — odpowiedział automatycznie Rory. — John myślał, że wydała na zdrapki i teraz kłamie, a ja się nie odzywałem, bo bałem się też oberwać. Gdy ją bił, tak to brzmiało, jakby ktoś kopał w arbuza. Twarz jeszcze się jej nie wygoiła i robi mi się niedobrze, kiedy ją całuję na dobranoc. — W kroku jego dzinsowych szortów pojawiła się rosnąca ciemna plama. — Zabijesz mnie?

— Nie dziś. Idź. Pozwalam ci odejść.

Smród moczu Rory'ego przejął go obrzydzeniem, ale starał się tego nie zdradzać.

Rory wstał; nogi wyraźnie mu się trzęsły. Zsunął się ze sterty i zaczął się wycofywać w stronę lasu, nie spuszczając oczu z Iga i wideł. Nie uważał i niemal przewrócił się o gołego chłopca, który nadal siedział na ziemi, tulił do piersi naręczce ubrań i patrzył na Iga jak na ropiejące ścierwo.

— Pomóc ci wstać? — spytał Iga, podchodząc do niego. Chłopiec zerwał się na nogi i odskoczył o parę kroków. — Nie zbliżaj się!

— Nie pozwalaj się dotknąć — odezwał się Rory.

Ig spojrział chłopcu w oczy i powiedział, siłąc się na cierpliwość:

— Ja tylko chcę pomóc.

Dzieciak odsłonił zęby w grymasie obrzydzenia, ale jego oczy miały to zamglone, nieobecne spojrzenie, z którym Ig już się zaczął oswajać — spojrzenie świadczące, że rogi wywierają na niego wpływ.

— Nie pomagasz — oznajmił. — Wszystko spieprzyłeś.

— Przypalali cię!

— Co z tego? Wszystkie koty z drużyny pływackiej dostają znak. Miałem tylko possać jednego małego węża, by pokazać, że smakuje mi krew, i potem byłbym jednym z nich. A ty wszystko zepsułeś.

— Wynoście się do diabła. Obaj!

Rory i chłopiec puścili się pędem. Dwaj pozostali czekali w lesie. Na chwilę wszyscy zatrzymali się w pachnącym żywią mroku drzew.

— Kto to? — spytał Jesse.

— Straszny jest — mruknął Rory.

— Chcę uciec — powiedział grubas. — I o wszystkim zapomnieć.

Wówczas Igowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

— Nie. Nie zapominajcie. Zapamiętajcie, że tu jest coś strasznego. Powiedzcie wszystkim. Powiedzcie, żeby nie zbliżali się do starej odlewni. To miejsce należy teraz do mnie.

Czy dzięki swej nowej mocy narzuci im tę pamięć? Wszyscy inni o nim zapominali. Ale może się uda.

Chłopcy wpatrywali się w niego przez chwilę. Potem grubas ocknął się i rzucił do ucieczki, a inni za nim pobiegli. Gdy znikli z oczu, Ig podniósł widłami zdekapitowanego węża — krew nadal kapła miarowo — i zaniósł do odlewni, gdzie pochował go pod kurhanem z cegieł.

ROZDZIAŁ 26

Późnym rankiem poszedł do lasu, żeby się wysrać. Wypiął się nad pniakiem, z szortami zsuniętymi do kostek. Kiedy chciał je wciągnąć, znalazł w nich zwiniętego małego pończoszniaka. Krzyknął, chwycił go, odrzucił w liście.

Podtarł się starą gazetą, ale nadal czuł się brudny, więc zszedł wzdłuż trasy Evela Knievela do rzeki. Rozebrał się. Woda cudownie chłodziła mu skórę. Zamknął oczy i popłynął z prądem. Cykady brzęczały, ich głosy składały się we współbrzmienia, które falowały jak oddech. Ig oddychał bez trudu, ale kiedy otworzył oczy, zobaczył zaskrońce płynące za nim jak torpedy. Szybko wygramolił się na brzeg. Ostrożnie przeszedł nad czymś, co wydawało mu się długim, nadgniętym balem, a potem podskoczył i zadrzał, gdy bal wpelził w mokrą trawę — był to wąż o długości równej jego wzrostowi.

Ig uciekł przed gadami do odlewni, ale na nic się to nie zdało. Patrzył, przykucnięty w palenisku, jak gromadzą się na podłodze pod drzwiczkami pieca, wślizgują się przez szpary między cegłami w ścianie, wpadają przez otwarte okna. Jakby ktoś odkręcił kurki,

powodując gadzią powódź. Płynęły, rozlewały się po podłodze, falujący płynny żywioł.

Patrzył na nie żałośnie; nerwowy brzęk myśli w głowie pasował wysokością i natarczywością do zawodzenia cykad. Las trzął się od ich pieśni, tego jednego, doprowadzającego do szału sygnału, który samce nieustannie wysyłały do samic.

Rogi. Rogi wysyłały sygnał, jak ta cholerna pieśń cykad. Nadawały nieustanną audycję w bezprzewodowym Gadzim Radiu:

„Następną piosenkę dedykuję wszystkim zrzucającym skórę zakochanym”. Tytuł: „Gadu-gadu gada”. Rogi wywabiały węże i grzechy z mroku, wyciągały je z ukrycia.

Zastanowił się — nie po raz pierwszy — czy nie odpiłować rogów. W taczce zauważył długą zardzewiałą piłę o zakrzywionych zębach. Ale były przecież częścią jego ciała, wrosniętą w czaszkę, stopioną z resztą szkieletu. Przycisnął kciuk do czubka lewego rogu, aż poczuł ostre ukłucie. Cofnął rękę, na której ukazała się rubinowa kropelka krwi. Spróbował sobie wyobrazić, że piłuje rogi. Wzdrygnął się na tę myśl, wyobraził sobie tryskającą krew, przeszywający ból. Równie dobrze mógłby przepiłować nogę w kostce. Usunięcie rogów wymagałoby ogólnego znieczulenia i chirurga.

Ale każdy wystawiony na działanie rogów chirurg znieczuliłby raczej pielęgniarkę, żeby ją przelecieć na stole operacyjnym. Ig musiał znaleźć jakiś sposób, żeby odciąć sygnał, nie odcinając żadnej części swego ciała. Musiał jakoś przerwać nadawanie Gadziego Radia, jakoś je uciszyć.

Skoro tego nie potrafił, plan B zakładał udanie się tam, gdzie węże nie mają wstępu. Nie jadł od dwunastu godzin, a w sobotnie poranki Glenna pracowała w salonie fryzjerskim, układając klientkom włosy i depilując brwi. Mieszkanie jest puste, będzie miał lodówkę do dyspozycji. Może zostawi wiadomość („Kochana Glenno, wpadłem po kanapkę, zabrałem parę ciuchów, przez jakiś czas mnie nie będzie. Unikaj Lee Tourneau, zamordował moją poprzednią dziewczynę, całuję, Ig”).

*

Wsiadł do gremlina i piętnaście minut później wysiadł pod blokiem Glenny. Upał zdzielił go jak pałką; jakby otworzył drzwiczki płonącego pieca. Ale jemu to nie przeszkadzało.

Zastanowił się, czy może powinien okrążyć budynek parę razy, by się upewnić, że policjanci nie zasadzili się na niego za ten atak z nożem na Lee Tourneau. Zdecydował, że zaryzykuje i wejdzie. Jeśli Sturtz i Posada na niego czekają, porazi ich rogami, sprawi, że zaczną się gzić ze sobą. Uśmiechnął się na tę myśl.

Na schodach, na których każdy odgłos niósł się echem, towarzyszył mu tylko jego cień, czterometrowy i rogaty. Odprowadził go aż na najwyższe piętro. Glenna nie zamknęła drzwi na klucz, co było bardzo nie w jej stylu. Ciekawe, o czym myślała, wychodząc z domu. Czy martwiła się o niego? A może po prostu zasnęła i wybiegła w pośpiechu? Najprawdopodobniej. Ig robił za jej budzik, to on ją zwlekał z łóżka i robił kawę. Glenna nie była rannym ptaszkiem.

Delikatnie pchnął drzwi. Wyszedł z tego mieszkania zaledwie wczorajszego ranka, a jednak teraz czuł się, jakby nigdy tu nie mieszkał i oglądał pokoje Glenny po raz pierwszy. Meble były tanie i tandetne: poplamiona kanapa ze sztruksową tapicerką, pęknięty puf, z którego wysypywało się syntetyczne wypełnienie. W tym mieszkaniu nie został prawie żaden ślad obecności Iga, żadnych zdjęć i drobiazgów, tylko parę książek na półce, kilka płyt i lakierowane wiosło z autografami. To wiosło przywiózł z ostatniego kościelnego obozu — uczył rzutu oszczepem. Został wybrany na Instruktora Roku. Na wiosle podpisali się wszyscy inni instruktorzy i podopieczni z jego baraku. Ig nie pamiętał, jak ta pamiątka się tu znalazła ani co zamierzał z nią zrobić.

Zajrzał do kuchni przez okienko. Na zasypanym okruszkami blacie leżało puste pudełko po pizzy. W zlewie piętrzyły się

wyszczerbione talerze. Nad nimi latały muchy.

Glenna wspominała mu od czasu do czasu, że potrzebują nowych talerzy, ale Ig nie chwycił aluzji. Spróbował sobie przypomnieć, czy kupił kiedyś Glennie coś ładnego. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to piwo. Lee Tourneau przynajmniej ukradł dla niej skórzaną kurtkę. Lee traktował ją lepiej od niego. Igowi zrobiło się przykro.

Nie chciał teraz o nim myśleć, czuć się nieczysty. Zamierzał sobie zrobić lekkie śniadanie, spakować się, posprzątać w kuchni, napisać liścik i odejść — w tej kolejności. Nie życzył sobie, żeby ktoś go tu zaskoczył: jego rodzice, brat, policja, Lee Tourneau. W odlewni czuł się bezpieczniejszy. Tam prawdopodobieństwo spotkania kogoś było mniejsze. W tym mrocznym, dusznym mieszkaniu czuł się nieswojo. Nigdy dotąd nie zauważył, że to taka nędzna nora.

Okna zasłaniały rolety. Ig nie wiedział dlaczego. Nie spuszczały ich od miesięcy.

Znalazł garnek, nalał do niego wody, postawił na kuchence. Zostały tylko dwa jajka. Włożył je do garnka. Ruszył krótkim korytarzem do sypialni, omijając porzucone na podłodze spódnicę i majtki. Nie zapalał światła, nie musiał widzieć. Pamiętał, gdzie jest wszystko.

Przy komodzie znieruchomiał ze zmarszczonymi brwiami. Szuflady były otwarte, jego i jej. Nie rozumiał, nigdy tak nie zostawiał swoich szuflad. Może ktoś przeszukał jego rzeczy — na przykład Terry, usiłujący odgadnąć, co się z nim stało. Ale nie, Terry nie bawiłby się w prywatnego detektywa. Ig poczuł, jak drobne szczegóły łączą się, tworząc większy obraz: otwarte frontowe drzwi, spuszczone rolety, żeby nikt nie widział, co się dzieje w mieszkaniu, przetrząśnięta komoda. To wszystko miało ze sobą jakiś związek, lecz zanim zdołał go odgadnąć, usłyszał szum spuszczonej wody.

Drgnął. Nie widział samochodu Glenny na parkingu, nie sądził, że zastanie ją w domu. Już otwierał usta, by zawołać, dać jej znak, że tu jest, kiedy drzwi się otworzyły i z kibla wyszedł Eric Hannity.

Jedną ręką podtrzymywał spodnie, w drugiej niósł gazetę, „Rolling Stone”. Podniósł głowę i spojrzał na Iga. Ig odpowiedział nieruchomym spojrzeniem. Eric upuścił gazetę na podłogę. Podciągnął spodnie i zapiął pas. Na dłoniach miał niebieskie lateksowe rękawiczki.

— Co tu robisz? — spytał Ig.

Eric wysunął zza paska drewnianą pałkę z wiśniowymi plamami.

— Ano, Lee chce z tobą porozmawiać. Ty powiedziałeś, co ci leżało na wątrobie, ale on nie. A wiesz, jaki jest. Lubi mieć ostatnie słowo.

— Wysłał cię?

— Tylko do pilnowania mieszkania. Na wypadek gdybyś wpadł. — Eric zmarszczył brwi. — Dziwna rzecz. Te twoje rogi mi mącą w głowie. Aż do tej chwili nie pamiętałem, że je masz. Lee mówi, że rozmawialiśmy wczoraj, ale nic nie kojarzę. — Powoli zakołysał pałką. — Choć to nie ma znaczenia. Gadanie jest głównie warte. Lee lubi gadać. Ja tam wolę działać.

— Co tu masz do załatwienia?

— Ciebie.

Ig miał wrażenie, że nerki wypełnia mu zimna woda.

— Będę krzyczeć.

— Aha. Już się nie mogę doczekać.

Ig rzucił się do drzwi, ale znajdowały się w tej samej ścianie co wejście do łazienki i Eric skoczył w prawo, chcąc mu odciąć drogę. Ig gwałtownie przyspieszył, wymijając Erica i sięgając do klamki. W tej samej chwili przez głowę przemknęła mu przeraźliwa, straszna myśl: Nie zdążę. Eric już wznosił ten poplamiony na wiśniowo kij, jakby to była piłka, którą chciał komuś rzucić.

Stopy Iga zaplątały się w coś, kiedy spróbował zrobić krok naprzód. Zachwiał się i stracił równowagę. Eric podszedł z pałką; Ig usłyszał jej świst za głową, a potem głośne, suche chrupnięcie, gdy uderzyła we framugę drzwi, odłupując kawałek drewna wielkości dziecięcej piąstki.

Ig wyciągnął ręce na chwilę przed upadkiem, co prawdopodobnie uchroniło go przed powtórny złamaniem nosa. Spojrzał w dół; jego stopy zaplątały się w porzucone majtki Glenny, te z czarnego jedwabiu z czerwonymi diabełkami. Wierzgnął, uwalniając się od nich. Czuł, że Eric staje za jego plecami, i wiedział, że jeśli spróbuje się wyprostować, oberwie pałką w potylicę. Dlatego nie próbował. Podparł się i popęzł przed siebie. Przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości kopnął go wielkim buciorem w tyłek. Ig upadł, tłukąc sobie brodę. Prześliznął się po podłodze, szorując twarzą po lakierowanych sosnowych klepkach. Ramieniem uderzył w oparte o ścianę wiosło, które upadło na niego.

Przetoczył się, chwycił na oślep wiosło, usiłując je odsunąć, żeby móc wstać. Eric Hannity stanął nad nim, znowu uniósł pałkę. Oczy miał niewidzące, twarz pustą, jak ludzie będący pod wpływem mocy diabelskich rogów. Te rogi potrafiły bez pudła

zmuszać do robienia strasznych rzeczy, a Ig już rozumiał, że teraz kusiły Erica, by pokazał swoje najgorsze oblicze.

Zadziałał bez namysłu, obiema rękami uniósł wiosło, niemal jak ofiarę. W polu jego widzenia znalazł się napis na rączce: „Dla Iga od najlepszego kumpla Lee Tourneau — na wypadek gdybyś znowu wpadł do wody”.

Eric walnął kijem. Złamał wiosło na pół, w najwęższym miejscu trzonka. Pióro wyleciało w powietrze, prosto mu w twarz. Ig rzucił trzonkiem. Trafił Erica nad prawym okiem i zyskał dość czasu, by się poderwać na nogi.

Nie spodziewał się, że Eric tak szybko się otrząśnie. Odskoczył — pałka świsnęła tak blisko, że musnęła jego koszulkę. Z rozpędu uderzyła w ekran telewizora. Szkło pokryła pajęczyna pęknięć, rozległ się głośny trzask i rozbłysło białe światło gdzieś w głębi monitora.

Ig wycofał się aż do niskiej ławy i omal się o nią nie przewrócił. Odzyskał równowagę w chwili, gdy Hannity wyrwał pałkę z wgniecionego ekranu. Ig odwrócił się, wszedł na ławę, a potem przeskoczył kanapę, ukrył się za nią. Jeszcze dwa kroki i znalazł się w kuchence.

Odwrócił się. Eric Hannity gapił się na niego przez okno. Ig przykucnął, zdyszany, czując ból w płucach. Z kuchni miał dwie

drogi ucieczki — w lewo i prawo — ale w obu przypadkach znalazłby się znowu w salonie z Erikiem i musiałby go minąć, by dotrzeć na schody.

— Nie przyszedłem cię zabić — odezwał się Eric Hannity. — Tak naprawdę chciałem ci tylko wbić do głowy trochę rozumu. Przekonać, żebyś się trzymał z daleka od Lee Tourneau. Ale co za diabelstwo! Nie mogę przestać myśleć, że powinienem ci rozwalić ten zboczony łeb za to, co zrobiłeś z Merrin Williams. Facet z rogami na głowie nie ma prawa żyć. Moim zdaniem ten, kto cię zabije, wyświadczy stanowi New Hampshire cholerną przysługę.

Rogi na niego działały.

— Zakazuję ci robić mi krzywdę — powiedział Ig, starając się podporządkować Erica Hannity'ego swojej woli. Rogi zapulsowały, ale boleśnie, bez zwykłego dreszczu podniecenia. Nie do tego służyły. Nie mogły odwozić od grzechu, choćby od tego zależało życie Iga.

— Gównu mi możesz zakazać — oznajmił Hannity.

Ig czuł, że krew w nim buzuje, szumi mu w uszach jak gotująca się woda. Gotująca się woda? Obejrzał się przez ramię na garnek na kuchence. Jajka unosiły się w wodzie, białe bąble wypływały na powierzchnię.

— Chcę cię zabić i odciąć ci to świństwo — wyznał Eric. — A może odciąć ci to, a potem cię zabić. Na pewno masz tu jakiś odpowiedni nóż. Nikt się nie dowie, że to moja robota. Po tym, co zrobiłeś Merrin Williams, w tym mieście jest pewnie ze sto osób, które życzą ci śmierci. Byłbym bohaterem, nawet gdybym tylko ja o tym wiedział. Ojciec byłby ze mnie dumny.

— Tak — zgodził się Ig, znowu wyteżając siłę woli. — Chodź i mnie złap. Nie czekaj, zrób to, już!

Te słowa były muzyką dla uszu Hannity'ego, który skoczył w okienko kuchni, obnażając zęby w grymasie furii albo okropnym uśmiechu. Wówczas Ig chwycił rondel za rączkę i wychlusnął z niego wodę.

Hannity miał refleks; uniósł rękę, żeby osłonić twarz. Dwa litry wrzątku oblały mu ramię i obryzgały wielką łysinę. Wrzasnął, rzucił się na podłogę. Ig już biegł do drzwi. Hannity zdążył jeszcze wstać i cisnąć w niego pałką, która strąciła lampę z niskiego stolika. Żarówka eksplodowała. Ale Ig był już na klatce schodowej, zbiegał w dół po pięć stopni naraz, jakby wyrosły mu nie rogi, lecz skrzydła.

ROZDZIAŁ 27

Gdzieś na południe od miasta zjechał na pobocze i wysiadł. Stał przy krawężniku, z założonymi rękami na piersi czekał, aż przestanie się trząść.

Drżenie nadchodziło gwałtownymi atakami, szarpało nim, ale spazmy następowały coraz rzadziej. Po chwili całkiem przeminęły. Był osłabiony i oszołomiony. Czuł się lekki jak skrzydlate klonowe nasionko — i wydawało mu się, że tak jak ono uleci na pierwszym mocniejszym podmuchu wiatru. Brzęczenie cykad przypominało dźwięk z filmów sci-fi sygnalizujący promień śmierci z obcej planety.

A więc miał rację, dobrze odczytał sytuację. Lee był odporny na wpływ rogów. Nie zapomniał ich wczorajszego spotkania tak jak inni. Wiedział, że Ig mu zagraża. Będzie się starał do niego dobrać. Ig musiał obmyślić plan, co stanowiło sporą trudność. Na razie nie udało mu się nawet wprowadzić w życie planu zjedzenia śniadania. Z głodu kręciło mu się w głowie.

Znowu wsiadł do samochodu i znieruchomiał z rękami na kierownicy, usiłując zdecydować, dokąd pojechać. Przyszło mu do głowy — nie wiadomo dlaczego — że dziś Vera ma osiemdziesiąte

urodziny; to cud, że ich doczekała. Następnie pomyślał, że już jest południe, a cała jego rodzina pewnie pojechała do szpitala, żeby zaśpiewać babci „Sto lat” i zjeść z nią tort, co znaczyło, że lodówka mamy została bez dozoru. Dom to jedyne miejsce, w którym zawsze możesz liczyć na żarcie, kiedy nie masz się gdzie podziać.

Oczywiście godziny odwiedzin w szpitalu mogą wypadać później, pomyślał, już skręcając na jezdnię. Nie ma gwarancji, że dom będzie pusty. Ale czy to ważne, jeśli kogoś zastanie? Przejdzie obok nich, a oni zapomną, że go widzieli, ledwie stracą go z oczu. Co nasuwało interesujące pytanie: czy Eric Hannity zapomni, co się wydarzyło w mieszkaniu Glenny? Pomimo oparzeń? Ig nie wiedział.

Nie wiedział też, czy naprawdę potrafi przejść obojętnie obok swoich bliskich. Obok Terry’ego na pewno nie. Byłoby błędem go odizolować, pozwolić mu wrócić do życia w Los Angeles. Myśl, że Terry odjeżdża, żeby grać te wrzaskliwe estradowe melodyjki w „Hothouse” i puszczać oko do gwiazd filmu, przeraziła Iga i obudziła w nim twórczy gniew. Ten skurwysyn Terry musiał odpowiedzieć za parę spraw. O, jak Ig by chciał zastać go w domu samego! Ale to by było za wiele szczęścia. To by było piekielne szczęście.

Zastanawiał się, czy nie zaparkować na drodze jakieś pół kilometra od domu i pójść do niego pieszo, przeskoczyć przez mur na tyłach, zakraść się do środka, ale potem machnął na to ręką. Było za gorąco na takie wygłupy, a jemu za bardzo chciało się jeść. Podjechał gremlinem pod same drzwi.

Przed domem stał tylko wynajęty mercedes Terry'ego.

Ig zatrzymał samochód i siedział w nim przez jakiś czas, nasłuchując. Chmura migotliwego pyłu napłynęła w ślad za nim i otoczyła gremlina w rozprazonym, usypiającym bezruchu wczesnego popołudnia. Może Terry zostawił samochód i zabrał się do szpitala z rodzicami. Ta sytuacja była najbardziej prawdopodobna, ale Ig jakoś w to nie wierzył. Wiedział, że brat jest w domu.

Nie starał się zachowywać cicho. Prawdę mówiąc, wysiadając z samochodu, trzasnął drzwiczkami, a potem stanął, patrząc na dom. Czy zobaczył jakiś ruch na piętrze, kogoś odchylającego firankę, by sprawdzić, kto przyjechał? Może mu się wydawało.

Wszedł do środka. Telewizor w salonie był wyłączony, komputer w gabinecie matki także. W kuchni urządzenia w obudowie z nierdzewnej stali szumiały pracowicie. Ig przysunął stół, otworzył drzwi i zaczął jeść prosto z lodówki. Wypił pół kartonu zimnego mleka ośmioma długimi łykami, a potem

zaczekał na nieunikniony ból, ostre dźgnięcie za rogami i przejściowe zamroczenie. Kiedy mu przeszło i znowu odzyskał wzrok, zauważył przykryty folią półmisek faszerowanych jajek z sosem diabelskim. Matka pewnie zrobiła je na urodziny Very. Teraz się nie przydadzą. Ig uznał, że Vera dostaje coś odżywczego w kroplówce. Zjadł palcami wszystkie. Były 666 razy lepsze niż te, które gotował sobie u Glenny.

Właśnie oblizywał talerz, obracając go w rękach jak kierownicę, kiedy z góry dobiegł go męski głos. Zastygł, nasłuchując. Po chwili znowu usłyszał mamrotanie. Odstawił talerz do zlewu, zdjął nóż z magnetycznego paska na ścianie, największy ze wszystkich. Oderwał go z cichym zgrzytem. Nie wiedział, na co mu nóż, ale z nim w ręku czuł się lepiej. Po tym, co się wydarzyło w mieszkaniu Glenny, uznał, że brak broni to duży błąd. Wszedł po schodach. Dawny pokój brata znajdował się na końcu długiego korytarza na piętrze.

Ig lekko pchnął drzwi nożem. Parę lat temu rodzice przerobili ten pokój na gościnny, chłodny i bezosobowy jak pokój hotelowy. Brat spał na plecach, zasłaniając oczy ręką. Wydał pomruk obrzydzenia i oblizwał wargi. Ig zerknął na nocną szafkę i zobaczył na niej fiolkę benadrylu. Jemu przypadła w udziale astma, a brat miał alergię na wszystko: pszczoły, orzechy, pyłek, kocią sierść,

New Hampshire, anonimowość. To mamrotanie i bełkot były efektem działania leku przeciwalergicznego, który zawsze pogrążał Terry'ego w ciężkim, niespokojnym śnie. Terry pomrukiwał, jakby dochodził do smutnych, lecz ważnych wniosków.

Ig podszedł cicho i usiadł na nocnej szafce. Beznamiętnie, na chłodno zastanowił się, czy zatopić nóż w piersi Terry'ego. Potrafił sobie wyobrazić cały ten akt — jak najpierw przygniecie brata kolanem do łóżka, znajdzie miejsce między żebrami i oburącz wbije tam ostrze, podczas gdy Terry będzie wolno przytomnieć.

Nie mógłby zabić Terry'ego. Wątpił, czyby mógł zasztyletować nawet śpiącego Lee Tourneau.

— Keith Richards — wymamrotał dość wyraźnie Terry, zaskakując Iga, który zerwał się na równe nogi. — Uwielbia ten kurewski program.

Ig czekał, czy brat odejmie rękę od oczu i usiądzie, mrugając ospale, ale Terry się nie obudził, gadał przez sen. Mówił o Hollywood, o swojej cholernej pracy, o klepaniu się po plecach ze sławnymi gwiazdami rocka, o oglądalności, rżnięciu modelek. Vera była w szpitalu, Ig zaginął, a Terry śnił o dobrych czasach w krainie „Hothouse”. Nienawiść na chwilę zaparła Igowi dech, jego płuca walczyły, by wypełnić się tlenem. Terry na pewno wraca

jutro na Zachodnie Wybrzeże. Nienawidził prowincji, nigdy nie zostawał tu ani o minutę dłużej, niż musiał, nawet przed śmiercią Merrin. Ale nie ma powodu, żeby wrócił ze wszystkimi palcami. Był tak nieprzytomny, że Ig mógłby wziąć jego prawą dłoń, tę od grania, położyć na nocnej szafce i obciąć palce jednym ciachnięciem noża. Skoro Ig stracił swoją wielką miłość, Terry musi się obyć bez swojej. Może wtedy nauczyłby się grać na mirlitonie.

— Nienawidzę cię, ty egoistyczny skurwielu — szepnął Ig, ujął nadgarstek brata i wtedy...

Terry budzi się gwałtownie, rozgląda się przekrwionymi oczami, nie wie, gdzie jest. Nieznajomy samochód na nieznannej drodze, deszcz siekący tak gwałtownie, że wycieraczki nie nadążają, noc, mgliste, rozkołysane na wicherze drzewa i niebo pełne czarnych, kłębiących się chmur. Pociera ręką twarz, usiłując oprzytomnieć, podnosi wzrok, z jakiegoś powodu spodziewając się, że młodszy brat siedzi obok niego, ale widzi Lee Tourneau za kierownicą jadącego w ciemnościach samochodu.

Zaczyna mu się przypominać wieczór, fakty wracają do niego w przypadkowym porządku, jak krążki przesuwające się między kołkami w grze plinko. Coś ma w lewej ręce — zgniecionego jointa, nie jakiegoś cienkiego, ale gruby jak kciuk zwitek trawy z

Tennessee Valley. Dziś jeździł z Lee; wpadli do dwóch barów i na ognisko na plaży pod mostem przy Old Fair Road. Za dużo palił i pił, i już czuje, że jutro rano będzie tego żałował. Rano musi zawieźć Iga na lotnisko, bo jego braciszek wybiera się do starej wesolej Anglii, Boże błogosław królowej. Ranek już za parę godzin. Terry na razie nie jest w stanie nikogo nigdzie odwozić, a kiedy zamyka oczy, cadillac Lee się przechyla w lewo jak kawałek masła ześlizgujący się po przechylonej patelni. Z tym uczuciem nie można zasnąć.

Siada, zmuszając się do skupienia wzroku. Wydaje mu się, że jadą krętą szosą na obrzeżach miasta, objeżdżają trzy czwarte Gideon, co nie ma sensu — przecież tu nie ma nic oprócz starej odlewni i The Pit, a nie mają czego szukać w żadnym z tych miejsc. Gdy opuścili plażę, Terry założył, że Lee wiezie go do domu, i cieszył się z tego. Na myśl o własnym łóżku, wykrochmalonej pościeli i mięciutkiej puchowej pierzynie niemal dygotał z rozkoszy. W domu najlepsze jest to, że można się obudzić w dawnym pokoju, w dawnym łóżku, z dołu dobiega zapach świeżo parzonej kawy, przez żaluzje przesiewają się promienie słońca, a cały dzień czeka, żeby go rozpocząć. Ale o reszcie Gideon Terry chętnie zapomni.

Dzisiejszy dzień idealnie ilustruje to wszystko, za czym Terry nie będzie tęsknić. Spędził przy ognisku całą godzinę i czuł się

obco, równie dobrze mógłby przyglądać się wszystkiemu przez szybę — furgonetkom zaparkowanym przy nabrzeżu, pijanym kolegom, którzy siłowali się na płyciźnie, dziewczynom, które ich dopingowały, cholernemu Judasowi Coyne'owi z boomboksem, gościowi, według którego skomplikowana melodia to cztery akordy zamiast trzech. Życie wśród buraków. Gdy w górze rozległ się grzmot i zaczęły kapać pierwsze gorące, ciężkie krople deszczu, Terry uznał, że szczęście się do niego uśmiechnęło. Nie rozumiał, jak ojciec mógł tu mieszkać dwadzieścia lat. On z trudem wytrzymał siedemdziesiąt dwie godziny.

Teraz trzyma w lewej ręce podstawowy środek znieczulający i choć wie, że już przedobrzył, coś go kusi, żeby zapalić jointa i zaciągnąć się jeszcze raz. Zrobiłby to, gdyby towarzyszył mu ktoś inny, nie Lee Tourneau. Nie żeby Lee komentował albo jakoś dziwnie na niego patrzył, ale to przecież pracownik kongresmena, który angażuje się w walkę z narkotykami, ultrachrześcijanina i wyznawcy wartości rodzinnych, i gdyby policja zatrzymała samochód pełny marihuanowego dymu, to Lee by dostał po dupie.

Lee wpadł do nich o wpół do siódmej, żeby pożegnać się z Igiem. Został, by zagrać w karty z Igiem, Terryem i Derrickiem Perrishem, a Ig wygrywał każde rozdanie. Kosztowało ich to trzysta dolców.

— Masz — powiedział Terry, rzucając młodszemu bratu garść dwudziestek. — Pomyśl o nas ciepło, pijąc z Merrin w łóżku szampana. Zafundowaliśmy go.

Ig roześmiał się, zachwycony sobą, zażenowany i rozemocjonowany. Pocałował ojca, potem pocałował też Terry'ego — w skroń, tak niespodziewanie, że Terry drgnął z zaskoczenia.

— Won z jęzorem z mojego ucha — powiedział, a Ig znowu się roześmiał i sobie poszedł.

— Co robisz wieczorem? — spytał Lee.

— Nie wiem — odpowiedział Terry. — Może w telewizji leci „Family Guy“. A ty? Dzieje się coś w tym mieście?

Dwie godziny później byli na plaży, a jakiś kumpel z liceum, którego imienia Terry nie mógł sobie przypomnieć, podawał mu jointa.

Wyszli niby po to, żeby się napić i spotkać ze starymi znajomymi, ale na plaży, stojąc plecami do ogniska, Lee powiedział Terry'emu, że kongresmen uwielbia jego program i chciałby się z nim kiedyś spotkać. Terry przyjął to spokojnie, uniósł butelkę i powiedział, że jasne, muszą się zdzwonić. Pomyślał, że Lee do czegoś zmierza, ale nie miał mu tego za złe. Lee ma robotę, tak jak wszyscy, tak jak Terry. A jego robota wymaga robienia mnóstwa dobrych uczynków. Terry wiedział, że Lee pracuje dla Habitat for Humanity i co roku jako wolontariusz pracuje na letnim obozie dla dzieci z biednych i patologicznych rodzin, z Igiem u boku. Lee i Ig od lat budzili w Terry'ym lekkie wyrzuty sumienia. On sam nigdy nie pragnął ratować świata. Chciał tylko, żeby ktoś mu płacił za wygłupy z trąbką. No i może jeszcze znaleźć dziewczynę, która lubi imprezować — nie modelkę z Los Angeles, nie laskę przyklejoną do komórki i samochodu, tylko kogoś zabawnego, autentycznego i trochę nieprzyzwoitego. Kogoś ze Wschodniego Wybrzeża, w robociarskich dżinsach i z paroma płytami Foreigner. Wymarzoną robotę już dostał, więc jest w połowie drogi do szczęścia.

— Co my tu, kurwa, robimy? — pyta teraz, wpatrując się w zasłonę deszczu. — Myślałem, że się zwijamy.

— A ja myślałem, że się zwinąłeś już pięć minut temu — mówi Lee.

— Z całą pewnością słyszałem, jak chrapiesz. Będę opowiadać, jak to Terry Perrish zaślinił mi fotel. To zaimponuje laskom. Całkiem jakbym sam występował w telewizji.

Terry otwiera usta, żeby się odciąć — w tym roku zarobi ponad dwa miliony dolarów, głównie dzięki wysublimowanemu talentowi do werbalnego gromienia innych pyskaczy — i przekonuje się, że nie ma nic do powiedzenia, w jego głowie panuje kompletna pustka. Dlatego pokazuje Igowi środkowy palec.

— Myślisz, że Ig i Merrin są jeszcze w The Pit? — pyta Terry. Lada chwila będą przy knajpie.

— Zobaczymy — odpowiada Lee. — Zaraz tam dojedziemy.

— Jaja sobie robisz? Nie chcemy się z nimi widzieć. Oni na pewno nie chcą się widzieć z nami. To ich ostatnia noc.

Lee rzuca Terry'emu zaskoczone, zaciekawione spojrzenie kątem zdrowego oka.

— Skąd wiesz? Powiedziała ci?

— Co?

— Że z nim zrywa. To naprawdę ich ostatnia noc.

Terry przytomnieje natychmiast, jakby usiadł na pinezce.

— Co ty chrzaniisz?

— Ona uważa, że są za młodzi na stały związek. Chce się spotykać z innymi.

Terry jest zdumiony, zbity z tropu, wzdraga się przed tymi słowami. Bezmyślnie unosi do ust jointa i przypomina sobie, że go nie zapalił.

— Naprawdę nie wiedziałeś? — pyta Lee.

— Chodziło mi o to, że to ostatnia noc przed wyjazdem Iga.

— O...

Terry gapi się tępo w strugi deszczu. Wycieraczki nie nadążają zgarniać potoków wody i wygląda to tak, jakby siedzieli w myjni. Nie wyobraża sobie Iga bez Merrin, nie wyobraża sobie, kim stanie się jego brat. Ta wiadomość go oszołomiła, dlatego mija

bardzo długa chwila, zanim do głowy przyjdzie mu oczywiste pytanie.

— A ty skąd o tym wiesz?

— Merrin mi powiedziała. Boi się, że go zrani. Tego lata często bywałem w Bostonie ze sprawami kongresmena, ona też, więc czasem się spotykaliśmy. Przez ostatni miesiąc widywałem się z nią pewnie częściej niż Iga.

Terry patrzy na ten podwodny świat, widzi po prawej stronie czerwonawą lunę światła. Są już niemal na miejscu.

— To dlaczego chcesz tu przyjechać?

— Uprzedziła, że do mnie zadzwoni, jeśli będzie potrzebować podwózki. I nie zadzwoniła.

— Czyli cię nie potrzebuje.

— Ale mogła nie zadzwonić, bo jest zdenerwowana. Chcę tylko sprawdzić, czy samochód Iga jeszcze stoi przed wejściem. Nawet nie musimy się zatrzymywać.

Terry nie nadąża. Nie rozumie, dlaczego Lee chce szukać samochodu Iga. Nie wyobraża też sobie, żeby Merrin mogła zostać w The Pit sama, jeśli spotkanie źle się skończy.

Ale Lee już zwalnia, obraca głowę, żeby spojrzeć nad ramieniem Terry'ego na parking.

— Chyba nie — mówi do siebie. — Nie sądzę, żeby pojechała z nim do domu. — W jego głosie brzmi troska... prawie.

Terry dostrzega Merrin stojącą w deszczu przy drodze, pod orzechem o rozłożystej koronie.

— Tam. Lee, tam.

Merrin dostrzega ich w tej samej chwili i wychodzi spod gałęzi. Przez okno zalane strugami wody Terry widzi ją jak przez szklaną kulę, impresjonistyczny wizerunek dziewczyny o

miedzianych włosach, unoszącej coś, co początkowo wygląda jak biała wotywna świeczka. Zatrzymują się z chrzęstem żwiru, a ona zbliża się do samochodu. Terry dostrzega teraz, że Merrin tylko unosi dłoń, żeby zwrócić na siebie ich uwagę, biegnąc bosą przez deszcz. W drugiej ręce trzyma czarne szpilki.

Cadillac ma dwoje drzwi, więc żeby mogła wsiąść, Terry rozpina pas i przełazi nad oparciem fotela. Już ma się ześliznąć na tylną kanapę, kiedy Lee uderza go łokciem w tyłek, Terry traci równowagę i spada na podłogę, na metalową skrzynkę z narzędziami, która stoi tam nie wiadomo po co. Uderza o nią skronią. Czuje przeszywający spazm bólu, podciąga się na siedzenie i mocno ścisną dłońmi obolałą głowę. Te wygibasy to kiepski pomysł, nadchodzi go silniejsza fala mdłości. Wydaje mu się, że jakiś olbrzym uniósł cały samochód i teraz nim potrząsa jak kubkiem z kośćmi. Terry zamyka oczy, walcząc z tym złudzeniem niemiłosiernego ruchu.

Kiedy świat się uspokaja, Merrin już siedzi w samochodzie. Terry zerka na dłoń i widzi jasną kropelkę krwi. Nieźle sobie rozwalił łeb. Wyciera krew w spodnie i podnosi wzrok.

Widać, że Merrin płakała. Jest blada i drżąca jak ktoś, kto niedawno był chory albo właśnie zaczyna chorować. Pierwsza próba uśmiechu wypada tak żałośnie, że przykro patrzeć.

— *Dzięki, że mnie zabrałeś. Uratowałeś mi życie.*

— *Gdzie Ig? — pyta Terry.*

Merrin zerka na niego, ale nie potrafi mu spojrzeć w oczy, a Terry natychmiast zaczyna żałować, że spytał.

— *Nie... nie wiem. Wszedł.*

— *Powiedziałaś mu? — pyta Lee.*

Ona krzywi usta w podkówkę. Odwraca się do przedniej szyby, spogląda na knajpę i nie odpowiada.

— *Jak to przyjął? — pyta Lee.*

Terry widzi odbicie jej twarzy. Merrin zagryza wargę, żeby nie płakać.

— *Jedźmy już — odpowiada.*

Lee włącza migacz i zawraca.

Terry chce dotknąć jej ramienia, jakoś ją pocieszyć, dać jej do zrozumienia, że bez względu na to, co się wydarzyło w knajpie, nie ma jej tego za złe. Ale jej nie dotyka, nigdy by jej nie dotknął. Zna ją od dziesięciu lat i zawsze zachowywał przyjacielski dystans, nawet w wyobraźni, ani przez chwilę nie pozwolił sobie na wpuszczenie jej do swoich seksualnych fantazji. Nie byłoby w tym nic złego, a jednak wyczuwa, że mimo wszystko coś by naraził na szwank. Co? Nie wie. Dla niego słowo „dusza” oznacza część skrzypiec.

Więc mówi tylko:

— *Hej, mała, chcesz moją kurtkę?*

Bo Merrin dygocze w przemoczonym ubraniu.

Lee dopiero teraz to dostrzega — co jest dziwne, przecież ciągle na nią zerka, patrzy na nią równie często jak na drogę — i przykręca klimatyzację.

— Nic mi nie jest — mówi ona, ale Terry już zdejmuje kurtkę. Merrin przykrywa nią nogi. — Dzięki, Terry — mówi słabym głosem i dodaje: — Pe... pewnie myślisz...

— Nic nie myślę, więc wyluzuj.

— Ig...

— Na pewno sobie poradzi. Nie martw się.

Merrin rzuca mu bolesny, wdzięczny uśmiech, a potem pyta:

— To boli?

Lekko dotyka jego czoła. Terry cofa się odruchowo przed jej dłonią. Merrin patrzy na swą zakrwawioną rękę.

— Powinieneś sobie przyłożyć ga... gazik...

— Spoko, to nic — odpowiada Terry.

Merrin kiwa głową odwraca się i natychmiast przestaje się uśmiechać. Składa coś i rozkłada, i znowu składa, raz po raz. Krawat. Krawat Iga. To wydaje się jakoś gorsze niż jej łzy i Terry musi odwrócić wzrok. Ujaranie już mu nie sprawia przyjemności. Wolałby położyć się gdzieś bez ruchu i zamknąć oczy na parę minut. Zdrzemnie się, wstanie rześki i przytomny. Ta wieczorna wyprawa jest do niczego, a on chce zrzucić na kogoś winę, mieć się na kogo wściec. Decyduje się na Iga.

Wkurza go, że Ig odjechał, zostawił ją na deszczu i zachował się tak niedojrzale, że aż błazeńsko. Błazeńsko, choć nie zaskakująco. Merrin była jego dziewczyną, kochanką, pocieszycielką, doradczynią, ochronną barierą między nim a światem, jego najlepszą przyjaciółką. Czasami wydawało mu się, że Ig ożenił się z nią jako piętnastolatek. Ten związek zaczął się jak licealna znajomość i taki pozostał. Terry jest pewien, że Ig nigdy nie pocałował innej dziewczyny, nie mówiąc już o bzykaniu. On sam już od jakiegoś czasu myślał, że brat powinien mieć większe doświadczenie. Nie dlatego, że Terry nie chce, żeby Ig był z Merrin, lecz... miłość musi mieć porównanie. Bo pierwsze związki są z natury niedojrzale. Dlatego Merrin chciała, żeby oboje dorośli. Co w tym złego?

Jutro rano w drodze na lotnisko Terry będzie z bratem sam na sam i odbędzie z nim zasadniczą rozmowę na parę tematów. Wytłumaczy, że to, co Ig sądzi o Merrin i ich związku — że są sobie przeznaczeni, że ona jest wspanialsza niż inne dziewczyny, że ich miłość jest wyjątkowa, że ich wspólne życie obfituje w małe cuda — to klaustrofobiczna pułapka. Że jeśli Ig teraz nienawidzi Merrin, to dlatego, że zobaczył w niej prawdziwą kobietę, z wadami, pragnieniami i potrzebą, by żyć naprawdę, nie w marzeniach Iga. Że Merrin kocha go na tyle, by dać mu wolność, a on musi zrobić to samo, że jeśli się kogoś kocha, trzeba go uwolnić i... cholera, to piosenka Stinga.

— Merrin, w porządku? — pyta Lee.

Merrin nadal dygocze, niemal konwulsyjnie.

— Nie. Zatrzymaj się. Zatrzymaj się tutaj.

Ostatnie trzy słowa wypowiada gwałtownie i bardzo wyraźnie.

Droga do starej odlewni zbliża się po prawej, szybko, za szybko, żeby skręcić, ale Lee jakoś skręca. Terry przytrzymuje się oparcia siedzenia Merrin i tłumi krzyk. Opony z prawej strony najeżdżają na miękki żwir, który bryzga spod nich w drzewa. Na drodze zostaje metrowe zagłębienie.

Krzak zgrzyta o zderzak. Cadillac podskakuje na wykrotach, nadal zbyt rozpędzony. Szosa znika w tyle. Przed nimi pojawia się łańcuch biegnący w poprzek drogi. Lee ostro hamuje, kierownica wymyka mu się z rąk, tyłem samochodu zarzuca. Cadillac zatrzymuje się, dotykając reflektorem łańcucha, napierając na niego maską. Merrin otwiera drzwi, wychyla się i wymiotuje. Raz. Drugi. Cholerny Ig, w tej chwili Terry go nienawidzi.

Nie przepada też za Lee, który jeździ jak wariat. Na pewno się zatrzymali, a jednak Terry ma wrażenie, jakby jechali nadal, wciąż przechyleni w bok. Gdyby trzymał jeszcze jointa, wyrzuciłby go przez okno — sama myśl, że miałby go włożyć do ust, jest odrażająca jak połknięcie żywego karalucha — ale joint zniknął z jego dłoni, a on nie ma pojęcia, gdzie go podział. Dotyka skaleczonej, opuchniętej skroni i krzywi się z bólu.

Deszcz powoli puka w szybę. Ale to nie deszcz, już nie. To tylko woda skapuje z liści. Jeszcze pięć minut temu ulewa była tak gwałtowna, że krople odskakiwały od ziemi. Przeminięła szybko, jak to letnie burze.

Lee wysiada, obchodzi samochód i przykuca obok Merrin. Szepcze coś do niej spokojnie, rozsądnie. Ale jej odpowiedź mu się nie podoba. Powtarza swoją propozycję i tym razem Merrin odpowiada głośniejszym, nieprzyjaznym tonem:

— Nie, Lee. Chcę wrócić do domu, przebrać się w coś suchego i pobyć sama.

Lee wstaje, idzie do bagażnika i coś z niego wyjmuje. Sportową torbę.

— Mam ciuchy do ćwiczeń. Koszulkę. Spodnie. Suche i ciepłe. I niezarzygane.

Merrin dziękuje i wysiada w wilgotny, parny, wietrzny mrok pełen owadziego brzęku. Na ramionach ma sportową kurtkę Terry'ego. Sięga po torbę, ale Lee nie wypuszcza jej z rąk.

— Zrozum, musiałaś to zrobić. Jak mogłaś pomyśleć, że możesz... że moglibyście...

— Daj mi się przebrać, dobrze?

Merrin wyszarpuje mu torbę i rusza drogą. Wchodzi w światło reflektorów, w którym jej powiewna spódnica i bluzka stają się przezroczyste. Terry zmusza się, żeby odwrócić wzrok, i zauważa, że Lee też się gapi. Po raz pierwszy zastanawia się, czy dobry stary Lee Tourneau przypadkiem nie podkocha się w Merrin Williams — a przynajmniej czy mu nie staje na jej widok. Merrin oddala się, początkowo po świetlistym trakcie reflektorów, potem schodzi ze żwirowej ścieżki w mrok. To ostatnia chwila, kiedy Terry widzi ją żywą.

Lee stoi koło otwartych drzwi pasażera, gapiąc się za dziewczyną, jakby się wahał, czy powinien wsiąść. Terry chce mu powiedzieć, żeby wsiadał, ale nie potrafi zdobyć się na taki wydatek energii. Sam też przez jakiś czas patrzy za Merrin, a potem wszystko to robi się nie do zniesienia. Nie podoba mu się, że ta ciemność jakby oddycha, rozszerza się i kurczy. Reflektory wyłaniają z mroku kawałek polany za odlewnią i nie podoba mu się, jak mokra trawa faluje nieustannie, z niepokojem. Słyszy jej szelest przez otwarte drzwi. Właściwie syk, jak z terrarium. Ponadto nadal ma delikatne, ale mdlące wrażenie, że przechyliła się w bok, zsuwa bezradnie w stronę jakiegoś miejsca, w którym

nie chce się znaleźć. Ból w prawej skroni też nie pomaga. Terry wyciąga się na tylnym siedzeniu, rozprostowuje nogi.

Tak już lepiej. Plamista brązowa tapicerka też się porusza, jak obłoczki bitej śmietanki na powoli mieszanej kawie, ale to akurat dobrze, to miłe, kiedy się jest najaranym, to się kojarzy z bezpieczeństwem. W przeciwieństwie do tej mokrej trawy falującej ekstatycznie.

Terry musi na czymś skupić myśli, na czymś kojącym, musi znaleźć jakieś marzenie, które uspokoi jego znekany umysł. Organizacja produkcji załatwia gości na następny sezon, zwykłą zbieraninę obecnych i dawnych gwiazd, czarnych i białych, Mos Def, Def Leppard, The Eels i The Crowes, i wszelkie inne stworzenia z popkulturowego bestiariusza, ale Terry najbardziej cieszy się na Keitha Richardsa, który parę miesięcy temu był w Viper Room z Johnnym Deppem i powiedział Terry'emu, że jego program jest zajefajny, i że byłby zajebiście, kurwa, szczęśliwy, gdyby go zaproszono, byle kiedy, byle gdzie, tylko poproście i czemu tak długo zwlekacie? To by było cholernie fajnie, zaprosić Richardsa i dać mu całe ostatnie półgodziny. Szefowie z Foksa będą wściekli, nie znoszą, kiedy Terry olewa format i zmienia program w koncert — już mu mówiono, że wtedy pół miliona widzów przełącza się na Lettermana — ale zdaniem Terry'ego szefowie mogą pocałować Keitha Richardsa w jego żylatego zdartego fiuta.

Po chwili zaczyna odpływać. We śnie Perrish gra z Keithem Richardsem przed rozradowanym tłumem, tak z osiemdziesiąt tysięcy ludzi, którzy z jakiegoś powodu zgromadzili się w starej odlewni. Grają „Sympathy for The Devil”, a Terry zgodził się zaśpiewać, bo Mick jest w Londynie. Sunie do mikrofonu i woła do skaczących, rozognionych widzów, że ma pieniądze i gust, co stanowi cytat z piosenki, a jednocześnie jest prawdą. Potem Keith Richards unosi gitarę i gra stary diabelski blues. Jego bandyckie, pijackie solo trudno uznać za kołysankę, a jednak ukołysało Terry'ego Perrisha do snu.

*

Budzi się raz, na chwilę, kiedy znowu ruszają, Cadillac sunie po gładkiej wstążce nocy, Lee siedzi za kierownicą, fotel pasażera jest pusty. Terry leży pod swoją kurtką. Pewnie okryła go Merrin, kiedy wróciła do samochodu — charakterystyczny dla niej serdeczny gest. Choć kurtka jest mokra, brudna, a na niej spoczywa coś ciężkiego, przygniata mu kolana. Terry sięga ku temu czemuś, unosi mokry kamień wielkości i kształtu strusiego jaja, z przyklepionymi do niego twardymi nićmi zabłoconej trawy. Ten kamień coś znaczy — Merrin położyła go z jakiegoś powodu — ale Terry jest zbyt otępieły i zaspany, żeby docenić żart. Kładzie kamień na podłodze. Jest na nim coś lepkiego, jakby flaki ślimaka; Terry wyciera palce o koszulę, wygładza kurtkę na udach i znowu się kładzie.

Zraniona lewa skroń pulsuje, obolała i spuchnięta. Terry przyciska do niej lewą dłoń. Nadal krwawi.

— Merrin pojechała?

— Co? — rzuca Lee.

— Merrin. Zajęliśmy się nią?

Lee przez jakiś czas nie odpowiada. Wreszcie mówi:

— Tak. Zajęliśmy się.

Terry kiwa głową z zadowoleniem i mówi:

— Jest w porządku. Mam nadzieję, że ułoży się jej z Igiem.

Lee milczy.

Terry czuje, że znowu osuwa się w sen o graniu z Keithem Richardsem. Widownia popisuje się przed nim tak samo, jak on popisuje się przed nią. Ale — wahając się na krawędzi przytomności — jeszcze słyszy własny głos zadający pytanie, które aż do tej chwili nie przyszło mu do głowy.

— O co chodzi z tym kamieniem?

— Dowód — mówi Lee.

Terry kiwa głową — odpowiedź wydaje się rozsądna — i oznajmia:

— Dobrze. Nie dajmy się wsadzić. W miarę możliwości.

Lee śmieje się — przeraźliwy, podobny do mokrego kaszlu dźwięk, jakby kot krztusił się kłębkami sierści — a Terry myśli, że jeszcze nigdy nie słyszał jego śmiechu i że wcale mu się nie podoba. Potem znowu zapada w błogą nieświadomość. Ale tym razem nie czekają na niego miłe wizje. Marszczy brwi przez sen, jakby usiłował odgadnąć hasło krzyżówki, słowo, które powinien znać.

Jakiś czas później otwiera oczy i uświadamia sobie, że samochód stoi. I to stoi od jakiegoś czasu. Terry nie ma pojęcia, skąd to wie, ale wie.

Jeszcze nie świta, lecz noc się wycofuje, już zgarnęła i schowała większość gwiazd. Wielkie, jasne, spiętrzone chmury, pozostałości po nocnej burzy, suną na tle czarnego nieba. Terry ma na nie dobry widok przez boczne okno. Czuje woń nasyconej deszczem trawy i rozgrzewającej się ziemi. Siada i widzi, że Lee zostawił uchylone drzwi od strony kierowcy.

Sięga na podłogę po kurtkę. Chyba spadła, zsunęła mu się z nóg we śnie. Znajduje tylko skrzynkę na narzędzia. Siedzenie

kierowcy jest złożone. Terry wychodzi na zewnątrz.

Strzela mu w kręgosłupie, kiedy rozkłada ramiona i się przeciąga. Potem nieruchomieje — z rozpostartymi rękami, jak ukrzyżowany.

Lee siedzi, paląc, na schodkach swego domu. Teraz ten dom należy do niego, przypomina sobie Terry, jego matka od sześciu tygodni leży na cmentarzu. Terry nie widzi twarzy Lee, tylko pomarańczowy ognek winstona.

— Co za noc — mówi.

— Jeszcze się nie skończyła. — Lee zaciąga się i ognek rozbłyska. Przez chwilę Terry widzi część twarzy Lee, tę okaleczoną, z martwym okiem. W mroku przedświt to oko wydaje się białe i ślepe, szklana kula pełna dymu. — Jak głowa?

Terry sięga do skaleczonej skroni i opuszcza dłoń.

— Dobrze. Nic takiego.

— Ja też miałem wypadek.

— Jaki? Dobrze się czujesz?

— Ja tak, Merrin nie.

— Jak to? — Nagle Terry uświadamia sobie, że jest cały zlany lepkiem pijackim potem. Na swojej koszuli widzi czarne smugi po dotyku palców, zabłoconych czy co, i nawiedza go mgliste wspomnienie, że wytarł o siebie dłonie. Znowu wraca wzrokiem do Lee i już się boi tego, co usłyszy.

— To naprawdę wypadek — mówi Lee. — Nie wiedziałem, że to takie poważne, a potem było już za późno, żeby jej pomóc.

Terry patrzy na niego, czekając na puentę.

— Za szybki jesteś dla mnie, bracie. Co się stało?

— *Właśnie musimy się nad tym zastanowić. Ty i ja. O tym chcę z tobą porozmawiać. Musimy uzgodnić zeznania, zanim ją znajdą.*

Terry robi jedyną rozsądną w tej sytuacji rzecz i wybucha śmiechem. Lee ma wybitnie czarne poczucie humoru i gdyby słońce świeciło, a Terry nie był tak skonany, pewnie by docenił dowcip. Ale jego prawa ręka nie uważa, że Lee jest zabawny. Jego prawa ręka zaczyna — jakby z własnej woli — obmacywać kieszenie, szukając komórki.

Lee mówi cicho:

— *Terry, wiem, że to straszne. Nie żartuję. Wdepnęliśmy w wielkie gówno. Żaden z nas nie zawinił, ale to najstraszniejsze kłopoty, jakich można sobie napytać. To wypadek, ale ludzie powiedzą, że ją zabiliśmy.*

Terry znowu ma ochotę się roześmiać. Jednak mówi tylko:

— *Przestań.*

— *Nie mogę. Musisz to usłyszeć.*

— *Ona żyje.*

Lee zaciąga się papierosem, ognek rozbłyśka, a oko z jasnego dymu wpatruje się w Terry'ego.

— *Była pijana i zaczęła mnie obmacywać. Pewnie chciała w ten sposób zemścić się na Igu. Rozebrała się i zaczęła się do mnie dobierać, a kiedy ją odepchnąłem... nie chciałem... potknęła się o jakiś korzeń i upadła na kamień. Odszedłem, a gdy wróciłem... straszne. Nie wiem, czy uwierzysz, ale wolałbym sobie wydłubać drugie oko, niż sprawić jej ból.*

Przy następnym wdechu Terry napęlnia płuca nie tlenem, lecz czystym przerażeniem; zaciąga się nim jak trującym gazem. W żołądku i głowie ma zamęt. Wydaje mu się, że ziemia się przechyła. Musi do kogoś zadzwonić. Musi znaleźć telefon. Musi

wezwać pomoc; tu potrzeba chłodnych profesjonalistów z doświadczeniem w zarządzaniu sytuacjami kryzysowymi. Zawraca do samochodu, zagląda do środka, szukając kurtki. Komórka musi być w kieszeni. Ale kurtka nie leży na podłodze. Nie ma jej też na przednim siedzeniu.

Terry czuje rękę Lee na karku i prostuje się gwałtownie, z krzykiem, cichym i łkającym, odskakuje od niego.

— Musimy się zastanowić, co powiemy — mówi Lee.

— Nie ma się nad czym zastanawiać. Muszę znaleźć komórkę.

— Możesz zadzwonić z domu, jeśli chcesz.

Terry odsuwa go i idzie na ganek. Lee rzuca papierosa i podąża za nim, choć bez szczególnego pośpiechu.

— Jeśli chcesz zadzwonić na policję, nie będę cię zatrzymywać. Pójdę z tobą do odlewni — mówi Lee. — Pokażę, gdzie ją znajdą. Ale lepiej, żebyś wiedział, co im powiem, zanim podniesiesz słuchawkę.

Terry pokonuje schodki dwoma skokami, przechodzi przez ganek, otwiera szarpnięciem ekran z siatki, popycha drzwi. Zrobił chwiejny krok w głąb mrocznego pomieszczenia. Jeśli jest tam telefon, nie widzi go w tym mroku. Kuchnia znajduje się po lewej stronie.

— Byliśmy strasznie pijani — mówi Lee. — Byliśmy pijani, a ty się najarałeś. Ale ona była w jeszcze gorszym stanie. To im powiem najpierw. Kleiła się do nas od chwili, gdy wsiadła do samochodu. Ig nazwał ją kurwą, a ona postanowiła mu udowodnić, że miał rację.

Terry słucha go jednym uchem. Idzie szybko przez małą, elegancką jadalnię, obija sobie kolano o krzesło, potyka się i idzie

dalej, do kuchni. Lee za nim. Jego głos brzmi niezdolnie spokojnie.

— Poprosiła, żebyśmy się zatrzymali, bo chce zmienić mokre ubranie, a potem zaczęła odstawiać striptiz w reflektorach samochodu. Ty przez cały czas nic nie mówiłeś, tylko patrzyłeś, słuchałeś. Ona mówiła o Iggym, który zapłaci za to, jak ją traktował. Przez jakiś czas się ze mną pieściła, a potem zabrała się do ciebie. Była tak pijana, że nie zauważyła, jaki jesteś zły. W połowie tego erotycznego tańca zaczęła mówić, ile mogłaby zarobić, gdyby sprzedała tabloidom historię o prywatnej orgietce Terry'ego Perrisha. Że warto to zrobić choćby po to, by zemścić się na Igu, zobaczyć jego minę. Wtedy ją uderzyłeś. Uderzyłeś ją, zanim się zorientowałem, na co się zanosi.

Terry stoi w kuchni, przy blacie, z ręką na beżowym telefonie, ale nie podnosi słuchawki. Po raz pierwszy odwraca głowę i spogląda na wysokiego, żyłastego Lee z grzywą złocistobiałych włosów i tym strasznym białym okiem. Kładzie rękę na jego piersi i odpycha go tak mocno, że Lee wpada na ścianę. Szyby dzwonią.

— Nikt nie uwierzy w te bzdury.

Lee nawet nie wygląda na zdenerwowanego.

— Kto wie, w co uwierzą? Na kamieniu są twoje odciski palców.

Terry chwyta Lee za koszulę, odrywa go od ściany i znowu o nią uderza, przygważdża go prawą ręką. Łyżka spada z blatu na podłogę, wydaje melodyjny dźwięk jak wietrzny dzwonek.

— Zostawiłeś tego wielkiego jointa obok jej ciała — mówi Lee spokojnie. — I to ona cię zadrapała. Podczas walki. A kiedy umarła, wytarłeś się jej majtkami. Jest na nich twoja krew.

— Co ty pieprzysz? — rzuca Terry. Słowo „majtki” także unosi się w powietrzu jak brzęk łyżki.

— To skaleczenie na twoim czole wytarłem jej bielizną, kiedy byłeś nieprzytomny. Chcę, żebyś zrozumiał sytuację. Siedzisz w tym tak samo jak ja. Może bardziej.

Terry zaciska pięść, ale się powstrzymuje. Lee patrzy na niego jakby gorliwie, z gorączkowym wyczekiwaniem, oddycha szybko i płytko.

— Na co czekasz? — pyta. — Bij.

Terry jeszcze nigdy w życiu nie uderzył nikogo w gniewie. Ma prawie trzydzieści lat i nikogo dotąd nie walnął. Nie brał udziału w żadnej szkolnej bójkę. Wszyscy w szkole go lubili.

— Jeśli tkniesz mnie choć palcem, sam zadzwonię na policję. Będę lepiej wyglądać. Powiem, że jej broniłem.

Terry cofa się chwiejnie o krok i opuszcza rękę.

— Idę stąd. Znajdź sobie prawnika. Ja za dwadzieścia minut będę rozmawiać z moim. Gdzie moja kurtka?

— Tam gdzie kamień. I jej majtki. W bezpiecznym miejscu. Nie tutaj, zatrzymałem się gdzieś po drodze. Powiedziałeś, żebym zebrał dowody i pozbył się ich, ale się ich nie pozbyłem...

— Zamknij się...

— ...bo pomyślałem, że będziesz chciał zwalić wszystko na mnie. Proszę bardzo. Wzywaj policję. Ale daję ci słowo, że jeśli mnie utopisz w tym gównie, pociągnę cię za sobą. Wszystko zależy od ciebie. Dopiero co dostałeś „Hothouse “. Wracasz do Los Angeles za dwa dni, żeby się spotykać z gwiazdami i modelkami. Ale proszę, postąp jak porządny obywatel. Uspokój swoje sumienie. Tylko pamiętaj, nikt ci nie uwierzy, nawet twój brat, który znienawidzi cię do końca życia za to, że w pijanym widzie zabiłeś jego dziewczynę. Początkowo nie będzie w to wierzyć, lecz daj mu czas. Będziesz miał dwadzieścia lat w pierdłu na gratulowanie sobie zasad moralnych. Na miłość boską, Terry, ona nie żyje od czterech godzin. Gdybyś chciał być w porządku, wezwałbyś policję, zanim zwłoki by wystygły. Teraz to będzie wyglądać, jakbyś co najmniej się zastanawiał nad ukryciem prawdy.

— Zabiję cię — szepcze Terry.

— *Jasne. W porządku. Będiesz się tłumaczyć z dwóch trupów. Urobisz się po pachy.*

Terry odwraca się do telefonu. Ma wrażenie, że jeśli nie weźmie słuchawki i nie zadzwoni, wszystko, co dobre w jego życiu, zostanie mu odebrane. A jednak nie może podnieść ręki. Jest jak rozbitek na bezludnej wyspie, bezradnie patrzący na lśniący samolot odległy o dwanaście tysięcy metrów, ostatnią nadzieję na ratunek.

— *Albo — ciągnie Lee — to się mogło nie wydarzyć. Skoro to nie ty i nie ja, może zabił ją ktoś obcy. Ciągłe się o tym słyszy. W wiadomościach o niczym innym nie mówią. Nikt nie widział, jak ją zabraliśmy z parkingu. Nikt nie widział, jak skręcamy do lasu. Dla całego świata po ognisku pojechaliśmy do mnie, graliśmy w karty i zasnęliśmy przed telewizorem. Mój dom znajduje się po drugiej stronie miasta. Nie mieliśmy powodu, żeby zawędrować aż do odlewni.*

Terry'emu brakuje tchu. Przychodzi mu do głowy niezwiązana z tematem myśl, że tak musi się czuć Ig, kiedy chwyta go atak astmy. Śmieszne, że zupełnie nie może podnieść ręki do telefonu.

— *No i tyle. Powiedziałem swoje. Krótko mówiąc, jest tak: możesz przeżyć resztę swoich dni jako kaleka albo cienias. To zależy tylko od ciebie. Ale uwierz mi, tchórze lepiej się bawią.*

Terry nie robi żadnego ruchu, nie odpowiada, nie może spojrzeć na Lee. Krew tętni mu w żyłach nadgarstka.

— *Coś ci powiem — odzywa się Lee tonem rozsądnej perswazji.*

— *Gdybyś poddał się teraz testowi na narkotyki, kiepsko by wyszedł. Nie chcesz iść na komisariat w tym stanie. Spałeś góra trzy godziny i nie myślisz jasno. Ona już nie ożyje. Proponuję, żebyś poświęcił ranek na zastanowienie. Mogą jej nie znaleźć przez wiele dni. Nie spiesz się do tego, z czego się nie wycofasz. Zaczekaj, aż będziesz pewien, co chcesz zrobić.*

To straszne słowa — „mogą jej nie znaleźć przez wiele dni” — słowa, które przywodzą na myśl plastyczny obraz Merrin leżącej w paprociach, na mokrej trawie, z deszczówką zebraną w otwartych oczach i żuczkiem we włosach. Potem następuje wizja Merrin w samochodzie, dygoczącej w przemoczonym ubraniu, oglądającej się na niego nieśmiało, nieszczęśliwymi oczami. „Dzięki, że mnie zabrałeś. Uratowałeś mi życie”.

— Chcę do domu — mówi Terry. Starał się powiedzieć to wyniośle, brutalnie, z godnością, ale jego głos brzmi jak ochryply szept.

— Jasne. Podwiozę cię. Ale pozwól, że pożyczę ci koszulę. Twoja jest cała zakrwawiona.

Wskazuje brudne plamy, które powstały, kiedy Terry wytarł ręce o pierś. Teraz, w perłowym, opalizującym blasku świtu widać, że to zaschnięta krew.

*

Ig zobaczył to wszystko w chwili, gdy dotknął brata, tak dokładnie, jakby siedział w tym samochodzie w drodze do starej odlewni. Stał się również świadkiem desperackich błagań Terry’ego trzydzieści godzin później w kuchni Lee. Dzień był niezwykle słoneczny i dziwnie zimny; z ulicy dobiegał wrzask dzieci, jakieś nastolatki chlapały się w basenie u sąsiadów. To wszystko było niemal nie do zniesienia, dopasowanie tej pogodnej normalności poranka do świadomości, że Ig jest w areszcie, a Merrin w kostnicy. Lee stał oparty o kuchenny blat, patrząc beznamiętnie na Terry’ego, który miotał się wśród myśli i emocji,

z głosem czasem zduszonym furia, czasem rozpaczą. Lee czekał, aż straci rozpęd, a wtedy oznajmił:

— *Wypuszczą twojego brata. Spokojnie. Dowody nie będą pasować i będą musieli go publicznie oczyścić z zarzutów.* — Przekładał z ręki do ręki złocistą gruszkę.

— *Jakie dowody?*

— *Odciski butów. I opon. Kto wie, co jeszcze? Chyba krew. Możliwe, że mnie zadrapała. Mam inną grupę krwi niż Ig, a nie będą mnie podejrzewać. I módl się o to. Cierpliwości. Wypuszczą go w ciągu ośmiu godzin, a pod koniec tygodnia uniewinnią. Musisz tylko trochę dłużej milczeć i obaj wyjdziecie z tego cało.*

— *Mówią, że została zgwałcona. Nie powiedziałeś, że ją zgwałciłeś.*

— *Nie zgwałciłem. Gwałt jest wtedy, kiedy dziewczyna nie chce, żebyś to zrobił* — powiedział Lee, uniósł gruszkę do ust i ugryzł z wilgotnym chrupnięciem.

Jeszcze gorsze było mgnienie tego, co Terry usiłował zrobić pięć miesięcy później, siedząc w viperze, przy zamkniętych oknach i drzwiach, z włączonym silnikiem. Był już na granicy drgawek, otoczony kłębamii spalin, kiedy nagle rozległ się szcęk otwieranych drzwi garażu. Jego gospodyni nigdy w życiu nie przyszła w sobotę rano, a tu proszę, stała i gapiała się na Terry'ego przez szybę, przyciskając do piersi pranie. Ta pięćdziesięcioletnia Meksykanka dość dobrze mówiła po angielsku, ale mało

prawdopodobne, żeby zdołała odczytać złożoną kartkę wystającą Terry'emu z kieszeni na piersiach:

DO ZAINTERESOWANYCH

W zeszłym roku mój brat, Ignatius Perrish, został aresztowany pod zarzutem gwałtu i zamordowania Merrin Williams, swojej najbliższej przyjaciółki. NIE POPEŁNIŁ ŻADNEGO Z TYCH CZYNÓW. Merrin, która była również moją przyjaciółką, została zamordowana przez Lee Tourneau. Wiem, bo byłem przy tym obecny i choć nie brałem udziału w zbrodni, jestem winny jej zatuszowania i nie mogę z tym dłużej żyć...

Ig nie czekał dalej, puścił rękę Terry'ego, jakby go poraził prąd. Terry otworzył oczy. Jego źrenice w ciemnościach zogromniały.

— Mama? — odezwał się bełkotliwym, nieprzytomnym głosem. W pokoju było ciemno, tak ciemno, że pewnie widział tylko niewyraźną sylwetkę. Ig trzymał rękę za plecami, ściskając rękojeść noża.

Otworzył usta, chciał powiedzieć, żeby Terry spał dalej, co było największą bzdurą, jaką mógł wymyślić. Ale kiedy zaczął mówić, poczuł pulsowanie krwi w rogach i z jego ust wydostał się głos nie jego, lecz matki. Nie naśladownictwo. To mówiła ona.

— Śpij dalej, Terry — powiedziała.

Ig zdumiał się tak, że zrobił krok do tyłu i uderzył biodrem o nocną szafkę. Szklanka wody lekko zadzwoniła o lampę. Terry znowu przymknął oczy, ale poruszył się, jakby lada chwila miał wstać.

— Mamo... która godzina? — spytał.

Ig spojrział na brata, zastanawiając się, czy uda mu się to po raz drugi. Oczywiście diabeł może przemawiać głosem ukochanych, podszeptywać to, co się chce usłyszeć. Dar mówienia językami... ulubiona szatańska sztuczka.

— Ciii... — powiedział, czując narastające ciśnienie w rogach, a jego głos był głosem Lydii Perrish. Przyszło mu to bez trudu. — Ciii, kochanie. Nie musisz nic robić. Nie musisz wstawać. Odpoczywaj. Bądź dobry dla siebie.

Terry westchnął i odwrócił się plecami do niego.

Ig nie spodziewał się, że będzie mu współczuć. Nie bagatelizował tego, co spotkało Merrin, ale w pewnym sensie stracił tej nocy także brata.

Przykucnął w ciemności, patrząc na leżącego na boku Terry'ego, przez chwilę rozważał ten nagły pokaz swojej mocy. W końcu otworzył usta i Lydia powiedziała:

— Powinieneś jutro pojechać do domu. Zajmij się swoim życiem, skarbie. Masz próby. Masz sprawy do załatwienia. Nie martw się o babcię, nic jej nie będzie.

— A Ig? — wymamrotał Terry, nadal odwrócony plecami. — Nie powinienem zostać, dopóki się nie dowiemy, gdzie się podział? Martwię się o niego.

— Może potrzebuje samotności — odpowiedział Ig głosem matki. — Wiesz, rocznica... Na pewno nic mu nie jest i chciałby, żebyś zajął się pracą. Musisz choć raz pomyśleć o sobie. Wracaj jutro prosto do Los Angeles. — Sformułował to jak rozkaz, natężył siłę woli, aż rogi zatętniły mu z rozkoszy.

— Prosto do Los Angeles — powtórzył Terry. — Dobrze.

Ig cofnął się ku drzwiom, ku słonecznemu światłu. Zanim wyszedł, Terry znowu się odezwał:

— Kocham cię.

Ig zatrzymał się w drzwiach. Tętno dziwnie pulsowało mu w gardle, oddech przyspieszył.

— Ja też cię kocham, Terry — powiedział i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 28

Po południu Ig pojechał do małego wiejskiego sklepiku. Kupił ser, pepperoni, musztardę, dwa bochenki chleba, dwie butelki czerwonego wina stołowego i korkociąg.

Sklepikarz, starszy pan o wyglądzie naukowca, w babcinych okularach i zapinanym z przodu swetrze, podpierał brodę na pięści, przeglądając „New York Review of Books”. Zerknął na Iga obojętnie i zaczął zaznaczać pozycje do zamówienia.

Uderzając w klawisze kasy, wyznał Igowi, że jego poślubiona czterdzieści lat temu żona ma alzheimera, a on się zastanawia, czy nie zepchnąć jej ze schodów do piwnicy. Wszyscy by uznali, że skręciła kark przez przypadek. Wendy kochała go duszą i ciałem, a kiedy był w wojsku, co tydzień pisała do niego list, ale on miał już dość mycia jej i słuchania bełkotu, chciał zamieszkać ze starą przyjaciółką Sally w Boca Raton. Po śmierci żony mógłby zgarnąć prawie trzy czwarte miliona z ubezpieczenia, byłoby na golfa, tenis i dobre żarełko z Sally przez te wszystkie lata, które im pozostały. Chciał wiedzieć, co Ig o tym sądzi, na co Ig powiedział, że jego zdaniem będzie się za to smażyć w piekle. Sklepikarz wzruszył ramionami, no jasne, to się samo przez się rozumie.

Mówił do Iga po rosyjsku, a Ig odpowiadał mu w tym samym języku, choć rosyjskiego nie znał i nigdy się go nie uczył. Wcale nie był zaskoczony tą biegłością, choć po rozmowie przeprowadzonej z Terryem głosem matki wydawała się raczej mało efektowna. Poza tym język grzechu jest uniwersalny, to pierwotne esperanto.

Ig odszedł od kasy, myśląc o tym, jak coś w nim znalazło ten głos, który Terry chciał usłyszeć. Zastanowił się, czy taka moc ma granice i czy może skutecznie zawieść innych na manowce. Staął w drzwiach i obejrzał się na sklepikarza, który siedział za kontuarem, znowu czytając gazetę.

— Nie odbierze pan telefonu? — spytał Ig.

Staruszek podniósł głowę, marszcząc brwi.

— Dzwoni — dodał Ig. Rogi rozpierało mu ciśnienie i poczucie ciężaru, bardzo przyjemne.

Sklepikarz spojrział ze zdziwieniem na milczący telefon. Uniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Ig słyszał dobiegający z niej sygnał, choć stał po drugiej stronie sklepu.

— Robercie, tu Sally — powiedział Ig. Głos, który wydobył się z jego ust, nie należał do niego. Był ochryply, niski, lecz z całą pewnością kobiecy, z akcentem z Bronksu; głos całkowicie nieznamy, choć Ig był pewien, że należał do tamtej Sally.

Sklepiarz zrobił zaskoczoną minę i powiedział do głuchej słuchawki:

— Sally? Rozmawialiśmy parę godzin temu. Myślałem, że nie chcesz wydawać pieniędzy na rozmowy międzymiastowe.

Rogi zatętniły, zmysłowo pobudzone.

— Oszczędzę, kiedy przestanę do ciebie codziennie dzwonić — odpowiedział Ig głosem Sally z Boca Raton. — Kiedy tu przyjedziesz? Czekanie mnie dobija.

— Nie mogę. Przecież wiesz, że nie mogę. Wyobrażasz sobie, ile będzie kosztować oddanie Wendy do domu opieki? Z czego byśmy żyli? — Sklepiarz mówił to do przerywanego sygnału.

— Kto powiedział, że musimy żyć jak Rockefellerowie? Nie potrzebuję ostryg. Wystarczy sałatka z tuńczyka. Chcesz czekać do jej śmierci, ale jeśli ja wykorkuję pierwsza? Na co nam to? Nie jestem młódką, a i z ciebie żaden młodzieniaszek. Oddaj ją tam, gdzie będzie miała opiekę, a potem wsiadaj do samolotu i przyleć tu, gdzie ktoś zajmie się tobą.

— Obiecałem jej, że nie oddam jej do domu opieki.

— To nie jest ta sama osoba, której to obiecałeś, a ja się boję, do czego mógłbyś się posunąć, jeśli z nią zostaniesz. Wybierz grzech, z którym będziemy mogli żyć — tylko o to cię proszę. Zadzwoń, kiedy zabukujesz bilet, a przyjadę po ciebie na lotnisko.

Ig zerwał połączenie, odpuścił; to boleśnie słodkie ciśnienie wysączyło się z jego rogów. Sklepiarz odsunął słuchawkę od ucha i gapił się na nią z lekko rozchylonymi ustami. Nadal dobiegało z niej buczenie. Ig wymknął się ze sklepu. Staruszek nie podniósł głowy, zapomniał o nim.

*

Ig rozпалиł ogień w piecu, otworzył pierwsze wino i nie dając mu pooddychać, pociągnął z butelki duży łyk. Opary wypełniły mu głowę, oszołomiły — słodkie podduszenie, miłosny uścisk na gardle. Czuł, że powinien obmyślać jakiś plan, powinien już zdecydować, jak się rozprawić z Lee Tourneau, ale trudno mu było się skupić. Patrzył na ogień. Ekstatyczny taniec płomieni go fascynował. Zdumiewały go spirale iskier i pomarańczowa lawina rozsypujących się węgli, zdumiewał go gorzko-gryzący smak wina, które zdzierało myśli jak szpachla starą powłokę farby. Szarpnął niespokojnie za kocią bródkę, czerpiąc spokój z jej dotyku, ciesząc się nią, czując, że dzięki niej łatwiej mu się pogodzić z rosnącą łysiną. Wszyscy bohaterowie jego dzieciństwa nosili brody: Jezus, Abraham Lincoln, Dan Haggerty.

— Brody — wymamrotał. — Jestem pobłogosławiony zarostem.

Zaczął drugą butelkę wina, kiedy usłyszał, że ogień szepcze do niego, podsuwa mu plany i intrygi, pociesza go cichym syczeniem, podsuwa teologiczne spory. Ig słuchał uważnie. Czasami kiwał głową. Ogień wypowiadał się całkiem rozsądnie. Przez następną godzinę Ig wiele się nauczył.

*

Po zmroku otworzył drzwiczki i zobaczył, że w pomieszczeniu zebrały się tłumy wiernych pragnących usłyszeć Słowo. Wyszedł z pieca, a falujący dywan węży — co najmniej tysiąc gadów leżących na sobie, splecionych w szalonych kłębach — rozstał się przed nim, utworzył drogę prowadzącą do sterty cegieł na środku podłogi. Ig wspiął się na nią i podparł się widłami, dzierżąc drugą butelkę wina. Z tego stanowiska zaczął mówić do węży.

— Dogmatem wiary jest stwierdzenie, że duszy należy strzec, by nie została zniszczona i pożarta. Sam Chrystus uprzedził swoich apostołów, żeby strzegli się tego, który zgładzi ich dusze w piekle. Ja wskazuję wam możliwość, że o takim losie decyduje matematyczne nieprawdopodobieństwo. Dusza nie może ulec zniszczeniu. Dusza jest nieśmiertelna. Nieskończona jak liczba pi. I tak jak liczba pi — stała. Pi to liczba niewymierna, niedająca się przerobić na ułamek, niezdolna do podziału przez samą siebie. Dlatego dusza także jest niewymiernym, niepodzielnym

równaniem, które wyraża idealnie tylko jedno: ciebie. Dusza na nic się nie przyda diabłu, jeśli zostanie zniszczona. A oddana pod opiekę szatana nie jest zgubiona, jak często się twierdzi. Szatan dokładnie wie, jak jej używać.

Jakiś wąż, samica wielka jak gruby brązowy sznur, ośmielił się wspiąć na stertę cegieł. Ig poczuł jej ruch pod swoją bosą stopą, lecz początkowo nie zwrócił na to uwagi, zajęty duchowymi potrzebami swej trzódki.

— Szatan od dawna słynie jako przeciwnik Pana, ale Bóg boi się kobiet jeszcze bardziej niż diabła. I ma rację. Kobieta, mająca moc obdarzania życiem, stanowi prawdziwy wizerunek Stwórcy, nie mężczyzna. To ona udowodniła bez najmniejszej wątpliwości, że bardziej zasługuje na uwielbienie mężczyzny niż Chrystus, ten nieogolony fanatyk, który pragnął końca świata. Bóg nas uratuje — ale nie w tej chwili i nie tutaj. Ten ratunek został przełożony na święty nigdy. Jak wszyscy naciągacze, Bóg chce, byście zapłacili z góry i wierzyli, że towar przyjdzie później. Natomiast kobiety oferują inny rodzaj wybawienia, bardziej doraźny i satysfakcjonujący. Nie odkładają miłości na niezmiernie daleką, nieokreśloną przyszłość, ale składają ją w darze tu i teraz, często tym, którzy najmniej na to zasługują. Tak było w moim przypadku. I w przypadku wielu innych. Diabeł i kobieta byli

sprzymierzeńcami w walce z Bogiem od zarania dziejów, odkąd szatan przyszedł do pierwszego człowieka pod postacią węża i wyszeptał Adamowi, że prawdziwe szczęście znajdzie nie w modlitwie, lecz w cipce Ewy.

Wężę wiły się, syczały i walczyły o przestrzeń u jego stóp. Kąsały się nawzajem, bliskie ekstazy.

Gruba brązowa samica u stóp Iga zaczęła się owijać o jego kostki. Ig pochylił się i podniósł ją, przyjrzał się jej wreszcie. Miała kolor suchych, martwych liści, na grzbiecie pomarańczowy pasek, a jej ogon kończył się małą, zakurzoną grzechotką. Ig nigdy nie widział gadziej grzechotki — nigdzie z wyjątkiem filmów Clinta Eastwoda. Pozwoliła się unieść, nie uciekała. Spojrzała na niego złocistymi oczami, pomarszczonymi jak metaliczna folia, o podłużnych szczelinach źrenic. Wysunęła czarny język, smakując powietrze. Chłodna skóra luźno przesuwiała się na jej ciele jak powieka na gałce ocznej. Ogon (ale może mówienie o ogonie było błędem, cały wąż był jak ogon zwieńczony głową) spoczął na ramieniu Iga. Po chwili Ig owinął sobie wężycę na szyi jak szalik albo krawat. Jej grzechotka spoczęła na jego nagiej piersi.

Spojrzał na swoją widownię i zapomniał, o czym mówił. Odchylił głowę i pociągnął łyk wina. Spłynęło mu w gardło palącą strużką, słodki pitny płomień. Miał rację co do tego diabelskiego

napitku, który — jak owoc zakazany — dawał mądrość, wiedzę i pewną zgubę. Zaciągnął się dymem i przypomniał sobie argumenty.

— Spójrzcie na dziewczynę, którą kochałem i która kochała mnie. Zobaczcie, jak skończyła. Nosiła na szyi Jezusowy krzyżyk i była pobożną wyznawczynią Kościoła, który nigdy nie zrobił dla niej nic, tylko brał pieniądze i nazywał ją grzesznicą. Codziennie zanosila modły do Jezusa i widzicie, na co jej przyszło. Tyle osób oplakiwało Jezusa na krzyżu. Jakby nikt nie cierpiał tak jak On. Jakby miliony ludzi nie doznały gorszej śmierci i nie umarły w zapomnieniu. Gdybym żył w czasach Piłata, z przyjemnością wbiłbym włócznię w bok Jezusa, tak byłbym dumny z Jego bólu.

Merrin i ja byliśmy jak małżeństwo, ale ona chciała czegoś więcej, chciała wolności, życia, możliwości odkrycia siebie. Chciała innych kochanków i żeby ja też miał inne kochanki. Nienawidziłem jej za to. Bóg też. Za samą myśl, że mogłaby rozłożyć nogi dla innego, odwrócił od niej twarz, a kiedy Go wzywała, gwałcona i zabijana, On udawał, że nie słyszy. Niewątpliwie uznał, że sobie zasłużyła. Teraz uważam Boga za nieutalentowanego twórcę literatury klasy B, autora książek o prymitywnych, sadystycznych intrygach, akcji służącej tylko wyrażeniu Jego strachu przed kobietą, mogącą wybierać, kogo i

jak pokochać, ponownie zdefiniować miłość zgodnie z tym, co odpowiada jej, a nie Bogu. Ten autor jest niegodny własnych bohaterów. Diabeł to przede wszystkim krytyk literacki, który tego grafomana publicznie obdziera ze skóry.

Wężyca zsunęła łeb w dół, miłośnie muskając jego udo. Pogładził ją łagodnie. Dochodził do najważniejszego momentu swego kazania.

— Tylko diabeł kocha ludzi takich, jacy są, i raduje się ich intrygami przeciwko sobie, ich bezwstydną ciekawością, ich brakiem opanowania, naturą kazącą im łamać zasady natychmiast, kiedy o nich usłyszą, ich gotowością, żeby oddać nieśmiertelną duszę za małe bara-bara. Diabeł wie, że tylko ci, którzy nie przestraszą się zaryzykować duszy w zamian za miłość, mają prawo do posiadania duszy, nawet jeśli Bóg jest innego zdania.

I jak w związku z tym wygląda Bóg? Mówiono nam, że Bóg kocha człowieka, ale tę miłość muszą potwierdzać czyny, nie puste deklaracje. Gdybyś siedział w łodzi i nie uratował tonącego człowieka, z pewnością byś spłonął w piekle. Tymczasem Bóg we własnej mądrości uważa, że nie ma powodu korzystać ze swojej mocy, by komuś oszczędzić choćby chwili cierpienia — a pomimo tej obojętności ceni się Go i wielbi! Wyjaśnijcie mi, gdzie tu logika.

To niemożliwe. Nie ma tu logiki. Tylko diabeł posługuje się logiką, obiecując karać tych, którzy zmieniliby ziemię w piekło dla ludzi odważających się kochać i czuć.

Nie twierdzę, że Bóg umarł. Mówię wam, że żyje i miewa się dobrze, ale nie może nikogo uratować, ponieważ sam jest potępiony za swoją zbrodniczą obojętność. Stracił szansę, kiedy zażądał czci i poddaństwa, zanim zaoferował opiekę. To klasyczny układ z gangsterem. Natomiast diabeł z całą pewnością nie jest obojętny.

Diabeł zawsze pomaga tym, którzy pragną grzeszyć, co jest innym określeniem życia. Jego telefon nigdy nie jest zajęty. Zawsze ktoś go odbierze.

Wężyca na ramionach Iggy'ego potrząsnęła aprobująco grzechotką jak kastanietami. Ig uniósł ją, pocałował w zimną głowę i położył na ziemi. Wrócił do pieca, a węże odpełzały mu spod stóp, rozstępowały się przed nim. Zostawił widły oparte o ścianę przed drzwiczkami i wpełzł do paleniska, ale nie pozwolił sobie na odpoczynek. Przez jakiś czas czytał przy świetle ognia Biblię Neila Diamonda. Zastanawiał się, nerwowo mnąc bródkę, nad Księgą Powtórzonego Prawa, zakazującą noszenia ubrań z mieszanych włókien. Problematiczny ustęp Pisma. Sprawa wymagająca namysłu.

— Tylko diabeł chce, żeby człowiek miał bogaty wybór lekkiej i wygodnej odzieży najróżniejszych fasonów — wymamrotał wreszcie, wypróbując nową mądrość. — Choć nie ma wybaczenia dla poliestru. W tej sprawie szatan i Bóg są zgodni.

ROZDZIAŁ 29

Obudził się, słysząc zgrzyt metalu. Usiadł w śmierzdzących sadzą ciemnościach, potarł oczy. Ogień już dawno zgasł. Ig zmrużył oczy, chcąc dostrzec, kto otworzył drzwiczki, i oberwał kluczem francuskim w usta. Na tyle mocno, że głowa odskoczyła mu w bok. Usta miał pełne krwi. Poczul na języku jakieś twarde gruzelki. Wypluł śluzowatą krew; wraz z nią wypadły mu trzy zęby.

Ręka w czarnej skórzanej rękawicy sięgnęła do paleniska i wywlokła go za włosy, przy okazji uderzając jego głową w żelazne drzwiczki, które wydały melodyjny brzęk, jakby ktoś uderzył w gong. Ig upadł na betonową podłogę. Usiłował wstać, robiąc coś w rodzaju pompki, i dostał w bok czarnym, podbitym metalem buciorem. Zęby kłapnęły mu jak klaps: scena 666, ujęcie pierwsze, akcja!

Widły. Oparł je o ścianę tuż za piecem. Przetoczył się i wyciągnął do nich rękę. Musnął palcami trzonek; widły upadły z brzękiem. Kiedy je chwycił, Lee Tourneau wbił mu obcas w dłoń i Ig usłyszał ciche chrupnięcie pękających kości — jakby ktoś przydepnął suche gałązki. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Lee,

który znowu zamachnął się kluczem i uderzył go precyzyjnie między rogi. W głowie Iga wybuchł biały blask, olśniewająca bomba fosforowa i świat zniknął.

*

Ig otworzył oczy i zobaczył przesuwającą się podłogę odlewni. Wleczony za kołnierz, kolanami szorował po betonie. Ręce zwisały mu z przodu, czymś związane. Chyba taśmą klejącą. Usiłował wstać, ale udało mu się tylko słabo wierzgnąć nogami. Cały świat wypełniał piekielny zgiełk cykad. Dopiero po chwili dotarło do niego, że ten dźwięk rozlega się w jego głowie, bo cykady w nocy milczą.

W przypadku tej starej odlewni błędem było myślenie o wnętrzu i zewnątrz. Budynek nie miał dachu; będąc w nim, jednocześnie przebywało się na dworze. Ale wywleczony przez drzwi Ig poczuł, że otoczyła go noc, choć pod kolanami nadal miał zakurzony beton. Nie mógł unieść głowy, lecz miał wrażenie otwartej przestrzeni, wyjścia spomiędzy ścian. Słyszał warkot cadillaca Lee, zostawionego gdzieś niedaleko na jałowym biegu. Jestem za budynkiem, pomyślał, niedaleko od trasy Evela Knievela. Z trudem poruszył językiem, koniuszkiem dotknął pustego dołu po zębie.

Jeżeli zamierzał wypróbować działanie rogów na Lee, musiał to zrobić teraz, zanim Lee zrealizuje swój plan. Ale kiedy otworzył usta, spadł na niego czarny, miażdżący spazm bólu i zdołał jedynie powstrzymać się od krzyku. Szczękę miał złamaną — może nawet zmiażdżoną. Krew bulgotała mu w ustach, wypływała spomiędzy warg. Bełkotliwie jęknął z bólu.

Byli na szczycie betonowych schodów.

— Chryste, Ig — wydyszał Lee. — Nie wyglądałeś na takiego ciężkiego. Ja się nie nadaję do takich wyczynów.

Zrzucił go ze schodów. Ig spadł na ziemię najpierw ramieniem, potem twarzą. Wydawało mu się, że szczęka znowu rozpada mu się na kawałki. Mimo woli krzyknął — chrapliwym, zduszonym głosem. Przetoczył się i znieruchomiał z nosem przy ziemi.

Zastygł w bezruchu — wydawało mu się, że to bardzo ważne, najważniejsze na świecie — czekając, aż czarne pulsowanie bólu w jego twarzy chociaż trochę zelżeje. Z daleka dobiegły go kroki na betonowych schodach i po ziemi. Drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły. Kroki wróciły. Ig usłyszał blaszany brzęk i głuchy chlupot. Nie potrafił rozpoznać, co to za dźwięki.

— Wiedziałem, że cię tu znajdę — powiedział Lee. — Musiałeś tu przyleźć, co?

Ig z wysiłkiem podniósł głowę. Lee przykucnął obok niego. Był w ciemnych dżinsach i białej koszuli z podwiniętymi rękawami, ukazującymi jego szczupłe, silne przedramiona. Twarz miał spokojną, niemal pogodną. Jedną ręką skubał z roztargnieniem krzyżyk spoczywający wśród pierścionków jasnych włosów na jego piersi.

— Wiedziałem, że cię tu znajdę, kiedy Glenna do mnie zadzwoniła. — Przez chwilę uśmiech uniósł kąciki jego ust. — Wróciła i zastała dom przewrócony do góry nogami. Telewizor z rozbitym ekranem. Wszędzie burdel. Od razu wybrała mój numer. Płakała. Czuje się strasznie. Myśli, że jakoś dowiedziałeś się o... jakich słów mam użyć?... o naszej schadzce na parkingu i że ją znienawidziłeś. Boi się, że zrobisz sobie krzywdę. Odpowiedziałem, że bardziej się martwię, że zrobisz krzywdę jej i że powinna przenocować u mnie. Odmówiła. Nie do wiary. Stwierdziła, że się ciebie nie boi i że musi z tobą porozmawiać, zanim sprawy między nami zajdą dalej. Glenna jest słodka. Trochę zbyt zdesperowana. Strasznie niepewna siebie. No i puszczalska. Druga najbardziej zasługująca na usunięcie istota ludzka. Ty będziesz pierwszą.

Ig zapomniał o zdruzgotanej szczęce i usiłował ostrzec Lee, żeby się odpieprzył od Glenny, ale kiedy otworzył usta, wydobył

się z nich tylko kolejny krzyk. Ból promieniował z pękniętej zuchwy, a wraz z nim nadciągnęła ciemność, gęstniejąca na obrzeżach pola widzenia, a potem zamykająca się wokół. Odetchnął, smarkając krwią, i stawił opór tej ciemności, odepchnął ją siłą woli.

— Eric nie pamięta, co się dziś wydarzyło w mieszkaniu Glenny — ciągnął Lee tak cicho, że Ig prawie go nie słyszał. — Dlaczego? Nie pamięta nic z wyjątkiem tego, że chlusnąłeś mu w twarz wrzątkiem i że omal nie zemdlał. Ale w tym mieszkaniu coś się wydarzyło. Bójka? Może powinienem zabrać tu Erica — na pewno chciałby popatrzeć, jak umierasz — ale jego twarz... Nieźle go poparzyłeś. Mało brakowało, a musiałyby jechać do szpitala i wstawić kit, co mu się stało. W ogóle nie powinien przychodzić do mieszkania Glenny. Ten facet nie ma żadnego szacunku dla prawa. — Lee parsknął śmiechem. — Ale może lepiej, że Eric w tym nie uczestniczy. Bez świadków jest łatwiej.

Lee oparł przeguby na kolanach. W prawej ręce miał klucz francuski, sześć kilo rdzewiejącego żelaza.

— Niemal rozumiem, dlaczego Eric nie pamięta, co się stało u Glenny. Cios stalowym garnkiem w głowę może wytrzeć wspomnienia. Ale nie wiem, jak zrozumieć to, co się wydarzyło, kiedy dziś pojawiłeś się w biurze kongresmena. Trzy osoby

widziały, jak wchodzisz: nasz recepcjonista Chet, Cameron, który siedzi przy rentgenie, i Eric. Pięć minut po twoim odejściu nikt o tobie nie pamiętał. Tylko ja. Nawet Eric mi nie wierzył, dopóki nie pokazałem mu nagrania. Nagrania, na którym rozmawiacie. Ale nie potrafił mi powiedzieć o czym. I jest coś jeszcze. Film. Dziwnie wygląda. Jakby taśma była wadliwa... Zniekształcenie. Ale tylko wokół ciebie. Co zrobiłeś z kasetą? Co zrobiłeś z nimi? I dlaczego to nie ma na mnie wpływu? Tego chciałbym się dowiedzieć. — Ig nie odpowiedział. Lee trącił go w ramię kluczem. — Słyszysz mnie?

Ig słyszał każde słowo, przygotowywał się, podczas gdy Lee nawijał, zbierał w sobie resztki sił, by się poderwać. Podkulił nogi, opanował oddech i czekał na właściwą chwilę. Właśnie się nadarzyła. Skoczył, odtrącając klucz. Rzucił się na Lee, uderzył go w pierś barkiem, przewrócił go na ziemię, chwycił za szyję...

...i gdy go dotknął, omal nie krzyknął po raz drugi. Na chwilę znalazł się w głowie Lee i poczuł się, jakby znowu utonął w rzece; porwał go burzliwy czarny nurt, wciągnął w zimną, ryczącą otchłań. Podczas tego przelotnego kontaktu Ig wszystkiego się dowiedział i zapragnął, żeby ta wiedza jakoś się ulotniła.

Lee nadal trzymał klucz. Uderzył nim Iga w brzuch. Ig upadł, odrzucony przez cios, ale jeszcze chwycił za złoty łańcuszek na

szyi Lee, który zerwał się niemal bezszelestnie. Krzyżyk pofrunął w mrok.

Lee wygramolił się spod niego, podniósł się na nogi. Ig rzeźił na czworakach.

— Spróbuj mnie udusić, ty gnojku — powiedział Lee i kopnął go w bok. Trzasnęło żebro. Ig jęknął i runął na twarz.

Lee kopnął go po raz drugi i trzeci. Ten trzeci kopniak trafił w nerki, przeszył wnętrzności rozdzierającym spazmem bólu. Coś mokrego spadło Igowi na potylicę. Ślina. Przez chwilę obaj łapali oddech.

I w końcu Lee spytał:

— Co ty masz na łbie? — W jego głosie brzmiało autentyczne zaskoczenie. — O Jezu! To rogi?

Ig dygotał, ogarniany falami bólu i mdłości, spazmów w plecach, boku, ręce, twarzy. Jedną ręką rył w ziemi, paznokciami złobił w niej bruzdy, czepiał się świadomości pazurami, walczył o każdą sekundę przytomności. Co powiedział Lee? Coś o rogach.

— To właśnie było na nagraniu — odezwał się Lee trochę zduszonym głosem. — Rogi. Jasna cholera. Myślałem, że kasetka ma skazę. Ale kasetka jest w porządku, ty jesteś lewy. Wiesz, wczoraj wydawało mi się, że je widzę, kiedy patrzyłem na ciebie chorym okiem. Widzę przez nie bardzo niewyraźnie, więc nie

uwierzyłem. — Zamilkł i dotknął dwoma palcami obnażonej szyi.
— Coś podobnego.

Ig zamknął oczy i zobaczył metalicznie błyszczący tłumik Toma Crowna wepchnięty głęboko w trąbkę. Wreszcie znalazł coś, co niweczyło wpływ rogów. Krzyżyk Merrin tłumiał ich sygnał, utworzył wokół Lee Tourneau ochronny krąg nie do przebicia. Bez niego Lee stał się podatny na wpływ rogów. Oczywiście za późno, żeby Ig coś z tego miał.

— Mój krzyżyk — odezwał się Lee. — Krzyżyk Merrin. Zerwałeś go, usiłując mnie udusić. Myślisz, że chcę ci to zrobić? Nie chcę. Naprawdę. Mam ochotę zrobić to tej małej czternastolatce, która mieszka obok mnie. Lubi się opalać na podwórku, a ja czasem przyglądam się jej z okna sypialni. Ma bikini w barwach amerykańskiej flagi. Wygląda bombowo. Myślę o niej tak jak o Merrin. Oczywiście nigdy tego nie zrobię. Za duże ryzyko. Jesteśmy sąsiadami, byłbym pierwszym podejrzanym. Nie sraj we własne gniazdo. Chyba... chyba żeby miało mi to ujsć na sucho. Jak sądzisz, Ig? Myślisz, że powinienem to zrobić?

Pomiędzy czarnymi dźgnięciami bólu pękniętego żebra i narastającego żaru szczęki i ręki do Iga dotarło, że Lee mówi innym tonem — tym marzącym, prywatnym głosem. Rogi

działały. Ig potrząsnął głową i wydał przeczący jęk. Lee wyraźnie się rozczarował.

— Nie? Zły pomysł. Coś ci powiem. Parę dni temu mało brakowało, a przyjechałbym tu z Glenną. Ależ mnie korciło, nie wyobrażasz sobie. Kiedy wyszliśmy razem z knajpy, Glenna ledwie kontaktowała, miałem ją podwieźć do domu i pomyślałem, że może bym ją raczej przywiózł tutaj, wyjechał w te wielkie cyce, a potem rozbił jej głowę i zostawił tutaj. Znowu byłoby na ciebie. Ig Perrish znów zaatakował, zabił kolejną dziewczynę. Ale Glenna uparła się mi zrobić laskę na parking, na oczach trzech lub czterech facetów, no i się nie dało. Za wiele osób widziało nas razem. No, trudno. Innym razem. Z tymi dziewczynami w typie Glenny — z kartoteką na policji i tatużami, dziewczynami, które za dużo piją i palą — jest tak, że często znikają, a pół roku później ich znajomi nawet nie pamiętają, jak miały na imię. A dziś, Ig... dziś wreszcie cię dopadłem.

Pochylił się, wziął Iga za rogi i zawlókł w zarośla. Ig nie miał siły się opierać. Z ust lała mu się krew, prawa ręka pulsowała jak serce.

Lee otworzył przednie drzwi gremlina, wziął Iga pod pachy i wciągnął go do środka. Ig leżał na brzuchu, ze sterczącymi na zewnątrz nogami. Lee stracił równowagę — on także był zmęczony

— i oparł się dla równowagi o plecy Iga, przyklękając na jego tyłku.

— E, Ig, pamiętasz, jak się poznaliśmy? Tutaj, na trasie Evela Knievela? Tylko pomyśl, gdybyś wtedy utonął, mógłbym mieć Merrin, kiedy była jeszcze nieużywana. Może nie wydarzyłoby się nic złego. Chociaż nie wiem. Nawet wtedy była zarozumiałą suką. Musisz o czymś wiedzieć. Przez dwa lata męczyły mnie wyrzuty sumienia. No, może nie dokładnie wyrzuty sumienia. Ale wiesz, czułem się dziwnie. Bo ja naprawdę cię nie uratowałem przed utonięciem. Nie wiem, ile razy ci to powtórzyłem i dlaczego mi nie uwierzyłeś. Sam wypłynąłeś. Nawet cię nie klepnałem w plecy, żebyś odzyskał oddech. Niechcący cię kopnąłem, odskakując od ciebie. Koło ciebie płynął wielki wąż. Nienawidzę węży. Mam jakąś fobię. Kurczę, może ten wąż cię wyciągnął. Na pewno był wystarczająco duży. Jak, kurwa, ogrodowy szlauch. — Ręką w rękawiczce poklepał Iga po głowie. — No, powiedziałem to w końcu. Zrzuciłem to z siebie. Już mi lepiej. Jednak to prawda, co mówią. Zwierzenia dobrze robią duszy.

Wstał, chwycił Iga za kostki i wtłoczył jego nogi do samochodu. Wyczerpany Ig właściwie się cieszył, że tu umrze. W tym gremlinie przeżył najpiękniejsze chwile. Tu kochał się z Merrin, tu odbył z nią wszystkie najmilsze rozmowy, tu trzymał ją za rękę

podczas długich podróży w ciemnościach, bez słowa, po prostu ciesząc się wspólną ciszą. Czuł, że teraz Merrin jest przy nim, że gdyby podniósł głowę, zobaczyłby ją na fotelu pasażera, wyciągającą rękę, by położyć ją delikatnie na jego głowie.

Usłyszał jakieś szuranie, a potem ten niosący się echem, blaszany brzęk i chlupot. W końcu rozpoznał te odgłosy. Taki dźwięk wydaje płyn przelewający się w kanistrze. Zdołał się podeprzeć na łokciach, kiedy poczuł na plecach zimną wilgoć przemaczającą mu koszulę. W samochodzie zrobiło się gęsto od szczypiących w oczy wylotów benzyny.

Przetoczył się na plecy, usiłując usiąść. Powietrze drżało od smrodu. Lee wyjął z kieszeni pudełko. W drodze z odlewni zabrał Zapałki Lucyfera.

— Zawsze chciałem to zrobić — powiedział, zapalił zapałkę i wrzucił ją przez otwarte okno.

Zapałka uderzyła Iga w głowę, zawirowała i upadła. Ig był związany, ale ręce miał przed sobą, więc złapał zapałkę w locie, nie myśląc, odruchowo. Przez jedną chwilę jego dłonie stały się czarą pełną ognia, przelewającego się złocistego światła.

A potem czerwone płomienie zmieniły go w żywą pochodnię. Krzyczał, lecz nie słyszał własnego głosu, bo ogień pochłonął całe wnętrze samochodu, eksplodował z głuchym hukiem. Lee z łuną

ognia na twarzy odskoczył od gremlina. Choć się na to przygotował, nie był gotowy: samochód stał się ryczącą wieżą płomieni.

Ig usiłował otworzyć drzwi, ale Lee podszedł i zamknął je kopniakiem. Plastikowa deska rozdzielcza poczerniała. Sadza zaczęła osiadać na przedniej szybie. Ig widział przez nią nocne niebo i trasę Evela Knievela, a za nią rzekę. Sięgnął na oślep w płomienie, znalazł drążek zmiany biegów i wrzucił na luz. Drugą ręką zwolnił hamulec. Kiedy ją cofnął, do palców przyłgnęły mu ciągnące się nitki topniejącego plastiku.

Za oknem zobaczył Lee bladego i zdumionego w łunie ruchomego piekła. Potem zniknął, a za szybą zaczęły przemykać drzewa. Gremlin pędził po zboczu. Ig nie potrzebował reflektorów, by widzieć teren przed sobą. Samochód roztaczał złoty blask, stał się płonącym rydwanem rzucającym w ciemność czerwoną łunę.

O boki gremlina zgrzytnęły krzaki. Ig nie był na tym stoku od incydentu z wózkiem sklepowym przed ponad dziesięciu laty i nigdy nie jechał tu po ciemku ani w samochodzie, ani płonąc żywcem. Ale i tak poznał drogę po mdlącym wrażeniu w brzuchu. Zbocze stawało się coraz bardziej strome, aż w końcu wydawało się, że gremlin spada w przepaść. Tylne koła uniosły się, a potem

opadły na ziemię z metalicznym zgrzytem. Szyba od strony pasażera pękła z gorąca. Gałęzie iglaków smagnęły karoserię. Ig trzymał kierownicę. Nie wiedział, kiedy ją chwycił. Czuł, że plastik mięknie, rozpływa się jak zegarki Salvadora Dali, więdnie. Przednie lewe koło na coś najechało i kierownica wydarła mu się z ręki, płonący gremlin skręcił, ale on go opanował, wrócił na trasę. Nie mógł oddychać. Wszędzie był ogień.

Samochód spadł na piaszczyste zbocze na dole trasy Evela Knievela i wyprysnął w gwiazdy, nad wodę, płonąca gwiazda. Zostawiał za sobą smugę dymu niczym rakieta. Pęd powietrza rozgarnął płomienie, jakby niewidzialne ręce rozchyliły czerwoną kurtynę. Ig ujrzał zbliżającą się wodę jak drogę wybrukowaną czarnym lśniącym marmurem. Gremlin wpadł w nią z głośnym chlupotem, przednia szyba bryznęła na Iga, a za nią woda.

ROZDZIAŁ 30

Lee Tourneau stał na brzegu i patrzył, jak prąd powoli obraca gremlina, kierując go maską w dół rzeki. Nad wodę wystawał tylko bagażnik. Ogień zgasł, z wnętrza nadal sączył się biały dym. Lee stał z kluczem francuskim w ręku, patrząc, jak samochód przechyla się i zanurza jeszcze bardziej, płynąc z prądem. Nie odwracał wzroku, dopóki jego uwagi nie zwrócił jakiś ruch koło jego stopy. Spojrzał w dół i odskoczył z cichym piskiem. Kopniakiem odrzucił węża w trawę. Gad ześliznął się do rzeki. Lee cofnął się, unosząc z obrzydzeniem górną wargę, bo do wody zsunął się drugi, potem trzeci. Blask księżyca na rzece zadrżał i rozsypał się na srebrne drzazgi. Lee rzucił ostatnie spojrzenie tonącemu samochodowi, odwrócił się i ruszył pod górę.

Już zniknął, kiedy Ig wyszedł z wody i wspiął się na brzeg. Jego ciało dymiło w ciemnościach. Zrobił sześć niepewnych kroków i osunął się na kolana. Rzucając się na plecy w paprocie, usłyszał trzaśnięcie drzwiczek samochodu stojącego na szczycie wzgórza i zaraz warkot silnika. Leżał, odpoczywał.

Jego skóra nie była już jasna jak brzuch ryby. Nabrała ciemnoczerwonej lśniącej barwy egzotycznego drewna. Jeszcze

nigdy nie oddychało mu się tak swobodnie, tak głęboko. Jego płuca rozszerzały się bez wysiłku, jak miechy, napierając na żebra. Niespełna dwadzieścia minut temu słyszał, jak jedno z tych żeber pęka, ale nie czuł bólu. Dopiero później zauważył ledwie widoczne siniaki, które wyglądały, jakby powstały miesiąc temu — tylko one świadczyły, że został pobity. Otworzył i zamknął usta, poruszył zuchwą, ale nie bolała, a kiedy szukał językiem pustych wyrw w dziąsłach, znalazł zęby na miejscu. Poruszył ręką. Działała. Widział zarysy kości, prostych i nienaruszonych. Do tej pory sobie tego nie uświadamiał, ale teraz zrozumiał, że płonąc, nie czuł bólu. Wyszedł z ognia bez szwanku, uzdrowiony. Ciepła noc cuchnęła benzyną, stopionym plastikiem i osmalonym żelazem. Ta woń poruszyła w nim jakąś strunę, tak jak poruszał go zapach Merrin — cytrusy i mięta. Iggy Perrish zamknął oczy i oddychał głęboko, a kiedy znowu podniósł głowę, już świtało.

Jego mocno napięta na mięśniach i kościach skóra robiła wrażenie czystej. Nigdy nie czuł się bardziej czysty. Pomyślał, że tak powinno się czuć po chrzcie. Na brzegach rzeki gęsto rosły dęby, liście kołysały się i trzepotały na tle szlachetnie błękitnego nieba. Na ich krawędziach lśniło złotozielone światło.

*

Merrin zobaczyła domek na drzewie pomiędzy ledwie oświetlonymi liśćmi. Ona i Ig prowadzili rowery po leśnej ścieżce biegnącej od strony miasta, w którym przez cały ranek wraz z innymi ochotnikami malowali kościół. Oboje byli ubrani w luźne koszulki i szorty obryzgane białą farbą. Dość często przemierzali tę ścieżkę pieszo i na rowerach, ale żadne z nich jeszcze nie dostrzegło tego domku na drzewie.

Łatwo było go przeoczyć. Zbudowano go jakieś pięć metrów nad ziemią, w rozłożystej, potężnej koronie jakiegoś nieznanego Igowi drzewa, pod osłoną dziesięciu tysięcy smukłych liści w kolorze najciemniejszej zieleni. Gdy Merrin wskazała go po raz pierwszy, Igowi wydawało się, że niczego tam nie ma. A potem się pojawił. Słoneczne promienie przebiły się przez liście i zaśniły na białych deskach.

Podeszli bliżej. Domek był biały, w szerokich otworach okiennych wisiały tanie nylonowe firanki. Wyglądał, jakby zbudował go jakiś fachowiec, nie niedzielny stolarz, choć nie było w nim nic szczególnie efekciarskiego. Nie prowadziła do niego drabina — zresztą nie była potrzebna. Niskie gałęzie stanowiły szereg szczebli sięgających do zamkniętej kłapy w podłodze. Na jej spodzie namalowano wapnem jedno, prawdopodobnie żartobliwe zdanie: BŁOGOSŁAWIENI WY, KTÓRZY TU WEJDZIECIE.

Ig prychnął cicho, kiedy to przeczytał, ale Merrin się nie zawahała. Położyła rower na miękkich kępach trawy pod drzewem i natychmiast zaczęła się wspinać, przeskakując z gałęzi na gałąź z pewnością siebie sportsmenki. Ig stał z zadartą głową, porażony widokiem jej nagich opalonych ud, gładkich i sprężystych po długim sezonie gry w piłkę. Przy klapie obejrzała się na niego. Z największym trudem przeniósł wzrok z jej nóg na twarz, a wtedy zobaczył jej kpiący uśmiezek. Otworzyła klapę z trzaskiem i wpełzła przez otwór.

Gdy i on zajrzał do domku, Merrin już zdejmowała ubranie. Podłoga była malutka, przykryta zakurzonym dywanem. Mosiężna menora z dziewięcioma na wpół wypalonymi świeczkami górowała na stoliku pośród małych porcelanowych figurek. W kącie stał fotel z pleśniejącą tapicerką w kolorze mchu. Za oknem poruszały się liście, a ich cienie przesuwały się po skórze Merrin, nieustannie ruchliwe. Domek na drzewie skrzypiał cicho, kołyska na gałęzi, jak brzmiał ten stary wierszyk o kołyskach na drzewach? Ig i Merrin na drzewie, całują się... Nie, to nie to. Kołysz się, dziecino, na drzewie, kołysz się. Ig zamknął klapę i postawił na niej krzesło, żeby nikt ich nie zaskoczył. Rozebrał się i przez jakiś czas się kołysali.

Potem spytała:

— O co chodzi z tymi świeczkami i figurkami?

Ig podpełzł do stołu na czworakach. Merrin plasnęła go w tyłek. Roześmiał się i odskoczył.

Ukląkł przy stoliku. Menora stała na kawałku brudnego pergaminu, na którym napisano coś po hebrajsku. Świeczki były prawie wypalone, na mosiężnym lichtarzu utworzyły się koronkowe woskowe stalaktyty i stalagmity. Porcelanowa Maria — całkiem ponętna Żydówka w błękicie — przyklękła nabożnie na jedno kolano przed Aniołem Pańskim, wysokim, żylastym, w szatach ułożonych jak toga. Wyciągała rękę, prawdopodobnie chcąc go ująć za rękę, choć figurka była tak ustawiona, że dotykała złocistego uda anioła, jakby chciała złapać go za fajfusa. Boski posłaniec piorunował ją spojrzeniem pełnym wyniosłej dezaprobaty. Drugi anioł stał nieopodal, odwrócony plecami. Unosił twarz ku niebiosom i żałośnie dął w złotą trąbę.

Wśród figurek jakiś żartowniś ustawił szaroskórego kosmitę o czarnych, wielofasetowych oczach muchy. Umieścił go koło Marii, pochylonego, jakby szeptał jej do ucha. Ta figurka nie była z porcelany, lecz z gumy, pewnie jakiś gadżet związany z filmem. Ig stawiał na „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”.

— Wiesz, co to za język? — spytała Merrin.

Podpełzła obok niego.

— Hebrajski. Z filakterii.

— Dobrze, że biorę pigułki, bo zapomniałeś włożyć swojego filakteria.

— To nie to.

— Przecież wiem.

Odczekał chwilę. Uśmiechał się do siebie.

— No, co to są te filakterie?

— Żydzi noszą je na głowie.

— Aaa... myślałam, że to się nazywa jarmułka.

— Może noszą je na ramieniu. Nie pamiętam.

— Więc co tu jest napisane?

— Nie wiem. To Pismo.

Wskazała anioła z trąbą.

— Wygląda jak twój brat.

— Nieprawda — zaprotestował, chociaż... właściwie rzeczywiście przypominał Terry'ego grającego na trąbce, z tym szerokim, gładkim czołem i arystokratycznymi rysami. Choć Terry prędzej by umarł, niż dał się przyłapać w takich ciuchach. No, może na balu kostiumowym.

— Co to w ogóle jest? — spytała Merrin.

— Świątynia.

— Jaka świątynia? Ołtarzyk E.T.?

— Nie wiem. Może te figurki były dla kogoś ważne. Może kogoś upamiętniają. Ktoś chciał się tu chyba modlić.

— Ja też tak myślę.

— Chcesz się pomodlić? — spytał Ig i zrozumiał, że ta prośba może się jej wydać obraźliwa.

Spojrzała na niego spod przymkniętych powiek i uśmiechnęła się przebiegle, a jego uderzyło po raz pierwszy, że Merrin uważa go za nieszkodliwego świra. Rozejrzała się, zerknęła w okno, za którym furkotały żółte liście, na słońce malujące stare zniszczone ściany, a potem wróciła do niego spojrzeniem i skinęła głową.

— Jasne. To dziesięć razy lepsze niż modlitwa w kościele.

Ig złożył ręce, opuścił głowę i otworzył usta, ale Merrin wpadła mu w słowo.

— Nie zapalisz świec? Nie sądzisz, że trzeba stworzyć atmosferę? Przed chwilą potraktowaliśmy ten pokój jak plan pornola.

W płytkiej szufladzie znaleźli poplamione, zdeformowane pudełko zapalek ze śmiesznymi czarnymi łebkami. Ig zapalił jedną — buchnęła białym, syczącym i skwierczącym płomieniem. Przesuwał nim od knota do knota, zapalając kolejno świece na menorze. Spieszył się, jak mógł, a jednak przy dziewiątej zapałka zgasła mu w palcach. Merrin krzyknęła.

— Chryste, Ig! Nie oparzyłeś się?

— Nie — odpowiedział, trzepocząc palcami. Rzeczywiście, ogień nie zrobił mu krzywdy.

Merrin zamknęła pudełko i chciała je schować, ale zawahała się, wpatrzona w nie.

— Ha — mruknęła.

— Co?

— Nic — rzuciła, zamykając szufladę.

Potem pochyliła głowę, złożyła ręce i znieruchomiała. Ig czuł, że oddech przychodzi mu z coraz większym trudem, gdy tak patrzył na jej białą, napiętą, nagą skórę, gładkie piersi i ciemnorudy gąszcz włosów. Jeszcze nigdy nie czuł się tak nagi, nawet za pierwszym razem, gdy się przed nią rozebrał. Cierpliwie czekając, aż zmówi modlitwę, poczuł słodki, gwałtowny przypływ emocji, miłość niemal zbyt wielką, by mógł ją znieść.

Modlili się razem, nadzy. Ig prosił Boga, żeby pomógł im być dla siebie dobrymi, żeby im pomógł okazywać życzliwość innym.

Właśnie zwracał się do Boga o ochronę przed złem, kiedy poczuł rękę Merrin między udami. Musiał się bardzo skupić, żeby dokończyć modlitwę, zaciskając mocno oczy. Na koniec powiedział „amen”, Merrin odwróciła się do niego i też szepnęła „amen”, pocałowała go i przyciągnęła do siebie. Znowu się kochali, a kiedy

skończyli, zasnęli w swoich objęciach, ona wtulając usta w jego szyję.

Obudziła go, wyplątując się z jego ramion. Ciepło dnia zaczęło się już ulatniać, w domku gęstniały cienie. Merrin skuliła się, zakryła ręką nagie piersi, szukała ubrań.

— Cholera, musimy iść — odezwała się. — Rodzice czekają z kolacją. Będą się o nas martwić.

— Ubierz się, ja zgaszę świece.

Ig pochylił się sennie nad menorą i nagle drgnął. Przeszedł go dziwny, chorobliwy dreszcz.

Nie zauważył jednej figuryнки. Przedstawiała diabła. Stał pod menorą i, podobnie jak domek pod osłoną liści, łatwo dawał się przeoczyć, na wpół ukryty za kaskadą woskowych stalaktytów. Skręcał się ze śmiechu, zaciskał chude czerwone dłonie, odchyłał głowę do tyłu. Wydawało się, że tańczy na małych kozich kopytkach. Jego żółte oczy błyskały białkami w wyrazie szalonej rozkoszy.

Ig poczuł na rękach i plecach zimną gęsią skórę. Powinien uznać, że to kicz, tak jak reszta tej wystawki, a jednak nie, i to mu się nie podobało. Żałował, że zobaczył tę figurkę. Mały tańczący diabeł był okropny, nie powinno się go oglądać, źle, że ktoś go tu zostawił, to nieśmieszne. Nagle pożałował, że się tu

modlił. Wydawało mu się, że w domku zrobiło się zimno. Nie, nie wydawało się; słońce zaszło za chmurę, a w pomieszczeniu zapanował mrok i chłód. Gwałtowny wiatr szarpnął gałęziami.

— Szkoda, że musimy iść — odezwała się Merrin, wkładając szorty. — Powietrze jest cudowne, prawda?

— Tak — przyznał niespodziewanie zachrypniętym głosem.

— No i koniec naszego kawałeczka nieba — dodała Merrin.

W tej samej chwili coś stuknęło w obciążoną krzesłem klapę tak głośno, że oboje krzyknęli. Zdawało się, że od tego uderzenia zatrzęsł się cały domek na drzewie.

— Co to było?! — zawołała Merrin.

— Hej! — wrzasnął Ig. — Kto tam jest?

Kłapa znowu się zatrzęsała, a krzesło podskoczyło lekko, ale nie upadło. Ig spojrział w panice na Merrin. Oboje chwycili ubrania. Ig wbił się w szorty, Merrin zapięła stanik. Znowu rozległ się łomot, jeszcze głośniejszy. Figuryнки na stole drgnęły, Maria się przewróciła, diabeł wyjrzał łakomie z woskowej jaskini.

— Spierdalać! — ryknął Ig z łomoczącym sercem.

Dzieci, pomyślał, cholerne gnoje się bawią. Ale sam w to nie uwierzył. Jeśli to dzieci, dlaczego się nie śmieją? Dlaczego nie zeskoczyły na ziemię i nie uciekły, kwicząc z histerycznego rozradowania?

Był już ubrany, chwycił krzesło, żeby je odsunąć — i nagle zrozumiał, że się boi. Spojrzał na Merrin, która zamarła w trakcie wkładania trampek.

— Zobacz, kto to — szepnęła.

— Nie chcę.

Naprawdę serce w nim mdlało na myśl, że miałby odsunąć krzesło i wpuścić tego kogoś (to coś) do środka.

Najgorsza była ta nagła cisza. Ten ktoś, kto rzucał się na klapę, czekał, żeby otworzyli z własnej woli.

Merrin włożyła buty i skinęła głową.

— Słuchajcie! — krzyknął Ig. — Już się zabawiliście! Strasznie się boimy.

— Nie mów mu tego — szepnęła Merrin.

— A teraz wychodzimy.

— Chryste — syknęła Merrin. — Tego też nie!

Ig czuł narastający strach. Nie chciał otworzyć tych drzwi w podłodze, ogarnęło go irracjonalne przekonanie, że jeśli to zrobi, wpuści coś, co wyrządzi im nieodwracalną krzywdę. Ale przecież musieli wyjść. Odepchnął krzesło, zauważył napis na wewnętrznej stronie klapy, białe duże litery, lecz nie tracił czasu na czytanie, tylko podniósł klapę. Zeskoczył, nie dając sobie czasu do namysłu, przytrzymał się krawędzi podłogi, wierzgnął nogami w nadziei, że

trafi tego kogoś, kto stoi na gałęzi, a jeśli ten ktoś skręci sobie kark, to dobrze mu tak. Założył, że Merrin zostanie w domku, jego obowiązkiem jest ją chronić, ale ona już się wychyliła na zewnątrz i pierwsza stanęła na gałęzi.

Serce łomotało mu tak szybko, że cały świat zdawał się drgać i tętnić. Stanął na gałęzi obok Merrin, nadal przytrzymując się podłogi domku. Powiódł wzrokiem po ziemi pod drzewem. Dyszał; Merrin także ciężko oddychała. W okolicy nie było nikogo. Ig nasłuchiwał tupotu, kroków, szelestu krzaków, ale tylko liście szemrały na wietrze i gałęzie chrobotowały o ściany domku.

Zszedł na dół i zaczął obchodzić drzewo, zakreślając coraz szersze kręgi. Wypatrywał śladów w zaroślach i na ścieżce. Nic nie znalazł. Wrócił pod drzewo. Merrin nadal siedziała na gałęzi pod domkiem.

— Nikogo — powiedziała. To nie było pytanie.

— No. Pewnie to wielki zły wilk.

Uwazał, że należy rozładować sytuację żartem, ale nadal czuł się nieswojo.

Jeśli ona była zdenerwowana, to tego nie okazała. Rzuciła ostatnie czułe spojrzenie na domek i zamknęła klapę. Zeskoczyła na ziemię. Podnieśli rowery i ruszyli do miasta, z każdym krokiem oddalając się od tej złej chwili autentycznego

przerażenia. Ścieżka płaWiła się jeszcze w ostatnich dobrotliwych promieniach słońca, a Ig znowu poczuł to przyjemne, syte postosunkowe mrowienie. Dobrze było iść blisko Merrin, niemal dotykając jej biodrem, kiedy słoneczne promienie grzały ramiona.

— Musimy tu jutro wrócić — odezwała się Merrin, a Ig niemal w tej samej chwili powiedział:

— Moglibyśmy go ładnie urządzić, wiesz?

Parsknęli śmiechem.

— Przyniesiemy materac — dodał Ig.

— Hamak. W takich domkach wiesz się hamaki. Przez jakiś czas szli w milczeniu.

— Może skombinujemy jakieś widły — powiedziała.

Ig potknął się, jakby nie tylko wspomniała o widłach, ale go nimi dźgnęła.

— Dlaczego widły?

— Żeby wystraszyć tamto coś. Na wypadek gdyby wróciło i chciało się do nas dostać, kiedy będziemy nadzy.

— Dobrze — zgodził się Ig, już czując suchość w ustach na myśl o tym, że znowu będzie ją miał na tej podłodze, w chłodnych podmuchach wiatru. — Zawsze to jakiś plan.

Dwie godziny później wrócił do lasu, biegł ścieżką przez zarośla. Przy kolacji przypomniał sobie, że nie zdmuchnęli

świeczek na menorze, i od tego czasu nie mógł usiedzieć w miejscu. Wyobrażał sobie płonące drzewo, liście w ogniu, unoszące się w korony okolicznych dębów. Biegł, truchlejąc na myśl, że lada chwila poczuje dym.

Ale czuł tylko wonie wczesnego lata: spieczoną słońcem trawę, odległy chłodny, czysty podmuch od rzeki Knowles. Wydawało mu się, że dokładnie wie, gdzie znajduje się domek, i kiedy dotarł w pobliże, zwolnił. Rozglądał się wśród drzew, wypatrując migotania płomyków, lecz widział tylko aksamitną czerwcową ciemność. Usiłował znaleźć to drzewo, to ogromne drzewo nieznanego mu gatunku o łuskowatej korze, ale po ciemku trudno było odróżnić jedno od drugiego, a ścieżka nie wyglądała tak jak za dnia. W końcu zrozumiał, że zaszedł za daleko — o wiele za daleko — i zawrócił do domu, ciężko zdyszany, ospałym krokiem. Przemierzył ścieżkę w obie strony dwa, trzy razy, ale nie dostrzegął ani śladu domku. W końcu uznał, że wiatr zgasił świece albo że się wypaliły. Zresztą trochę przesadził, podejrzewając, że spowoduje pożar lasu. Świeczki znajdowały się w ciężkiej mosiężnej menorze i jeśli się nie przewróciła, nie mogłyby niczego podpalić. Znajdzie ten domek innym razem.

Ale nie znalazł, ani z Merrin, ani sam. Szukał go kilkanaście razy, chodził główną ścieżką i wszystkimi jej odnogami, bo może

przypadkiem z niej zeszedli. Szukał go cierpliwie, metodycznie. Nie znalazł. Równie dobrze mogli sobie go wyobrazić i rzeczywiście, z czasem Merrin doszła do takiego wniosku: hipoteza absurdalna, ale dogodna dla obojga. Domek istniał tu przez godzinę, kiedy go potrzebowali, kiedy chcieli mieć własne miejsce na miłość, a potem zniknął.

— Potrzebowaliśmy go? — spytał Iga.

— No, ja na pewno. Byłam piekielnie napalona.

— Potrzebowaliśmy go, więc się pojawił. Zmyślony domek na drzewie. Świątynia Iga i Merrin. — Choć ta myśl wydawała się fantastyczna i absurdalna, przejęła go dreszczem przesądnego szczęścia.

— Nic innego nie przychodzi mi do głowy — powiedziała Merrin. — To jak w Biblii. Nie zawsze dostaniesz to, czego chcesz, ale jeśli naprawdę czegoś potrzebujesz, na ogół to znajdujesz.

— Z której części Biblii to wzięłaś? Z Ewangelii Keitha Richardsa?

NAPRAWIANIE

ROZDZIAŁ 31

Zwłoki matki leżały w pokoju obok, a Lee Tourneau był trochę pijany.

Dochodziła dopiero pierwsza po południu, ale w domu panował już żar jak w piekarniku. Zapach róż, które matka posadziła przy ścieżce prowadzącej do domu, wpadał przez otwarte okna. Lekka kwietna słodycz mieszała się w dość okropny sposób z odorem rozkładu, tak że w domu cuchnęło ni mniej, ni więcej, tylko perfumowanym gównem. Lee uważał, że jest za gorąco na zalewanie pyska, ale nie mógłby znieść tego smrodu na trzeźwo.

W domu była klimatyzacja, lecz wyłączona. Nie włączał jej od wielu tygodni, bo wilgoć w powietrzu utrudniała matce oddychanie. Kiedy w domu nie było nikogo oprócz nich, Lee wyłączał klimatyzację i przykrywał starą pindę jeszcze paroma kocami. Potem odcinał jej morfinę, żeby na pewno wszystko do niej dotarło: ten ciężar i gorąco. On je czuł, i to jak! Późnym popołudniem snuł się po domu nagi, zlany lepkiem potem, bo tylko tak mógł to wytrzymać. Siadał po turecku u jej łóżka, czytając o teorii mediów, a matka poruszała się niemrawo pod kocami, zbyt nieprzytomna, żeby wiedzieć, dlaczego jej stare truchło gotuje się

żywcem. Kiedy krzyczała o coś do picia — „pić” było chyba jedynym słowem, którego nie zapomniała w tych ostatnich dniach degrengolady i choroby nerek — Lee wstawał i przynosił zimną wodę. Na dzwonienie lodu w szklance jej krtań zaczynała się poruszać w nadziei na ugaszenie pragnienia, oczy błyskały białkami w gorączkowym podnieceniu. A on stawał nad łóżkiem i sam wypijał wodę, patrząc na matkę, która gasła, zagubiona i przybita. Ten żart nigdy się nie starzał. Za każdym razem matka nabierała się jak po raz pierwszy.

Czasami dawał jej osoloną wodę i zmuszał ją do wypicia, niemal ją przy tym topiąc. Wystarczył jeden haust, by matka wiła się i krztusiła, usiłowała pluć. Swoją drogą zadziwiające, jak długo żyła. Stawiał, że nie dociągnie do drugiego tygodnia czerwca; tymczasem wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu trzymała się życia aż do lipca.

Ubranie przechowywał na półce koło pokoju gościnnego, by móc się szybko ubrać, gdyby Ig lub Merrin złożyli mu niespodziewaną wizytę. Nie pozwalał im wejść i jej zobaczyć, mówił, że właśnie zasnęła, musi odpocząć. Nie chciał, żeby się dowiedzieli, jak gorąco jest w domu.

Ig i Merrin przynosili mu filmy, książki, pizzę, piwo. Przychodzili razem albo osobno, chcieli mu towarzyszyć, chcieli

wiedzieć, jak się trzyma. Lee sądził, że w przypadku Iga chodzi o zazdrość. Ig wolałby, żeby jego rodzice byli niedołączni i zależni od niego. Wtedy miałyby okazję pochwalić się swoim poświęceniem, swoją stoicką szlachetnością. W przypadku Merrin pewnie chodziło o pretekst, by znaleźć się sam na sam z nim w rozprazonym domu, pić martini i rozpiąć górne guziki bluzki, wachlować odsłonięty dekolt. Kiedy przed drzwiami stała Merrin, Lee na ogół otwierał jej bez koszuli. Kręciła go ta częściowa nagość, gdy byli sami. No, w domu była też matka, ale już się nie liczyła.

Polecono mu zadzwonić do lekarza, jeśli matce się pogorszy. Według niego agonia dla matki oznaczała zmianę na lepsze. Dlatego najpierw zadzwonił do Merrin. Był wtedy nagi i to sprawiło mu przyjemność — stał w kuchni bez ubrania i słuchał pocieszeń. Merrin powiedziała, że tylko się ubierze i zaraz przyjedzie, a Lee natychmiast wyobraził ją sobie nagą, w sypialni domu jej rodziców. No, ewentualnie w małych jedwabnych majtaskach. W dziewczynskich gaciach w różowe kwiatuszki. Spytała, czy czegoś mu potrzeba. Odpowiedział, że tylko przyjaciela.

Odłożył słuchawkę i zrobił sobie kolejnego drinka, rum z colą. Wyobraził sobie, że Merrin wybiera spódniczkę, obraca się przed

lustrem na drzwiach szafy, podziwiając swoje odbicie. Potem musiał przestać o tym myśleć, bo trochę za bardzo się podniecił. Przyszło mu do głowy, że sam też powinien się ubrać. Odbył z samym sobą naradę co do koszuli i w końcu uznał, że tego ranka nie wypada chodzić z gołą klatką. Wczorajsza zaplamiona biała koszula i dzinsy leżały w koszu z brudnymi ubraniami. Zastanowił się, czy iść na górę po coś czystego, a potem zadał sobie pytanie, co by zrobił Ig, i uznał, że chodziłby w brudnych ciuchach. Wymięte, nieświeże ubranie dopełniało obrazu rozpaczki. Lee od niemal dziesięciu lat trzymał się zasady „Co by zrobił Ig”, dzięki czemu odnosił sukcesy, nie miał kłopotów i był bezpieczny, bezpieczny przed sobą samym.

Uznał, że Merrin zjawi się za parę minut. Pora podzwonić. Zatelefonował do lekarza i powiedział, że matka odeszła. Zadzwoił do ojca na Florydę. I do biura kongresmena, który rozmawiał z nim osobiście przez całą minutę. Kongresmen spytał, czy Lee chce się z nim pomodlić, po cichu, przez telefon. Lee się zgodził. Powiedział, że chce podziękować Bogu za danie mu tych trzech ostatnich miesięcy przy matce. Naprawdę były bezcenne. Obaj przez chwilę milczeli, każdy po swojej stronie linii. W końcu kongresmen odchrząknął z pewnym wzruszeniem i powiedział, że jest myślami z Lee. Lee podziękował i się pożegnał.

Na koniec zadzwonił do Iga. Spodziewał się, że przyjaciel się rozpłacze, ale on po raz kolejny sprawił mu niespodziankę i zachował się spokojnie, z cichą czułością. Lee przez pięć lat studiował, skończył kursy z psychologii, socjologii, teologii, nauk politycznych i medioznawstwa, ale jego prawdziwą specjalizacją było igoznawstwo. Mimo lat pilnego zgłębiania tematu nie zawsze potrafił przewidzieć reakcje Iga.

— Nie wiem, skąd miała siłę, żeby tak długo wytrzymać — powiedział Lee.

A Ig odparł:

— Ty jej jadałeś.

Niewiele rzeczy śmieszyło Lee Tourneau, ale słysząc to, parsknął śmiechem, który szybko pokrył gwałtownym szlochem. Już dawno się przekonał, że potrafi płakać na zawołanie, a ktoś, kto płacze, może skierować rozmowę w dowolnie pożądanym kierunku.

— Dziękuję — powiedział. Kolejna rzecz, której nauczył się od Iga. Nic nie poprawia humoru lepiej niż przyjmowanie podziękowań, ciągłych i niepotrzebnych. Ochryplym, zdławionym głosem dodał: — Muszę kończyć.

Idealne słowa, w sam raz na tę chwilę, ale także prawdziwe, bo właśnie zobaczył Merrin zbliżającą się do jego domu w

samochodzie ojca. Ig obiecał, że wkrótce przyjdzie.

Lee przez okno obserwował Merrin idącą do drzwi i poprawiającą bluzkę. Wyglądała elegancko w lnianej niebieskiej spódnicy i białej koszulce, rozpiętej pod szyją i ukazującej złoty krzyżyk. Gołe nogi, granatowe pantofle bez pięt. Uważnie wybrała strój, zastanowiła się, jak chce być widziana. Dopił rum z colą. Otworzył drzwi w chwili, gdy Merrin uniosła rękę, żeby zapukać. Oczy nadal go piekły i łzawiły po rozmowie z Igiem. Zastanowił się, czy powinien wydusić parę łez, żeby pociekły po policzkach, ale zdecydował, że lepiej nie. Powinien wyglądać, jakby walczył z rozpaczą.

— Cześć, Lee — powiedziała. Ona też wyglądała, jakby powstrzymywała łzy. Położyła mu rękę na policzku, a potem przygarnęła go do siebie.

Uścisk trwał krótko, ale Lee przez chwilę zanurzył nos w jej włosach i poczuł jej drobne dłonie na piersi. Jej włosy miały wyraźny, niemal ostry zapach cytrusów i mięty. Pomyślał, że to najbardziej fascynujący aromat, jaki kiedykolwiek czuł, nawet lepszy niż zapach mokrej cipki. Miał mnóstwo dziewczyn, znał ich zapachy i smaki, lecz Merrin była inna. Czasami wydawało mu się, że gdyby tak nie pachniała, mógłby przestać o niej myśleć z udręką.

— Kto jest z tobą? — spytała, wchodząc do domu, nadal obejmując go w pasie.

— Jesteś pierwsza... — zaczął Lee. Omal nie powiedział „pierwsza, do której zadzwoniłem”, ale zrozumiał, że nie powinien, to by było zbyt... jakie? Niezwykłe. Nie w porę. Dlatego skończył: — ...na mecie. Zadzwoniłem do Iga, a potem do ciebie. Nie myślałem przytomnie. Powinienem najpierw zawiadomić ojca.

— Rozmawiałeś z nim?

— Dopiero parę minut temu.

— No, to w porządku. Chcesz usiąść? Chcesz, żebym kogoś powiadomiła?

Prowadził ją do gościnnego pokoju, w którym leżała jego matka. Nie pytał, czy Merrin chce tam pójść, po prostu szedł, a ona mu towarzyszyła, obejmując go w pasie. Chciał jej pokazać matkę, chciał zobaczyć jej minę.

Stanęli w otwartych drzwiach. Lee postawił wentylator na parapecie i włączył go na pełne obroty, ledwie się upewnił, że matka naprawdę nie żyje, ale w pokoju i tak ciągle zalegał suchy, gorączkowy żar. Matka tuliła do piersi wynędzniałe ręce, jej chude palce zakrzywiły się w szpony, jakby chciała coś odepchnąć. Tak było — koło wpół do dziesiątej zrobiła ostatni wysiłek, by odsunąć koce, ale była zbyt słaba. Te koce były teraz złożone i uprzątnięte.

Ciało przykrywało wykrochmalone niebieskie prześcieradło. Po śmierci matka stała się podobna do ptaka, wyglądała jak martwe pisklę wyrzucone z gniazda. Głowa się jej odchyliła, usta otworzyły tak szeroko, że widać było plomby.

— O, Lee — szepnęła Merrin i ścisnęła jego dłoń. Zaczęła płakać. Lee zastanowił się, czy on też nie powinien.

— Chciałem jej zasłonić twarz — powiedział. — Ale to się jakoś nie godziło. Tak długo walczyła.

— Wiem.

— Nie podoba mi się, że ciągle patrzy. Zamkniesz jej oczy?

— Dobrze. Idź odpocząć, Lee.

— Napijesz się ze mną?

— Jasne. Zaraz przyjdę.

Poszedł do kuchni, zrobił jej mocnego drinka, a potem stanął przed szafką, patrząc na swoje odbicie i zmuszając się siłą woli do płaczu. Sprawilo mu to trochę więcej kłopotu niż zwykle. Szczerze mówiąc, był lekko podniecony. Gdy Merrin weszła do kuchni, łzy dopiero zaczynały się mu toczyć po twarzy. Pochylił się i gwałtownie odetchnął — zabrzmiało to całkiem jak szloch. Wyduszanie tych łez było trudne i bolesne, jak wyciskanie drzazgi. Merrin podeszła do niego. Ona także płakała. Poznał to po jej cichym, przyspieszonym oddechu. Położyła mu rękę na

ramieniu. Sama go do siebie odwróciła, a wówczas zachłysnął się i z jego gardła wreszcie wyrwał się ochryply, gniewny szloch.

Merrin położyła ręce na jego głowie, przytuliła go i szepnęła:

— Bardzo cię kochała. Codziennie jej towarzyszyłeś, a dla niej tylko to się liczyło. — I tak dalej, standardowe teksty. Lee nawet nie słuchał.

Był od niej sporo wyższy, więc żeby go przytulić, pochyliła jego głowę. Wcisnął twarz między jej piersi i zamknął oczy, wdychając ten niemal ostry miętowy zapach. Ujął rąbek jej bluzki i pociągnął, żeby powiększyć dekolt — zobaczył usiane piegami piersi i miseczki stanika. Drugą rękę położył na jej talii i zaczął lekko gładzić jej biodro. Nie kazała mu przestać. Płakał jej w dekolt, a ona szeptała i kołysała się z nim. Pocałował górną część jej lewej piersi. Zaciekawiał się, czy to zauważyła — twarz miał tak mokrą, że mogła się nie zorientować — i chciał podnieść głowę, żeby zobaczyć jej minę, sprawdzić, czy się jej podobało, ale przytrzymała jego głowę na swoim biuście.

— Nie powstrzymuj się — szepnęła cicho, z podnieceniem. — Nie powstrzymuj się. W porządku. Nie ma tu nikogo oprócz nas. Nikt nie zobaczy. — Nie pozwalała mu oderwać ust od piersi.

Poczuł, że mu staje, i nagle uświadomił sobie, że wsunął lewą nogę między jej uda. Zastanowił się, czy to ją podnieca — zwłoki

tuż obok. W psychologii istnieje teoria stwierdzająca, że bliskość trupa może działać jak afrodyzjak. Zmarły to jakby przepustka z więzienia, pozwolenie na szaleństwo. Kiedy już ją zerznie, Merrin złagodzi swoje wyrzuty sumienia — lub też rzekome wyrzuty sumienia. Lee nie wierzył w sumienie, tylko w przedstawianie sytuacji tak, żeby zadowolić normy społeczne. Będzie sobie wmawiała, że oszaleli z rozpaczy, że poniosło ich desperackie pragnienie. Znowu pocałował jej pierś, i jeszcze raz, a ona nie starała się odsunąć.

— Kocham cię, Merrin — szepnął, bo tak trzeba w takiej sytuacji. To wszystko ułatwiało. Jemu i jej. Powiedział to, trzymając rękę na jej biodrze, i przechylił ją tak, że pupą oparła się o kuchenny blat. Zmiał w rękę jej spódniczkę, podkasał ją do połowy uda, rozchylił jej nogi kolanem i już poczuł żar jej krocza.

— Ja też cię kocham — powiedziała, ale jakoś obojętnie. — Oboje cię kochamy, Ig i ja.

Dziwne, że wciągnęła w to Iga. Odjęła ręce od jego głowy i położyła je lekko na jego biodrach. Zaciekawiał się, czy szuka jego paska. Sięgnął do jej bluzki, chciał ją rozpiąć — a jeśli przy tym urwie parę guzików, to trudno — ale ręka zaplątała mu się w złoty łańcuszek, a jednocześnie wstrząsnął nim zupełnie

niezaplanowany konwulsyjny szloch. Mimowolnie szarpnął, krzyżyk z cichym metalicznym brzękiem zsunął się w jej dekolt.

— Lee, łańcuszek! — Odepchnęła go.

Krzyżyk upadł cicho na podłogę. Lee pochylił się, podniósł go. Złoto zalśniło w słońcu i oświetliło twarz Merrin miodową poświatą.

— Mogę go naprawić — zaproponował.

— Jak ostatnim razem, prawda? — powiedziała z uśmiechem. Twarz miała zaróżowioną, oczy szkliste. Zaczęła poprawiać bluzkę. Jeden guzik się rozpiął, a odsłonięta część piersi była mokra. Potem Merrin zamknęła krzyżyk w jego dłoni. — Naprawisz łańcuszek i oddasz, kiedy będziesz gotowy. Tym razem nawet nie musisz robić z Iga posłańca.

Lee drgnął mimo woli, przez chwilę niepewny, czy Merrin mogła mieć na myśli to, co mu się wydawało. Ale tak, oczywiście, dokładnie wiedziała, jak to zrozumiał. Jej słowa często miały podwójne znaczenie, jedno do wiadomości publicznej, drugie tylko dla niego. Od lat wysyłała mu sygnały.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

— Długo chodzisz w tych ciuchach?

— Nie wiem. Dwa dni.

— Aha. Masz się rozebrać i iść pod prysznic.

Spojrzał na drzwi wejściowe. Nie miał czasu się umyć. Poczul, że serce mu się ściska; na udzie ciążył mu gorący fiut.

— Ludzie przyjdą — powiedział.

— Ale na razie nikogo nie ma. Idź. Przyniosę ci drinka.

Ruszyli korytarzem. Lee miał wzwód jak nigdy w życiu, dziękował losowi, że slipy to maskują. Myślał, że Merrin pójdzie za nim do łazienki i rozepnie mu spodnie, ale ona delikatnie zamknęła za nim drzwi.

Rozebrał się, wszedł pod prysznic i zaczął na nią czekać. Smagały go strumienie gorącej wody, otaczały kłęby pary. Krew tętniła mu w żyłach szybko i mocno, absurdalnie stojący penis kołysał się w deszczu kropel. Kiedy Merrin wsunęła za zasłonę rękę z drinkiem, kolejnym rumem z colą, sądził, że zaraz wejdzie i ona, w ubraniu, ale ledwie ujął szklanekę, cofnęła dłoń.

— Ig tu jest — powiedziała cicho i z żalem.

— Pobiłem rekord — odezwał się stojący gdzieś niedaleko Ig.
— Jak się czujesz, stary?

— Cześć — rzucił Lee. Głos Iga wstrząsnął nim jak nagły brak gorącej wody. — Dobrze. Zważywszy na okoliczności. Dziękuję, że przyszedłeś. — To „dziękuję” tym razem nie zabrzmiało właściwie, ale uznał, że Ig przypisze ten dziwny ton emocjonalnemu napięciu.

— Przyniosę ci jakieś ubranie — powiedziała Merrin i oboje odeszli. Usłyszał szcęk zamykających się drzwi.

Stał w gorącym deszczu, trochę wściekły, że Ig tak szybko się uwinął, zastanawiając się, czy coś poznał — nie — czy miał pojęcie, że... — nie, nie. Ig przybył jak na skrzydłach, bo potrzebował go przyjaciel. Cały on.

Lee nie wiedział, jak długo stoi pod prysznicem, aż wreszcie poczuł, że boli go prawa ręka. Tak mocno zaciskał łańcuszek w dłoni, że krzyżyk wrzynał mu się w skórę. Merrin spojrzała mu w oczy, miała rozpiętą bluzkę i podała mu krzyżyk. Równie dobrze mogłaby mu ofiarować się sama — kiedy rozchyłał jej nogi udem. Pewnych rzeczy nie ośmieliła się powiedzieć wprost, ale zrozumiał sygnał, który mu wysyłała, doskonale zrozumiał. Okręcił łańcuszek na główce prysznica. Krzyżyk się kołysał, połyskując w świetle późnego poranka, sygnalizował, że teren czysty. Wkrótce Ig poleci do Anglii i nie będzie powodu się ukrywać, nic ich nie powstrzyma przed zrobieniem tego, czego pragnęli oboje.

ROZDZIAŁ 32

Po śmierci jego matki Merrin częściej dzwoniła i pisała e-maile pod pozorem sprawdzania, co u niego. A może naprawdę w to wierzyła — Lee nie wykluczał, że ludzie często się łudzą co do swoich prawdziwych pobudek. Merrin przejęła wiele moralnych zasad Iggy'ego. Lee uważał, że była gotowa posunąć się tylko do pewnych granic, że ograniczy się do aluzji, a on musi przejąć inicjatywę. Nie wystarczy wyjazd Iga do Anglii. Merrin ustanowiła dla siebie zasady, które wyznawali ludzie z wyższych sfer. Chciała zostać przekonana, że jeśli się z kimś puści, zrobi to dla dobra Iga. Lee to rozumiał. Lee był gotowy jej w tym pomóc.

Zostawiała mu wiadomości w domu i biurze kongresmena. Pytała, czy żyje, jak żyje, czy się z kimś spotyka. Powiedziała, że trzeba mu kobiety, trzeba mu seksu. Powiedziała, że o nim myśli. Nie trzeba było geniusza, by się zorientować, do czego zmierzała. Wydawało mu się, że często dzwoniła do niego po paru drinkach, słyszał w jej głosie seksowną ospałość.

Potem Ig pojechał do Nowego Jorku na szkolenie w Amnesty International, a parę dni później Merrin zaczęła prześladować Lee zaproszeniami na spotkanie. Jej współlokatorka się

wyprowadziła, Merrin miała zająć jej dwa razy większy pokój. W Gideon zostawiła komodę, którą chciała przewieźć, i zapytała Lee w e-mailu, czy mógłby w tym pomóc, kiedy następnym razem odwiedzi Boston. Dodała, że jej bielizna z Victoria's Secret jest w dolnej szufladzie, żeby zaoszczędzić mu szukania. I że może ją przymierzyć, ale pod warunkiem że zrobi sobie w niej zdjęcia i jej przyśle. Potem wysłała esemesa, że jeśli przywiezie jej komodę, ona umówi go z dziewczyną, blondynką, tak samo zimną jak on. I że seks z nią będzie świetny, jak brandzlowanie się przed lustrem, tylko lepsze, bo odbicie ma cycki. Przypomniała mu, że po wyjeździe koleżanki w jej mieszkaniu jest wolny pokój. W ten sposób przypominała mu, że jest sama.

Nauczył się niemal bezbłędnie odczytywać jej zaszyfrowane wiadomości. Mówiąc o tej innej dziewczynie, miała na myśli siebie, to, co ich czeka. Ale jednak nie zdecydował się przywieźć jej komody, nie był pewien, czy chce się z nią spotykać pod nieobecność Iga, choćby nawet dzieliły ich od niego setki kilometrów. Mogliby się nie opanować. Wszystko stanie się łatwiejsze, gdy Ig wyjedzie na dobre.

Lee zawsze zakładał, że to Ig rzuci Merrin. Nie przyszło mu do głowy, że ona zechce zerwać, że się znudzi, a wyjazd Iga da jej pretekst do czystego przecięcia tej sytuacji. Ig miał pieniądze,

nazwisko, ustosunkowaną rodzinę, więc wydawało się sensowne, że będzie przebierać w dziewczynach. Lee zakładał, że Ig rzuci Merrin po liceum i to załatwi sprawę — on doczeka się swojej kolejki. Merrin szła na Harvard, Ig jechał do Dartmouth. Co z oczu, to z serca, myślał Lee, ale Ig myślał inaczej, co weekend przyjeżdżał do Bostonu pieprzyć się z nią, jak pies oznaczający swoje terytorium.

A Lee nie mógł się pozbyć wrażenia, że Ig podświadomie trzymał się Merrin z powodu perwersyjnego pragnienia, by jego nie dopuszczać do niej. Podobało mu się traktować Lee jak swojego pomocnika — reformacja Lee Tourneau stała się w liceum jego hobby — ale dawał mu do zrozumienia, że ich przyjaźń ma granice. Nie chciał, żeby Lee zapominał, kto zdobył Merrin. Tak jakby Lee nie przypominał sobie o tym za każdym razem, gdy przymykał prawe oko i świat stawał się mroczną krainą cieni, w której w ciemnościach przemykały duchy, a słońce było zimnym, dalekim księżycem.

Lee nawet szanował Iga za to, w jaki sposób odebrał mu Merrin, kiedy jeszcze obaj mieli u niej równe szanse. Ig zwyczajnie pragnął tej rudej cipki bardziej niż Lee i pod presją stał się kimś innym, podstępny i chytrym. Nikt by nie pomyślał, że ten astmatyk z brzydkimi włosami i głową pełną faktów z Biblii

może być bezwzględny i przebiegły. Lee towarzyszył mu przez niemal dziesięć lat, dawał się mu prowadzić. Uważał to za swoiste lekcje — lekcje, jak się wydawać bezbronnym, nieszkodliwym. Nauczył się, że w obliczu wszelkich etycznych rozterek warto zadać sobie pytanie: co by zrobił Iga? Oczywiście by przeprosił, upokorzył się, a potem poświęciłby się jakiemuś bzdurnemu dobremu uczynkowi. Lee nauczył się od Iga przyznawać się do winy, nawet jeśli nie zrobił nic złego, prosić o wybaczenie, którego nie potrzebował, i udawać, że nie chce tego, co daje mu los.

Kiedy miał szesnaście lat, Merrin przez krótką chwilę należała do niego — miał do niej prawo. Przez parę dni nosił na szyi jej krzyżyk, a kiedy czasem przyciskał go do ust, wyobrażał sobie, że całuje go, gdy ona nosi go na szyi — ten krzyżyk i nic oprócz niego. Ale potem wypuścił z ręki jej krzyżyk i swoją szansę, bo choć bardzo chciał tę dziewczynę zobaczyć naga, to jeszcze bardziej pragnął coś zniszczyć, chciał usłyszeć wybuch tak głośny, żeby go ogłuszyło, chciał zobaczyć samochód stojący w płomieniach. Może cadillac matki — z nią w środku. Na tę myśl serce mu biło szybciej. Fantazje o Merrin nawet się do tego nie umywały. Dlatego zrezygnował z niej, oddał ją. Zawarł tę głupią umowę z Igiem. Właściwie umowę z diabłem. Ceną była nie tylko dziewczyna — także oko. Lee czuł, że to ma jakieś znaczenie. Raz

uczynił cud, dotknął nieba i złapał księżyc, który już miał spaść, i od tej pory Bóg wskazywał mu, co powinien naprawić. Koty, krzyżyki, kampanie polityczne i zniedołężniałe staruszki. To, co Lee naprawiał, stawało się jego własnością. Mógł z tym zrobić, co chciał, i tylko raz to, co dał mu Bóg, zostało mu odebrane, a on stracił oko, by nigdy więcej do tego nie dopuścić. Teraz ten krzyżyk znowu należał do niego jako dowód — gdyby go potrzebował — że kieruje nim jakaś siła, że on i Merrin spotkali się w jakimś wyższym celu. Czul, że jego przeznaczeniem było naprawić ten krzyżyk, a następnie jej życie, może zwyczajnie poprzez uwolnienie jej od Iga.

Przez całe lato trzymał się z daleka od Merrin, ale potem Ig sam mu ułatwił spotkanie z nią, wysyłając e-mail z Nowego Jorku:

Merrin chce sprowadzić komodę, ale nie ma samochodu, a jej tata musi pracować. Obiecałem jej, że cię poproszę o pomoc, a ona na to, że nie jesteś jej przydupasem, no ale obaj wiemy, że jesteś, więc przywieź ten mebel, jak następnym razem kongresmen wyśle cię do Bostonu. Poza tym Merrin skombinowała ci wolną blondynę. Wyobraź sobie, jakie dzieci urodzi ci ta kobieta, małych wikingów z oczami jak Ocean Arktyczny. Jedź do Merrin, ale już! Nie możesz nie

posłuchać jej wezwania. Niech ci postawi dobrą kolację. Teraz, kiedy wyjeżdżam, musisz być gotów na spełnianie jej wszystkich najskrytszych pragnień.

Trzymasz się jakoś?

Ig

Lee bardzo długo nie rozumiał tego ostatniego zdania. Zastanawiał się nad nim cały ranek, a potem przypomniał sobie, że matka nie żyje, nie żyje już od dwóch tygodni. Bardziej zainteresowało go to zdanie o spełnianiu najskrytszych pragnień Merrin, co też stanowiło jakiś sygnał. Tej nocy męczyły go gorące sny. Śniła mu się Merrin, naga w jego łóżku, on przygniatał jej ręce i wtlaczał do ust plastikowy czerwony lejek, w który wlewał benzynę. Merrin wiła się z rozkoszy. Zapalił zapałkę, trzymając pudełko w zębach, i rzucił ją w lejek. Rozległo się „szszu!”, z lejka buchnął wir czerwonych płomieni, a zaskoczone oczy Merrin zajęły się ogniem. Kiedy Lee się obudził, prześcieradło było mokre. Jeszcze nigdy nie miał mokrego snu o takiej mocy, nawet jako nastolatek.

Dwa dni później był piątek, a on pojechał do domu Merrin po komodę. Musiał zrobić na nią miejsce w bagażniku, więc wyjął z niego ciężką, zardzewiałą skrzynkę z narzędziami i przeniósł na tył samochodu, ale nawet wtedy trzeba było pożyczyć rzemienie od ojca Merrin, żeby zamknąć klapę i unieruchomić mebel. W

połowie drogi do Bostonu Lee zatrzymał się w zatoczce przy autostradzie i wysłał Merrin esemesa:

Jade dzis do Bostonu z tym ciężkim gownem w bagażniku, lepiej badz w domu. Czy moja zimna blondyna jest w okolicy? Moze sie z nia spotkam.

Czekał bardzo długo, zanim odpowiedziała:

Oz cholera Lee jesteś super ale trzeba było uprzedzić blondyna w pracy musisz sie zadowolić mna.

ROZDZIAŁ 33

Merrin otworzyła mu w dresach i ogromniastej bluzie. Jej współlokatorka była w domu — toporna Azjatka, śmiejąca się w wyjątkowo wkurzający sposób. Łaziła po salonie z komórką i gadała nosowym, nieznośnie radosnym głosem.

— W ogóle co ty w tym trzymasz? — spytał Lee zdyszany i wytarł pot z twarzy. Jakoś przytargał tu tego rupiecia na wózku, który kazał mu zabrać ojciec Merrin, wywindował go po siedemnastu schodkach, dwa razy omal go nie przewracając. — Majtki z metalowej siatki?

Współlokatorka zajrzała Merrin przez ramię i rzuciła:

— Raczej pas cnoty z kutego żelaza.

I poszła sobie, zanosząc się gęgającym śmiechem.

— Myślałem, że się wyprowadziła — odezwał się Lee, kiedy oddaliła się na tyle, że nie mogła ich usłyszeć.

— Wyjedzie tego samego dnia co Ig — wyjaśniła Merrin. — Do San Diego. Potem będę tu przez jakiś czas sama.

Spojrzała mu w oczy i lekko się uśmiechnęła. Kolejny sygnał.

Przepchnęli komodę przez drzwi. Merrin zdecydowała, że zostawią mebel na środku pokoju, a sami podgrzeją sobie

hinduskie jedzenie. Położyła papierowe talerze na okrągłym, poplamionym stoliku pod oknem z widokiem na ulicę, na której chłopcy jeździli w letnim mroku na deskach, śmigali przez czerń i pomarańczowe kałuże światła jarzeniowych latarni.

Połowę stolika zajmowały zeszyty i kartki, Merrin zgarnęła je na stertę. Lee pochylił się nad jej ramieniem, udając, że patrzy na jej prace, i dyskretnie zaciągając się słodką wonią jej włosów. Zauważył luźną kartkę z kropkami i kreskami.

— Co, bawisz się w „połącz punkty”?

— A, to — mruknęła, zbierając papiery i wkładając je do podręcznika, który odłożyła na parapet. — Gramy z moją współlokatorką w tę grę, znasz? Rysujesz kropki, a potem łączysz je w kwadraciki i wygrywa ten, kto ma najwięcej kwadracików. Przegrywasz, robisz pranie. Nie musiała pracować od miesięcy.

— Daj mi spojrzeć. Jestem w tym dobry. Powiem ci, jaki zrobić następny ruch.

Rzucił pobieżnie okiem na kartkę, ale grafik wydawał się narysowany niepoprawnie. Może to inna wersja gry, taka, jakiej nie znał.

— To by było oszukiwanie. Chcesz, żebym oszukiwała?

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Chcę tego co ty — powiedział Lee.

— Uważam, że powinnam wygrać uczciwie, i kropka. Ale mi się powiedziało.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Lee rozejrzał się dokoła. Mieszkanko było małe: salon, wnęka kuchenna i dwie sypialnie na piętrze tego nieforemnego domku podzielonego na pięć mieszkań. Z dołu dobiegał łomot muzyki dance.

— Dasz radę sama opłacać czynsz?

— Nie. W końcu będę musiała z kimś zamieszkać.

— Ig na pewno by ci pomógł.

— Chętnie by płacił za wszystko. Byłabym jego utrzymanką.

Raz miałam taką propozycję, wiesz?

— Jaką?

— Jeden profesor zaprosił mnie parę miesięcy temu na obiad. Mieliśmy porozmawiać o moim stażu. Tymczasem on zamówił butelkę wina za dwieście dolarów i powiedział, że chciałby mi wynająć mieszkanko w Back Bay. Sześćdziesięcioletek, ma córkę dwa lata starszą ode mnie.

— Żonaty?

— Oczywiście.

Lee odchylił się na krześle i gwizdnął przez zęby.

— Ig pewnie się posrał z wrażenia.

— Nie powiedziałam mu. I ty też mu nie mów. Nie powinnam o tym wspominać.

— Dlaczego nie powiedziałaś Igowi?

— Bo mam kurs z tym profesorem. Nie chciałam, żeby Ig złożył na niego zażalenie czy coś.

— Ig by tego nie zrobił.

— Nie, pewnie nie. Ale chciałby, żebym zrezygnowała z kursu. A ja nie chcę. Niezależnie od tego, jak zachowuje się poza wydziałem, facet jest najlepszym onkologiem w kraju, a wtedy chciałam się przekonać, czego mnie nauczy. Wtedy wydawało mi się, że to ważne.

— Teraz już nie?

— Cholera, nie muszę być pierwsza na wszystkich zajęciach. Zdarzają mi się takie ranki, kiedy mi się wydaje, że będę miała dużo szczęścia, jeśli w ogóle zdam.

— Daj spokój, jesteś świetna. — Lee zamilkł na chwilę. — I jak zareagował ten stary pierdziel, kiedy kazałaś mu spadać?

— Z humorem. Wino było dobre. Z początku lat dziewięćdziesiątych, z małej rodzinnej winnicy we Włoszech. Mam wrażenie, że taką samą butelkę postawił paru innym dziewczynom. Zresztą nie kazałam mu spadać. Powiedziałam, że kogoś kocham i nie sądzę, by wypadało to robić, gdy jestem jego

studentką, ale w innych okolicznościach byłabym skłonna rozważyć tę propozycję.

— Miło z twojej strony.

— Fakt. A gdybym nie była jego studentką i nie znała Iga? Mogę sobie wyobrazić, że poszłabym z nim na zagraniczny film czy coś.

— Nie gadaj, przecież jest stary.

— Prawie emeryt.

Lee osunął się na oparcie krzesła. Przejęło go jakieś nieznanne uczucie: niesmak. I zaskoczenie.

— Żartujesz.

— A skąd. Mógłby mnie czegoś nauczyć o winie. I książkach. I o sprawach, o których nic nie wiem. Jak wygląda życie przez drugi koniec teleskopu. Co to znaczy być w niemoralnym związku.

— To by był błąd.

— Może trzeba popełnić parę błędów. Jeśli się tego nie zrobi, pewnie się za dużo myśli. To najgorszy błąd.

— A co z żoną i córką tego gościa?

— Właśnie. Nie wiem. Oczywiście to trzecia żona, więc chyba nie byłaby jakoś okropnie zaskoczona. — Merrin zmrużyła oczy. — Myślisz, że każdy facet musi się wcześniej czy później znudzić?

— Myślę, że faceci na ogół marzą o tym, czego nie mogą mieć. Wiem, że ja jeszcze nie byłem w związku, w którym bym nie marzył o innych dziewczynach.

— Kiedy to się zaczyna? Kiedy facet zaczyna myśleć o innych?

Lee odchylił głowę, spojrzał na sufit i udał, że się zastanawia.

— Nie wiem. W piętnastej minucie pierwszej randki? Zależy, czy kelnerka jest fajna.

Uśmiechnęła się pod nosem.

— Czasami widzę, jak Ig patrzy na dziewczyny. Niezbyt często. Jeśli wie, że jestem obok, stara się nie gapić. Ale na przykład w te wakacje pojechaliśmy na Cape Cod, poszłam do samochodu po olejek do opalania, a potem przypomniałam sobie, że włożyłam go do kieszeni kurtki... Nie sądził, że tak szybko wrócę, i patrzył na dziewczynę. Leżała na brzuchu, z rozwiązana górami od bikini. Ładna. W liceum pewnie bym mu zrobiła piekło, ale teraz nic nie powiedziałam. Nigdy nie był z nikim oprócz mnie.

— Naprawdę? — spytał z niedowierzaniem, choć przecież wiedział.

— Myślisz, że kiedy będzie miał trzydzieści pięć lat, uzna, że za wcześnie go usidliłam? Zarzuci mi, że przeze mnie ominęła go radość licealnych związków, i będzie marzył o dziewczynach, z którymi się nie umówił?

— Na pewno już fantazjuje o innych — odezwała się współlokatorka Merrin, przechodząc przez kuchnię z zapiekanką w ręce i komórką przy uchu. Poszła do swojego pokoju, trzasnęła drzwiami. Nie dlatego, że była zła, nie dlatego, że zrobiła to umyślnie. Po prostu trzaskała drzwiami, wcale tego nie zauważając. Merrin założyła ręce na piersi.

— Prawda czy fałsz? Chodzi mi o to, co powiedziała.

— Nie naprawdę. To tak jak z patrzeniem na dziewczynę na plaży. Mógł się bawić tą myślą, ale to tylko myśl, więc nie ma znaczenia, prawda?

— Myślisz, że Ig będzie sypiał z innymi w Anglii? Czy będzie miał wrażenie, że w niewybaczalny sposób zawodzi mnie i dzieci?

— Jakie dzieci?

— Nasze. Harper i Charliego. Rozmawiamy o nich, odkąd skończyłam dziewiętnaście lat.

— Harper i Charlie?

— Harper to dziewczynka, po Harper Lee, mojej ulubionej autorce jednej książki. Charlie, jeśli będzie chłopiec. — Powiedziała to tonem, który nie spodobał się Lee. Była roztargniona i szczęśliwa, a po wyrazie jej oczu poznał, że wyobraża sobie siebie i Iga z dziećmi.

— Nie — powiedział.

— Co „nie”?

— Ig nie będzie cię zdradzać. Chyba że ty zdradzisz go najpierw, i to tak, żeby wiedział. Wtedy chyba tak. Może. Odwróćmy sytuację. Myślisz, że kiedy skończysz trzydzieści pięć lat, poczujesz, że coś cię ominęło?

— Nie — powiedziała sucho, z obojętną pewnością siebie. — Nie sądzę, żebym miała skończyć trzydzieści pięć lat i czuć, że coś mnie ominęło. To straszna myśl, nie?

— Co?

— Przelecieć kogoś tylko po to, żeby powiedzieć o tym Igowi. — Patrzyła w okno. — Od samej myśli czuję się chora.

Śmieszne, ale nawet wyglądała, jakby była chora. Lee zauważył po raz pierwszy, jaka jest blada, oczy mają brudnoróżowe obwódki, włosy zwisają jej bez życia. Robiła coś z papierową serwetką, składała ją na coraz mniejsze kwadraciki.

— Dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę dziwnie.

Kąciki jej ust drgnęły w półuśmiechu.

— Chyba coś mnie bierze. Nie myśl o tym. O ile nie zaczniemy się całować, nie zarazisz się ode mnie.

Godzinę później odjechał, pieniąc się z wściekłości. Cała Merrin. Zwabiła go do Bostonu, pozwoliła mu wyobrazić sobie, że będą sami, a potem otworzyła w dresie, wyglądała jak przegrzana

padlina, jej kumpelka snuła się po mieszkaniu i cały wieczór pletli o Igu. Gdyby dwa tygodnie temu nie pozwoliła mu pocałować swojej piersi i nie dała mu krzyżyka, pomyślałby, że w ogóle się nim nie interesuje. Miał dość tego poniewierania, dość jej gadaniny.

Ale przejeżdżając przez most Zakim, zwolnił. Tętno mu się uspokoiło i zaczął oddychać bardziej naturalnie. Przyszło mu do głowy, że Merrin ani razu nie wspomniała o tej zimnej blondynie. Potem doszedł do wniosku, że blondyna nie istnieje, jest tylko Merrin, która sprawdza, na ile zdoła go urobić, zmusić go do myślenia.

I faktycznie myślał. Myślał, że wkrótce Ig wyjedzie, koleżanka z mieszkania także, on gdzieś tak na jesieni znowu zapuka do drzwi Merrin, a kiedy mu otworzy, będzie sama.

ROZDZIAŁ 34

Lee miał nadzieję, że spędzi całą noc z Merrin, ale ledwie minęła dziesiąta, a on już przekroczył granicę z New Hampshire. Wtedy zauważył, że na poczcie głosowej ma wiadomość od kongresmena. Jego szef mówił powolnym, zmęczonym, zbolałym głosem. Prosił, żeby Lee wstąpił jutro rano porozmawiać o pewnych nowych informacjach. Powiedział to jakoś tak, jakby chciał się z nim spotkać nawet w nocy, dlatego zamiast zjechać z I-95 na zachód do Gideon, Lee ruszył dalej na północ i zjechał na Rye.

O jedenastej zaparkował przed domem kongresmena, na podjeździe wysypanym białymi muszelkami. Dom, wielki i biały, z kolumnami na ganku, stał na wielkim nieskazitelnie wypielęgowanym trawniku. Przed domem bliźniaczki kongresmena grały w świetle latarni w krokieta ze swoimi chłopcami. Kieliszki z szampanem stały obok szpilek dziewcząt, które biegały boso. Lee wysiadł z cadillaca i zatrzymał się na chwilę, przyglądając się dwom ubranym w letnie sukienki smukłym dziewczynom o opalonych nogach, jednej pochylonej nad młotkiem. Chłopak obejmował ją od tyłu, pomagając w uderzeniu i

wykorzystując tę okazję, by się do niej przytulić. Śmiech dziewczyn niósł się w powietrzu, pachniało morzem. Lee znowu poczuł się w swoim żywiole.

Córki kongresmena uwielbiały Lee, a kiedy zobaczyły go na ścieżce, rzuciły się do niego. Kaley zarzuciła mu ręce na szyję, Daley pocałowała go w policzek. Dwudziestojednoletnie, opalone i szczęśliwe, choć obie miały też skrywane problemy: picie na umór, anoreksję, chorobę weneryczną. On także je przytulił, pożartował z nimi i obiecał, że pogra z nimi w krokieta, jeśli będzie miał czas, ale od ich dotyku przechodziły go ciarki. Wyglądały na szlachetne i gładkie, lecz były wstrętne jak oblane czekoladą karaluchy. Jedna żuła miętową gumę, a on zastanowił się, co chce w ten sposób zamaskować — smród papierosów, trawy czy fiuta. Nie zgodziłby się przespać z nimi oboma, gdyby miał w zamian poświęcić noc z Merrin, która była pod wieloma względami jeszcze czysta, nadal miała ciało szesnastoletniej dziewczyny. Spała tylko z Igiem, a znając Iga, to się niemal nie liczyło. Na pewno przez cały czas zasłaniał się prześcieradłem.

Żona kongresmena powitała Lee w drzwiach, drobna kobietka o nastroszonych szpakowatych włosach i wąskich wargach zastygłych w sztywnym botokсовym uśmiechu. Dotknęła przegubu Lee. Wszystkie lubiły go dotykać, żona kongresmena i

jego córki, zresztą kongresmen też, jakby Lee był amuletem, króliczą łapką — i był, wiedział o tym.

— Jest w gabinecie — powiedziała. — Ucieszy się, że przyjechałeś. Wiedziałeś, że czeka?

— Wiedziałem. Migrena?

— Okropna.

— W porządku. Nic się nie stało. Lekarz już był?

Lee znał drogę do gabinetu. Zapukał do rozsuwanych drzwi, ale nie czekał na pozwolenie wejścia. Światło w pokoju było zgaszone; tylko ekran telewizora mżył blaskiem. Kongresmen siedział w ciemnościach na kanapie, z mokrym kompresem ze ścierki kuchennej na oczach. W telewizji leciał „Hothouse” z wyłączonym dźwiękiem, ale Lee widział Terry’ego Perrisha przeprowadzającego wywiad z jakimś chudym angolem w czarnej skórzanej kurtce, pewnie gwiazdorem rocka.

Kongresmen usłyszał szurnięcie drzwi, uniósł rąbek kompresu, zobaczył Lee i uśmiechnął się połową ust. Opuścił kompres.

— Jesteś. Mało brakowało, a nie zostawiłbym tej wiadomości, bo wiedziałem, że się zmartwisz i przyjedziesz już dziś. Nie chciałem ci przeszkadzać w piątkowy wieczór. I tak zabieram ci za dużo życia. Powinieneś się bawić z jakąś dziewczyną. — Mówił

cichym, czułym tonem człowieka rozmawiającego na łożu śmierci z ukochanym synem. Nie po raz pierwszy Lee słyszał ten ton, nie po raz pierwszy doglądał kongresmena podczas ataku migreny. Te ataki miały ścisły związek ze zbieraniem funduszy i złymi wynikami sondaży. Kongresmen zamierzał na początku następnego roku ogłosić, że będzie walczył o urząd z obecną gubernator, która wygrała ostatnie wybory szturmem, lecz potem zaczęła tracić popularność. Za każdym razem, gdy poparcie dla niej wynosiło więcej niż trzy punkty, kongresmen faszerował się ibuprofenem i kładł się do łóżka. Wtedy najbardziej polegał na spokoju Lee.

— Taki miałem plan — przyznał Lee. — Ale mnie wystawiła, a pan jest dwa razy od niej milszy, więc w sumie żadna strata.

Kongresmen prychnął świszczącym śmiechem. Lee usiadł przy niskim stoliku, bokiem do niego.

— Kto umarł? — spytał.

— Mąż pani gubernator.

Lee zawahał się z odpowiedzią.

— O rety, mam nadzieję, że pan żartuje.

Kongresmen znowu uniósł kompres ze ścierki.

— Ma chorobę Lou Gehriga. Stwardnienie zanikowe boczne. Właśnie zdiagnozowane. Jutro będzie konferencja prasowa. W

przyszłym roku przypada ich dwudziesta rocznica ślubu. Straszne, prawda?

Lee przygotował się już na jakieś kiepskie wyniki albo na wieść, że „Portsmouth Herald” opublikuje niepochlebny artykuł o kongresmenie (lub jego córkach — tu byłoby o czym pisać), ale nad tym musiał się chwilę zastanowić.

— Boże.

— Dokładnie to powiedziałem. Zaczęło się od drżenia kciuka. Potem obu rąk. Choroba postępuje gwałtownie. Nie znasz dnia ani godziny, prawda?

— O tak.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Telewizor nadal pokazywał Terry’ego Perrisha.

— Miał to ojciec mojego najlepszego kumpla z podstawówki — odezwał się kongresmen. — Biedak siedział w fotelu przed telewizorem, rzucał się jak ryba na wędce i rzeził, jakby go dusił Niewidzialny Człowiek. Tak mi ich żal... Nie wyobrażam sobie, co bym zrobił, gdyby któraś z dziewczynek zachorowała. Chcesz się ze mną pomodlić za panią gubernator i jej męża?

Ani trochę, pomyślał Lee, ale ukląkł przy stoliku, złożył ręce i zastygł w oczekiwaniu. Kongresmen ukląkł obok niego, pochylił głowę. Lee zamknął oczy, żeby się skupić, jakoś to przemyśleć.

Przede wszystkim choroba męża poprawi jej notowania; osobista tragedia zawsze budzi współczucie paru tysięcy wyborców. Ponadto opieka medyczna stanowiła najmocniejszy atut pani gubernator, a to woda na jej młyn, okazja, żeby nadać zagadnieniu osobisty wydźwięk. Już i tak trudno było walczyć z kobietą, żeby nie wyjść na damskiego boksera. Ale walczyć z kobietą heroicznie opiekującą się toczonym nieuleczalną chorobą małżonkiem — kto wie, w jaki sposób to się odbije na kampanii wyborczej? Zależy od mediów, od tego, w jaki sposób postanowią to przedstawić. Czy istnieje jakiś sposób, który byłby dla niej niekorzystny? Może. Lee uznał, że istnieje przynajmniej jedna możliwość, za którą warto się modlić — a w każdym razie jeden sposób, by naprawić tę sytuację.

Po chwili kongresmen westchnął, co oznaczało, że modlitwa dobiegła końca. Ale dalej klęczeli obok siebie w przyjaznym milczeniu.

— Myślisz, że nie powinienem kandydować? — spytał kongresmen. — Z poczucia przyzwoitości?

— Choroba jej męża to tragedia — powiedział Lee. — Jej polityka — też, tylko inna. Tu nie chodzi o nią, tylko o wszystkich mieszkańców stanu.

Kongresmen zadrzał.

— Wstydzę się, że nawet o tym myślę. Jakby liczyły się tylko moje cholerne polityczne ambicje. Grzech pychy, Lee. Grzech pychy.

— Nie wiemy, co się stanie. Może pani gubernator uzna, że musi się wycofać, by zaopiekować się mężem, nie stanie do wyborów, a wówczas lepiej, żeby kandydował pan niż ktoś inny.

Kongresmen znowu zadrzał.

— Nie powinniśmy tak mówić. Nie dzisiaj. Naprawdę czuję się, jakbym popełniał czyn nieprzyzwoity. Tu chodzi o życie i zdrowie człowieka. To, czy postanowię ubiegać się o urząd gubernatora, jest najmniej ważne. — Zakołysał się na kolanach, gapiąc się tępo w telewizor. Oblizał wargi. — Ale gdyby się wycofała, może moja rezygnacja byłaby nieodpowiedzialnością?

— O Boże, no oczywiście. Czy wyobraża pan sobie, że odejdzie z polityki, a na gubernatora zostanie wybrany Bill Flores? Wprowadziłby w przedszkolach edukację seksualną, rozdawałby gumki sześciolatkom. Dzieci, ręka w górę, jeśli wiecie, jak się pisze „homoseksualizm”.

— Przestań — powiedział kongresmen, chociaż się śmiał. — Jesteś okropny.

— Nie zamierzał pan tego ogłosić jeszcze przez pięć miesięcy — dodał Lee. — Przez rok wiele się może zdarzyć. Ludzie nie będą

na nią głosować tylko dlatego, że ma chorego męża. Chora żona nie pomogła Johnowi Edwardsowi. Kurczę, raczej mu zaszkodziła. Wyglądało to tak, jakby kariera była dla niego ważniejsza od zdrowia żony. — Już myślał, że to będzie wyglądać jeszcze gorzej: kobieta przemawiająca, kiedy jej mąż trzęsie się w fotelu na kółkach pod podium. Kiepski widok. Czy ludzie naprawdę będą chcieli głosować na nią, żeby jeszcze przez dwa lata widzieć coś takiego w telewizorze? Albo: kobieta, dla której wygranie wyborów jest ważniejsze od opieki nad mężem. — Ludzie głosują ze względu na program, nie ze współczucia. — To kłamstwo, ludzie głosują emocjami. I tak należy to załatwić, cicho, w nieoczywisty sposób wykorzystać chorobę jej męża, by gubernator wydawała się o wiele bardziej obojętna, o wiele mniej szlachetna. Zawsze istnieje sposób, żeby naprawić sytuację. — Zanim wejdzie pan do gry, wszyscy już o tym zapomną. Będą gotowi zmienić temat.

Lee nie był pewien, czy kongresmen go jeszcze słucha. Patrzył w telewizor. Terry zwił właśnie z krzesła, udając martwego, z głową przechyloną pod nienaturalnym kątem. Jego gość, chudy angielski rockman w czarnej skórzanej kurtce, nakreślił nad nim znak krzyża.

— Przyjaźnisz się z Terryem Perrishem?

— Raczej z jego bratem, Igiem. Zresztą wszyscy Perrishowie są fantastyczni. W dzieciństwie byli dla mnie całym światem.

— Nigdy ich nie poznałem.

— Chyba skłaniają się ku demokratom.

— Ludzie chętniej głosują na przyjaciół niż na partię. Może powinniśmy się zaprzyjaźnić. — Pięścią trącił Lee w ramię, jakby uderzył go nagły pomysł. Całkiem zapomniał o migrenie.

— To by było coś — ogłosić w programie Terry'ego Perrisha, że kandyduję na miejsce gubernatora!

— O tak. Na pewno.

— Myślisz, że dałoby się to załatwić?

— Może umówię się z nim, kiedy znowu przyjedzie, i szepnę mu o panu dobre słowo. Zobaczymy, co się stanie.

— Jasne. Zrób to. Zaszalej. Na mój koszt. — Kongresmen westchnął. — Przywracasz mi radość życia. Zostałem obdarzony wieloma błogosławieństwami i wiem o tym. Ty jesteś jednym z nich.

Spojrzał na Lee, mrugał oczami jak dobry dziadzio. Potrafił to robić na żądanie, robić te oczy Świętego Mikołaja. — Wiesz, Lee, nie jesteś za młody, żeby ubiegać się o mandat w Kongresie. Moje miejsce zwolni się za parę lat, w ten czy inny sposób. Masz magnetyczną osobowość. Jesteś przystojny i uczciwy. Masz dobrą

prywatną historię o zbawieniu dzięki Chrystusowi. I potrafisz opowiadać świetne kawały.

— No, nie wiem. Cieszy mnie to, co robię dla pana. Nie sądzę, żeby kariera polityczna była moim powołaniem — oznajmił Lee i dodał bez najmniejszego zażenowania: — Nie sądzę, żeby tego chciał ode mnie Bóg.

— Szkoda. Przydałbyś się partii i nie wiadomo, jak wysoko byś zaszedł. Cholera, gdybyś dał sobie szansę, mógłbyś być drugim Reaganem.

— Eee, nie — powiedział Lee. — Raczej byłbym następnym Karlem Rove'em.

ROZDZIAŁ 35

Pod koniec matka nie mówiła wiele. Lee nie wiedział, ile do niej docierało przez te ostatnie tygodnie. Na ogół mówiła tylko jedno słowo w różnych odmianach, głosem oszalałym i zachrypniętym: „Pić! Picieeee!”. Oczy wychodziły jej z orbit. Lee siedział przy jej łóżku, nagi w rozprazonym domu, i czytał gazetę. W południe w sypialni dochodziło do trzydziestu pięciu stopni, a pod spiętrzonymi kołdrami było pewnie jeszcze goręcej. Matka nie zawsze zdawała sobie sprawę z jego obecności. Gapiła się w sufit, jej chude ręce żałośnie zmagaly się z okryciem, jakby rozgarniała wodę, wyrzucona za burtę. Czasami zwracała wielkie oczy na Lee, mierząc go przerażonym, błagającym spojrzeniem. A Lee popijał mrożoną herbatę i nie zwracał na nią uwagi.

Czasami, zdjawszy jej pieluchę, nie zakładał nowej i zostawiał matkę nagą od pasa w dół. Moczyła się i zaczynała wołać: „Mokro! Mokro! O Boże, Lee! Zmoczyłam się!”. Nigdy się nie spieszył do zmiany pościeli — był to męczący, mozolny proces. Siki matki śmierdziały marchwią, chorobą. Kiedy w końcu zmieniał pościel, zwijał prześcieradło i przyciskał do twarzy matki, która wyła ogłupiałym, zduszonym głosem. Ona także go tak traktowała —

wciskała mu twarz w prześcieradło, kiedy je zmoczył. W taki sposób oduczala go sikania w łóżku, problemu jego dzieciństwa.

Ale gdzieś pod koniec maja po tygodniach trwania w malignie matka na moment oprzytomniała. Lee obudził się przed świtem w swoim pokoju na piętrze. Nie wiedział, co go wyrwało ze snu, ale odnosił wrażenie, że coś jest nie tak. Podparł się na łokciach, uważnie nasłuchując. Było przed piątą, niebo rozjaśniała już szarość przedświt. Przez lekko uchylone okno czuł zapach świeżej trawy, nowych pąków na drzewach. Już robiło się ciepło, wyglądało na to, że będzie gorąco, zwłaszcza w pokoju gościnnym, gdzie sprawdzał, czy można starą kobietę ugotować żywcem. W końcu coś usłyszał, ciche łupnięcie na dole, a po nim jakby szuranie butów na plastikowej wycieraczce.

Wstał i cicho zszedł na dół, żeby zajrzeć do matki. Myślał, że zastanie ją śpiącą albo patrzącą tępo w sufit. Nie spodziewał się, że przewróci się na bok i sięgnie wychudłą, szponiastą ręką po telefon. Zrzuciła słuchawkę, która teraz zwisała na przewodzie. Matka zbierała przewód w dłoń, usiłując przyciągnąć do siebie słuchawkę, która kołysała się, szurając po podłodze i lekko stukając o szafkę nocną.

Na widok Lee matka znieruchomiała. Jej wynędzniała, zapadnięta twarz była spokojna, prawie radosna. Niegdyś włosy

miała gęste, w miodowym odcieniu, z lokami spadającymi na ramiona. Włosy Farrah Fawcett. Ale teraz łysiała, cienkie siwe pasma przykrywały głowę pokrytą plamami wątrobianymi.

— Co robisz, mamó? — spytał Lee.

— Dzwonię.

— Do kogo?

W tej samej chwili dotarło do niego, że jej głos brzmi przytomnie, i zrozumiał, że na chwilę w niewytłumaczalny sposób wyrwała się z demencji.

Matka obrzuciła go przeciągłym, obcym spojrzeniem.

— Kim jesteś? — spytała.

No, wyrwała się częściowo.

— Lee. Nie znasz mnie?

— Nie jesteś nim. Lee chodzi po płocie. Zabroniłam mu. Powiedziałam, że diabeł wystawi mu za to rachunek, ale nie może się powstrzymać.

Podszedł i odłożył słuchawkę na widełki. Wykazał się idiotyczną beztroską, zostawiwszy działający telefon w zasięgu ręki matki, niezależnie od jej stanu.

Ale kiedy pochylił się, żeby wyjąć wtyczkę z kontaktu, matka chwyciła go za przegub. Omal nie krzyknął, tak go zaskoczyła ta drapieżna siła jej kościstych, sękatych palców.

— Umieram — powiedziała. — Dlaczego chcesz, żebym cierpiała? Dlaczego nie usiądziesz z założonymi rękami i nie zaczekasz, aż się stanie?

— Bo gdybym to zrobił, niczego bym się nie dowiedział.

— Tak. To prawda — stwierdziła jego matka niemal z zadowoleniem. — Czego byś się nie dowiedział?

— Czy istnieją granice.

— Mojej wytrzymałości? — spytała matka i dodała: — Nie, nie o to chodzi. Mówisz o granicach tego, co możesz zrobić. — Osunęła się na poduszki, a Lee z zaskoczeniem ujrzał jej wyrozumiały uśmiech. — Ty nie jesteś Lee. Lee jest na płocie. Jeśli znowu go przyłapię na tym płocie, już on mnie popamięta.

Odetchnęła głęboko, powieki jej opadły. Wydawało mu się, że matka chce zasnąć — często gwałtownie traciła przytomność — ale odezwała się jeszcze raz. W jej skrzypiącym, starczym głosie brzmiało zastanowienie.

— Raz zamówiłam ekspres do kawy z katalogu. Możliwe, że z Sharper Image. Ładny, dużo miedzianych okuć. Czekałam parę tygodni, aż wreszcie pojawił się przed moimi drzwiami. Otworzyłam pudełko i — uwierzysz? — w środku było tylko wypełnienie. Osiemdziesiąt dziewięć dolarów za folię bąbelkową i

styropian. Ktoś w tej fabryce ekspresów musiał zasnąć. — Odetchnęła głęboko.

— Czemu to mnie ma obchodzić?

— Bo tak samo jest z tobą. — Otworzyła wielkie, błyszczące oczy i wbiła w niego spojrzenie. Uśmiechnęła się szerzej, ukazując resztki zębów, małych, pozółkłych i nierównych. Zaczęła się śmiać.

— Powinieneś zażądać zwrotu pieniędzy. Zrobili cię w bambuko. Jesteś tylko ładnym, pustym w środku pudełkiem.

Śmiała się ostro, rżąc, zachłystując się powietrzem.

— Przestań ze mnie szydzić — rzucił, co rozbawiło ją jeszcze bardziej. Śmiała się, dopóki nie dał jej podwójnej dawki morfiny.

Potem poszedł do kuchni i zrobił sobie Bloody Mary z dużą ilością pieprzu. Ręka, w której trzymał szklanę, drżała.

Bardzo go kusilo, żeby przemocą napoić matkę wielkim kubkiem wrzącej słonej wody. Utopić ją w niej.

Ale dał spokój, nawet przez tydzień doglądał jej z wyjątkową troską, zostawiał wentylator włączony na cały dzień, co rano zmieniał pościel, ozdabiał pokój świeżymi kwiatami, włączał telewizję. Szczególnie dbał o regularne podawanie morfiny, nie chciał, żeby znowu oprzytomniała, kiedy w domu będzie pielęgniarka. Żeby nie wypaplała, co się dzieje, kiedy zostaje sama

z synem. Niepotrzebnie się starał. Matka nigdy więcej nie odzyskała przytomności.

ROZDZIAŁ 36

Pamiętał ten płot. Pierwsze dwa lata w West Bucksport w stanie Maine niemal nie zapisały mu się w pamięci — na przykład nie przypominał sobie, dlaczego się tam przeprowadzili, do wiochy na zadupiu zadupia, miejsciny, w której jego rodzice nikogo nie znali. Nie pamiętał, dlaczego wrócili do Gideon. Ale pamiętał ten płot i dzikiego kocura, który wyłonił się z kukurydzy. Pamiętał noc, kiedy dzięki niemu księżyc nie spadł z nieba.

Kocur wychodził z kukurydzy o zmierzchu. Gdy pojawił się na ich podwórku drugi lub trzeci raz, cicho pomiaukując, matka Lee wyszła do niego z puszką sardynek. Postawiła ją na ziemi i zaczęła, aż kot się podkradnie. Rzucił się na sardynki, jakby nie jadł od wielu dni, połykał każdą srebrną rybkę, potrząsając głową. Potem prześliznął się płynnie między kostkami Kathy Tourneau, mruczając z zadowoleniem. Był to nieco zardzewiały pomnik, jakby kot oduczył się być szczęśliwy.

Ale kiedy matka Lee chciała go podrapać za uszami, kocur drapnął ją, zostawiając długie, czerwone krechy na ręce. Matka krzyknęła i kopnęła go, a on uciekł, przewracając w panice puszkę.

Przez tydzień matka nosiła biały bandaż, a potem zostały jej brzydkie blizny. Kiedy kocur znowu wylazł z kukurydzy, miaucząc, żeby zwrócić na siebie uwagę, rzuciła w niego patelnią. Zniknął w gąszczu.

Za domem w Bucksport znajdowało się poletko nędznej kukurydzy. Rodzice jej nie zasiali i nie kiwnęli palcem, żeby o nią zadbać. Nie byli rolnikami, nie mieli nawet ogródka. Matka Lee zebrała parę kolb w sierpniu, ugotowała, ale nikt nie zdołał ich zjeść. Ziarna były bez smaku, gumowate i twarde. Ojciec powiedział, że to kukurydza pastewna.

W październiku łodygi wyschły, stały się brązowe i martwe, wiele złamało się i przechyliło. Lee był zachwycony ich wonią w zimnym jesiennym powietrzu, lubił przemykać wąskimi korytarzami między rzędami, suchy szelest liści. Dla dorosłego Lee Tourneau przypomnienie sobie tego entuzjazmu dla kukurydzy trochę przypominało próbę najedzenia się wspomnieniem dobrego posiłku.

Nie wiadomo, gdzie kocur podziewał się, gdzie mieszkał. Nie należał do sąsiadów. Nie należał do nikogo. Matka Lee twierdziła, że jest dziki. Wypowiedziała to słowo, „dziki”, tym samym nienawistnym, brzydkim tonem, którym mówiła o Winterhaus,

barze, w którym ojciec Lee zatrzymywał się co wieczór na drinka (albo dwa, względnie trzy) w drodze z pracy do domu.

Kocur miał wyraźnie widoczne żebra, wydarte płaty czarnej sierści, obsceniczne łaty różowej, sparszywiającej skóry i kosmate jaja rozmiaru piłek do ping-ponga, tak wielkie, że kołysały się między jego tylnymi nogami. Jedno oko miał zielone, drugie białe, chyba ślepe. Matka Lee kazała swojemu jedynakowi trzymać się z dala od tego stworzenia.

— Nie zaczniesz cię lubić — powiedziała. — Już minął moment, kiedy mógłby się nauczyć zaufania do ludzi. Nie interesujesz go ty ani nikt inny. Pojawia się tylko w nadziei, że coś mu damy, a jeśli go nie będziemy karmić, przestanie tu przychodzić.

Nie przestał. Co wieczór, gdy słońce już zachodziło, ale chmury nadal barwiły się jego poświatą, kocur wracał, żeby miauczeć na podwórku.

Lee czasami od razu po powrocie ze szkoły wychodził, żeby go szukać. Zastanawiał się, gdzie kocisko spędza cały dzień, dokąd chodzi i skąd wraca. Wspinał się na płot i chodził po nim, wyglądając kota na polu kukurydzy.

To był stary, rozpadający się płot z desek osadzonych na pochyłych słupach. Opasywał całe podwórko, pole kukurydzy i resztę. Górny poprzeczny drążek znajdował się wysoko, na

poziomie głowy Lee, a całość trzęsła się, kiedy po niej chodził. Matka się denerwowała, tłumaczyła, że drewno jest spróchniałe, któraś deska w końcu pęknie pod jego ciężarem, a wtedy czeka go podróż do szpitala (ojciec machał ręką i mówił: „Dajże mu już spokój, to przecież dziecko!”). Ale Lee nie mógł się oprzeć temu płotowi, żaden chłopak by tego nie potrafił. Nie tylko po nim chodził jak po równoważni, czasem nawet biegał, rozłożywszy ręce, niczym kościsty żuraw startujący do lotu. Dobrze było biec po tym płocie, gdy belki trzęsły się pod jego stopami, a krew tętniła w żyłach.

Kocur nadal wystawiał na próbę cierpliwość Kathy Tourneau. Ogłaszał swoje przybycie błagalnym, fałszywym miauknięciem, jednym przeraźliwym dźwiękiem, powtarzanym raz po raz, aż matka Lee traciła cierpliwość i wypadała na podwórko, by rzucić czymś w niego.

— Na miłość boską, czego ty chcesz? — krzyknęła raz do czarnego kocura. — Nie dostajesz żarcia, dlaczego nie odejdziesz?

Lee nie powiedział tego matce, ale chyba wiedział, dlaczego kot powraca co wieczór. Matka myliła się, sądząc, że kot błaga o jedzenie. Lee uważał, że chodzi mu o poprzednich właścicieli, ludzi, którzy zajmowali ten dom przed nimi i traktowali go tak, jak chciał być traktowany. Lee wyobrażał sobie piegowatą

dziewczynkę, jego rówieśnicę, w farmerkach i z długimi, prostymi rudymi włosami, która wynosiła czarnemu kotu miskę jedzenia, a potem siadała w bezpiecznej odległości, żeby go nie przestraszyć. Może mu śpiewała. Podejrzenie matki — że kot postanowił ich dręczyć nieustannymi, przeraźliwymi wrzaskami tylko po to, żeby sprawdzić, ile zdołają wytrzymać — wydawało się Lee nieprawdopodobną hipotezą.

Postanowił się zaprzyjaźnić z kocurem i pewnego wieczora usiadł na dworze, czekając na niego. Powiedział matce, że nie chce kolacji, że jeszcze jest najedzony po wielkiej porcji płatków, którą zjadł po powrocie ze szkoły, więc czy może trochę pobyć na dworze? Pozwoliła mu — dopóki ojciec nie wróci do domu, a wtedy do łóżka i spać. Nie wspomniał, że chce się spotkać z kotem i że ma dla niego sardynki.

W połowie października wcześniej się ściemnia. Wyszedł na dwór przed szóstą, na czarnym już niebie widać było linię intensywnego różu nad polami po drugiej stronie drogi. Czekał, podśpiewując pod nosem.

Świeciło parę gwiazd. Zauważył, że jedna z tych gwiazd się porusza, sunie w prostej linii przez niebo. Po chwili uświadomił sobie, że to musi być samolot albo satelita. Albo UFO! Co za myśl. Kiedy spuścił wzrok, zobaczył kocura.

Kot z niedopasowanymi oczami wychylił się spomiędzy niskich łodyg kukurydzy i zmierzył Lee przeciągłym spojrzeniem. Tym razem nie miauczał. Lee wyjął rękę z kieszeni kurtki, podszedł powoli, żeby go nie spłoszyć.

— Cześć, brat-kuuuu — odezwał się, przeciągając ostatnią sylabę jak nutę. — Cześć, brat-kuuu.

Puszka sardynek brzęknęła metalicznie podczas otwierania. Kocur śmignął w kukurydzę.

— O nie, bratku! — Lee poderwał się na równe nogi. To było niesprawiedliwe. Zaplanował całe spotkanie, jak zwabi kota tym cichym, przyjaznym pomrukiem, a potem postawi przed nim puszkę, nie próbując go dziś dotknąć, dając mu tylko jeść. A kocur nie dał mu nawet szansy.

Zerwał się wiatr i kukurydza zaszeleściła niespokojnie. Lee poczuł chłód w gardle. Gapił się tępo na pole. I nagle kot znowu się pojawił, wskoczył na płot. Odwrócił głowę i spojrzał na Lee rozjarzonymi, fascynującymi oczami.

Lee nie zrobił gwałtownego ruchu. Zaczął się skradać. Kiedy się zbliżył, sądził, że kocur znowu wskoczy w kukurydzę i zniknie. Ale on zrobił parę kroków po płocie i obejrzał się jeszcze raz, jakby z wyczekiwaniem. Chciał sprawdzić, czy Lee za nim pójdzie, zapraszał go. Lee stanął na żerdce i wspiał się na płot, który się

zatrząś pod jego ciężarem. Lee pomyślał: No, teraz kocur zeskoczy i zniknie. Ale on zaczekał, aż płot znieruchomieje, i znowu ruszył niespiesznie, z zadartym ogonem, ukazując dziurę w tyłku i wielkie jaja.

Lee poszedł za nim, rozkładając ręce, żeby nie stracić równowagi. Nie ośmielił się przyspieszyć z obawy, że przestraszy kota, który paradował leniwie po belce, odciągając go coraz dalej od domu. Kukurydza rosła tuż przy płocie; suche, grube liście smagały i muskały ramię Lee. Raz belka niebezpiecznie zatrząśła się mu pod stopami; musiał przykucnąć i przytrzymać się słupka, żeby nie spaść. Kot zaczekał na niego na następnym słupku. Nie poruszył się, gdy Lee się wyprostował i podszedł do niego po chwiejącej się belce — zaczął mrużyć tym swoim wysilonym, zachrypniętym głosem. Lee omal nie wyskoczył ze skóry z przejęcia, że w końcu znalazł się tak blisko niego, niemal na wyciągnięcie ręki.

— Cześć — szepnął, a mrużenie stało się głośniejsze. Kot wygiął grzbiet, jakby go podstawił pod rękę Lee. Wydawało się nieprawdopodobne, że nie chce być dotykany.

Lee obiecał sobie, że nie będzie próbował dotknąć kocura — nie dziś, podczas nawiązania pierwszego kontaktu — ale byłoby

niegrzecznie odrzucić tak oczywiste zaproszenie do pieśczoły. Delikatnie wyciągnął rękę.

— Cześć, brat-kuuu — zaintonował cicho, a kot zamknął oczy w wyrazie czystej zwierzęcej rozkoszy. Potem otworzył je i chlasnął łapą.

Lee odskoczył — łapa świsnęła w powietrzu tuż obok jego lewego oka. Płot zatrzęsł się gwałtownie; Lee upadł na bok w kukurydzę.

Górna żerdź płotu znajdowała się na ogół metr dwadzieścia od ziemi, ale w tym miejscu było obniżenie terenu i spadł z jakichś dwóch metrów. Widły, leżące w kukurydzy od wielu lat, czekały na niego, odkąd się urodził. Leżały na ziemi z wygiętymi zardzewiałymi zębami w górze. Lee uderzył o nie głową.

ROZDZIAŁ 37

Chwilę potem usiadł. Kukurydza szeleściła gorączkowo, szeptała, obgadywała go. Kot zeskoczył z płotu. Ściemniło się już zupełnie, a kiedy Lee podniósł głowę, zobaczył, że gwiazdy się poruszają. Wszystkie stały się satelitami, śmigały w różnych kierunkach, nurkowały w dół. Księżyc drgnął, osunął się o parę centymetrów, znowu drgnął. Jakby kurtyna nieba miała lada chwila spaść, ukazując pustą scenę. Lee wyciągnął rękę i wyprostował księżyc, wcisnął go na miejsce. Był zimny jak soplel, zmroził mu palce.

Lee musiał sięgnąć bardzo wysoko, żeby naprawić księżyc, a kiedy znalazł się w górze, spojrzał na West Bucksport. Zobaczył rzeczy, których nie mógłby dostrzec z pola kukurydzy, ujrzał je z perspektywy Boga. Widział samochód ojca sunący przez Pickpocket Lane i skręcający na zwirowany podjazd. Ojciec wiózł sześciopak na siedzeniu obok, między udami trzymał kolejne zimne piwo. Gdyby Lee zechciał, mógłby pstryknąć palcami w samochód i strącić go z drogi w iglaki osłaniające ich dom przed autostradą. Wyobraził sobie samochód leżący na boku, płomienie

wystawiające jęzory spod maski. Ludzie by powiedzieli, że ojciec jechał pijany w drebiezgi.

Ten świat w dole był Lee obojętny jak makieta miasteczka, przez które przejeżdża kolejka elektryczna. West Bucksport wyglądało rozkosznie z tymi drzewkami i zabawkowymi domeczkami, i małymi ludzikami. Gdyby zechciał, mógłby podnieść swój dom i przesunąć go w inną część ulicy. Mógłby zmiażdżyć go obcasem. Mógłby zmieść to dziadostwo ze stołu jednym ruchem ręki.

Zobaczył jakiś ruch w kukurydzy, zwinny cień prześlizgujący się wśród innych cieni. Rozpoznał kocura. Wówczas zrozumiał, że został wyniesiony na tak wielką wysokość nie tylko po to, żeby naprawić księżyc. Ofiarował kotu jedzenie i serce, a przybłęda udał, że go lubi, a potem walnął go, zrzucił z płotu i mógłby zabić, bez powodu, po prostu dlatego, że taką już miał naturę, a teraz odchodził, jakby nic się nie stało, może już zapomniał o Lee, a tego nie można było tak zostawić. Lee sięgnął w dół wielką ręką — całkiem jakby znajdował się na najwyższym piętrze szklanego drapacza chmur i spoglądał z niego w dół — po czym zgniótł kota palcem, wdusił go w ziemię. Przez jedną gorączkową chwilę, niespełna sekundę, poczuł pod palcem spazm drżącego życia, wiedział, że kot usiłuje się wyrwać, ale było za późno, zmiażdżył

go, a kocur pękł jak suchy strąk. Lee wgniół palec w ziemię, jak jego ojciec wgniatał pety w popielniczkę. Zabił zwierzaka z cichą, stłumioną satysfakcją, czując się nieco oderwany od siebie, tak jak czasami mu się zdarzało, kiedy się ze sobą bawił.

Po chwili podniósł rękę i spojrzał na nią — na strugę krwi i kępkę czarnego futra. Powąchał palce. Czuć je było zatęchłą piwnicą i rozgrzaną słońcem trawą. Ten zapach go zainteresował, mówił o polowaniu na myszy i szukaniu kocicy do rżnięcia.

Lee opuścił rękę na kolana i spojrzał tępo na kota. Znowu siedział w kukurydzy, choć nie pamiętał, kiedy zszedł; był tego samego rozmiaru co zawsze, choć nie pamiętał, żeby zmałał. Kocur wyglądał jak zmięta ścierka. Zastygł z głową odwróconą do tyłu, jakby ktoś chciał ją wykręcić jak żarówkę. Wielkimi ślepiami gapił się w niebo. Czaszkę miał pękniętą i zdeformowaną, z ucha sączył mu się mózg. Leżał obok płaskiego, mokrego od krwi kamienia. Lee przypomniał sobie, że zranił się w prawą dłoń. Na przegubie i przedramieniu miał trzy równoległe krwawe szramy, jakby rozorał sobie ciało widelcem. Nie potrafił zrozumieć, jak kot zdołał zadrapać mu rękę, skoro stała się tak wielka, ale był już zmęczony, bolała go głowa i po chwili przestał się zastanawiać. To męczące — być jak Bóg, na tyle wielki, by naprawiać wszystko

wymagające naprawy. Dźwignął się z ziemi i na miękkich nogach powlókł się do domu.

Rodzice byli w salonie. Znowu się kłócili. A raczej ojciec siedział z piwem i gazetą sportową, nie reagując, a Kathy stała nad nim, utyskując cichym, zduszonym głosem. Lee doznał nagłego olśnienia, idealnego zrozumienia, co go naszło, kiedy stał się na tyle wielki, żeby naprawić księżyc, i zrozumiał, że ojciec jeździł co noc do Winterhaus nie po to, żeby pić. Spotykał się z pewną kelnerką. Nie żeby któreś z rodziców wspomniało choć słowem o tej kelnerce: matka wściekała się o bałagan w garażu, o to, że ojciec wlaźł w butach do salonu, o swoją pracę. Ale jednak tak naprawdę kłócili się o kelnerkę. Lee zrozumiał też, że z czasem — może za parę lat — ojciec odejdzie i nie zabierze go ze sobą.

Ich kłótnia wcale go nie martwiła. Zaniepokoiło go, że grające w tle radio wydaje charczący, dysonansowy dźwięk, jakby po schodach spadały garnki, jakby coś syczało i bulgotało. Ten dźwięk szarpał jego nerwy; skręcił do radia, żeby je wyłączyć, i dopiero sięgając do gałki, uświadomił sobie, że to piosenka „The Devil Inside”. Nie miał pojęcia, dlaczego mu się kiedyś podobała. W następnych tygodniach przekonał się, że nie może znieść żadnej muzyki. Piosenki przestały mieć sens, były tylko chaosem

drażniących dźwięków. Gdy w pokoju grało radio, wychodził. Wolał ciszę, która współgrała z jego myślami.

Wchodząc po schodach, czuł zawroty głowy. Wydawało mu się, że ściany pulsują. Bał się, że jeśli wyjrzy na zewnątrz, znowu zobaczy księżyc podrygujący na niebie i tym razem nie zdoła go naprawić. Pomyślał, że powinien się położyć, zanim upadnie. Rzucił ze schodów „dobranoc”. Matka go nie zauważyła. Ojciec olał.

*

Gdy następnego dnia się obudził, poduszka była sztywna od wyschniętych plam krwi. Przyjrzał się im bez niepokoju i strachu. Szczególnie zainteresował go zapach — stęchła woń miedziaków.

Parę minut później stał pod prysznicem i przypadkiem spojrzął między nogi. Cienka nitka czerwonego brązu wmieszała się w strumyk wody i spływała spiralnie do sitka, jakby w wodzie była rdza. Ale to nie była rdza. Uniósł rękę do głowy — może się skaleczył, spadając z płotu. Zbadał palcami obolałe miejsce na prawej skroni. Dotknął czegoś, co wydawało się małym zagłębieniem, i przez chwilę jakby ktoś wrzucił pod prysznic suszarkę, poraził go elektryczny wstrząs, od którego świat rozbłysnął, zmienił się w fotograficzny negatyw. Gdy minął szok, Lee spojrzął na rękę i zobaczył krew na palcach.

Nie powiedział matce, że rozbił sobie głowę — nie wydawało mu się to ważne — nie wyjaśnił, skąd się wzięła krew na poduszce, choć matka się przeraziła.

— Coś takiego! — powiedziała. — Całkiem dobra poszewka! Zupełnie zniszczona!

Stała na środku kuchni z przesiąkniętą krwią poszewką w dłoniach.

— Daj spokój — odezwał się ojciec, czytający przy stole gazetę sportową. Był blady, zarośnięty i skacowany, ale i tak znalazł dla niego uśmiech. — Dzieciak miał krwotok z nosa, a ty się zachowujesz, jakby kogoś zabił. To nie morderca. — Mrugnął do syna. — Na razie.

ROZDZIAŁ 38

Lee znalazł dla Merrin uśmiech, kiedy otworzyła drzwi, ale tego nie doceniła. Ledwie na niego spojrzała.

— Powiedziałem Igowi, że dziś muszę pojechać do Bostonu w sprawach kongresmena, a on na to, że jeśli nie wezmę cię gdzieś na dobrą kolację, przestanie być moim przyjacielem.

Na kanapie siedziały dwie dziewczyny, oglądały telewizję. Między nimi i na podłodze u ich stóp poniewierały się pudełka. Obie żółte i skośne, jak współlokatorka Merrin. Współlokatorka siedziała na oparciu fotela, wrzeszcząc radośnie do komórki. Lee nie miał dobrego zdania o Azjatach, mrówkopodobnych istotach z fiksacją na tle komórek i aparatów fotograficznych, choć podobał mu się styl azjatyckiej pensjonarki, czarne buciki ze sprzączkami, białe pod kolanka i plisowane spódniczki. Drzwi do pokoju współlokatorki były otwarte; na gołym materacu widział kolejne pudełka.

Merrin spojrzała na to wszystko z rezygnacją, a potem odwróciła się do Lee. Gdyby wiedział, że zobaczy ją szarą jak szmata, bez makijażu, z brudnymi włosami i w workowatych dresach, pewnie by sobie darował tę wizytę. Kompletna porażka.

Już żałował, że przyjechał. Uświadomił sobie, że ciągle się uśmiecha, więc przestał. Szukał właściwych słów.

— Nadal źle się czujesz?

Skinęła głową z roztargnieniem.

— Chodźmy na dach. Mniej tam hałasu.

— Poszedł za nią po schodach. Wyglądało na to, że nie wyjdą na kolację. Merrin wyjęła z lodówki dwa heinekeny. Lepsze to niż nic.

Dochodziła ósma, ale jeszcze się nie ściemniło. Chłopcy znowu jeździli na deskach, które szczękały i turkotały na asfalcie. Lee podszedł na skraj dachu, żeby na nich spojrzeć. Paru miało irokezy, krawaty i koszule zapięte tylko przy kołnierzu. Lee zawsze uważał deskę za element stroju, bo z nią pod pachą wygląda się na buntownika, trochę niebezpiecznego, ale i wysportowanego. Nie podobała mu się tylko perspektywa upadku; na samą myśl połowa głowy lodowaciała mu i drętwiała.

Merrin dotknęła jego karku i przez chwilę obawiał się, że go zepchnie w dół. Chciał się odwrócić, chwycić ją za szyję i pociągnąć za sobą. Chyba dostrzegła jego przerażenie, bo uśmiechnęła się po raz pierwszy i podała mu piwo. Podziękował skinieniem głowy, wziął je w jedną rękę, drugą zapalił papierosa.

Merrin usiadła na zewnętrznej obudowie klimatyzatora. Nie piła swojego piwa, obracała mokrą butelkę w dłoniach. Stopy miała bose. Słodkie były te jej małe różowe stopki. Łatwo mu było sobie wyobrazić, jak Merrin kładzie jedną z nich między jego nogami i palcami delikatnie ugniata mu krocze.

— Chyba pójdę za twoją radą — powiedziała.

— Będziesz głosować na republikanów? W końcu postęp!

Znowu się uśmiechnęła, ale był to smutny, blady uśmiech. Odwróciła wzrok.

— Powiem Igowi, że po jego wyjeździe do Anglii chcę wziąć urlop od naszego związku. Jakby próbną separację, żebyśmy oboje mogli się spotykać z innymi.

Lee poczuł, jakby się o coś potknął, choć przecież stał nieruchomo.

— Kiedy zamierzasz mu to obwieścić?

— Gdy wróci z Nowego Jorku. Nie chciałam mu mówić przez telefon. Nie uprzedzaj go, Lee. Nie rób żadnych aluzji.

— Dobrze. — Zachwyciło go to, co powiedziała, ale wiedział, że nie należy tego okazywać. — Powiesz mu, że powinien się spotykać z innymi?

Skinęła głową.

— A... ty też będziesz?

— Powiem mu, że chcę spróbować, jak mi będzie z kimś innym. Nic więcej. Powiem mu, że to, co zrobi podczas pobytu w Anglii, się nie liczy. Nie chcę wiedzieć, z kim się spotyka, nie będę mu opowiadać o moich związkach. To chyba... chyba powinno wszystko ułatwić. — Wiatr porywał jej włosy i ładnie się nimi bawił. Pod tym bladofioletowym wieczornym niebem wyglądała na mniej chorą i wymizerowaną. — Ale wiesz, już mam wyrzuty sumienia.

— Hm... niepotrzebnie. Jeśli naprawdę się kochacie, po pół roku będziecie mieć pewność i znowu zechcecie być razem.

Pokręciła głową.

— Nie, ja... sądzę, że to nie na jakiś czas. Tego lata dowiedziałam się czegoś o sobie i inaczej spojrzałam na mój związek z Igiem. Kiedy pojedzie do Anglii, kiedy zdąży kogoś poznać, skończę to na dobre.

— Jezu... — mruknął Lee, jeszcze raz powtarzając w myśli „tego lata dowiedziałam się czegoś o sobie”. Wspomniał, jak stali razem w kuchni, on z kolanem między jej nogami, z rękami na gładkiej krzywiźnie jej bioder, znowu poczuł jej łaskoczący mu ucho delikatny, przyspieszony oddech. — Jeszcze parę tygodni temu mówiłaś, że macie imiona dla dzieci.

— Tak. Ale jak się coś wie, to się wie i koniec. A ja już wiem, że nigdy nie będę miała z nim dzieci. — Wydawała się spokojniejsza, jakby odetchnęła. — Teraz pora, żebyś zaczął bronić przyjaciela i odwodzić mnie od tego pomysłu. Jesteś na mnie zły?

— Nie.

— Źle o mnie myślisz?

— Źle bym pomyślał, gdybyś nadal chciała być z Igiem, wiedząc, że nie ma dla was przyszłości.

— Właśnie. Chcę, żeby Ig miał inne dziewczyny, żeby był szczęśliwy. Jeśli się dowiem, że jest szczęśliwy, łatwiej będzie mi odejść.

— Ale... o Jezu. Byliście ze sobą od zawsze. — Ręka mu zadrżała, gdy wyciągnął z paczki drugiego papierosa. Za tydzień Ig wyjedzie, ona zostanie sama i nie będzie się tłumaczyć z tego, z kim się rżnie.

Spojrzała na papierosy.

— Mogę jednego?

— Serio? Myślałem, że chcesz, żebym rzucił.

— Ig chciał, żebyś rzucił. Ja zawsze byłam ciekawa, ale... no wiesz. Myślałam, że Ig będzie miał coś przeciwko. Teraz mogę spróbować. — Potarła dłonie o kolana. — No to... nauczysz mnie dziś palić?

— Pewnie.

Deskorolki turkotały na ulicy. Paru chłopców wrzasnęło z zachwytem i strachem, kiedy jeden z nich runął na ziemię. Merrin wyjrzała zza krawędzi dachu.

— Chciałabym się też nauczyć jeździć na deskorolce.

— Durny sport. Łatwo coś złamać. Na przykład kark.

— O kark się nie martwię — powiedziała, wspięła się na palce i pocałowała go w kącik ust. — Dziękuję, że ze mną porozmawiałeś. Mam u ciebie dług.

Bluzeczka opinała jej piersi; na chłodnym wieczornym wietrzyku jej sutki się skurczyły i w materiale zostały zagłębienia. Lee miał ochotę położyć jej ręce na biodrach, zaciekawiał się, czy mogliby dziś zacząć od małej macanki. Ale zanim zdążył wyciągnąć rękę, drzwi na dach otworzyły się z łomotem i stanęła w nich współlokatorka Merrin. Gruba, męska. Żuła gumę.

— Williams, dzwoni twój chłopak. Razem z kumplami z Amnesty International poddali się waterboardingowi, żeby sprawdzić, co się wtedy czuje. Jest strasznie nakręcony i chce ci o tym opowiedzieć. Fajną ma robotę. Przeszkodziłam wam?

— Nie. — Merrin odwróciła się do Lee i szepnęła: — Uważa cię za ciemnego typu. Oczywiście ma rację. Muszę iść porozmawiać z Igiem. Darujemy sobie to wyjście?

— Kiedy z nim porozmawiasz... czy zrobisz coś w sprawie...
tej, o której rozmawialiśmy...

— A, to... Nie. Potrafię dotrzymać tajemnicy, Lee.

— Dobrze — szepnął z wyschniętymi ustami. Pragnął jej.

— Mogę szluga? — spytała Azjatka, podchodząc do nich.

— Jasne — powiedział Lee.

Merrin pomachała lekko ręką, przeszła przez dach i znikła.
Lee podał Azjatce winstona i ogień.

— To co, jedziesz do San Diego?

— No. Wprowadzam się do koleżanki z liceum. Będzie ekstra.
Ma konsolę Wii i wszystko.

— Gra w te kropki i kreski, czy będziesz musiała sama sobie
pracć?

Skośna łypnęła na niego i machnęła pulchną dłonią,
rozgarniając dzielącą ich zasłonę dymu.

— O czym ty mówisz?

— No wiesz, ta gra, w której stawia się w rzędach kropki, a
potem na zmianę rysuje się kreski, żeby powstały kwadraty? Nie
gracie w nią z Merrin o to, kto robi pranie?

— A gramy? — spytała dziewczyna.

ROZDZIAŁ 39

Wodził po parkingu spojrzeniem zdrowego oka, szukając Merrin. Wszystko tonęło w dziwnym, piekielnym świetle czerwonego neonu The Pit, więc nawet deszcz, który padał tej parnej nocy, był czerwony. A oto i ona, pod drzewem, w ulewie.

— Tam, Lee, tam! — powiedział Terry, ale Lee już skręcał.

Powiedziała, że może będzie potrzebować podwózki, jeśli Ig się bardzo zdenerwuje ich poważną rozmową. Lee dał jej słowo, że na wszelki wypadek podjedzie pod knajpę, a ona oznajmiła, że nie musi, ale uśmiechnęła się z wdzięcznością, więc zrozumiał, że tego od niego oczekuje. Z Merrin było tak, że nie zawsze mówiła to, co myślała, często słowa stały w sprzeczności z jej intencjami.

Kiedy zobaczył ją w przemoczonej bluzce i spódniczce oblepiającej nogi, z oczami zaczerwienionymi od płaczu, żołądek skręcił mu się z nerwowego podniecenia. Pomyślał, że czekała tu na niego, chciała być z nim. Rozmowa poszła źle, Ig gadał straszne rzeczy, w końcu ją rzucił i teraz nie było już powodu czekać. Lee uznał, że istnieje spora szansa, że Merrin zgodzi się pojechać do niego, powie łagodnie, ustępliwie: „tak”. Zwolnił, a ona go dostrzegła i uniosła rękę, od razu ruszyła do samochodu.

Pożałował, że najpierw nie odstawił Terry'ego do domu, chciał być z nią sam. Gdyby znaleźli się w samochodzie tylko we dwoje, ona mogłaby się do niego przytulić, szukając ciepła i pociechy, a on by ją objął i może wsunął rękę pod bluzkę.

Chciał, żeby usiadła z przodu, i odwrócił się do Terry'ego, by go wysłać na tylne siedzenie, ale on już przełaził nad oparciem fotela. Terry Perrish był najarany jak bombowiec, przez parę ostatnich godzin wypalił z kilo trawy i poruszał się z gracją słonia na prochach. Lee sięgnął ręką obok niego, żeby otworzyć drzwi Merrin, a przy tym szturchnął Terry'ego łokciem w tyłek, by go ponaglić. Terry stracił równowagę i spadł; dał się słyszeć cichy, metaliczny stuk, gdy uderzył w otwartą skrzynkę na narzędzia stojącą na podłodze.

Merrin wsiadła, odgarniając z twarzy mokre pasma włosów. Twarz w kształcie serca — nadal dziewczęcą — miała mokrą i białą, a Lee poczuł potrzebę, by delikatnie pogłodzić ją po policzku. Była przemoczona do nitki, spod mokrej bluzki prześwitywał stanik w różyczki. Zanim się zorientował, już to zrobił, wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć. Ale potem spojrzał w bok i dostrzegł porzuconego na siedzeniu Terry'ego jointa, grubego, długiego jak palec blanta. Przykrył go dłonią i zabrał, zanim Merrin zauważyła.

Lekko musnęła jego przegub lodowatymi palcami. Zadrżał.

— Dzięki, że mnie zabrałeś. Uratowałeś mi życie — powiedziała.

— Gdzie Ig? — spytał Terry zachrypniętym, ogłupiałym głosem, niszcząc tę chwilę. Lee spojrzał na niego w lusterku wstecznym. Terry siedział zgarbiony, z błędnym spojrzeniem, jedną dłoń przyciskając do skroni.

Merrin wtuliła dłoń w brzuch, jakby myśl o Igu sprawiła jej fizyczne cierpienie.

— Nie... nie wiem. Wyszedł.

— Powiedziałaś mu? — spytał Lee.

Merrin obejrzała się na The Pit. Zobaczył jej odbicie w szybie, jej podbródek, zmarszczony z wysiłku, by się nie rozpląkać. Dygotała tak mocno, że jej kolana obijały się o siebie.

— Jak to przyjął?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

— Jedźmy już.

Lee skręcił na szosę, zawracając w stronę, z której przyjechali. Wiedział, co zrobi. Podrzuci Terry'ego do domu, potem bez dyskusji zawiezie ją do siebie i spokojnym, zdecydowanym tonem — tak jak ona, gdy wysłała go pod prysznic w dniu śmierci jego matki — powie, że powinna się przebrać z mokrych ciuchów i

wziąć kąpiel. A kiedy przyniesie jej drinka, delikatnie odsunie zasłonę... i będzie już rozebrany.

— Hej, mała — odezwał się Terry. — Chcesz moją kurtkę?

Lee rzucił zirytowane spojrzenie w lusterko; myśl o Merrin pod prysznicem tak go zaprzątnęła, że prawie zapomniał o obecności Terry'ego. Poczł podskórny prąd nienawiści do gładkiego, zabawnego, sławnego, przystojnego i głupiego Terry'ego, który dzięki minimalnemu talentowi, rodzinnym znajomościom i sławnemu nazwisku zdobył bogactwo i dostęp do najlepszych cipek w kraju. Rozsądek podpowiadał, żeby spróbować go wykorzystać, sprawdzić, czy istnieje jakiś sposób, by za jego sprawą dodać kongresmenowi znaczenia, a przynajmniej trochę pieniędzy, ale tak naprawdę Lee nigdy go nie lubił — pyskacza i egocentryka, który specjalnie upokorzył go przed Glenną Nicholson pierwszego dnia ich znajomości. Brzydził go sam widok tego obleśnego skurwiela, który zaczyna czarować dziewczynę swojego brata niespełna dziesięć minut po ich zerwaniu, jakby miał do tego prawo. Lee sięgnął do przycisku klimatyzacji, zły na siebie, że nie wyłączył jej wcześniej.

— Nic mi nie jest — powiedziała Merrin, ale Terry już podał jej kurtkę. Podziękowała tonem tak pokornym i przymilnym, że Lee chciał ją spoliczkować. Merrin miała sporo zalet, ale

zasadniczo była jak inne kobiety, podniecona i potulna wobec władzy i pieniędzy. Gdyby nie fundusz powierniczy i nazwisko, nawet by nie spojrzała na tego żalсного Iga Perrisha. — Pe... pewnie myślisz...

— Nic nie myślę, więc wyluzuj.

— Ig...

— Na pewno sobie poradzi. Nie martw się.

Nadal dygotała — widok jej trzęsących się piersi był podniecający — ale obróciła się i wyciągnęła rękę do Terry'ego.

— To boli? — Cofnęła dłoń. Lee dostrzegł krew na jej palcach. — Powinieneś sobie przyłożyć ga... gazik.

— Spoko, to nic — odpowiedział Terry i Lee tym razem zapragnął spoliczkować jego. Dodał gazu, żeby jak najszybciej dowieźć go do domu i pozbyć się świadka.

Cadillac unosił się i opadał, sunął mokrą szosą, kołysał się na zakrętach. Merrin mocno oplatała się rękami pod osłoną kurtki Terry'ego, nadal dygocząc. Jej jasne oczy lśniły spod gąszczu wzburzonych włosów, rudej strzechy. Nagle oparła się o deskę rozdzielczą, trzymając sztywno wyprostowaną rękę, jakby mieli oderwać się od jezdni.

— Merrin, w porządku?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Zatrzymaj się. Zatrzymaj się tutaj. — Jej głos zabrzmiał piskliwie.

Zrozumiał, że Merrin zbiera się na wymioty. Zaraz się porzyga w jego cadillacu — ta myśl autentycznie go przeraziła. Najfajniejsze w chorobie i śmierci matki było to, że odziedziczył po niej ten samochód, a gdyby Merrin w nim zwymiotowała, wkurzyłby się potężnie. Tego smrodu nie da się usunąć, bez względu na wszystko.

Po prawej stronie zobaczył zbliżający się zjazd do odlewni i skręcił, nadal zbyt szybko. Przednie prawe koło wjechało na piasek na poboczu drogi, tyłem samochodu lekko zarzuciło, a to niewskazane, kiedy ma się obok siebie dziewczynę, której zbiera się na mdłości. Nadal hamując, skierował cadillaca na wyboistą zwirową ścieżkę. Zarośla szorowały po bokach samochodu, kamienie bębniły o podwozie. W świetle reflektorów pojawił się łańcuch biegnący w poprzek ścieżki. Zbliżał się szybko. Lee nie zdejmował nogi z hamulca, zwalniał powoli, systematycznie. W końcu cadillac zatrzymał się łagodnie, napierając zderzakiem na łańcuch.

Merrin otworzyła drzwi; rozległ się gwałtowny charkot, niemal jak mokry kaszel. Lee ostro zaciągnął hamulec. Sam też był trochę roztrzęsiony, zirytowany, z trudem odzyskał wewnętrzny

spokój. Jeśli ma ją dziś zwabić pod prysznic, nie powinien się spieszyć. Będzie ją prowadzić za rękę, krocze po kroczu. Zrobi to, pokieruje nią tam, dokąd i tak oboje zmierzają, ale musiał zapanować nad sobą i nad sytuacją. Na razie nie wydarzyło się nic, czego nie można naprawić.

Wysiadł i obszedł samochód. Deszcz bębnił wokół niego, moczył mu plecy i ramiona, przesiąkał przez materiał koszuli. Merrin postawiła nogi na ziemi i opuściła nisko głowę. Burza już traciła rozpęd, deszcz kapał cicho na liście wiszące nad drogą.

— Żyjesz? — spytał. Skinęła głową. Podjął: — Zawieźmy Terry'ego do domu, a potem pojedziesz do mnie, wszystko mi opowiesz. Zrobię ci drinka i wyrzucisz to z siebie. Lepiej się poczujesz.

— Nie. Nie, dziękuję. Chcę być sama. Muszę się zastanowić.

— Nie powinnaś być dziś sama. W twoim stanie ducha to najgorsze, co możesz zrobić. Hej, jedźmy do mnie. Naprawiłem twój krzyżyk. Chcę ci go zawiesić na szyi.

— Nie, Lee. Chcę wrócić do domu, przebrać się w coś suchego i pobyć sama.

Znowu poczuł rozdrażnienie — to całkiem w jej stylu: sądzi, że może go zwodzić w nieskończoność, oczekuje od niego, że odbierze ją spod knajpy i posłusznie zawiezie tam, gdzie mu każe, niczego

w zamian nie żądając — a po chwili się opanował. Poszedł do bagażnika, wyjął torbę gimnastyczną, przyniósł ją, podał Merrin.

— Mam ciuchy do ćwiczeń. Koszulkę. Spodnie. Suche i ciepłe. I niezarzygane.

Zawahała się, po czym wzięła pasek torby i wstała.

— Dziękuję. — Nie patrzyła mu w oczy.

Nie puścił torby, jeszcze nie pozwolił odejść Merrin w mrok.

— Zrozum, musiałaś to zrobić. Jak mogłaś pomyśleć, że możesz... że moglibyście...

— Daj mi się przebrać, dobrze? — Wyszarpnęła mu torbę z ręki.

Odeszła sztywno przez światło reflektorów, w obcisłej spódniczce lepiącej się jej do ud, w mokrej bluzce przejrzystej jak bibułka. Przełożyła nogę nad łańcuchem, potem drugą i dalej szła w stronę mroku, wzdłuż drogi. Jeszcze odwróciła głowę i rzuciła Lee spojrzenie, unosząc pytająco brew, jakby zadawała pytanie — albo go zapraszała. Potem znikła.

Lee zapalił papierosa, stojąc obok samochodu. Zastanawiał się, czy powinien iść za nią, nie całkiem pewien, czy chce pójść do lasu, kiedy Terry to widzi. Po paru minutach zajrzał do cadillaca. Terry leżał na tylnym siedzeniu, z ręką na oczach. Niezle się walnął w głowę, miał czerwoną krechę w okolicach prawej skroni,

a i przedtem też ledwie kontaktował, był napruty jak stodoła. Śmieszne, że znaleźli się koło tej odlewni, gdzie Lee poznał Terry'ego Perrisha, który wraz z Erikiem Hannitym wysadził w powietrze wielkiego mrożonego indyka. Przypomnił sobie o jaincie Terry'ego i namacał go w kieszeni. Może parę machów uspokoi żołądek Merrin i uczyni ją chętniejszą.

Czekał jeszcze przez minutę, ale Terry się nie poruszył, więc rzucił niedopałek w mokrą trawę i ruszył za Merrin. Szedł zwirową ścieżką, lekko skręcającą i biegnącą w górę zbocza, i oto zobaczył czarną odlewnię na tle kłębiących się czarnych chmur. Z niebosiężnym kominem wyglądała jak fabryka produkująca koszmary w ilościach przemysłowych. Mokra trawa lśniła i drżała na wietrze. Lee pomyślał, że Merrin poszła aż do tej zrujnowanej warowni z czarnych cegieł i cieni, że tam się przebiera, ale psyknęła na niego z mroku po lewej stronie. Wtedy ją zobaczył, jakieś pięć metrów od ścieżki.

Stała pod starym drzewem, spod którego łuszczącej się kory ukazywał się martwy, biały, usiany trądowymi plamami pień. Miała na sobie jego szare spodnie od dresu. Do nagiej piersi przyciskała sportową kurtkę Terry'ego. Ten widok był dla niego erotycznym szokiem, jakby wyjętym prosto z leniwej popołudniowej masturbacyjnej fantazji. Merrin o jasnych

ramionach, szczupłych rękach i znękanych oczach, półnaga, drżąca w lesie, czekająca na niego w samotności.

U jej stóp leżała torba. Mokre ubranie spoczywało złożone po jednej stronie, na nim znajdowały się porządnie ustawione szpilki. W jednej z nich coś zauważył — wyglądało jak równo złożony męski krawat. Jak ona lubiła wszystko składać!

— W twojej torbie nie było bluzy — powiedziała. — Tylko spodnie.

— Fakt. Zapomniałem. — Szedł ku niej.

— A, co tam. Daj mi swoją koszulę.

— Mam się rozebrać?

Usiłowała się uśmiechnąć, ale wyrwało się jej niecierpliwe westchnienie.

— Lee, przepraszam, ja... jestem trochę zdenerwowana.

— Oczywiście. Musisz się napić i z kimś pogadać. Wiesz co? Mam trawę, jeśli chcesz się odprężyć. — Uniósł jointa i uśmiechnął się, bo czuł, że Merrin potrzebuje teraz uśmiechu. — Chodźmy do mnie. Jeśli nie będziesz dziś miała ochoty, to kiedy indziej.

— O czym ty mówisz? — spytała, marszcząc brwi. — Nie mam nastroju na żarty.

Pochylił się i pocałował ją w usta, mokre i zimne. Wzdrygnęła się, cofnęła o krok. Kurtka wysliznęła się jej z rąk, przytrzymała ją, osłoniła się przed nim.

— Co robisz?

— Chciałem cię pocieszyć. Jeśli źle się czujesz, to częściowo przeze mnie.

— Nie przez ciebie. — Patrzyła na niego wielkimi, zdumionymi oczami, w których powoli zaczęła świtać straszna świadomość. Łatwo było sobie wyobrazić, że ma nie dwadzieścia cztery, ale szesnaście lat, że jest jeszcze nietknięta. — Nie zerwałam z Igiem przez ciebie. To nie miało nic wspólnego z tobą.

— Ale możemy być razem. Nie o to ci chodziło od samego początku?

Cofnęła się o kolejny chwiejny krok, z coraz większym osłupieniem, otwierając usta do krzyku. Zaniepokoiło go, że mogłaby krzyknąć, poczuł impuls, by przyskoczyć do niej, zasłonić jej usta ręką. Ale nie krzyknęła. Roześmiała się — zduszonym, niedowierzającym śmiechem, jakby śmiała się z niego jego toczona demencją matka.

— O kurwa — powiedziała. — O Jezusie, kurwa. Lee, to bardzo kiepski moment na takie gówniane żarty.

— Zgadza się.

Spojrzała na niego w osłupieniu. Ten chory, zdezorientowany uśmiech znikł z jej twarzy, górna warga uniosła się w grymasie. Brzydkim grymasie odrazy.

— Tak myślałeś? Że zerwałam z nim... żeby móc się różnić z tobą? Jesteś jego przyjacielem. Moim przyjacielem! Nic nie rozumiesz?

Zrobił krok w jej stronę, chciał ją chwycić za ramię. Odepchnęła go. Nie spodziewał się tego, zatoczył się, potknął o jakiś korzeń i usiadł na mokrej, twardej ziemi.

Poczuł, że coś w nim narasta, jakby ryk nawałnicy, huk mknącego przez tunel pociągu. Nie miał jej za złe tego, co powiedziała, choć nie było to ładne — zwodziła go od miesiący, właściwie od lat, a teraz wyśmiała. Znienawidził ją za wyraz jej twarzy. Za ten grymas wstrętu, małe ostre ząbki ukazujące się spod uniesionej górnej wargi.

— To o czym mówiliśmy? — spytał cierpliwie, nadal siedząc jak idiota na mokrej ziemi. — O czym rozmawialiśmy przez cały zeszły miesiąc? Myślałem, że chcesz się bzykać z innymi. Myślałem, że dowiedziałaś się czegoś nowego o sobie, swoich uczuciach. Czegoś związanego ze mną.

— O Boże. O Jezu. Lee...

— Zapraszałaś mnie na kolacje. Pisałaś świńskie esemesy o jakiejś nieistniejącej blondynce. Dzwoniłaś do mnie o każdej porze dnia i nocy, żeby spytać, jak sobie radzę, jak się czuję. — Położył rękę na schludnym stosiku jej ubrań. Przygotowywał się, żeby wstać.

— Martwiłam się o ciebie, ty palancie. Matka ci umarła!

— Myślisz, że jestem głupi? W dniu jej śmierci rzuciłaś się na mnie, ujeżdżałaś moją nogę, podczas gdy matka leżała w pokoju obok.

— Co?! — rzuciła głosem ostrym i piskliwym. Robiła tyle hałasu, Terry mógł usłyszeć, chceć sprawdzić, dlaczego się kłóca. Lee namacał wsunięty do buta krawat, zacisnął na nim palce, wstając. Merrin mówiła dalej: — Pamiętam, byłeś pijany, ja cię uścisnęłam, a ty zacząłeś mnie obmacywać. Pozwoliłam ci, bo miałaś tak strasznie przerabane, tylko dlatego. Tylko! — Znowu zaczęła płakać.

— Zasłoniła oczy dłonią, zadrżał jej podbródek. Drugą ręką nadal tuliła do piersi kurtkę. — Wszystko to jakieś pojebane. Myślałeś, że zrywam z Igiem, żeby się bzykać z tobą? Wolałabym umrzeć, Lee. Umrzeć. Nie wiesz?

— Już wiem, suko — powiedział, wyszarpnął jej kurtkę z ręki, cisnął na ziemię i zarzucił Merrin na szyję pętlę z krawata.

ROZDZIAŁ 40

Kiedy uderzył ją kamieniem, przestała go z siebie spychać i mógł z nią robić, co chciał, więc rozluźnił pętlę na jej szyi. Merrin odwróciła głowę w bok, oczy wyszły jej z orbit, powieki dziwnie trzepotały. Spod jej włosów wypelzła strużka krwi, spłynęła po brudnej, umazanej twarzy.

Lee pomyślał, że Merrin kompletnie odleciała, jest zbyt ogłuszona, zdolna tylko do leżenia, kiedy ją rznął, ale nagle odezwała się dziwnym, odległym głosem:

— W porządku.

— Tak? — stęknął i pchnął jeszcze silniej. Nie było tak fajnie, jak się spodziewał, była sucha. — Tak, podoba ci się?

Ale znowu jej nie zrozumiał. Nie mówiła o swoich doznaniach.

— Uciekłam — dodała.

Nie odpowiedział, skupił się na działaniu między jej nogami. Spojrzała w wielką, rozłożystą koronę drzewa nad nimi.

— Wspięłam się na drzewo i uciekłam — szepnęła. — W końcu znalazłam drogę powrotną, Ig. Nic mi nie jest. Trafiłam w bezpieczne miejsce.

Lee zerknął w górę na gałęzie, ale nic tam nie było. Nie miał bladego pojęcia, na co patrzy Merrin, o czym mówi, i nie chciało mu się pytać. Kiedy znowu spojrział na jej twarz, w jej oczach czegoś brakowało. Merrin nie odezwała się już ani słowem, i dobrze, bo rzygać mu się chciało od tego jej pierdolonego gadania.

**EWANGELIA WEDŁUG MICKA
I KEITHA**

ROZDZIAŁ 41

Było wcześniej. Ig zabrał widły z odlewni, wrócił nagi nad rzekę. Wszedł w wodę po kolana i znieruchomiał. Słońce wspinało się coraz wyżej na bezchmurnym niebie, kładąc mu ciepły blask na ramionach.

Nie wiedział, jak wiele czasu minęło, nim zauważył pstrąga jakiś metr od swojej lewej nogi. Ryba unosiła się nieruchomo w wodzie, wachlując ogonem i gapiąc się głupio w jego stopy. Ig uniósł widły — Posejdon z trójzębem — obrócił je i rzucił. Trafił za pierwszym razem, jakby łowił w ten sposób od lat, jakby rzucił widłami po raz tysięczny. Nie różniło się to wiele od rzucania oszczepem, którego uczył dzieciaki na kościelnym obozie.

Upiekł pstrąga własnym oddechem na brzegu rzeki, podmuchem żaru z płuc, na tyle silnym, że powietrze zadrgało. Rzucająca się ryba poczerniała, jej oczy nabrały koloru ściętego żółtka. Na razie nie potrafił ziać ogniem jak smok, ale zakładał, że i to przyjdzie z czasem.

Łatwo było buchać żarem, wystarczyło się tylko skupić na przyjemnym uczuciu nienawiści. Na ogół koncentrował się na tym, co widział w głowie Lee. Lee powoli piekący matkę w piecu jej łoża

śmierci. Lee zaciskający krawat na szyi Merrin, żeby nie krzyczała. Wspomnienia Lee tłoczyły się teraz w głowie Iga, były jak kwas z baterii, toksyczna, żrąca gorycz, którą należało wypluć natychmiast.

Zjadł i wrócił nad rzekę, żeby zmyć z siebie tłuszcz pstrąga. Wodne węże oplatały się wokół jego kostek. Zanurzył się i wyłonił nad powierzchnię; zimna woda spływała mu po twarzy. Wytarł oczy wierzchem wychudłej czerwonej dłoni, zamrugał i spojrzał na swoje odbicie. Może rwąca woda zniekształcała obraz, ale wydawało mu się, że jego rogi stały się większe, grubsze u podstawy. Czubkami zaczęły się zakrzywiać do środka, jakby chciały się zetknąć. Jego skóra nabrała głębokiego, żywego odcienia czerwieni. Całe jego ciało było nieskazitelne, sprężyste jak focza skóra, czaszka gładka jak gałka u drzwi. Tylko jedwabista bródka jakoś się nie zwęgliła.

Przechylił głowę, by zobaczyć swój profil. Uznał, że wygląda jak romantyczny, niepokorny młody Asmodeusz.

Odbicie odwróciło się i przyjrzało się mu chytrze.

Dlaczego tu łowisz? — spytał diabeł w wodzie. Czy nie jesteś łowcą ludzi?

— Łapać i wypuszczać? — spytał Ig.

Jego odbicie zatrzęsło się ze śmiechu — zaniósło się chrapliwym, konwulsyjnym rechotem, ogłuszającym jak

eksplodujące petardy. Ig podniósł głowę i zrozumiał, że to krakanie wrony, która przemknęła tuż nad powierzchnią wody. Zaczął miąć w palcach zarost, tę bródkę intryganta, nasłuchując odgłosów lasu, ciszy pełnej ech. W końcu dotarły do niego inne dźwięki — głosy dobiegające z góry rzeki. Po chwili gdzieś daleko wrzasnęła policyjna syrena.

Wspiął się na brzeg rzeki, żeby się ubrać. Wszystko, co przyniósł ze sobą do odlewni, spłonęło w gremlinie, ale przypomniał sobie o pleśniejących starych ciuchach na gałęziach dębu nad trasą Evela Knievela: poplamiony czarny płaszcz, jedna czarna skarpetka i błękitna koronkowa spódniczka, jakby prosto z teledysku Madonny z lat osiemdziesiątych. Zdjął te brudne szmaty z drzewa. Włożył spódniczkę, przypominając sobie werset 22,5 z Księgi Powtórzonego Prawa — że mężczyzna nie będzie nosił ubioru kobiety, gdyż każdy, kto tak postępuje, obrzydły jest dla Pana, Boga swego. Ig poważnie traktował swoje obowiązki młodego, początkującego władcy piekła. Jak się powiedziało a, trzeba powiedzieć i be — starał się, żeby to było coś bardzo be. Ale pod spódniczkę włożył skarpetę, bo jednak wstydził się chodzić w mini. Na koniec narzucił na siebie sztywny czarny płaszcz o podartej podszewce.

Ruszył, a błękitne koronkowe falbanki spódniczki falowały, muskając mu uda, wachlując jego goły czerwony tyłek. Widły ciągnął za sobą. Jeszcze nie dotarł do drzew, kiedy w trawie coś złoto błysnęło. Błysk powtórzył się raz i drugi, gorąca iskra w zaroślach, wysyłająca mu pilną i nieskomplikowaną wiadomość: Tutaj, stary, spójrz no tutaj. Pochylił się i podniósł z trawy krzyżyk Merrin, rozgrzany po całym poranku w gorącym słońcu, z tysiącem drobniutkich rysek na powierzchni. Uniósł go do nosa, wyobrażając sobie, że może jeszcze poczuje zapach Merrin, ale nie, krzyżyk nie pachniał. Zapięcie znowu się zepsuło. Ig dmuchnął na nie delikatnie, podgrzał je, żeby roztopić metal. Spiczastymi pazurami wyprostował delikatne złote ogniwko. Przyglądał się krzyżykowi jeszcze przez chwilę i w końcu założył go na szyję. Prawie się spodziewał, że wisiołek sparzy jego czerwone ciało, wypali w nim czarny ślad w kształcie krzyża, ale metal spoczął lekko na jego piersi. Oczywiście nic, co należało do Merrin, nie mogło mu zrobić krzywdy.

Znaleźli samochód. Prąd zniósł go na piaszczystą łachę za mostem Old Fair Road, gdzie na pożegnanie lata młodzi co roku robili ognisko. Gremlin wyglądał, jakby usiłował wydostać się z rzeki; jego przednie opony zaryły się w miękkim piasku, tył pozostał zanurzony w wodzie. Parę radiowozów i jeden holownik

jechały ku niemu. Inne samochody — policyjne, ale także prywatne, należące do miejscowych wieśniaków, którzy nie mogli sobie odmówić tej radochy — stały na zwirowej łasze pod mostem. Jeszcze inne zatrzymały się na moście. Ludzie tłoczyli się przy balustradzie. Słysząc było chrypienie i bełkot policyjnych krótkofalówek.

Gremlin oblaźł z lakieru, metalowa karoseria była spieczona na czarno. Policjant w gumiakach otworzył drzwi od strony pasażera, chlusnęła woda. Na fali wypłynął okoń, błysnął łuskami w porannym słońcu i wylądował z plaśnięciem na mokrym piasku. Gliniarz w gumiakach odsunął go nogą na płyciznę, gdzie okoń odzyskał przytomność i prysnął.

Paru mundurowych stało na piasku, pijąc kawę i śmiejąc się, nawet nie patrząc na samochód. Poranny wiaterek przyniósł Igowi urywki ich rozmów.

— ...kurwa, co to? Honda civic?

— ...nie wiem. Rupieć jakiś.

— ...ktoś chciał rozpalić ognisko parę dni wcześniej...

Roztaczali atmosferę wakacyjnej wesołości, swobody i męskiej nonszalancji. Gdy holownik zaczął się wycofywać, ciągnąc za sobą gremlina, przez tylną szybę wraku buchnęła woda, roztrzaskując szkło. Ig zauważył brak tylnych tablic rejestracyjnych. Z przodu

też pewnie znikły. Lee nie zapomniał ich zdjąć, zanim wywlókł go z pieca i wrzucił do samochodu. Policjanci nie wiedzieli, na co trafili — na razie.

Ig siedział na kamieniach nad stromym urwiskiem, obserwował plażę spomiędzy sosen, z odległości jakichś dwudziestu metrów. W dół spojrział dopiero wtedy, gdy dobiegł go śmiech. Wyrzwał z roztargnieniem zza krawędzi i zauważył Sturtza i Posadę w pełnym umundurowaniu. Stali obok siebie i trzymali sobie nawzajem fiuty, sikając w krzaki. Kiedy ich usta się spotkały, Ig musiał się chwycić najbliższego drzewa, żeby nie spaść im na głowy. Wycofał się w zarośla, gdzie nie mogli go zobaczyć.

Ktoś krzyknął:

— Sturtz! Posada! Gdzie się szwendacie? Potrzebujemy kogoś na moście!

Ig ostrożnie znowu spojrział na policjantów. Owszem, chciał sprawić, żeby się na siebie rzucili, ale nie w ten sposób! Choć właściwie wcale się nie zdziwił. To chyba najstarsza diabelska zasada: zawsze można ufać, że grzech ujawni to, co w człowieku jest najbardziej ludzkie, tak jeśli chodzi o dobro, jak i zło. Zaszleściło poprawiane ubranie, Posada się roześmiał i obaj odeszli.

Ig wszedł na wyższy punkt zbocza, skąd miał lepszy widok na plażę i most. Zobaczył Dale'a Williamsa. Ojciec Merrin stał przy balustradzie wśród innych gapiów — otyły mężczyzna z włosami obciętymi na jeża i w koszuli z krótkim rękawem.

Widok zwęglonego samochodu zdawał się fascynować Dale'a, który oparł się o zardzewiałą balustradę, splótłszy grube palce. Może policjanci nie wiedzieli, co znaleźli, ale on wiedział. Znał się na samochodach, sprzedawał je od dwudziestu lat i poznał gremlina. Nie tylko sprzedał go Igowi, ale też pomógł mu go wyremontować i widywał ten wóz na swoim podjeździe niemal co wieczór przez sześć lat. Ig nie potrafił sobie wyobrazić, co Dale widzi teraz, gdy spogląda na zwęglony wrak i sądzi, że jego córka odbyła tym samochodem ostatnią podróż.

Na moście i po obu stronach jezdni zatrzymywały się samochody. Dale stał na wschodnim krańcu mostu. Ig ruszył wśród drzew ku drodze.

Dale także nie stał w miejscu. Gdy zobaczył policjanta — Sturtza — idącego zboczem wzgórza, zaczął się przeciskać wśród gapiów, powoli jak bawół torując sobie drogę.

Ig dotarł na skraj jezdni i zauważył niebieskie bmw kombi Dale'a. Auto stało na żwirowym poboczu drogi, w cieniu kępy sosen. Poznał je po tablicach rejestracyjnych. Szybko wyłonił się z

lasu, wsiadł na tylne siedzenie, zamknął za sobą drzwi i znieruchomiał z widłami na kolanach.

Tylna szyba była przyciemniana, ale to nie miało znaczenia. Dale się spieszył, nie spojrzawszy na tył samochodu. Ig rozumiał jego niechęć do zostania zauważonym w tłumie. Gdyby ktoś chciał sporządzić listę mieszkańców Gideon, pragnących ujrzeć Iga Perrisha płonącego jak żywa pochodnia, Dale zdecydowanie znalazłby się w pierwszej piątce.

Ojciec Merrin otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Jedną ręką zdjął okulary, drugą zasłonił oczy. Przez chwilę siedział nieruchomo, oddychając spazmatycznie i cicho. Ig czekał, nie chcąc mu przeszkadzać.

Na desce rozdzielczej wisiały zdjęcia i obrazki. Jeden, olejny, przedstawiał Jezusa o złotej brodzie i zaczesanych do tyłu złotych włosach, spoglądającego uduchowionym wzrokiem w niebo, z którego zza chmur spływały promienie złotego światła. „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni zostaną pocieszeni”, głosił podpis. Obok wisiało zdjęcie dziesięcioletniej Merrin, siedzącej za ojcem na motocyklu. Miała gogle i biały kask z czerwonymi gwiazdkami i błękitnymi liniami. Oplatała ojca ramionami. Przy motocyklu stała ładna kobieta o ciemnorudych włosach. Trzymała dłoń na kasku Merrin i uśmiechała się do

obiektywu. Ig początkowo sądził, że to matka Merrin, ale potem zrozumiał, że jest za młoda i że to musi być jej siostra, ta co umarła, kiedy Williamsowie mieszkali na Rhode Island. Dwie córki, obie stracone. Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni dostaną kopa w jaja, jak tylko spróbują się podnieść. Nie ma tego w Biblii, a powinno być.

Dale opanował się, uruchomił samochód, wjechał na jezdnię, po raz ostatni zerknąwszy w boczne lusterko. Przegubem otarł policzki, włożył okulary. Przez chwilę jechał w milczeniu. Potem pocałował swój kciuk i dotknął nim dziewczynki na motocyklu.

— To był jego samochód, Mary — powiedział. Takim imieniem nazywał Merrin. — Spalony. Już chyba po nim. Ten zły człowiek nie wróci.

Ig położył jedną rękę na oparciu fotela kierowcy, drugą na sąsiednim i prześliznął się między nimi na miejsce obok Dale'a.

— Przykro mi pana rozczarować — odezwał się. — Niestety, tylko ulubieńcy bogów umierają młodo.

Dale zachłysnął się ze strachu i szarpnął kierownicą. Zjechali ostro w prawo, na zwirowe pobocze. Ig wpadł na deskę rozdzielczą, omal nie zsunął się na podłogę. Kamienie grzechotały i bębniły o podwozie. Potem samochód znieruchomiał, Dale wyskoczył i z krzykiem popędził przed siebie.

Ig usiadł prosto. Nic z tego nie rozumiał. Dotąd nikt nie krzyczał na widok jego rogów, nikt nie uciekał. Owszem, czasem ludzie chcieli go zabić, ale krzyżeć i uciekać — co to, to nie.

Dale zatrzymał się na środku szosy i obejrzał przez ramię na samochód, kwiląc zupełnie jak ptak. Jakaś kobieta w nissanie śmignęła obok, trąbiąc klaksonem. Dale chwiejnie dotarł do zarośniętego chwastami rowu na wąskim poboczu. Ziemia przed nim ustąpiła, spadł.

Ig usiadł za kierownicą i wolno pojechał za nim.

Zahamował obok Dale'a, który wstał chwiejnie i znowu zaczął uciekać, tym razem rowem. Ig wcisnął guzik opuszczający szybę od strony kierowcy i wychylił się przez okno.

— Niech pan wsiądzie — powiedział.

Dale nie zwolnił. Biegł dalej, ledwie zipiąc i trzymając się za serce. Na jego obwisłych policzkach lśnił pot. Na siedzeniu spodni widać było pęknięcie.

— Zostaw mnie! — krzyknął niewyraźnie. — Ranku!

Powtórzył to dwa razy, zanim Ig zrozumiał, że „ranku” to spanikowane „ratunku”.

Spojrzał tępo na obrazek Chrystusa na desce rozdzielczej, jakby miał nadzieję, że Wielki J coś mu doradzi — i wtedy przypomniał sobie o krzyżyku spoczywającym lekko na jego nagiej

piersi. Lee nie widział jego rogów, dopóki nosił krzyżyk; Ig uznał, że jeśli sam go włoży, rogi staną się niewidzialne i nieodczuwalne dla wszystkich — zdumiewające lekarstwo na jego przypadłość. Dla Dale'a Williamsa Ig był dawnym sobą: mordercą, który rozbił kamieniem głowę jego córce, a teraz schował się w jego samochodzie, ubrany w spódnicę i uzbrojony w widły. Złoty krzyżyk na szyi był ludzkim pierwiastkiem Iga, płonącym jasnym blaskiem w promieniach porannego słońca.

Ale pierwiastek ludzki do niczego by mu się nie przydał ani w tej, ani w żadnej innej sytuacji. Stał się mu zbędny od tej nocy, kiedy stracił Merrin. Był wręcz słabością. Teraz, kiedy już do tego przywykł, o wiele bardziej odpowiadało mu życie demona. Krzyżyk był symbolem tej najbardziej ludzkiej przypadłości: cierpienia. A Ig miał dość cierpienia. Jeśli ktoś musi zostać przybity do kawałka drewna, on wolał być tym przybijającym. Zjechał na pobocze, zdjął krzyżyk i włożył do schowka na rękawiczki. Potem znowu chwycił za kierownicę.

Wyprzedził Dale'a i zatrzymał samochód. Sięgnął na tylne siedzenie, wziął z niego widły i wysiadł, manewrując nimi niezdarnie. Dale minął go biegiem, brodząc po kostki w błotnistej wodzie przydrożnego rowu. Ig zrobił dwa kroki za nim i rzucił widłami. Wbiły się w błoto tuż przed Dale'em, który wrzasnął,

zbyt gwałtownie zawrócił i usiadł z głośnym pluskiem. Zaczął się miotać w grzędawisku, usiłując wstać. Rękojeść wideł sterczała pionowo z płycizny, jeszcze drżąc z rozpędu.

Ig ześliznął się po zboczach do rowu z gracją węża wijącego się wśród mokrych liści, chwycił widły, zanim Dale zdążył się podnieść. Wyszarpnął je z błota i wycelował w Dale'a. Na jednym metalowym zębie wił się rak w śmiertelnych konwulsjach.

— Dość się nabiegałeś. Wsiadaj do samochodu. Mamy wiele do obgadania.

Dale oddychał z trudem. Powiódł wzrokiem wzdłuż drzewca wideł, a z niego — na twarz Iga. Osłonił oczy ręką.

— Nie masz włosów. — Zamilkł na chwilę i dodał po namyśle:
— I urosły ci rogi. Jezu! Kim ty jesteś?

— A jak myślisz? — spytał Ig. — Diabłem w niebieskiej spódnicy.

ROZDZIAŁ 42

Od razu wiedziałem, że to twój samochód — powiedział Dale, znowu siedząc za kierownicą i prowadząc. Już się uspokoił, pogodził ze swoim prywatnym demonem. — Kiedy tylko go zobaczyłem, zrozumiałem, że ktoś go podpalił i zepchnął do rzeki. Myślałem, że może w nim siedziałeś, i czułem się... czułem się taki...

— Szczęśliwy?

— Nieszczęśliwy.

— Naprawdę?

— Że to nie ja to zrobiłem.

— Ach... — mruknął Ig, odwracając głowę.

Trzymał widły między kolanami, zębami wbite w podsufitkę. Dale przestał je zauważać. Rogi robiły swoją robotę, grały tę tajemną muzykę, a dopóki Ig nie włożył krzyżyka, Dale musiał tańczyć tak, jak mu zagrał.

— Za bardzo się bałem, żeby cię zabić. Mam broń. Kupiłem ją tylko po to, żeby cię zastrzelić. Ale bliżej było mi do samobójstwa. Raz włożyłem lufę do ust, żeby sprawdzić, jak smakuje. — Przez chwilę wspominał. — Niesmaczna.

— Cieszę się, że się pan nie zastrzelił.

— Tego także się bałem. Nie dlatego, że poszedłbym do piekła. Bałem się, że do niego nie pójde... że piekło nie istnieje. Ani niebo. Że nie ma nic. Na ogół myślę, że po śmierci nic nie ma. Czasami wydaje mi się, że to będzie ulga. Innym razem to najstraszniejsza rzecz, jaką sobie potrafię wyobrazić. Nie wierzę, że miłosierny Bóg odebrałby mi obie córki. Jedną za sprawą raka, drugą przez to straszne morderstwo w lesie. Nie sądzę, żeby jakiś bóg godny modlitw mógł zezwolić na ich mękę. Heidi nadal się modli. Modli się tak, że coś niesamowitego. Modli się o twoją śmierć, Ig, już od roku. Kiedy zobaczyłem twój samochód w rzece, myślałem... myślałem... że Bóg wreszcie się postarał. Ale nie. Nie, Mary odeszła na zawsze, a ty nadal tu jesteś. Nadal jesteś. Jesteś... jesteś... kurwa, diabłem! — Z trudem łapał oddech. Ledwie mówił.

— Jakby to było coś złego — mruknął Ig. — Niech pan skreśli. Pojedziemy do pana.

Drzewa rosnące wzdłuż szosy wytyczały na niebie drogę bezchmurnego błękitu. Piękny dzień na przejażdżkę.

— Wspomniałeś, że musimy porozmawiać — odezwał się Dale. — Ale o czym moglibyśmy ze sobą mówić? Co chciałbyś mi powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że nie wiem, czy kochałem Merrin tak bardzo jak pan, ale kochałem ją całym sercem. I nie ja ją zabiłem. Powiedziałem policji, że upiłem się do nieprzytomności za Dunkin' Donuts. To prawda. Lee Tourneau zabrał Merrin sprzed The Pit. Zawiózł ją do odlewni i tam zabił. Nie spodziewam się, że mi pan uwierzy.

Tylko że się spodziewał. Jeśli nie przekona go teraz, to za chwilę. Ostatnio miał wielki dar przekonywania. Ludzie uwierzą we wszystko, co usłyszą od swojego prywatnego diabła. Akurat teraz wyjawiał Dale'owi prawdę, ale podejrzewał, że gdyby zechciał, mógłby mu również wmówić, że Merrin zginęła z rąk klaunów, którzy przyjechali po nią do The Pit malutkim cyrkowym samochodzikiem. To by nie było fair — no ale gra fair była specjalnością dawnego Iga.

Dale zaskoczył go pytaniem:

— Dlaczego miałbym ci wierzyć? Daj mi choć jeden powód.

Ig położył mu na chwilę rękę na ramieniu. Potem ją cofnął.

— Wiem, że po śmierci ojca odwiedził pan jego kochankę w Lowell i zapłacił jej dwa tysiące dolarów, żeby się odczepiła. I ostrzegł ją pan, że jeśli jeszcze raz zadzwoni po pijaku do pańskiej matki, znajdzie ją pan i powybijają jej zęby. Wiem, że zaliczył pan numerek z sekretarką z firmy podczas imprezy

bożonarodzeniowej, na rok przed śmiercią Merrin. Wiem, że raz uderzył pan Merrin pasem w twarz za to, że nazwała matkę suką. Tego chyba wstydzi się pan najbardziej. Wiem, że nie kocha pan swojej żony już od dziesięciu lat. Wiem o butelce w dolnej lewej szufladzie biurka w pracy i o świerszczykach w garażu, i o bracie, z którym pan nie rozmawia, bo nie może znieść tego, że jego dzieci żyją, a pana...

— Dość. Dość!

— O sprawach Lee dowiedziałem się tak samo jak o pańskich. Kiedy dotykam ludzi, poznaję wiele ich sekretów. I ludzie sami mi wiele mówią. O tym, co złego pragną zrobić. Nie mogą się powstrzymać.

— Co złego pragną zrobić — powtórzył Dale, masując dwoma palcami prawą skroń, gładząc ją delikatnie. — Ale to nie wydaje się takie złe, kiedy na ciebie patrzę. Wydaje się... zabawne. Jak to, że kiedy Heidi uklęknie dziś wieczorem do modlitwy, powinienem przed nią usiąść i powiedzieć, żeby mi przy okazji obciągnęła, skoro już klęczy. Albo kiedy następnym razem mi powie, że Bóg nie daje brzemienia ponad siły, powinienem jej przyłożyć. Bić ją tak długo, aż światło wiary zniknie z jej oczu.

— Nie. Nie zrobi pan tego.

— Albo mógłbym nie iść dziś do roboty. Poleżeć parę godzin w ciemności.

— To już lepiej.

— Zdrzemnąć się, a potem włożyć do ust lufę i skończyć z tym bólem.

— Nie. Tego także pan nie robi.

Dale wydał drżące westchnienie i skręcił na podjazd. Williamsowie mieszkali w małym domku na ulicy pełnej identycznych małych domków, parterowych klocków ze skrawkiem trawnika z tyłu i jeszcze mniejszym z przodu. Ich miał bladozielony kolor szpitalnego pokoju i wyglądał gorzej, niż Ig go zapamiętał. Winyłowy siding był usiany brązowymi plamami pleśni przy betonowych fundamentach, okna zmatowiały od brudu, a trawnik należało przystrzyc tydzień temu. Ulica prażyła się w letnim żarze i nie było na niej żywej duszy. Gdzieś daleko szczekał pies. Panowała tu atmosfera migren, udarów, omdlewającego, przegrzanego lata chylącego się ku końcowi. Ig miał perwersyjną nadzieję, że zobaczy matkę Merrin. Dowie się, jakie skrywa sekrety, ale Heidi nie było w domu. Wydawało się, że na całej ulicy w domach nie ma nikogo.

— A gdybym rzucił robotę i sprawdził, czy zdążę się uchlać do południa? Przekonam się, czy mnie wyleją. Od sześciu tygodni nie

sprzedałem ani jednego samochodu — tylko czekają na pretekst. I tak trzymają mnie jedynie z litości.

— O, proszę. To już jakiś plan.

Dale wpuścił go do domu. Ig nie wziął wideł. Nie sądził, żeby ich potrzebował.

— Iggy, zrobisz mi drinka? Wiesz, gdzie jest barek. Razem z Mary podkradaliście z niego alkohol. Chcę usiąść w ciemnościach i dać odpocząć głowie. Mam w niej kompletny mętlik.

Główna sypialnia znajdowała się na końcu krótkiego korytarzyka z czekoladową wykładziną. Kiedyś na ścianach wisiały zdjęcia Merrin, teraz znikły. Na ich miejscu pojawiły się obrazki Jezusa. Ig rozgniewał się po raz pierwszy tego dnia.

— Dlaczego zdjęliście ją i powiesiliście Jego?

— To pomysł Heidi. Schowała zdjęcia Mary. — Dale zrzucił mokasyny i ruszył korytarzem. — Trzy miesiące temu spakowała wszystkie jej książki, ubrania, listy od ciebie i wyniosła na strych. W pokoju Mary zrobiła sobie gabinet. Adresuje tam koperty z pismami w sprawach akcji chrześcijańskich. Spędza więcej czasu z ojcem Mouldem niż ze mną, każdego ranka chodzi do kościoła, a w niedzielę siedzi w nim cały dzień. Trzyma na biurku obrazek Jezusa. Nie moje zdjęcie ani zdjęcia córek, ale obrazek Jezusa. Mam ochotę wypędzić ją z domu, wykrzykując imiona jej córek.

Wiesz co? Chyba pójdę na strych i przyniosę te pudełka. Odnajdę wszystkie zdjęcia Mary i Regan. Będę nimi rzucać w Heidi, aż się rozplacze. Powiem jej, że jeśli chce się pozbyć zdjęć córek, ma je zjeść, po kolei.

— Duży wysiłek jak na takie gorące popołudnie.

— Fajnie by było. Cholernie fajnie.

— Ale fajniejszy jest gin z tonikiem.

— O tak. — Dale stanął na progu swojej sypialni. — Przynieś mi drinka. Tylko żeby było dużo ginu.

Ig wrócił do gabinetu, w którym niegdyś znajdowała się galeria zdjęć dokumentujących dzieciństwo Merrin Williams: Merrin przebrana za Indianina, w barwach wojennych i pióropuszu, Merrin jeżdżąca na rowerku i ukazująca w uśmiechu zęby w chromowanym aparacie, Merrin w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, siedząca na ramionach Iga, który stoi po pas w rzece. Wszystkie te zdjęcia znikły, a pokój wyglądał, jakby agent handlu nieruchomościami o najbardziej mieszczańskim guście świata urządził go na wizytę ewentualnych nabywców. Jakby nikt tu już nie mieszkał.

I faktycznie nikt tu nie mieszkał od miesięcy. W tym pokoju Dale i Heidi Williamsowie zrobili magazyn, pomieszczenie mające tyle samo wspólnego z ich życiem prywatnym co pokój hotelowy.

Alkohol był tam gdzie zwykle, w barku nad telewizorem. Ig zrobił gin z tonikiem — tonik przyniósł z lodówki w kuchni — dorzucił gałązkę mięty i cząstkę pomarańczy, dodał lodu. Kiedy wracał do sypialni, zwisający z sufitu sznur musnął jego prawy róg i omal się na nim nie oplatał. Ig spojrzał w górę i...

Domek w gałęziach drzewa, słowa namalowane na klapie, białe litery, ledwie widoczne w mroku: BŁOGOSŁAWIENI WY, KTÓRZY TU WEJDZIECIE. Ig zachwiał się i...

Otrząsnął się. Wolną ręką potarł czoło, czekając, kiedy przeminie chwila słabości. Wszystko wróciło — to, co się wydarzyło w lesie, kiedy wrócił pijany do odlewni, żeby się pieklić i niszczyć — ale minęło. Ig postawił szklanę na wykładzinie, pociągnął za sznurek, z głośnym piskiem sprężyn otwierając wejście na poddasze.

Jeśli na ulicy było gorąco, to w tym niskim, niewykończonym strychu panował duszący żar. Na belkach położono prowizoryczną podłogę z dykty. Pod skośnym dachem nie można było stanąć z wyprostowaną głową, ale Ig tego nie potrzebował. Wielkie kartonowe pudła z imieniem MERRIN napisanym czerwonym flamastrem stały tuż obok wejścia.

Zniósł je kolejno, postawił na stoliku w salonie i zaczął przeglądać. Pił drinka Dale'a Williamsa, zapoznając się z tym, co

zostało po Merrin.

Powąchał jej harwardzką bluzę i siedzenie jej ulubionych dzinsów. Przejrzał jej książki, sterty zaczytanych książek w miękkich oprawach. On sam rzadko czytywał powieści, wolał poradniki o głodówkach, podróżach, kempingach i budowaniu z materiałów przetworzonych. Merrin wolała literaturę z wyższej półki. Przepadała za książkami ludzi, którzy żyli krótko, brzydko i tragicznie, albo przynajmniej byli Anglikami. Chciała, żeby powieść była emocjonalną i filozoficzną podróżą, w dodatku wzbogacającą lingwistycznie.

Czytywała Gabriela Garcię Marqueza, Michaela Chabona, Johna Fowlesa i Iana McEwana. Jedna książka sama otworzyła się w dłoniach Iga na podkreślonym akapicie: „Jakże wyrzuty sumienia udoskonalają metody autotortury, nawlekają paciorki szczegółów na pętlę nieskończoności, różaniec odmawiany przez całe życie”. Igowi zrobiło się nieswojo.

Wśród jej książek dostrzegł własne, których nie widział od lat. Rocznik statystyczny. „Turystyczna książka kucharska”. „Gady Nowej Anglii”. Wypił resztę ginu i przejrzał tę ostatnią. Mniej więcej na setnej stronie znalazł zdjęcie brązowego węża z grzechotką i pomarańczowym paskiem na grzbiecie. *Cortalus horridus*, grzechotnik pospolity, którego (choć występuje głównie

na południe od granicy New Hampshire — jest popularny w Pensylwanii) można spotkać także na północ aż po White Mountains. Rzadko atakuje ludzi, jest z natury płochliwy. Przez ostatnie sto lat odnotowano więcej zgonów w wyniku uderzenia pioruna niż spotkania z grzechotnikiem, a jednak uważa się go za najbardziej jadowitego ze wszystkich amerykańskich węży. Jego jad jest neurotoksyną paraliżującą płuca i serce. Ig zamknął i odłożył książkę.

Medyczne podręczniki Merrin i kołnotatniki leżały na dnie pudła. Otworzył jeden, potem drugi, przekartkował. Merrin robiła notatki ołówkiem, a jej staranne, niezbyt dziewczynskie pismo było rozmazane i blade. Definicje związków chemicznych. Ręczny rysunek przekroju piersi. Lista mieszkań w Londynie, które znalazła w internecie dla Iga. Na samym dnie pudła znajdowała się duża koperta. Ig niemal ją zlekceważył, zawahał się, spojrzał na znaki ołówkiem w górnym lewym rogu. Kropki. Kreski.

Otworzył kopertę i wyjął z niej zdjęcie mammograficzne. Zrobione w czerwcu zeszłego roku. Były też dokumenty, jakieś kartki, Ig zauważył na nich swoje imię. Pokrywały je kropki i kreski. Wsunął je wraz ze zdjęciem do koperty.

Zrobił drugi gin z tonikiem. Kiedy wszedł do sypialni, Dale leżał nieprzytomny na łóżku, w czarnych skarpetkach

podciągniętych niemal do kolan i białych bokserkach zażółconych moczem z przodu. W półmroku jego ciało stanowiło jaskrawobiałą plamę. Brzuch i piersi porastały ciemne włosy. Ig cicho podszedł, by postawić drinka obok łóżka. Dale poruszył się, słysząc grzechot kostek lodu.

— A, Ig — odezwał się. — Cześć. Zapomniałem na chwilę, że tu jesteś, uwierzysz?

Ig nie odpowiedział. Stał przy łóżku, trzymając kopertę.

— Miała raka? — spytał.

Dale odwrócił głowę.

— Nie chcę rozmawiać o Mary. Kocham ją, ale nie mogę znieść myśli o niej i... i o tym. Mój brat, wiesz... nie rozmawialiśmy od lat. Ma sklep z rowerami i skuterami wodnymi w Sarasocie. Czasami myślę, że powinienem tam pojechać, sprzedawać u niego rowery i gapić się na dziewczyny na plaży. Nadal wysyła mi kartki na Boże Narodzenie i zaprasza do siebie. Czasami myślę, że chciałbym uciec od Heidi i tego miasta, i tego okropnego domu, i jak źle mi z tym spapranym, gównianym życiem, i że chciałbym zacząć jeszcze raz. Jeśli nie ma Boga ani przyczyny tego cierpienia, to może powinienem zacząć od nowa, zanim będzie za późno.

— Dale — powtórzył Ig cicho. — Powiedziała ci, że ma raka?

Ojciec Merrin pokręcił głową, nie unosząc jej z poduszki.

— To wrodzone, rozumiesz. Dziedziczne. A my nie dowiedzieliśmy się tego od niej. Wcale o tym nie wiedzieliśmy aż do jej śmierci. Powiedział nam lekarz sądowy.

— W gazecie nie było nic o raku.

— Heidi miała nadzieję, że o tym napiszą. Uważała, że dzięki temu ludzie będą nam współczuć, a ciebie bardziej znienawidzą.

Ale powiedziałem, że Mary nie chciała, żeby ktoś się dowiedział, i że powinniśmy to uszanować. Nam nie powiedziała. A tobie?

— Nie. — Powiedziała mu tylko, że powinni się spotykać z innymi. Iggy nie przeczytał tego dwustronicowego listu w kopercie, ale sądził, że już rozumie. — Twoja starsza córka, Regan... Nigdy o niej nie rozmawialiśmy. Uważałem, że to nie moja sprawa. Ale wiem, że jej odchodzenie było trudne.

— Bardzo cierpiała — powiedział Dale. Jego następny oddech dziwnie zadrżał. — Przez to cierpienie mówiła straszne rzeczy. Wiem, że tak nie myślała. Była dobra. Taka piękna dziewczyna. Usiłuję o tym pamiętać, ale na ogół... na ogół pamiętam tylko, jaka była na końcu. Ważyła ledwie czterdzieści kilo, z czego trzydzieści pięć przypadało na nienawiść. Powiedziała Mary niewybaczalne rzeczy. Chyba dlatego, że Mary była taka ładna,

a... Regan straciła włosy i miała, wiesz, mastektomię, i operację, żeby usunąć zator jelit, i czuła się... czuła się jak potwór Frankensteina. Powiedziała nam, że gdybyśmy ją kochali, przykrylibyśmy jej twarz poduszką i załatwili sprawę. Powiedziała, że pewnie się cieszę, że to ona umiera, a nie Merrin, którą zawsze kochałem bardziej od niej. Usiłowałem to wyrzucić z pamięci, ale czasem budzę się w nocy i myślę o tym. Albo o śmierci Mary. Człowiek chce pamiętać, jak żyły, lecz zło zawsze powraca. Pewnie można to jakoś naukowo wytłumaczyć. Mary zrobiła kurs z psychologii. Ona by wiedziała, dlaczego zło zostawia głębszy ślad niż dobro. Hej, Ig, uwierzysz, że moja mała dostała się do Harvardu?

— Tak. Uwierzę. Była mądrzejsza niż ja i ty razem wzięci.

Dale prychnął, nadal z odwróconą głową.

— A jak. Ja zrobiłem dwa lata college'u. Tylko za tyle zapłacił tatko. Boże, chciałem być lepszym ojcem od niego. Mówił mi, co mogę studiować, gdzie mieszkać i jaką podjąć pracę, żeby oddać mu dług. Opowiadałem Heidi, że dziwię się, iż w naszą poślubną noc nie stał w mojej sypialni, pouczając mnie, jaką metodą ją rznąć. — Zaśmiał się cicho. — Wtedy jeszcze Heidi i ja żartowaliśmy z takich rzeczy. Zanim Heidi nabiła sobie głowę Chrystusem, była dowcipna i lubiła trochę poświntuszyć. Ale

potem świat się do niej przypiął i wyssał z niej całą krew. Czasami tak bardzo chcę ją zostawić... tylko że oprócz mnie nie ma nikogo. I, zdaje się, oprócz Jezusa.

— No, tego bym nie powiedział. — Ig wypuścił oddech powoli i ze świstem, myśląc o tym, jak Heidi Williams zdjęła wszystkie zdjęcia Merrin, próbując wepchnąć wspomnienie córki w mrok i kurz. — Powinieneś wpaść do niej rankami, kiedy pracuje dla ojca Moulda w kościele. Zaskocz ją. Pewnie się przekonasz, że ma o wiele bardziej ożywione... stosunki z życiem, niż sądzisz.

Dale rzucił mu pytające spojrzenie, ale Ig zachował pokerową twarz i nie powiedział ani słowa. W końcu Dale uśmiechnął się blado i powiedział:

— Już dawno powinieneś ogolić głowę. Dobrze ci z tym. Kiedyś też chciałem ogolić się na łysą pałę, ale Heidi zawsze mówiła, że jeśli to zrobię, mogę uznać nasze małżeństwo za niebyłe. Nie chciała nawet, żebym się ogolił w ramach poparcia dla Regan, kiedy Regan miała chemię. Niektóre rodziny tak robią. Pokazują, że są razem. Ale nie nasza. — Zmarszczył brwi. — Dlaczego o tym rozmawiamy? Od czego wyszliśmy?

— Od tego, że byłeś w college'u.

— Ano tak. Hm... Ojciec nie pozwolił mi iść na teologię, chociaż chciałem, ale nie mógł mi przeszkodzić w byciu wolnym

słuchaczem. Pamiętam nauczycielkę, czarną kobietę, profesor Tandy. Powiedziała, że szatan pojawia się w wielu religiach jako pozytywny bohater. Zwykle to on jest tym gościem, który zwabia boginię płodności do łóżka, a po małym bara-bara stwarzają świat. Albo plony. Czy coś tam jeszcze. Pojawia się, żeby wykiwać niegodnych, podstępem okraść ich z bogactw, a przynajmniej z alkoholu. Nawet chrześcijanie nie potrafią się zdecydować, co z nim zrobić. No bo pomyśl: on i Bóg niby ze sobą walczą. Ale jeśli Bóg nienawidzi grzechu, a szatan karze grzeszników, to czy nie są po tej samej stronie barykady? Czy sędzia i kat nie grają w tym samym zespole? Zdaje się, że romantycy lubili szatana. Nie pamiętam za co. Może za ładną brodę i dlatego, że przepada za dziewczynami, seksem i imprezami. Prawda, że romantycy lubili szatana?

— „Twój szept w moim uchu... Mówi mi wszystko, co chcę słyszeć” — zacytował Ig.

Dale parsknął śmiechem.

— Nie. Nie ci romantycy.

— Tylko takich znam — powiedział Ig.

Wychodząc, delikatnie zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 43

Siedział w palenisku pieca, w kręgu palącego popołudniowego słońca, trzymając nad głową lśniące zdjęcie piersi Merrin. Podświetlone tkanki wyglądały jak czarne słońce zmieniające się w nową, jakby nadszedł koniec świata, a niebo stało się czarne niczym włosieny wór. Diabeł wrócił do swojej Biblii, nie do Starego ani Nowego Testamentu, lecz do wyklejki, na której spisał alfabet Morse'a skopiowany z encyklopedii brata. Ale jeszcze zanim przetłumaczył kartki znalezione w kopercie, wiedział już, że to także testament. Testament Merrin.

Zaczął od kropek i kresek na kopercie, prostego zdania. SPIEPRZAJ, IG.

Roześmiał się — brzydkim, konwulsyjnym, skrzeczącym śmiechem.

Wyjął dwie wyrwane z notesu kartki, zapisane z obu stron kropkami i kreskami. Ta praca musiała trwać miesiące, całe lato. Długo tłumaczył, od czasu do czasu dotykając krzyżyka na szyi, krzyżyka Merrin. Włożył go, gdy opuścił dom Dale'a. Dzięki temu miał wrażenie, że Merrin z nim jest, niemal czuł jej chłodne palce na swoim karku.

Praca była mozolna. Potrzebował mnóstwo czasu, by przełożyć kropki i kreski na litery i słowa. To mu nie przeszkadzało. Diabeł nie ma nic oprócz czasu.

Kochany Igu!

Nie przeczytasz tego, dopóki żyję. Nawet nie wiem, czy chcę, żebyś to przeczytał po mojej śmierci.

O rany, powoli się to pisze. Ale nie szkodzi. W ten sposób zabijam czas, siedząc na kolejnym korytarzu i czekając na wynik kolejnego badania. Poza tym to mnie zmusza do napisania tylko tego, co trzeba, niczego więcej.

Mam takiego samego raka jak ten, który wykończył moją siostrę. To dziedziczne. Nie będę Cię zanudzać genetyką. Na razie nie jest zaawansowany i na pewno gdybyś wiedział, chciałbyś, żebym walczyła. A ja bym to zrobiła, ale nie zamierzam. Postanowiłam, że nie skończę jak moja siostra. Nie będę czekać, aż przepelni mnie cierpienie, nie będę ranić ludzi, których kocham i którzy mnie kochają, czyli Ciebie, Igu, i moich rodziców.

Biblia twierdzi, że samobójcy idą do piekła, ale piekło to jest to, przez co przeszła moja siostra przed śmiercią. Nie wiesz o tym, ale była zaręczona, kiedy znaleźli u niej raka. Narzeczony od niej odszedł. Zniechęcała go do siebie codziennie i metodycznie. Chciała wiedzieć, jak szybko po jej pogrzebie zacznie różnić inną. Pytała go, czy wykorzysta jej tragedię, by zjednywać sobie współczucie dziewczyn. Była straszna. Sama bym ją zostawiła.

Ja sobie tego oszczędzę, wielkie dzięki. Ale jeszcze nie wiem, jak to zrobię, jak umrę. Mam nadzieję, że Bóg załatwi to za mnie i zrobi to szybko, kiedy nie będę się tego spodziewać. Zerwie kable windy, do której wsiądę. Dwadzieścia sekund lotu w dół i koniec. Może w ramach dodatkowej premii spadnę na kogoś złego. Na przykład montera pedofila czy kogoś w tym stylu. To by było fajne.

Boję się, że jeśli Ci powiem o mojej chorobie, zrezygnujesz z nauki, ze swojej przyszłości i będziesz chciał się ze mną ożenić, a ja nie znajdę dość sił i się zgodzę, a potem będziesz do mnie przykuty, będziesz patrzeć, jak odcinają kolejne kawałki mnie, a ja się kurczę, łysieję i robię Ci piekło z życia, a potem i tak umieram i przy okazji niszcę wszystko, co było w Tobie najlepsze. Tak bardzo chcesz wierzyć, że świat jest dobry, że ludzie są dobrzy. A ja wiem, że kiedy choroba mnie naprawdę ogarnie, nie znajdę sił, żeby się zachowywać jak dobry człowiek, będę jak moja siostra. Mam takie skłonności. Umiem ranić i chyba nie zdołam się opanować. Chcę, żebyś pamiętał, co jest we mnie dobre, nie to najgorsze. Twoi bliscy powinni mieć prawo do zachowania swoich największych wad w tajemnicy.

Nie wiesz, jak trudno mi nie rozmawiać o tym z Tobą. Pewnie dlatego to piszę. Bo jednak muszę z Tobą porozmawiać, a to jedyny sposób. Choć rozmowa jest trochę jednostronna, co?

Tak się cieszysz tym wyjazdem do Anglii, tym zanurzeniem w świecie. Pamiętasz, co mi opowiadałeś o trasie Evela Kniewela i wózku z supermarketu? Taki jesteś codziennie. Gotowy zjechać z gołym tyłkiem po stromym zboczu życia i rzucić się w strumień ludzi. Ratować tych, którzy toną w niesprawiedliwości.

Mogę Cię zranić w wystarczającym stopniu, żeby Cię odepchnąć. Nie cieszę się na to, ale tak będzie bardziej humanitarnie, niż czekać, aż się wszystko wyda.

Chcę, żebyś znalazł sobie dziewczynę z knajackim akcentem i dobrał się jej do majtek. Żeby była miła, niemoralna i czytana. Ale nie tak ładna jak ja, aż taka dobra nie jestem, choć nie musi być zupełnym paszczakiem. Mam nadzieję, że potem Cię rzuci, a Ty będziesz mógł się zająć kimś innym. Lepszym. Szczerym, serdecznym i bez genetycznych obciążeń rakiem, zawałem, alzheimerem czy innym świństwem. Mam też nadzieję, że wtedy od dawna będę już martwa, więc się o niej nie dowiem.

Wiesz, jak chcę umrzeć? Na trasie Evela Kniewela, prując w dół w jakimś własnym wózku. Mogłabym zamknąć oczy i wyobrażać sobie, że mnie obejmujesz. A potem wjadę w drzewo. Bardzo chciałabym uwierzyć w Ewangelię Micka i Keitha, według której nie mogę mieć tego, czego pragnę — czyli Ciebie, Ig, i naszych dzieci, i naszych idiotycznych marzeń — ale przynajmniej dostanę to, czego mi potrzeba, czyli szybki, nagły kres i świadomość, że Ty wyjdiesz z tego nietknięty.

Będziesz miał jakąś krzepką i serdeczną żonę, mamuszkę, która urodzi Ci dzieci. Sam staniesz się wspaniałym, szczęśliwym ojcem pełnym dobrej energii. Poznasz cały świat, zobaczysz cudzy ból i

zdołasz go trochę złagodzić. Będziesz miał wnuki i prawnuki. Będziesz uczyć. Będziesz chodzić na długie spacery po lesie. Podczas jednego z nich, kiedy będziesz już bardzo stary, znajdziesz się pod drzewem, na którego gałęziach zbudowano domek. Tam będę na Ciebie czekała. Będę czekać na Ciebie przy świecach w naszym zmyślonym domku na drzewie.

Strasznie dużo tych kresek i kropek. Dwa miesiące pracy. Kiedy zaczęłam pisać, rak w piersi był mały jak groszek, a ten pod lewą pachą — jeszcze mniejszy. A teraz, tak ogólnie... no, jak to mówią, miłe złego początku.

Nawet nie wiem, czy naprawdę musiałam napisać tak dużo. Pewnie powinnam sobie oszczędzić tego wysiłku i napisać tę pierwszą wiadomość, którą Ci wysłałam, migając do Ciebie krzyżykiem. „My”. To zawiera w sobie prawie wszystko. A oto reszta: kocham Cię, Iggy.

Twoja Merrin Williams

ROZDZIAŁ 44

Ig przeczytał ostatnią wiadomość od Merrin, odłożył ją, przeczytał znowu, znowu odłożył, po czym wypełził z paleniska, pragnąc się oddalić od zapachu popiołu i sadzy. Stanął w odlewni, oddychając głęboko. Dotarło do niego, że wokół nie ma węży. Był sam — albo prawie sam. W taczce spała zwinięta fantazyjnie grzechotniczka. Kusiło go, żeby podejść i pogłaskać ją po głowie, zrobić choćby krok w jej stronę, ale się powstrzymał. Lepiej nie, pomyślał i spojrzał na krzyżyk na swojej szyi, a potem przeniósł spojrzenie na swój cień pełznący po ścianie w ostatnich blaskach zachodzącego słońca. Zobaczył cień człowieka, wysokiego i chudego. Nadal czuł rogi na skroniach, czuł ich wagę, czubki bodące coraz chłodniejsze powietrze, ale ten cień przedstawiał tylko jego. Gdyby podszedł do wężycy, mając krzyżyk Merrin na szyi, pewnie by go dziabnęła.

Patrzył w zamyśleniu na swój czarny cień kładący się na ceglanej ścianie i zrozumiał, że może wrócić do domu, jeśli chce. Może zapomnieć o tych dwóch ostatnich dniach, o tym koszmarnym czasie cierpienia i paniki, i być tym, kim zawsze chciał być. Ta myśl sprawiła mu niemal bolesną ulgę, poczuł

zmysłową przyjemność, że jest Igiem Perrishem, a nie diabłem. Mężczyzną, a nie żywym piecem.

Nadal nad tym rozmyślał, kiedy wężyca w taczce uniosła głowę, a po jej ciele przesunął się biały promień. Ktoś nadjeżdżał. W pierwszej chwili Ig pomyślał, że to Lee, który wraca, żeby znaleźć zgubiony krzyżyk i inne obciążające go dowody.

Ale przed odlewnią zatrzymał się zdezelowany szmaragdowy saturn Glenny. Ig zobaczył go przez drzwi znajdujące się prawie dwa metry nad ziemią. Glenna wysiadła w obłoku dymu. Upuściła papierosa w trawę i przydeptała. Odkąd Ig z nią był, rzucała palenie dwa razy — raz wytrzymała cały tydzień.

Przyglądał się z otworów okiennych, jak Glenna obchodzi budynek. Za mocno się umalowała. Zawsze była za mocno umalowana. Ciemnowiśniowa szminka, naczupirzona trwała, cienie i błyszczący róż. Nie chciała wejść do odlewni, Ig poznał to po jej twarzy. Pod tą namalowaną maską była przerażona, żałosna i ładna w prosty, smutny sposób. Miała na sobie obcisłe czarne biodrówki odsłaniające górną część tyłka, nabijany ćwiekami pasek oraz białą koszulkę, spod której wylaniał się jej miękki brzuch i tatuaż na biodrze, króliczek Playboya. Obudziła w nim współczucie — ucieleśniała rozpacziwą prośbę: Zechciej mnie, niech ktoś mnie zechce!

— Ig! — zawołała. — Iggy! Jesteś tam? — Osloniła usta dłońmi, żeby głos stał się donośniejszy.

Nie odpowiedział. Opuściła dłonie.

Wędrował od okna do okna, obserwując Glennę idącą przez zarośla na tyłach odlewni. Niskie słońce było jak czerwony ognik papierosa przepalający jasną zasłonę nieba. Kiedy Glenna zbliżyła się do trasy Evela Kniewela, Ig wymknął się przez otwarte drzwi i podszedł do niej od tyłu. Skradał się — jeszcze jeden szkarłatny cień wśród wielu innych. Glenna go nie zauważyła.

Na szczycie trasy zwolniła, zapatrzona w miejsce wybuchu, ziemię spieczoną do białości. Czerwony metalowy kanister nadal leżał w zaroślach. Na polach wokół odlewni ciągle było widno, ale pod drzewami zapadł już zmierzch. Ig skradał się przez trawę, drzewa i krzewy po prawej stronie trasy. Nieustannie bawił się krzyżykiem, pocierał go, zastanawiając się, co powinien Glennie powiedzieć. Na co zasługiwała.

Glenna patrzyła na osmaloną ziemię, na czerwony metalowy kanister i w końcu na rzekę w dole. Widać było, jak składa całą historię, jak się wszystkiego domyśla. Oddech jej przyspieszył. Włożyła prawą rękę do torebki.

— O, Ig... — szepnęła. — Ig, cholera... Wyjęła komórkę.

— Nie — odezwał się Ig.

Drgnęła. Telefon, różowy i gładki jak mydło, wysliznął się jej z ręki, uderzył o ziemię, podskoczył i wpadł w trawę.

— Odbiło ci? — rzuciła, przechodząc od smutku do gniewu równie szybko, jak odzyskała równowagę. — Mało się nie zesrałam ze strachu.

Ruszyła do niego.

— Nie podchodź — uprzedził.

— Dlaczego mam nie... — zaczęła i urwała. — To spódnica?

Przez gałęzie przesiało się blade różowawe światło, padło na spódniczkę i jego nagi brzuch. Od pasa w górę pozostawał w cieniu.

Z jej twarzy zniknął gniew, ustępując miejsca niedowierzającemu uśmiechowi, oznace nie tyle rozbawienia, ile strachu.

— O rany, Ig... — szepnęła. — O rany, kochanie... Zrobiła kolejny krok w jego stronę. Podniósł rękę.

— Nie podchodź, nie chcę.

Stanąła.

— Co cię tu sprowadza? — zapytał.

— Przewróciłeś nasze mieszkanie do góry nogami. Dlaczego?

Nie odpowiedział. Nie wiedział, co miałby powiedzieć. Spuściła wzrok i zagryzła wargę.

— Pewnie ktoś ci powiedział o Lee i o mnie.

Oczywiście nie pamiętała, że sama to powiedziała. Z wysiłkiem podniosła głowę.

— Ig, przepraszam. Możesz mnie znienawidzić. Należy mi się. Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku. — Westchnęła lekko i dodała cichutko: — Pozwól mi sobie pomóc.

Ig zadrżał. To było nie do zniesienia — usłyszeć kolejny ludzki głos proponujący mu pomoc, głos zduszony uczuciem i troską. Był demonem zaledwie dwa dni, ale czasy, w których wiedział, co znaczy być kochanym, zdawały się mglistą, odległą przeszłością. Zdumiewało go, że rozmawia z Glenną tak zupełnie zwyczajnie, to cud, prosty i wspaniały jak szklanka zimnej lemoniady w upalny dzień. Glenna nie czuła potrzeby, by go zasypać wyznaniem o swoich najgorszych, najbardziej haniebnych pragnieniach; jej brzydkie tajemnice pozostały tajemnicami. Znowu dotknął krzyżyka na szyi, krzyżyka Merrin, otaczającego mały, cenny krąg ludzkich uczuć.

— Skąd wiedziałaś, że tu będę?

— W pracy oglądałam lokalne wiadomości i zobaczyłam reportaż o wypalonym wraku, który znaleziono nad rzeką. Kamery były zbyt daleko i nie widziałam, czy to gremlin, a rzeczniczka powiedziała, że jeszcze nie potwierdzono marki. Ale

naszło mnie złe przeczucie. Dlatego zadzwoniłam do Wyatta Farmera, pamiętasz Wyatta? Kiedyś przykleił mojemu kuzynowi Gary'emu sztuczną brodę, żeby sprawdzić, czy w ten sposób uda się kupić piwo.

— Pamiętam. Dlaczego do niego zadzwoniłaś?

— Bo to jego holownik wyciągnął wrak z rzeki. Wyatt ma teraz własny warsztat samochodowy. Myślałam, że on wie, co to za wóz. Powiedział, że był tak spalony, że jeszcze nie wiadomo, bo została z niego sama rama i drzwi, ale według niego hornet albo gremlin, raczej gremlin, bo są bardziej popularne. A ja pomyślałam: o nie, ktoś ci spalił samochód. I potem — a jeśli w nim siedziałeś? I jeśli sam się podpaliłeś? Wiedziałam, że gdybyś to zrobił, to tutaj, żeby być blisko niej. — Znowu rzuciła mu płochliwe, przestraszone spojrzenie. — Rozumiem, dlaczego zrobiłeś bałagan w naszym mieszkaniu...

— W twoim mieszkaniu, nie naszym.

— Chciałam, żeby było naszym.

— Wiem. Starłaś się ze wszystkich sił. Ja nie.

— Dlaczego spaliłeś samochód? Dlaczego ubrałeś się... w to?

Przyciskała pięści do piersi i starała się uśmiechnąć.

— Oj, kochanie. Wyglądasz, jakbyś przeszedł przez piekło na ziemi.

— Można tak powiedzieć.

— Chodź. Wsiadaj do mojego samochodu. Wrócimy do domu, zdejmę ci tę spódnicę, umyjesz się i znowu będziesz sobą.

— I wszystko będzie jak dawniej?

— Tak. Dokładnie tak jak dawniej.

Na tym polegał problem. Z krzyżykiem na szyi znowu mógł się stać dawnym sobą, gdyby zechciał, mógłby wszystko odzyskać — ale nie było warto. Jeśli masz żyć w piekle na ziemi, bycie diabłem ma swoje zalety. Rozpiął łańcuszek, powiesił go na gałęzi, rozgarnął krzaki i wyszedł na słońce.

Spłoszyła się. Zrobiła niepewny, chwiejny krok do tyłu, jej obcas wkłuł się głęboko w miękką ziemię i przechylił tak, że omal nie skręciła nogi. Otworzyła usta do krzyku, takiego z horroru, przeraźliwego i panicznego. Ale nie krzyknęła. Niemal natychmiast jej pyzata, ładna twarz się wygładziła.

— Nie znosiłaś tego, co było dawniej — przemówił diabeł.

— Nie znosiłam — zgodziła się i na jej twarzy znowu pojawił się pewien rodzaj smutku.

— Wszystkiego.

— Nie. Parę rzeczy mi się podobało. Jak się kochaliśmy. Zamykałeś wtedy oczy i wiedziałam, że o niej myślisz, ale mi to nie przeszkadzało, bo dzięki mnie było ci dobrze. I podobały mi się

sobotnie poranki, kiedy robiliśmy razem śniadanie, duże, bekon, jajka i sok, a potem oglądaliśmy głupie programy i wydawało się, że mógłbyś tak przy mnie siedzieć przez cały dzień. Ale nie znosiłam tego, że nigdy nie będę się dla ciebie liczyć. I że nie mamy przyszłości, i nienawidziłam, kiedy opowiadałeś, co powiedziała śmiesznego i jak mądrze postąpiła. Nie jestem dla niej konkurencją. Nigdy nie będę.

— Naprawdę chcesz, żebym wrócił do domu?

— Nawet ja nie chcę do niego wracać. Nienawidzę tego mieszkania. Chciałabym wyjechać. Chciałabym gdzieś zacząć od nowa.

— Dokąd byś wyjechała? Gdzie byłabyś szczęśliwa?

— W domu Lee — powiedziała z rozjaśnioną twarzą i uśmiechnęła się słodko i z zaskoczeniem, jak dziewczynka, która po raz pierwszy zobaczyła Disney World. — Poszłabym w płaszczu przeciwdeszczowym, nie mając nic pod spodem, sprawiłabym mu niespodziankę. Lee chce, żebym do niego kiedyś przyszła. Dziś po południu wysłał mi esemesa, że jeśli się nie pojawisz, powinniśmy...

— Nie — rzucił Ig ostro, a z nozdrzy buchnął mu czarny dym.

Glenna wzdrygnęła się i cofnęła o krok.

Odetchnął, zaciągnął się dymem. Wziął ją za ramię i ruszyli w stronę samochodu. Dziewczyna i diabeł idący w piekielnym blasku schyłku dnia. Diabeł instruował:

— Nie chcesz mieć z nim nic wspólnego. Co dla ciebie zrobił oprócz tego, że dał ci kradzioną kurtkę i traktuje cię jak dziwkę? Musisz mu powiedzieć, żeby spadał. Potrzebujesz kogoś lepszego. Musisz mniej dawać, a więcej brać.

— Lubię sprawiać przyjemność ludziom — odezwała się dzielnym, cichym głosem, jakby zawstydzona.

— Ty też jesteś człowiekiem. Zrób coś przyjemnego dla siebie. — Mówiąc, wyteżył siłę woli i poczuł wstrząs oślepiającej rozkoszy przenikającej nerwy w rogach. — A w ogóle spójrz, jak cię potraktowałem. Zniszczyłem ci mieszkanie, zniknąłem bez słowa, a kiedy tu przyjechałaś, zastałaś mnie w spódnicy. Nie wyrównasz ze mną rachunków, jeśli się bzykniesz z Lee Tourneau. Musisz działać z większym rozmachem. Nadarzy ci się okazja do zemsty. Wracaj do domu, weź moją kartę, wypłać wszystko z konta i... zrób sobie wakacje. Nie chciałaś mieć trochę czasu dla siebie?

— Fajnie by było — powiedziała, ale po chwili jej uśmiech zbladł. — Miałabym kłopoty. Siedziałam przez miesiąc. Nie chcę tam wracać.

— Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji. Nie po tym, jak przyjechałaś do odlewni i zobaczyłaś, że paraduję w spódnicy jak pedałek. Moi rodzice cię nie pozwą. Takich rzeczy lepiej nie ogłaszać publicznie. Najlepszym sposobem na wyrównanie z kimś rachunków jest zobaczyć go w lusterku wstecznym, jadąc ku czemuś lepszemu. Zaslugujesz na coś lepszego.

Dotarł do jej samochodu. Otworzył drzwi. Spojrzała na jego spódniczkę, potem podniosła wzrok na twarz. Uśmiechała się. I płakała czarnymi od tuszu strugami łez.

— To cię kręci? Spódnice? To dlatego nie było nam za dobrze? Gdybym wiedziała, próbowałabym... no nie wiem, jakoś to wykorzystać.

— Nie. Noszę to z braku czerwonych rajstop i peleryny.

— Czego? — spytała trochę rozwlekłe, w otępieniu.

— Tak się ubiera diabeł, prawda? To jak kostium superbohatera. Pod wieloma względami szatan był pierwszym superbohaterem.

— A nie superprzestępcą?

— E, nie. Na pewno bohaterem. Tylko się zastanów. Jego pierwszą przygodą było ukazanie się w postaci węża dwojgu więźniom, których opętany władzą megaloman trzymał nago w obozie w dżungli Trzeciego Świata. Za jednym zamachem

rozszerzył ich jadłospis i wtajemniczył w sprawy seksu. Dla mnie wygląda jak połączenie Animal Mana i seksuologa.

Roześmiała się dziwnym, urywanym, ogłupiałym śmiechem. Potem czknęła, a jej uśmiech zbladł.

— To dokąd pojedziesz? — spytał Ig.

— Nie wiem. Zawsze chciałam zobaczyć Nowy Jork. Nowy Jork nocą... Z okien taksówek bucha dziwna muzyka. Na rogach ulic sprzedawcy orzeszków, słodkich orzeszków... nadal sprzedają te orzeszki?

— Nie wiem. Ostatnim raz byłem tam przed śmiercią Merrin. Jedź i sama sprawdź. Będzie świetnie. Wakacje życia.

— Jeśli wyjazd jest taki świetny... jeśli wyrównanie rachunków z tobą jest takie wspaniałe, to dlaczego tak kijowo się czuję?

— Bo jeszcze tam nie dojechałaś. Nadal jesteś tutaj. A kiedy odjedziesz, będziesz pamiętać tylko tyle, że widziałaś mnie wystrojonego w najlepszą niebieską spódnicę. Wszystko inne zapomnisz. — Poparł to polecenie mocą rogów, wepchnął tę myśl głęboko w jej głowę. Była to o wiele bardziej intymna penetracja niż to, co kiedykolwiek zrobili w łóżku.

Glenna skinęła głową, patrząc na niego przekrwionymi, zafascynowanymi oczami.

— Zapomnę. Dobrze.

Chciała wsiąść do samochodu, zawahała się i spojrzała na niego ponad drzwiami.

— Po raz pierwszy rozmawiałam z tobą właśnie tutaj. Pamiętasz? Piekliśmy gównu. Co za pomysł, nie?

— Śmieszne, dokładnie to zamierzam zrobić dziś wieczorem. Jedź już, Glenna. Lusterko wsteczne.

Skinęła głową i już miała wsiąść do samochodu, ale jeszcze wyprostowała się, przechyliła nad drzwiczkami i pocałowała go w czoło. Poznał jej inne grzeszki, o których dotąd nie wiedział; często je popełniała, zawsze wbrew sobie. Zdziwiony cofnął się o krok, nadal czując na czole chłodny ślad jej ust, mając w nozdrzach jej oddech pachnący papierosami i miętą.

— Cześć — powiedział.

Uśmiechnęła się.

— Nie daj się skrzywdzić. Wygląda na to, że nie umiesz spędzić dnia w odlewni, nie narażając się na śmierć.

— Faktycznie, chyba mi weszło w nawyk.

*

Wrócił na trasę Evela Knievela, żeby popatrzeć, jak rozżarzony węgiel słońca zanurza się w rzece Knowles i gaśnie. Stojąc w wysokiej trawie, usłyszał melodyjne brzęczenie, jakby głos owada.

Rozlegał się całkiem wyraźnie — w mroku cykady milkły. Zresztą i tak już ginęły, ich brzęcząca seksualna maszyna umierała wraz z końcem lata. Dźwięk znowu się rozległ — po lewej, w krzewinkach borówek.

Przykucnął i zobaczył komórkę w różowej półprzejrystej obudowie, leżącą na żółtej jak słoma trawie. Podniósł telefon i otworzył klapkę. Na ekraniku widniał esemes od Lee Tourneau:

Co masz na sobie?

Ig szarpnął się za bródkę, zastanawiając się nerwowo. Nie wiedział jeszcze, czy może to zrobić przez telefon, czy wpływ rogów da się wysłać nadajnikiem i odbić się od satelity. No, ale przecież wszyscy wiedzą, że komórki to narzędzie diabła.

Otworzył wiadomość od Lee i połączył się z nadawcą.

Lee odebrał po drugim sygnale.

— Powiedz, że coś seksownego. Nawet jeśli to nieprawda. Umiem udawać.

Ig otworzył usta, z których wydobył się łagodny, szemrzący, słodki głos Glenny:

— Wiesz, co mam na sobie? Kilo błota. Potrzebuję pomocy. Samochód mi ugrzązł.

Lee zawahał się, a kiedy znowu odpowiedział, głos miał cichy i opanowany.

— Gdzie utknęłaś?

— W tej cholernej odlewni, żeby ją obesrało — oznajmił Ig głosem Glenny.

— W odlewni? A ty co tam robisz?

— Pojechałam szukać Iggy'ego.

— Niby po co? Glenna, chyba nie myślałaś. Wiesz, jaki jest wybuchowy.

— Wiem, ale nie mogłam się powstrzymać. Pomyślałam, że się rozejrzę, no i przyjechałam, i samochód mi ugrzązł, a Iggy'ego oczywiście nigdzie nie ma. Kiedyś byłeś tak miły, że mnie odwiozłeś. Zrobisz mi tę uprzejmość znowu?

Lee przez chwilę milczał.

— Dzwoniłaś do kogoś innego?

— Ty pierwszy przyszedłeś mi do głowy — odpowiedział Ig głosem Glenny. — No, nie daj się prosić. Jestem cała w błocie, muszę zrzucić te szmaty i się wykąpać.

— Jasne. W porządku. Ale dasz mi popatrzeć, jak się myjesz.

— Zależy, jak szybko się wyrobisz. Siedzę w odlewni i czekam na ciebie. Uśmiejesz się, kiedy zobaczysz, gdzie utknął mój samochód. Normalnie skonasz, jak tu przyjedziesz.

— Już się nie mogę doczekać.

— Pospiesz się. Trochę tu strasznie.

— No myślę. Tam nie ma nic oprócz duchów. Trzymaj się, jadę.

Ig się rozłączył bez pożegnania. Przez chwilę, przykucnięty, patrzył na osmalony ślad na szczycie trasy Evela Knievela. Słońce zdążyło zająć, a on tego nie zauważył. Niebo miało głęboki, śliwkowy odcień fioletu, pojawiły się pierwsze iskierki gwiazd. Wstał, ruszył do odlewni. Po drodze zdjął krzyżyk Merrin z gałęzi dębu. Wziął też czerwony kanister. Nadal chlupotała w nim benzyna.

ROZDZIAŁ 45

Sądził, że Lee będzie potrzebował co najmniej pół godziny na dojazd. Więcej, jeśli przyjedzie aż z Portsmouth. Mało czasu, ale to akurat dobrze. Im dłużej by myślał o tym, co ma zrobić, tym mniej stawało się prawdopodobne, że to zrobi.

Zbliżył się do odlewni od frontu i już miał się podciągnąć do drzwi, kiedy usłyszał warkot samochodu na wyboistej drodze. Adrenalina uderzyła mu do głowy lodowatą falą, wypełniła go chłodem. Wszystko działo się szybko, ale to już była przesada. Chyba że Lee odebrał jego telefon, już jadąc, i to w dodatku w tę stronę. Ale samochód nie był wielkim czerwonym cadillakiem Lee, tylko czarnym mercedesem. Za kierownicą siedział Terry Perrish.

Ig przyczaił się w trawie, postawiwszy kanister pod ścianą. Nie wierzył własnym oczom. Terry nie mógł tu być, bo jego samolot już pewnie wylądował w Kalifornii. Ig kazał mu wyjechać, zrobić to, czego najbardziej pragnął — uciekać — i to powinno wystarczyć.

Przy odlewni samochód zawrócił i zwolnił. Powoli sunął przez wysoką, ostrą trawę. Ig był zły. Jego brat nie powinien się tu znaleźć, a on nie miał czasu, żeby się go pozbyć.

Zaczął pełznąć pod ścianą, trzymając się blisko betonowych fundamentów. Dotarł do rogu odlewni w chwili, gdy mercedes go minął, a wtedy przyspieszył, chwycił klamkę drzwi od strony pasażera, otworzył je i wskoczył do środka.

Terry krzyknął i chciał uciec, ale kiedy poznał Iga, trochę się uspokoił.

— Co... — wykrztusił. Spojrzał na brudną spódniczkę, a potem przeniósł wzrok na twarz brata. — Coś ty, kurwa, z sobą zrobił?

Ig z początku nie zrozumiał. Wstrząs Terry'ego wydał mu się bezsensowny. Potem poczuł krzyżyk, który nadal ścisnął w prawej dłoni, łańcuszek oplatający mu palce. Wpływ rogów został stłumiony. Terry go widział takiego, jaki był, po raz pierwszy odkąd przyszedł do domu. Mercedes sunął przez wybujałe chwasty.

— Zatrzymaj samochód — powiedział Ig. — Zanim zjedziemy trasą Evela Knievela prosto w rzekę.

Terry wdepnął hamulec.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Terry oddychał szybko i gwałtownie przez otwarte usta. Gapił się na Iga z ogłupiałą, zaskoczoną miną. Potem parsknął śmiechem — niepewnym i przerażonym.

— Ig... Co ty tu robisz... w takim stanie?

— Z ust mi to wyjąłeś. Co tu robisz? Miałeś dziś lecieć.

— Skąd...?

— Musisz stąd odjechać. Nie mamy wiele czasu. — Ig spojrział w lusterko wsteczne. Lee Tourneau miał się pojawić lada chwila.

— Dlaczego nie mamy czasu? Co się ma stać? — Terry zawahał się i dodał: — O co chodzi z tą spódnicą?

— Akurat ty powinienes się poznać na aluzji do Motown.

— Motown? Bez sensu.

— Z sensem, z sensem. Mówię ci, spieprzaj stąd, ale szybko. Znasz coś bardziej sensownego? Jesteś niewłaściwą osobą w niewłaściwym miejscu i najgorszym możliwym czasie.

— O co ci chodzi? Przerażasz mnie. Co się stanie? Dlaczego ciągle patrzysz w lusterko?

— Spodziewam się kogoś.

— Kogo?

— Lee Tourneau.

Terry pobladł.

— Ach... tak... — wyjąkał. — Dlaczego?

— Już ty wiesz dlaczego.

— Ach... — powtórzył Terry. — Więc wiesz. Ile?

— Wszystko. Że byłeś w samochodzie. Straciłeś przytomność.

A on wszystko załatwił tak, żebyś nie mógł o tym powiedzieć.

Terry trzymał dłonie na kierownicy, kciukami o pobielających kostkach poruszał w górę i dół.

— Wszystko. Skąd wiesz, że Lee jedzie?

— Wiem.

— Chcesz go zabić. — To nie było pytanie.

— Oczywiście.

Terry przyjrzał się w zamyśleniu spódniczce Iga, jego brudnym bosym stopom, poczerwieniałej skórze, która mogła się wydawać wyjątkowo mocno spieczona słońcem.

— Jedźmy do domu, Ig. Porozmawiamy spokojnie. Rodzice martwią się o ciebie. Wróćmy do domu, żeby zobaczyli, że nic ci się nie stało, a potem porozmawiamy. Wszystko przedyskutujemy.

— Skończyłem z dyskusjami. Powinieneś wyjechać. Kazałem ci.

Terry pokręcił głową.

— Jak to? Kazałeś? Nie widziałem cię, odkąd przyjechałem do domu. Wcale nie rozmawialiśmy.

Ig w lusterku zobaczył reflektory. Obejrzał się. Samochód jechał szosą za wąskim pasem lasu. Reflektory parę razy mignęły między pniami drzew ostrym staccato, jak otwierana i zamykana migawka, mig-mig-mig, wysyłając wiadomość: spiesz się, spiesz. Samochód minął ich, nie zatrzymując się, ale niedługo pojawi się

inny, który nie przejedzie obok, lecz skręci na zwirową drogę i ruszy w ich stronę. Ig spuścił wzrok; na tylnym siedzeniu leżała walizka Terry'ego i futerał trąbki.

— Spakowałeś się — powiedział. — Musiałeś zaplanować wyjazd. Dlaczego nie wyjechałeś?

— Wyjechałem.

Ig wyprostował się i spojrzał pytająco.

Terry pokręcił głową.

— Nieważne. Zapomnij.

— Nie. Powiedz.

— Później.

— Teraz. Skoro wyjechałeś, to czemu wróciłeś?

Terry rzucił mu spojrzenie błyszczących, pustych oczu. Po chwili zaczął mówić, powoli i ostrożnie.

— Bez sensu, co?

— No. Kompletnie bez sensu. Dlatego chcę, żebyś mi to wyjaśnił.

Terry wysunął język, przesunął nim po wyschniętych wargach. Odezwał się spokojnie, choć trochę za szybko.

— Postanowiłem, że wrócę do Los Angeles. Ucieknę z tego domu wariatów. Tata był na mnie wściekły. Vera leży w szpitalu i nikt nie wie, gdzie przepadłeś. Ale ja nabiłem sobie do głowy, że

na nic się nie przydam w Gideon i że muszę wyjechać, wrócić do Los Angeles, zająć się próbami. Tata powiedział, że zachowuję się jak egoista, skoro wyjeżdżam teraz, w tej sytuacji. Wiem, że ma rację, lecz jakoś mnie to nie obeszło. Wyjazd wydawał mi się fajny. Ale im bardziej oddalałem się od Gideon, tym gorzej się czułem. Słuchałem radia, usłyszałem piosenkę, która mi się spodobała, i zacząłem się zastanawiać, jak ją zaaranżować dla zespołu. A potem przypomniałem sobie, że już nie mam zespołu. Nie mam z kim ćwiczyć.

— Jak to?

— Nie mam roboty. Odszedłem. Rzuciłem „Hothouse”.

— Co ty chrzaniasz? — spytał Ig. Nie zauważył nic na ten temat podczas wyprawy do głowy Terry’ego.

— W zeszłym tygodniu. Nie mogłem już wytrzymać. Po tym, co stało się z Merrin, już mnie to nie bawiło. Stało się przeciwieństwem zabawy. To było piekło. Piekło to przymus uśmiechania się, żartowania i grania piosenek biesiadnych, kiedy ma się ochotę krzyknąć. Za każdym razem, gdy grałem na trąbce — krzyczałem. Ludzie z Foksa prosili, żebym wyjechał na weekend i przemyślał moją decyzję. Nie postraszyli mnie pozwem za zerwanie kontraktu, jeśli w przyszłym tygodniu nie pojawię się

w pracy, ale wiem, że mi to grozi. Wiem także, że gównu mnie to obchodzi.

— Więc kiedy sobie przypomniałeś, że nie masz już programu, zawróciłeś do domu?

— Nie od razu. To straszne. Jakbym... jakbym się rozdwoił. Raz myślałem, że muszę wrócić do Gideon, a potem znowu sobie wyobrażałem próby. W końcu, kiedy niemal dojechałem na lotnisko Logan — znasz to wzgórze z wielkim krzyżem? To za torem wyścigowym Suffolk Downs?

Ig poczuł, że na ramiona występuje mu gęsia skórka.

— Ma ze sześć metrów. Znam. Kiedyś myślałem, że nazywa się Don Orsillo, ale nie.

— Don Orione. Tak się nazywa dom opieki, który opiekuje się krzyżem. Tam się zatrzymałem. Jest tam droga, która prowadzi aż do niego. Nie wjechałem na samą górę. Zatrzymałem się, żeby pomyśleć. Zaparkowałem w cieniu.

— W cieniu krzyża?

Terry przytaknął z roztargnieniem.

— Radio było nadal włączone. Jakaś uniwersytecka stacja. Bardzo chrypiało, ale nie wiem czemu, nie przestawiłem go. Zaczął się dziennik i jakiś chłopak powiedział, że most Old Fair Road znowu został otwarty po paru godzinach zablokowania w

środku dnia, kiedy policja usuwała spalony samochód z plaży koło odlewni. A to przecież rocznica śmierci Merrin. Wszystko mi się połączyło. I nagle nie wiedziałem już, dlaczego tak mi spieszno opuścić Gideon. Nie wiedziałem, dlaczego chcę wyjechać. Zawróciłem. A kiedy dotarłem do miasta, przyszło mi do głowy, że powinienem zajrzeć do odlewni, bo może tam pojechałeś, żeby być blisko Merrin i... i może coś ci się stało. Poczuję, że nie wolno mi nic robić, dopóki się nie upewnię, że wszystko z tobą w porządku. No to przyjechałem. A z tobą nie jest w porządku. — Znowu spojrzał na Iga, a kiedy się odezwał, głos mu zamierał ze strachu. — Jak chcesz... zabić Lee?

— Szybko. I tak na to nie zasługuje.

— Wiesz, co zrobiłem... i mi darujesz? Dlaczego mnie też nie zabijesz?

— Nie jesteś jedyną osobą na świecie, która spieprzyła sprawę, bo się bała.

— Jak to?

Ig zastanowił się przez chwilę.

— Wkurzało mnie, jak Merrin patrzy na ciebie, kiedy grasz na trąbce na koncercie. Zawsze się bałem, że zakocha się w tobie, a nie we mnie. Nie mogłem tego znieść. Pamiętasz, jak rysowałeś wykresy, żartując z siostry Bennett? To ja napisałem na ciebie

donos. Dostałeś pałę z zachowania i nie wystąpiłeś w recitalu na koniec roku.

Terry gapił się na niego przez chwilę, jakby Ig mówił w niezrozumiałym języku. Potem parsknął śmiechem, zduszonym, lecz szczerym.

— Oż cholera. Tyłek jeszcze mnie boli po tym laniu od ojca Moulda. — Nie potrafił długo się śmiać. — To nie to samo, co ja zrobiłem tobie. Nie ten gatunek, nie ten stopień.

— Tak — zgodził się Ig. — Wspomniałem o tym tylko po to, żeby zilustrować ogólną zasadę. Ludzie ze strachu podejmują głupie decyzje.

Terry usiłował się uśmiechnąć, ale bliżej mu było do płaczu.

— Musimy odjechać.

— Nie. Tylko ty. Natychmiast. — Ig opuścił szybę. Wyrzucił krzyżyk w trawę, pozbył się go. W tej samej chwili poczuł ciężar mocy w rogach, wezwał wszystkie leśne węże, rozkazał im spotkać się z nim w odlewni.

Terry zaskoczony syknął przeciągle.

— O kurrrrr... rogi. Masz... rogi. Na głowie. Co... Boże, Ig... co ci się stało? Kim jesteś?

Ig odwrócił się do niego. Oczy Terry'ego wyglądały jak lampy świecące intensywnym strachem, strachem bliskim

bałwochwalczego uwielbienia.

— Nie wiem. Demonem? Nie jestem pewien. To dziwne, ale wydaje mi się, że to się jeszcze nie rozstrzygnęło. Wiem jedno: Merrin chciała, żebym był człowiekiem. Ludzie wybaczą. Demony — nie. Jeśli każę ci odejść, to w równym stopniu dla niej jak dla ciebie czy siebie. Ona kochała także ciebie.

— Muszę odjechać — powiedział Terry cienkim, przerażonym głosem.

— Tak. Nie chcesz być tutaj, kiedy przyjedzie Lee Tourneau. Gdyby coś się nie udało, mógłbyś ucierpieć, a nawet jeśli nie, pomyśl, jak by to zaszkodziło twojej reputacji. To nie ma nic wspólnego z tobą. Nigdy nie miało. Wiesz co? Zapomnisz o tej rozmowie. W ogóle tu nie przyjechałeś i wcale mnie nie widziałeś. Wszystko to zapomnisz.

— Zapomnę — powtórzył Terry, wzdrygając się i gwałtownie trzepocząc powiekami, jakby ktoś bryznął mu w twarz zimną wodą. — O Jezu, jeśli chcę jeszcze pracować, muszę spadać.

— Właśnie. Tej rozmowy nie było i ciebie też już tu nie ma. Zjeżdżaj do domu, powiedz rodzicom, że nie zdążyłeś na samolot. Bądź z tymi, którzy cię kochają, a jutro przeczytaj gazetę. Mówi się, że nigdy nie podają dobrych wiadomości, ale mam wrażenie, że poczujesz się o wiele bardziej pogodzony ze sobą, kiedy

zobaczysz pierwszą stronę. — Ig chciał pocałować brata w policzek, ale się bał, że odkryje jakiś jego zatajony zły uczynek i zachwieje się w postanowieniu, by go odesłać. — Do widzenia, Terry.

*

Wysiadł z samochodu i zaczekał, aż ruszy. Mercedes powoli potoczył się przed siebie, zgniatając wysoką trawę. Zatoczył szeroki, leniwy łuk, objechał wielką stertę odpadków, cegieł, starych desek i puszek. Wówczas Ig się odwrócił; nie chciał zobaczyć, jak mercedes wyłania się zza śmietniska. Musiał się zająć przygotowaniami. Szybko poszedł wzdłuż ścian odlewni, zerkając na linię drzew osłaniających budynek od strony drogi. Lada chwila spodziewał się zobaczyć między jodłami reflektory samochodu Lee Tourneau.

Wpełził do pomieszczenia z piecem. Wyglądało, jakby ktoś wrzucił do niego kilka kubłów węży i uciekł. Gady wyslizgiwały się z kątów, spadały ze stert cegieł. Grzechotnik z taczki rozwinął swe sploty i upadł na podłogę z głośnym pacnięciem. Zebrało się ich tylko ze sto. No cóż, wystarczy.

Ig przykucnął, uniósł wężycę, trzymając ją w połowie ciała. Już się nie bał ukąszenia. Zmrużyła ślepie z senną czułością i wysunęła do niego czarny języczek, przez chwilę szepcząc mu do

ucha chłodne, nieme pieszczotliwe słówka. Pocałował ją delikatnie w głowę i podszedł z nią do pieca. Nie odczytał żadnych jej wyrzutów sumienia ani grzechów, wężycy nie wiedziała, czy kiedykolwiek postąpiła źle. Była niewinna. Jak wszystkie węże.

Prześlizgiwać się w trawie, kąsać i obezwładniać jadem lub szybkim chwytem szczęk, poczuć przesuwający się przez gardło smaczny, aksamitny, śliski gruzełek polnej myszy, spaść w ciemną jamę i zwinąć się na posłaniu z liści — to wszystko czyste dobro i tak powinno być na świecie.

Położył wężycę w palenisku na śmierdzącym kocu. Zapalił świeczki, żeby stworzyć intymną, romantyczną atmosferę. Wężycy zwinęła się zadowolona.

— Wiesz, co zrobić, jeśli sam nie dam sobie z nim rady — powiedział Ig. — Jeżeli te drzwi otworzy inna osoba, masz ją kąsać, kąsać, kąsać. Rozumiesz?

Wysunęła język i pieszczotliwie polizała nim powietrze. Ig przykrył ją kocem, na którym położył komórkę Glenny, to różowe mydełko. Jeśli Lee przypadkiem go zabije, przyjdzie tu, żeby zdmuchnąć świece. Wtedy zauważy telefon i zechce go ze sobą zabrać. Telefonowano z niego na jego numer, a to by był dowód rzeczowy.

Ig cofnął się i przymknął drzwi pieca. W szczelinie migotały świece, jakby w starym palenisku znowu zapłonął ogień, jakby odlewnia wróciła do życia.

Chwycił widły oparte o ścianę i nagle usłyszał swoje imię wymówione szeptem. Odwrócił się gwałtownie, z łomotem serca. Terry podciągnął się na rękach, by zajrzeć do odlewni.

— Co ty tu robisz? — rzucił Ig w panice.

— Czy to węże?

Terry cofnął się na bezpieczną odległość, kiedy brat wyskoczył na zewnątrz. Ig trzymał pudełko zapalek, rzucił je na kanister. Odwrócił się i wymierzył widły w pierś Terry'ego. Spojrzał nad jego ramieniem, w mroczne pole. Nie widział mercedesa.

— Gdzie twój samochód?

— Za tą stertą — odparł Terry, wskazując szczególnie wysoką górę śmieci. Wyciągnął rękę i delikatnie odsunął widły.

— Kazałem ci odejść.

Twarz Terry'ego lśniła od potu.

— Nie ma mowy.

Ig nie od razu przyjął do wiadomości tę nieprawdopodobną odpowiedź.

— Masz odejść. — Natężył moc tak bardzo, że uczucie parcia i żaru w rogach stało się niemal bolesne. — Nie chcesz tu być i ja

cię tu nie chcę.

Terry zachwiał się, jakby Ig go popchnął. Ale zaraz odzyskał równowagę.

— A ja odmawiam. Nie możesz mnie zmusić. Nie wiem, co robisz z moją głową, ale nie masz nieograniczonej władzy. Możesz tylko złożyć ofertę. Muszę wyrazić zgodę. A ja się nie zgadzam. Nie odjadę stąd i nie zostawię cię sam na sam z Lee. Tak zrobiłem z Merrin i od tej pory żyję w piekle. Chcesz, żebym odjechał, to wsiadaj do samochodu i jedź ze mną. Jakoś to rozgryziemy. Znajdziemy sposób, żeby rozprawić się z Lee tak, żeby nikt nie zginął.

Ig wydał gardłowy, zduszony wściekły warkot i rzucił się na niego z widłami. Za każdym razem, gdy przyskakiwał, zadając cios, Terry odsuwał się poza jego zasięg z bladym, niepewnym uśmiechem. Ig poczuł się jak dziesięcioletek zmuszony do jakiejś durnej gry.

Za szeregiem przydrożnych drzew zamigotały reflektory. Samochód zwalniał, przygotowywał się do skrętu. Ig i Terry zatrzymali się, wpatrzeni w szosę.

— To Lee — powiedział Ig i znowu spojrzał z furią na Terry'ego. — Zjeżdżaj. Nie możesz mi pomóc. Możesz tylko

wszystko spieprzyć. Nie wychylaj się i schowaj się tam, gdzie nie oberwiesz po dupie.

Zrobił ruch widłami, a jednocześnie po raz ostatni natężył moc rogów, usiłując urobić Terry'ego.

Tym razem Terry nie dyskutował; pobiegł przez wysoką trawę ku wysypisku. Ig odprowadził go wzrokiem i wskoczył w wysokie drzwi do odlewni. Za jego plecami promienie reflektorów cadillaca Lee Tourneau omiatały mrok, rozcinały ciemność jak nóż czarną kopertę.

ROZDZIAŁ 46

Ledwie wpełzł do odlewni, reflektory omiotły okna i drzwi. Białe świetliste kwadraty przesunęły się po pokrytych napisami ścianach, wyłaniając z mroku stareńkie napisy: TERRY PERRISH MA MAŁY INSTRUMENT, POKÓJ '79, BÓG UMARŁ. Ig cofnął się w mrok, stanął z boku drzwi. Zdjął płaszcz, rzucił go na środek podłogi, przykucnął w kącie i za pomocą rogów przemówił do węży.

Wyłoniły się z zakamarków, dziur w ścianie, spod stert cegieł. Sunęły w stronę płaszcza, w pośpiechu przepelzając przez siebie nawzajem. Płaszcz zafalował, gdy zaczęły się pod nim kryć. Potem powoli się uniósł, ramiona się wypełniły, rękawy napęczniały, jakby niewidzialny człowiek wkładał w nie ręce. Ostatnia uniosła się głowa o włosach wijących się i spływających na kołnierz. Wyglądało to tak, jakby na podłodze siedział długowłosy mężczyzna, a może kobieta, medytując z opuszczoną głową. Ktoś jednostajnie drżący.

Lee zatrąbił klaksonem.

— Glenna! Co tam robisz, skarbie?

— Tu jestem! — zawołał Ig głosem Glenny. Przykucnął tuż przy drzwiach. — Ojeju, skręciłam sobie kostkę, cholera.

Trzasnęły drzwi samochodu. Na zewnątrz rozległy się kroki.

— Glenna! Co się stało?

— Jestem tutaj, kotku.

Lee chwycił betonowy próg i podciągnął się ku drzwiom. Od czasu ostatniego spotkania przytył z pięćdziesiąt kilo i ogolił głowę. Zdumiewająca transformacja. Ig przez chwilę nie pojmował, co widzi. To wcale nie był Lee, tylko Eric Hannity w niebieskich lateksowych rękawiczkach i z latarką. Głowę miał poparzoną. W świetle reflektorów kościste sklepienie jego łysiny niemal dorównywało czerwieni skóry Iga. Pęcherze na lewym policzku nabrzmiały i podbiegły ropą.

— Cześć — odezwał się cicho. Rozglądał się, omiatał przestronne, mroczne przestrzenie niespokojnym wzrokiem. Nie widział Iga z widłami, przykucniętego po prawej stronie w najgłębszym mroku. Czy jeszcze mu się nie przyzwyczyły do ciemności. I nie przyzwyczajają się, dopóki zza jego pleców wpada snop światła reflektorów. Lee był gdzieś na zewnątrz. Jakoś się domyślił, że nie będzie bezpieczny, i przyjechał z Erikiem, ale skąd wiedział? Nie miał już ochraniającego go krzyżyka. To bez sensu.

Eric ruszył małymi kroczkami ku postaci w płaszczu, zakreślając powolne, leniwe łuki pałką w prawej ręce.

— Odezwij się, suko — rzucił.

Płaszcz zadrżał, słabo poruszył ręką i pokręcił głową. Ig nie drgnął, wstrzymywał oddech. Nie miał pojęcia, co robić. Przez te drzwi miał wejść Lee, nie ktoś inny. Oto cała jego krótka diabelska kariera. Wspiął się na szczyty swoich szatańskich możliwości, żeby popełnić ładne, proste morderstwo, a tu wszystko się rozwiało jak popiół na wietrze. Może zawsze tak jest. Może wszystkie diabelskie intrygi są niczym w porównaniu z tym, co potrafi wymyślić człowiek.

Eric stanął za postacią w płaszczu. Uniósł obiema rękami pałkę i opuszczył ją z rozmachem. Płaszcz się zapadł, węże osypały się lawiną w dół. Eric wydał zduszony krzyk obrzydzenia i omal nie potknął się o własne buciory, odskakując.

— Co jest?! — krzyknął Lee z zewnątrz. — Co się dzieje?!

Eric zmiażdżył obcasem głowę pończoszniaka wijącego się mu między stopami. Czaszka gada pękła z cichym chrupnięciem jak zgnieciona żarówka. Eric stęknął ze wstrętem, odrzucił kopniakiem zaskrońca, zaczął się cofać w stronę Iga. Brodził wśród węży, w gadzim gejzerze. Właśnie miał się odwrócić, kiedy nastąpił na pokryte łuską ciało i stracił równowagę. Zrobił

zadziwiająco wdzięczny piruet, po czym upadł ciężko na kolano, twarzą do Iga. Spojrzał na niego świńskimi oczkami w wielkiej, poparzonej twarzy.

— Piekło i szatani — wymamrotał.

— Dzień dobry — powiedział Ig, mierząc w niego widłami.

— Idź do diabła, gnoju — warknął Eric i uniósł lewą rękę.

Ig po raz pierwszy zauważył rewolwer o krótkiej lufie. Skoczył, nie dając sobie czasu do namysłu, uniósł widły i wbił je w lewe ramię Erica. Jakby usiłował nimi przeszyć pień drzewa. Przez trzonek aż do jego ramienia przebiegło drżenie. Jeden ząb wideł złamał Ericowi obojczyk, drugi przebił mięsień ramienia, środkowy trafił w pierś. Broń wystrzeliła w niebo, rozległ się głośny trzask jak przy eksplozji petardy, odgłos amerykańskiego lata. Ig pchnął widły, przewrócił Erica, który upadł na tyłek, broń poszybowała w mrok i stuknęła o podłogę, znowu strzelając i rozdzierając na pół węża smugowego.

Hannity stęknął. Wydawało się, że wyteżę siły, by podnieść jakieś straszne brzemie. Zacisnął szczęki, a jego twarz — i tak czerwona — nabrała odcienia szkarłatu, na którym ostro odcinały się wielkie białe pęcherze. Rzucił latarkę, sięgnął prawą ręką do wideł, jakby chciał je wyszarpnąć.

— Zostaw — odezwał się Ig. — Nie chcę cię zabić. Zrobisz sobie krzywdę, usiłując to wyjąć.

— Nie... — wyzapał Hannity. — Nie próbuję... tego... wyjąć.

Obrócił się w prawo, pociągając widły i Iga w plamę światła w drzwiach. Ig nie wiedział, co się dzieje, dopóki się nie stało, dopóki nie stracił równowagi i nie wyłonił się z mroku. Cofnął widły i przez chwilę zakrzywione końce szpikulców szarpnęły za ścięgna i mięśnie, a potem się z nich wydarły. Eric krzyknął.

Ig nie miał złudzeń, co się teraz stanie, i usiłował odskoczyć, bo w drzwiach stanowił jasno oświetlony cel, ale nie zdążył. Huk strzelby był jak ogłuszający grzmot, a jego pierwszą ofiarą padł słuch Iga. Ledwie broń bluznęła czerwonym ogniem, jego bębunki odmówiły współpracy. Świat natychmiast pograżył się w nienaturalnej ciszy. Ig miał wrażenie, jakby w prawe ramię potracił go przejeżdżający autobus. Zatoczył się na Erica, który wydał gwałtowny, bulgoczący charkot, podobny do szczekania.

Lee chwycił jedną ręką framugę drzwi i wywindował się na górę, trzymając w dłoni strzelbę. Wstał niespiesznie. Przeładował broń; Ig widział wyraźnie, jak zużyta łuska wyskakuje z komory i kreśli łuk w ciemności. On też usiłował odskoczyć, stać się ruchomym celem, ale miał unieruchomione ramię. Eric trzymał go

za łokieć i nie puszczał. Może się na nim wspierał, a może wykorzystywał go jako żywą tarczę.

Lee znowu strzelił, celując w nogi Iga, któremu przez chwilę udało się zachować równowagę. Podparł się na widłach. Ale Eric wciąż wisiał mu na ramieniu i też oberwał, tylko w pierś. Upadł, pociągając go za sobą.

Ig dostrzegł przelotnie wirujący skrawek czarnego nieba i srebrnej chmury tam, gdzie niegdyś, ponad sto lat temu, znajdował się sufit. Potem runął na wznak z głośnym łupnięciem, które wstrząsnęło nim do szpiku kości.

Leżał obok Erica, z głową na jego biodrze. Nie czuł prawego ramienia ani nóg od kolan w dół. Krew odpłynęła mu z głowy, czerń nieba niepokojąco gęstniała, a on konwulsyjnie i rozpaczliwie nie pozwalał świadomości odpłynąć. Jeśli teraz zemdleje, Lee go zabije. Po tej myśli nastąpiła druga: że ta względna przytomność nic nie zmienia, bo i tak tu umrze. Zauważył, niemal obojętnie, że nadal trzyma widły.

— Trafiłeś mnie, ty pojebie! — krzyknął Eric.

Ig miał wrażenie, że krzyk dobiega go przez hełm motocyklowy.

— Mogło być gorzej. Mogłem cię zabić — odpowiedział Lee. Stanął nad Igiem, mierząc mu w twarz.

Ig dziabnął widłami i lufa utknęła między metalowymi szpikulcami. Szarpnął ją w prawo, więc kiedy wystrzeliła, trafiła w twarz Erica Hannity'ego. Igowi bluznęła w oczy krew tak gorąca, że parzyła, a on mimo woli pomyślał o tamtym indyku, którego rozerwało z nagłym hukiem. Wężę wiły się we krwi, odpełzały w kąty.

— O cholera — odezwał się Lee. — No i jest gorzej. Przepraszam cię, Eric. Chciałem zabić Iga, przysięgam.

I roześmiał się histerycznie.

Cofnął się o krok, wysunął lufę spomiędzy zębów wideł. Opuścił broń, a wówczas Ig znowu zadał cios i strzelba wypaliła po raz czwarty. Pocisk poszedł wysoko, trafił w trzonek wideł i go roztrzaskał. Trójzębne ostrze poszybowało w mrok i uderzyło z brzękiem o beton. Igowi w dłoniach został bezużyteczny kijek.

— Zechcesz się nie ruszać? — rzucił Lee z pretensją, jeszcze raz przeładowując.

Odstąpił, z bezpiecznej odległości dwóch kroków znowu wymierzył w twarz Iga i pociągnął za spust. Iglica szczęknęła głucho. Lee zawył z rozczarowania.

— Co jest, tylko cztery naboje? To strzelba Erica. Zastrzeliłbym cię już wcześniej, ale wiesz, dochodzenie. Teraz nie mam się czym martwić. Zabiłeś Erica, a on ciebie, ja jestem

czysty, wszystko się pięknie układa. Szkoda, że Ericowi skończyły się naboje i musiał cię zatłuc na śmierć.

Odwrócił strzelbę, wziął ją za lufę i zamachnął się. Ig zdążył zauważyć w tym ułamku chwili, że Lee chyba spędził trochę czasu na polu golfowym — był to swobodny, precyzyjny ruch — po czym oberwał kolbą w głowę. A właściwie w róg. Pchnięty ciosem przejechał plecami po betonowej podłodze.

Zatrzymał się, zwrócony twarzą w górę, dysząc, z palącym bólem w płucach. Zaczekał, aż niebo przestanie się kręcić. Sklepienie się kołysało, gwiazdy kłębiły się jak płatki śniegu w szklanej kuli, którą ktoś mocno potrząsał. Rogi wibrowały niczym wielki kamerton. Przyjęły cios, ale ochroniły czaszkę.

Lee podszedł, zamachnął się bronią i uderzył go w prawe kolano. Ig ryknął i usiadł gwałtownie, chwyciwszy się za nogę. Rzepka pod skórą przemieszczała się jak kawałki stłuczonego talerza. Lee znów uderzył, znów go przewrócił. Kij, który został Igowi w ręku — ostry szpikulec, pozostałość trzonka wideł — wystrzelił mu z ręki. Niebo nadal wirowało mdląco jak śnieg w kuli.

I w tej chwili Ig znowu dostał. Między nogi, w jaja. Nie mógł krzyknąć, nie miał dość powietrza. Przewrócił się konwulsyjnie na bok, zgiał się wpół. Biały supeł bólu przeniósł się z jego krocza we

wnętrzości, rozprzestrzenił się jak trujący gaz wypełniający balon, zmienił się w potężną falę mdłości. Ig zesztyniał, usiłując nie zwymiotować. Całe jego ciało zacisnęło się jak pięść.

Lee odrzucił strzelbę, zaczął krążyć po pomieszczeniu, czegoś szukał.

— Gdzie Eric podział rewolwer? — odezwał się w zamyśleniu. — Wiesz, dałem ci się oszukać. Potrafisz niesamowicie mieszać ludziom w głowach. Kazesz im zapominać. Czyścisz im wspomnienia. Sprawiasz, że słyszą głosy. Naprawdę myślałem, że to Glenna. Już tu jechałem, kiedy zadzwoniła do mnie z salonu i kazała mi spierdalać. Mniej więcej. Uwierzysz? Powiedziałem: „Proszę bardzo, mogę spierdalać, ale jak uruchomiłaś samochód?”. A ona: „Co ty wygadujesz, na miłość boską?”. Nie wyobrażasz sobie, jak się poczułem. Jakbym tracił rozum. Jakby cały świat ześwirował. Już raz się tak kiedyś czułem. W dzieciństwie spadłem z płotu i uderzyłem się w głowę, a kiedy wstałem, księżyc drżał, jakby miał spaść z nieba. Usiłowałem ci kiedyś opowiedzieć, jak go naprawiłem. Naprawiłem księżyc. Załatwiłem, żeby niebo znowu było w porządku. Ciebie też załatwię.

Pisnęły żelazne zawiasy pieca. Ig poczuł krótki, niemal bolesny przypływ nadziei. Wężyca dziabnie Lee, który włoży rękę w palenisko. Ale zaraz usłyszał oddalające się kroki, stukot obcasów

na betonie. Lee tylko otworzył drzwiczki, pewnie żeby mieć więcej światła do poszukiwań.

— Zadzwoiłem do Erica, powiedziałem, że chyba tu jesteś, bawisz się w jakieś gierki i musimy cię przycisnąć. A ponieważ byłeś moim przyjacielem, powinniśmy się z tobą rozprawić dyskretnie. Wiesz, jaki jest Eric. Nie musiałem go specjalnie namawiać. I nie musiałem mu tłumaczyć, żeby wziął broń; Wszystko to zrobił z własnej inicjatywy. Wiesz, że nigdy w życiu nie strzelałem ze strzelby? Nawet nie umiem jej naładować. Matka mawiała, że broń to prawa ręka diabła. Dlatego nie trzymała jej w domu. No cóż, lepsze to niż nic.

Ig usłyszał metaliczny zgrzyt. Lee podniósł coś z podłogi. Fale mdłości napływały wolniej i Ig zdołał zaczerpnąć trochę powietrza. Wydało mu się nawet, że jeśli odpocznie jeszcze minutę, znajdzie dość sił, żeby usiąść. Zrobić ten ostatni wysiłek. Wydało mu się także, że jeśli odpocznie jeszcze minutę, będzie miał w głowie pięć pocisków z trzydziestkiósemki. Lee już wracał do niego.

— Znasz niesamowite sztuczki. Parę minut temu, kiedy wołałeś do nas głosem Glenny... szczerze mówiąc, jakoś w to znowu uwierzyłem, naprawdę sądziłem, że to ona, choć rozsądek mi podpowiadał, że jest w salonie. Te głosy są świetne, ale nie tak świetne jak wyjście z płonącego wraku bez jednego oparzenia. —

Zamilkł. Staął nad Igiem nie z pistoletem, ale metalowym ostrzem wideł.

— Jak to możliwe? Dlaczego się taki stałeś? Skąd te rogi?

— Merrin... — Głos Iga brzmiał słabo, drżąco, niemal jak westchnienie.

— Co z nią?

— Bez Merrin... jestem taki.

Lee przyklęknął nad nim.

— Wiesz, ja też ją kochałem. Miłość zrobiła diabłów z nas obu.

Chwycił go za gardło i każda niegodziwa rzecz, jaką kiedykolwiek popełnił, spłynęła w Iga jak lodowaty, żrący środek chemiczny.

— Nie będziemy dłużej rozmawiać. To byłby błąd. — Lee uniósł nad głowę metalowe ostrze, celując szpikulcami w pierś Iga.

— Zresztą na tym etapie nie mamy już o czym mówić.

Ryk trąbki zabrzmiał przeraźliwie, ogłuszająco. Lee obejrzał się gwałtownie w stronę drzwi, w których klęczał Terry z trąbką przy ustach.

Ig wykorzystał tę chwilową nieuwagę, poderwał się i odepchnął rękę Lee. Chwycił go za klapy kurtki i grzotnął głową w tors, wbił mu rogi w brzuch. Wstrząs uderzenia poczuł aż w kręgosłupie.

Miał wrażenie, że rogi mu uwięzły, że coś je zassało. Poruszył głową, jeszcze bardziej rozwiercając rany. Lee usiłował go odepchnąć. Ig znowu rozerwał mu ciało, wdarł się głęboko. Poczł zapach krwi zmieszany ze smrodem starych śmieci, może z przekłutego jelita.

Lee wbił mu palce w ramiona i napał, usiłując się wyzwolić. Rogi wyszły z jego ciała z wilgotnym cmoknięciem.

Upadł na bok, skulił się, ściskając brzuch. Miał zaciśnięte powieki i usta otwarte jak wielka ziejąca dziura. Już nie krzyczał, brakowało mu na to powietrza, a ponieważ zamknął oczy, nie widział pełznącego czarnego węża. Gad szukał jakiejś spokojnej kryjówki, ucieczki z tego domu wariatów. Pełznąc, odwrócił głowę i rzucił Igowi przerażone spojrzenie oczu jak ze złotej folii.

Tam, powiedział do niego Ig w myślach, wskazując brodą Lee. Ukryj się. Ratuć się.

Wąż skręcił, sunąc z wdziękiem przez zakurzony gładki beton. Wpełził w rozdziawione usta.

Lee gwałtownie otworzył oczy, to zdrowe i ślepe. Oba wypełniało coś w rodzaju ekstatycznej zgrozy. Usiłował zamknąć usta, ale kiedy zacisnął zęby na grubym obłym ciele, tylko wystraszył węża. Gad strzepnął wściekle ogonem i szybciej zaczął się wtlaczać w gardło. Lee jęknął, zakrztusił się, oderwał ręce od

zranionego brzucha i chwycił łuskowate ciało. Wąż wysliznął się mu z mokrych od krwi palców.

Terry popędził ku nim.

— Ig! Ig, jesteś...

Zobaczył Lee wijącego się w konwulsjach na podłodze i zatrzymał się jak wryty.

Lee przetoczył się na plecy i zaczął krzyczeć, choć trudno jest wydać dźwięk z węzłem w gardle. Bił nogami o podłogę. Jego twarz nabrała koloru nocnego nieba, na skroniach wystąpiły mu gałęzie żył. Chore oko, to uszkodzone, nadal patrzyło na Iga z wyrazem zdumienia. To oko było jak czarna jama bez dna z kręconymi schodami z jasnego dymu, prowadzącymi w miejsce, skąd dusza nie mogłaby powrócić nigdy. Ręce mu znieruchomiały. Z ust zwisał mu dziesięciocentymetrowy koniec węża, długi czarny lont żywej bomby. Wąż także przestał się ruszać, jakby zrozumiał, że go oszukano, że popełnił poważny błąd, usiłując się ukryć w mokrym, ciasnym tunelu gardła. Nie mógł pełznąć dalej, nie mógł się wycofać. Ig poczuł litość. To straszne — umrzeć w Lee Tourneau.

Ból powrócił, promieniował z krocza, zmiażdżonego ramienia i roztrzaskanych kolan, jak cztery zatrute rzeki wpadające do głębokiego zbiornika cierpienia. Ig zamknął oczy, żeby się skupić na opanowaniu tego bólu. Na chwilę w starej odlewni zapadła

cisza. Człowiek i demon leżeli obok siebie — choć pytanie, który był którym, nadawało się na temat teologicznej debaty.

ROZDZIAŁ 47

Cienie poruszały się niespokojnie na ścianie, unosiły się i opadały. Ciemność nadpływała falami. Świat także przyplýwał i odpływał. Ig starał się utrzymać na powierzchni. Coś go kusilo, żeby się zanurzyć, uciec przed bólem, wyciszyć cierpiące ciało. Już zaczął się od siebie oddzielać, senne, coraz silniejsze poczucie oderwania zrównoważyło ból. Gwiazdy powoli wirowały nad jego głową, przepływały z lewa na prawo, więc czuł się, jakby płynął na wznak rzeką Knowles, pozwalając się nieść nurtowi. Terry pochylił się nad nim, zbolały i bezradny.

— Będzie dobrze. Wezwę kogoś. Muszę pobiec do samochodu po telefon.

Ig uśmiechnął się — miał nadzieję, że pocieszająco — i usiłował wyjaśnić bratu, że potrzebuje tylko jednego: żeby Terry go podpalił. Kanister stał na zewnątrz, pod ścianą. Wystarczy go oblać i rzucić zapałkę. Ale nie mógł nabrać dość powietrza, żeby wykrztusić choćby słowo. Lee Tourneau nieźle go załatwił.

Terry uściskał mu dłoń i Ig zrozumiał mimowolnie, że brat ścigał od kolegi z przodu na klasówce z geografii w siódmej klasie.

— Wróć — powiedział Terry. — Słyszysz? Zaraz wróć. Za minutkę. — Puścił jego rękę, wstał i zniknął mu z oczu.

Ig odchylił głowę i spojrzał na czerwonawy blask świec pełzający po starych ceglach. To miarowe, chybotliwe migotanie dawało ukojenie, potęgowało wrażenie zawieszenia, unoszenia się w powietrzu. Potem przyszło mu do głowy, że skoro widzi blask świec, to drzwiczki pieca muszą być otwarte. Tak, przecież Lee je uchylił, żeby rzucić światło na betonową podłogę.

I wtedy Ig zrozumiał, co się stanie. Ten szok wyrwał go z rozmarzonego, odrętwiałego bujania w obłokach. Terry zaraz zobaczy telefon, komórkę Glenny ułożoną na kocu w palenisku. Nie może tam włożyć ręki! Tylko nie on — nie Terry, który w wieku czternastu lat omal nie umarł z powodu użądlenia osy. Musi się trzymać z dala od pieca. Ig chciał krzyknąć, ostrzec go, ale nie mógł wydusić z siebie nic oprócz charczącego, bezdźwięcznego świstu.

— Chwileczkę — odezwał się Terry z głębi pomieszczenia. Wydawało się, że mówi do siebie. — Zaczekaj, a ja... rany! Ig, mamy szczęście. Tu jest telefon.

Ig odwrócił głowę i znowu zrobił wysiłek, by go ostrzec, ale gardło ścisnął mu bolesny, mocny skurcz i nie mógł się odezwać. Terry pochylił się nad paleniskiem i wyciągnął rękę po komórkę.

Kiedy ją uniósł, jeden z fałdów koca się poruszył i Terry znieruchomiał. Zobaczył węża, łuski lśniące miedzią w świetle świec. Rozległ się suchy szczęk kastanietów. Wężyca wytrysnęła jak strzała i ukąsiła. Telefon poszybował w powietrzu. Terry krzyknął, poderwał się i uderzył głową w metalową framugę drzwiczek pieca. Stracił równowagę, upadł twarzą na materac, nadal zanurzony do połowy we wnętrzu paleniska.

Wężyca uparcie zaciskała zęby na jego przegubie. Terry chwycił ją i szarpnął. Kły rozdarły ciało, a wężyca zwinęła się i znowu go ukąsiła, tym razem w twarz, zatopiła zęby w jego lewym policzku. Terry chwycił ją i pociągnął. Rozwarła szczęki, sprężyła się i zaatakowała po raz trzeci i czwarty. Za każdym razem rozlegał się odgłos, jakby ktoś przebijał gruszkę treningową.

Brat Iga osunął się na kolana. Uniósł grzechotnika w powietrze i uderzył o podłogę, jakby trzepał dywan. Bryznęła czarna fontanna krwi, potoczył się gadzi mózg. Terry odrzucił ciało, które zwinęło się i wylądowało na grzbiecie. Ogon wściekle siekł beton. Powoli konwulsje złagodniały, zmieniły się w delikatne ruchy na boki, aż w końcu zupełnie ustały.

Terry ukląkł przy palenisku, opuściwszy głowę jak w modlitwie, pobożny wierny, czciciel świętego i wiecznego pieca. Jego ramiona unosiły się i opadały z każdym oddechem.

Napełnianie płuc powietrzem sprawiało mu trudność. Jeśli to wstrząs anafilaktyczny, będzie potrzebował za parę minut zastrzyku adrenaliny, żeby się nie udusić z powodu spuchniętego gardła.

Komórka Glenny leżała gdzieś w piecu, niespełna dziesięć metrów dalej, ale Ig nie wiedział, gdzie Terry ją upuścił, i nie chciał jej szukać, podczas gdy brat się krztusi. Było mu słabo, nie wiedział, czy zdołałby wspiąć się do paleniska, znajdującego się metr nad podłogą. A kanister z benzyną stał niedaleko.

Wiedział, że najtrudniej będzie ruszyć. Na samą myśl, że ma się przewrócić na bok, czuł ogień pełzający zawiłą siecią bólu w ramieniu i kroczu, sto delikatnych płonących włókienek. Im dłużej się namyślał, tym było mu trudniej. Przechylił się; jakby zakrzywione ostrze przeszło mu ramię i obróciło się w nim kilka razy — pal nieustannie wbijający mu się w ciało. Krzyknął — nie wiedział, że jest do tego zdolny — i zamknął oczy.

Kiedy wróciła mu przytomność, wyciągnął zdrową rękę, oparł się na niej i zaczął pełznąć. Znowu krzyknął. Usiłował się odpychać nogami, ale stracił w nich władzę. Kolano bolało przeraźliwie. Spódnicę miał mokrą od krwi. Pewnie nie da się jej doprać.

— A to moja ulubiona — szepnął z nosem rozplaszczonym na podłodze. — Chciałem w niej iść na tańce. — I roześmiał się suchym, ochrypłym rechotem, który zabrzmiał wyjątkowo wariacko.

Przepelził kolejne centymetry, opierając się na prawym ramieniu; jego lewy bark znowu przeszyły ostrza, ból promieniował do piersi. Drzwi wcale nie wydawały się bliżej. Odważył się spojrzeć na brata. Terry nadal klęczał przed paleniskiem, ale pochylił głowę tak, że czołem niemal dotykał kolan. Ig ze swego miejsca nie widział już wnętrza komina, tylko półotwarte żelazne drzwiczki, migotliwy blask świec i...

... w górze znajdowały się drzwi i migotało światło.

Był strasznie pijany. Nie upił się tak od nocy śmierci Merrin, a i tak jeszcze było mu mało. Obszczał Matkę Boską. Obsikał krzyż. Polał obficie własne stopy i jeszcze się z tego śmiał. Odchylił głowę, żeby pociągnąć z gwinta, kiedy w gałęziach starego martwego drzewa zobaczył spód domku, niecałe pięć metrów nad ziemią, szeroki prostokąt klapy w podłodze, krawędzie obrzeżone słabym, migotliwym blaskiem świec. W mroku słowa na spodzie — BŁOGOSŁAWIENI WY, KTÓRZY TU WEJDZIECIE — ledwie rysowały się w mroku.

— Ha! — Z roztargnieniem wcisnął korek w butelkę i wypuścił ją z ręki. — Tu jesteś. Widzę cię!

Zmyślony domek na drzewie spletał mu figła — jemu i Merrin. Tak długo się przed nimi ukrywał. Nigdy go tu nie było, kiedy Ig odwiedzał miejsce śmierci Merrin. A może zawsze tu był, ale stan umysłu nie pozwalał Igowi go zobaczyć.

Ig zapiął jedną ręką rozporek, zakołysał się i ruszył...

...po gładkiej betonowej podłodze. Nie chciał podnosić głowy i sprawdzać, jak mu idzie. Czy w ogóle zbliża się do drzwi? Wyciągnął prawą rękę...

...chwycił najniższą gałąź i zaczął się wspinać. Stopa mu się omsknęła; musiał się chwycić konara, żeby nie spaść. Zamknął oczy i przeczekał trudną chwilę zawrotów głowy, wrażenia, że drzewo zaraz się przewróci razem z nim. Ochłonął i ruszył dalej, wspinał się z pijacką bezmyślną zwinnością. Wkrótce znalazł się tuż pod włazem w podłodze. Chciał go otworzyć, ale na klapie coś stało i tylko podskoczyła z łomotem.

Z wewnątrz dobiegł stłumiony krzyk — znajomy głos.

— Co to było?! — zawołała Merrin.

— Hej! — odezwał się ktoś inny, głos znany mu jeszcze lepiej: jego własny. Dobiegał z domku, był zduszony i oddalony, ale Ig rozpoznał go natychmiast. — Kto tam jest?

Przez chwilę stal jak skamieniały. Byli tam, Merrin i on, oboje młodzi i zakochani. Byli tam i jeszcze mógł ich uratować przed tym najgorszym, co już na nich czekało. Znowu naparł barkami na drzwi...

...otworzył oczy. Wracała mu przytomność. Tętno miał powolne. Przedtem jego lewe ramię było gorące, teraz stało się zimne i mokre. Ten chłód go martwił. Chłodne stają się trupy. Uniósł głowę, żeby się rozejrzeć. Znalazł się już niedaleko od drzwi i ziemi, znajdującej się prawie dwa metry niżej, o czym starał się na razie nie myśleć. Kanister stał na dole, tuż, po prawej stronie. Musiał tylko dotrzeć do drzwi i...

...mógł im powiedzieć, co się stanie, mógł ich ostrzec. Mógł poradzić młodszemu sobie, żeby kochał Merrin pięknie, żeby jej ufał, był przy niej, że mają mało czasu, więc uderzył w klapę raz i drugi, ale za każdym razem unosiła się o parę centymetrów i znowu opadała z trzaskiem.

— Spierdalać! — krzyknął miody Ig z wnętrza domku.

Ig znieruchomiał, przygotowując się do następnego szturmu — a potem się zreflektował, przypomniał sobie czasy, kiedy znajdował się po tamtej stronie wejścia.

Bał się wtedy otworzyć, zdołał to zrobić, gdy ten ktoś na zewnątrz przestał się wdzierać do środka. A wówczas na zewnątrz było już pusto. Nie zobaczył nikogo.

— Słuchajcie! — odezwał się Ig z domku. — Już się zabawiliście! Strasznie się boimy. A teraz wychodzimy.

Szurnęły nogi odsuwanego krzesła; Ig naparł na klapę w tej samej chwili, w której jego młodsze ja ją odrzuciło. Wydawało mu się, że dostrzegł kochanków wyskakujących z domku i mijających

go, ale to było złudzenie optyczne, cienie rzucane przez tańczące płomyki.

Zapomnieli zgasić świece. Ig zająrzył do środka, nadal się paliły, więc...

...wyjrzał na zewnątrz, wychylił głowę, za głowę poszło ciało i runął w dół. Uderzył barkami o ziemię, przez lewe ramię przebiegł mu elektryczny wstrząs, eksplozja, która go rozerwała, rozsypała na kawałki. Znajdą jego strzępy na drzewach.

Świat zadygotał od siły zderzenia z ziemią. Ig spojrział w nocne niebo i wydawało mu się, że to ostatnia scena niemego filmu: czarny krąg zaczął się kurczyć, zmniejszać, zostawiając go...

...samego w mroku domku na drzewie.

Ze świeczek zostały zniekształcone króciutkie ogarki. Wosk spływał grubymi łzami, tworzył lśniące kolumny zasłaniające diabła przykucniętego u stóp menory. Płomyki migotały. Na lewo od wejścia stał fotel usiany plamami pleśni. Cienie porcelanowych figurynek — dwóch aniołów, Jezusa i kosmity — chwiały się na ścianach. Matka Boska przechyliła się na bok, tak jak zapamiętał.

Ig rozejrzył się po wnętrzu. Całkiem jakby od czasu, gdy tu był, minęło parę godzin, nie lat.

— Po co to? — spytał. Początkowo wydawało mu się, że mówi do siebie. — Po co mnie tu sprowadzać, skoro nie mogę im pomóc?

Stopniowo ogarnął go gniew, poczuł ogień w piersi, duszącą wściekłość. Świeczki dymiły.

Musi istnieć jakiś powód. Na pewno trzeba coś zrobić, coś znaleźć. Może coś, co tu zostawili. Spojrzał na niski stolik z porcelanowymi figurkami i zauważył leciutko uchyloną szufladkę. Podeszedł, sądząc, że coś w niej znajdzie — coś, czego będzie mógł użyć, co go czegoś nauczy. Ale nie było w niej nic oprócz pudełka zapalek. Na etykiecie widniał czarny diabeł w skoku, śmiejący się z odchyloną głową. Po przekątnej biegły ozdobne dziewiętnastowieczne czcionki tworzące napis ZAPAŁKI LUCYFERA. Ig zacisnął je w pięści, jakby chciał zgnieść. Ale tego nie zrobił. Stał, patrząc na figurynki — a potem znowu przyjrzał się pergaminowi pod nimi.

Kiedy ostatnio przebywał w tym domku — gdy Merrin żyła i świat był dobry — słowa na pergaminie napisano po hebrajsku, a on nie miał pojęcia, co oznaczają. Sądził, że to ustęp z Tory. Ale w migotliwym świetle świeczek ozdobne czarne litery, chwiejące się jak żywe cienie, w magiczny sposób zatrzymane na papierze, układały się w czytelny tekst:

Zmyślony Domek na Drzewie

*Drzewo Wiadomości Dobrego i Złego Stara Droga do Odlewni 1
Gideon, NH 03880*

Zasady i postanowienia:

Weź, co chcesz, póki tu jesteś

Odchodząc, zabierz, czego potrzebujesz

W wyjściu powiedz „ amen “

Palenie NIE jest zakazane

L. Morningstar, właściciel

Ig wpatrywał się w tekst, niepewny, czy teraz rozumie więcej. Tak naprawdę chodziło mu o Merrin — nigdy jej nie odzyska, a

skoro tak, to miał ochotę spalić cały ten pieprzony domek, palenie nie było tu zakazane i zanim się zorientował, co robi, przesunął dłonią po stole, zrzucił menorę i figurynki. Statuetka kosmity potoczyła się i spadła ze stołu. Anioł przypominający Terry'ego, ten z trąbką, poturlał się po blacie prosto do półotwartej szuflady. Drugi anioł, ten nad Marią, obojętny i zadzierający nosa, uderzył z trzaskiem w stolik. Obojętna, zadzierająca nosa głowa potoczyła się daleko.

Ig odwrócił się wściekle...

...odwrócił się z trudem i zauważył kanister stojący tam, gdzie go zostawił, pod kamiennym murem, na prawo od drzwi. Przedarł się przez kępę wysokiej trawy, uderzył dłonią w pojemnik, który zabrzączał i zachlupotał. Namacał rączkę, pociągnął za nią. Zdziwił się, jak ciężki okazał się kanister. Jakby go wypełniał płynny beton. Przesunął po nim palcami, znalazł pudełko zapalek i odłożył je na bok.

Przez chwilę leżał nieruchomo, zbierając siły na ostatni niezbędny wydatek energii. Mięśnie jego prawej ręki dygotały nieustannie i nie wiedział, czy zdoła dokonać tego, co trzeba. W końcu uznał, że jest gotów spróbować. Z trudem uniósł kanister i odwrócił go do góry dnem.

Benzyna opryskała go śmierdzącym, błyszczącym deszczem. Poczuł na rozkrwawionym ramieniu nagłą palącą eksplozję. Krzyknął; z jego ust buchnął grzyb szarego dymu. W oczach stanęły mu łzy. Ból go wgniótł w ziemię, zmusił do puszczenia

kanistra. Zadygotał gwałtownie w tej swojej idiotycznej niebieskiej spódniczce, w napadzie dreszczy bliskich rozwinięcia się w prawdziwe konwulsje. Uderzył na oślep prawą ręką, nie wiedział, czego szuka, dopóki nie trafił na leżące na ziemi pudełko zapalek Lucyfera.

Odgłosy sierpniowej nocy — świerszcze i śmigające po szosie samochody — brzmiały bardzo cicho. Ig otworzył pudełko. Zapalki wysypały się mu z dygoczącej ręki. Wyjął jedną z nielicznych pozostałych i przeciągnął nią po drasce. Pyknął biały języczek ognia.

Świece upadły na podłogę i potoczyły się, każda w swoją stronę. Większość nadal się paliła. Szara gumowa figurka oparła się o jedną z nich, kiedy język ognia osmalił i roztopił jedną stronę twarzy kosmity. Jedno czarne oko już spłynęło, ukazując pusty oczodół. Trzy inne świeczki doturlały się do ściany z oknem, gdzie białe firanki falowały łagodnie.

Ig chwycił je, zdarł z okna i narzucił na świeczki. Płomyki oblizały tani nylon, popędziły ku jego rękom. Rzucił materiał na fotel.

Coś mu strzeliło pod stopą, jakby nastąpił na małą żarówkę. Spojrzał w dół — przydepnął porcelanowego diabełka. Zmiażdżył ciało, choć kołysząca się na deskach głowa pozostała nietknięta. Szatan z kozią bródką uśmiechał się, wariacko szczerząc zęby.

Ig pochylił się i podniósł głowę z podłogi. Stanął w płonącym domku na drzewie, przyglądając się przystojnej twarzy demona, małym igielkom rogów. Wzdłuż ścian unosiły się serpentyny ognia, czarny dym gęstniał pod sufitem. Płomienie kipiały na fotelu i niskim stoliku. Diabełek patrzył na niego z aprobatą. Potrafił docenić człowieka, który zna się na podpalaniu. Ale z

Igiem skończył już pracę, nadeszła pora ruszyć dalej. Rozniecać następne pożary.

Ig przez chwilę przetaczał diabelską główkę w palcach, po czym wrócił do stolika. Podniósł Maryję, pocałował jej twarzyczkę.

— Do widzenia, Merrin — powiedział. Ustawił ją prosto.

Podniósł też anioła, który stał przed nią. Kiedyś miał władczą i obojętną twarz, ta twarz mówiła „jestem świętszy od ciebie, jak śmiesz mnie dotykać”, ale głowa mu odpadła i gdzieś się potoczyła. Ig osadził na korpusie anioła główkę diabła i pomyślał, że Marii będzie lepiej z kimś, kto wygląda, jakby znał się na dobrej zabawie.

Dym palił mu płuca, szczypał w oczy. Ig poczuł, że skóra napina mu się od skwaru. Ruszył do drzwi w podłodze, uniósł je lekko, żeby zobaczyć, co jest napisane na ich wewnętrznej stronie. Wryło mu się w pamięć, że widnieją na nich jakieś białe litery. Przeczytał: BŁOGOSŁAWIENI WY, KTÓRZY WYJDZIECIE. Miał ochotę się roześmiać, ale nie mógł. Przesunął dłonią po słojach klapy, powiedział „amen” i wymknął się na zewnątrz.

Dotknął stopami grubej gałęzi i po raz ostatni się zatrzymał, spojrzał w górę. Pokoik znajdował się w oku wirującego cyklonu płomieni. Sęki pękały w żarze. Fotel huczał i syczał. Bardzo dobrze. Bez Merrin ten domek był tylko podpałką. Jak cały świat — gdyby ktoś spytał Iga o zdanie.

Zamknął za sobą klapę, zaczął ostrożnie i powoli schodzić w dół. Musiał wrócić do domu. Musiał trochę odpocząć.

Nie. Tak naprawdę musiał złapać za gardło tego, kto mu odebrał Merrin. Co przeczytał na pergaminie w zmyślonym

domku na drzewie? Że odchodząc, zabierze ze sobą to, czego mu potrzeba? Nadzieję zawsze można mieć.

Zatrzymał się tylko raz, w połowie drogi na dół Oparł się o pień i potarł skronie, w których czuł tępy, niepokojący ból, narastające ciśnienie, jakby jakieś ostre szpikulce chciały mu się przebić przez skórę. Chryste! Jeśli tak się czuje już teraz, rano będzie chodził po ścianach.

Odetchnął — nie zauważył jasnego dymu wypływającego mu z nozdrzy — i ruszył w dół. Oddalił się od drzewa, na którym płonął raj.

Zapałka płonęła w jego palcach dokładnie dwie sekundy — sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa — potem syknęła, zetknęła się z benzyną, a on buchnął ogniem, eksplodował jak petarda.

ROZDZIAŁ 48

Stał jak żywa pochodnia, diabeł w ognistej szacie. Przez pół minuty płomienie otaczały go, trzepotały na wietrze. Potem, równie szybko, jak ożyły, zaczęły gasnąć. Po paru chwilach zupełnie znikły i czarny, tłusty dym uniósł się nad nim grubą, duszącą kolumną. Duszącą dla człowieka. Dla demona wydawała się orzeźwiająca jak alpejski wietrzyk.

Odrzucił płaszcz dymu, wystąpił z niego zupełnie nagi. Jego stara skóra się spaliła, spod niej wyłoniła się nowa w głębszym, intensywniejszym odcieniu karminu. Lewa ręka nadal była sztywna, choć rana się zasklepiła, zmieniła w brzydki zrost bliznowatej tkanki. Myślał przytomnie; czuł się świetnie, jakby właśnie przebiegł dwa kilometry i był gotowy do pływania. Wokół z osmalonej trawy unosił się dym. Czerwona ognista linia pełzła przez suche chwasty i trawę do lasu. Ig obejrzał się na suchą wiśnię jaśniejącą na tle iglastych zarośli.

Opuścił zmyślony domek na drzewie, spalił raj, ale wiśnia była nietknięta. Zerwał się silny wiatr, szarpnął liśćmi i nawet z tej odległości Ig widział, że domek zniknął. Ale — śmieszne — ogień jakby go wskazywał, tworzył płomienistą ścieżkę biegnącą w

trawie aż do pnia. To przez wiatr, który wiał przez pole i kierował płomienie do starego podmiejskiego lasku.

Ig wspiał się do odlewni. Przeszedł nad trąbką brata.

Terry klęczał ze spuszczoną głową przed otwartymi drzwiami paleniska. Ig zauważył jego zupełny bezruch, wyraz spokojnego skupienia na twarzy i uznał, że jego brat wygląda ładnie nawet w chwili śmierci. Koszula opinała mu szerokie bary, mankiety były schludnie podwinięte. Ig ukląkł obok niego. Bracia w kościelnej ławce. Ujął rękę Terry'ego i zrozumiał, że kiedy brat miał jedenaście lat, wcisnął mu we włosy gumę w autobusie.

— Cholera — odezwał się. — Trzeba ją było wyciąć.

— Co? — spytał Terry.

— Tę gumę, którą mi przylepiłeś do włosów — wyjaśnił Ig. — Gdy wracaliśmy ze szkoły.

Terry zaczerpnął mały łyżeczek powietrza, świszczący wdech.

— Oddychasz? — spytał Ig. — Jak ci się udaje?

— Mam... bardzo mocne... płuca... — szepnął Terry. — Przecież... zdarza mi się... grać na trąbce. — A po chwili dodał: — To cud. Wyjdziemy z tego. Żywi.

— Tego bym nie był taki pewien — mruknął Ig.

Komórka Glenny leżała w palenisku, pęknięta od uderzenia o ścianę. Wieczko baterii odskoczyło. Ig nie wiedział, czy jeszcze

działa, ale ekranik się rozświetlił, kiedy tylko otworzył klapkę. Diabelne szczęście. Połączył się z pogotowiem i powiedział, że ukąsiła go żmija, że znajduje się w odlewni przy szosie numer siedemnaście, że są tu martwi ludzie i że się pali. Potem się rozłączył, wypełził z paleniska i znowu przykucnął przy Terry.

— Dzwoniłeś — wykrztusił Terry. — Po pomoc.

— Nie. Ty dzwoniłeś. Posłuchaj uważnie, Terry. Powiem ci, co zapamiętasz, a co zapomnisz. Musisz zapomnieć bardzo wiele. To, co się wydarzyło dziś i wcześniej. — Rogi mu zapulsowały w gwałtownym spazmie zwierzęcej rozkoszy. — W tej historii jest miejsce tylko dla jednego bohatera, a wszyscy wiedzą, że diabeł nie może być tym dobrym.

Opowiedział Terry'emu historię, bardzo dobrą historię, a Terry słuchał, kiwając głową, jakby była to melodia, która wyjątkowo przypadła mu do gustu.

*

Po paru minutach wszystko było załatwione. Ig posiedział z bratem jeszcze przez chwilę. Żaden z nich się nie odzywał. Nie wiadomo, czy Terry nadal zdawał sobie sprawę z jego obecności; kazano mu zapomnieć. Wyglądał, jakby zasnął na klęczkach. Ig siedział do chwili, gdy usłyszał dalekie zawroźnienie trąbki, chrapliwie ciągnącej jedną, drażniącą nutę, wycie paniki. Jechały

samochody strażackie. Wówczas wziął w obie dłonie głowę brata i pocałował go w skroń. To, co zobaczył, liczyło się mniej od tego, co poczuł.

— Dobry z ciebie człowiek, Ignacjusie Perrishu — szepnął Terry, nie otwierając oczu.

— To bluźnierstwo — powiedział Ig.

ROZDZIAŁ 49

Zeskoczył na ziemię, a potem, jakby po namyśle, zabrał z wnętrza odlewni trąbkę brata. Spojrzał na pole, na aleję ognia, która ciągnęła się jak strzeł do wiśni. Płomienie przez chwilę lizały jej pień, a potem drzewo buchnęło płomieniem, jakby ktoś oblał je benzyną. Jego korona — kopuła czerwonożółtych płomieni — huczała ogniem. Wśród gałęzi stał zmyślony domek na drzewie. W oknach wydymały się ogniste firanki. Tylko ta jedna wiśnia się paliła; inne drzewa stały nietknięte.

Ig ruszył ognistą drogą wśród pól, młody władca kroczący po czerwonym dywanie do zamku. Za sprawą jakiegoś prawa optyki padły na niego światła reflektorów cadillaca Lee i rzuciły na ścianę kłębiącego się dymu jego ogromny, wysoki na cztery piętra cień. Pierwszy samochód strażacki toczył się już powoli wyboistą polną drogą, a jego kierowca, weteran z trzydziestoletnim stażem, Rick Terrapin, zobaczył czarnego rogatego diabła, wysokiego jak komin odlewni. Krzyknął, szarpnął za kierownicę, zjechał z drogi i wpadł na brzozę. Trzy tygodnie później odszedł na emeryturę. Po tym diable w dymie i straszliwym widoku w odlewni nie miał

ochoty dłużej gasić pożarów. Jeśli o niego chodzi, wszystko mogło się sfajczyć w cholere.

Ig szedł z trąbką po jaśniejącym żarze i w końcu dotarł do drzewa. Nie przystając ani na chwilę, zaczął się wspinać po płonącej drabinie gałęzi. Wydawało mu się, że w górze rozlegają się głosy. Niegrzeczne, wesole głosy i śmiech. Impreza! Słyszał muzykę, perkusję i zadziorne dokazywanie trąbek. Kłapa w podłodze była otwarta. Ig wszedł przez nią do swojego nowego domu, do swojej wieży z ognia z ognistym tronem. Miał rację, rzeczywiście trwała tu impreza — weselna, jego wesele. Oblubienica już czekała, z płomiennymi włosami, naga, osłonięta tylko luźną przepaską z ognia. Wziął ją w ramiona, jej wargi odnalazły jego usta i zapłonęli.

ROZDZIAŁ 50

Terry wrócił do domu w trzecim tygodniu października i w pierwsze wolne popołudnie pojechał do odlewni.

Wielki ceglany budynek stał na poczerniałym polu, wśród stert śmieci, które spłonęły jak ogniska i teraz zmieniły się w góry popiołu, okopconego szkła i stopionych drutów. Sam budynek był osmalony i wszystko cuchnęło spalenizną.

Ale za odlewnią, na szczycie trasy Evela Kniewela, było miło, światło przesiewało się ukośnie przez drzewa w halloweenowych czerwono-złoty kostiumach. Drzewa płonęły jak ogromne pochodnie. Rzeka w dole cicho pluskała, delikatny kontrast do swobodnego poświstywania wiatru. Terry pomyślał, że mógłby tu tak siedzieć cały dzień.

Przez ostatnie tygodnie sporo się nachodził, nasiedział, napatrzył, naczekał. Pod koniec września wystawił na sprzedaż swój dom w Los Angeles i wrócił do Nowego Jorku. Niemal codziennie chodził do Central Parku. Program zdjęto, a bez niego nie widział powodu, żeby zostać w mieście, w którym nie ma pół roku ani chodników do spacerowania.

Ci z Foksa mieli jeszcze nadzieję, że Terry wróci, wydali oświadczenie, że po śmierci brata postanowił zrobić sobie urlop. W ten sposób sprytnie przemilczeli fakt, że złożył oficjalne wymówienie na tydzień przed wypadkiem w odlewni. Mogą sobie mówić, co chcą. On nie wróci. Może za parę miesięcy zacznie grać w klubach. Ale się z tym nie spieszył. Niech wszystko dzieje się we własnym tempie. W końcu trafi na właściwy trop. Nawet jeszcze nie kupił sobie nowej trąbki.

Nikt nie wiedział, co się stało tamtej nocy w odlewni, ponieważ Terry odmówił składania publicznych oświadczeń, a reszta uczestników wydarzeń nie żyła. O okolicznościach śmierci Erica i Lee krążyło mnóstwo niestworzonych historii. W plotkarskim portalu TMZ pojawiło się zestawienie tych najdziwniejszych. Terry miał szukać w odlewni brata, a znalazł Erica Hannity'ego kłócącego się z Lee Tourneau. Terry podsłuchał wystarczająco wiele, by się zorientować, że zamordowali jego brata, spalili go żywcem w samochodzie, a teraz szukali dowodów, które mogły ich zdemaskować. TMZ podawał, że Lee i Eric przyłapali Terry'ego, gdy usiłował się wycofać, i zawlekli go do odlewni. Chcieli go zabić, ale najpierw usiłowali się dowiedzieć, czy do kogoś zadzwonił, czy powiedział, gdzie się znajduje. Zamknęli go w palenisku pieca razem z jadowitą żmiją, żeby go nastraszyć. Ale

zaczęli się znowu kłócić. Terry usłyszał krzyki i strzały. Kiedy się wyczołgał z paleniska, wszędzie się paliło, a Eric Hannity i Lee Tourneau nie żyli. Jeden zginął zastrzelony, drugi — zakłuty widłami. Wypisz, wymaluj szesnastowieczna tragedia; brakowało tylko diabła. Terry był ciekawy, skąd TMZ ma te informacje. Pewnie przekupiono kogoś z policji, może wywiadowcę Cartera, bo ta przedziwna relacja pokrywała się niemal słowo w słowo z jego zeznaniami.

Wywiadowca Carter przyszedł do Terry'ego drugiego dnia jego pobytu w szpitalu. Z pierwszego Terry pamiętał niewiele. Tyle że wwieziono go na oddział ratunkowy, że ktoś mu nałożył maskę tlenową, przypominał sobie powiew chłodnego, lekko pachnącego lekarstwami powietrza. Później miał halucynacje, otworzył oczy i zobaczył swojego nieżyjącego brata, który siedział na brzegu jego łóżka i grał bebop na trąbce. Merrin też tu była, wirowała boso w sukience ze szkarłatnego jedwabiu, kręcąc piruety w takt muzyki, a jej ciemnorude włosy śmigły w powietrzu. Kiedy dźwięki trąbki zmieniły się w miarowy pisk EKG, oboje znikli. Jeszcze później, wczesnym rankiem, uniósł głowę z poduszki i zobaczył rodziców siedzących na krzesłach pod ścianą. Oboje spali, ojciec opierał głowę na ramieniu matki. Trzymali się za ręce.

Popołudniem drugiego dnia czuł się już tylko jak po ataku bardzo ciężkiej grypy. Stawy go bolały, chciało mu się pić i był osłabiony, ale poza tym wrócił do siebie. Gdy lekarka, atrakcyjna Azjatka w kocich okularach, podeszła, żeby spojrzeć na jego kartę, spytał ją, czy był bliski śmierci. Odpowiedziała, że miał jedną szansę na trzy, że się przekreśli. Spytał, jak obliczyła to prawdopodobieństwo, na co odparła, że bardzo prosto. Są trzy gatunki grzechotników. On trafił na takiego, który ma najslabiej działający jad. Z pozostałymi dwoma nie miałby najmniejszej szansy. Jeden do trzech.

Wywiadowca Carter minął się z lekarką w drzwiach. Beznamiętnie spisał oświadczenie Terry'ego, czasem zadając pytania, ale pozwalając mu prowadzić narrację, niemal jakby był sekretarką, nie policjantem. Potem przeczytał Terry'emu zeznanie, robiąc gdzieniegdzie poprawki. W końcu, nie podnosząc głowy znad liniowanych stronic żółtego notesu, powiedział:

— Nie wierzę w ani jedno słowo z tych bzdetów.

Dopiero wtedy podniósł na niego swoje przygasałe, doświadczone oczy.

— Naprawdę? — spytał Terry z tego szpitalnego łóżka o jedno piętro pod babcią ze zmasakrowaną twarzą. — To co się według pana stało?

— Mam mnóstwo innych hipotez — oznajmił wywiadowca. — Jeszcze bzdurniejszych niż to gówno, co mi pan wciska. Niech mnie diabli, jeśli wiem, co się stało. Niech mnie diabli.

— I nas wszystkich.

Carter rzucił mu zimne, nieprzyjazne spojrzenie.

— Chciałbym panu powiedzieć coś innego. Ale tak właśnie było — oznajmił Terry. Na ogół, zwłaszcza za dnia, naprawdę wierzył, że to prawda. Po zmroku, gdy usiłował zasnąć... po zmroku czasem nachodziły go inne myśli. Złe myśli.

*

Oprzytomniał, słysząc chrzęst żwiru pod oponami. Obejrzał się w stronę odlewni. Po chwili zza zakrętu wyłonił się szmaragdowy saturn. Powoli sunął wśród osmalonych pól. Zatrzymał się i stanął na jałowym biegu. Potem ruszył w stronę Terry'ego i stanął jakieś trzy metry od niego.

— Cześć — odezwała się Glenna Nicholson, wysiadając. Wcale się nie dziwiła, że go widzi. Całkiem jakby się tu umówili.

Dobrze wyglądała — dziewczyna o bujnych kształtach, ubrana w spłowiałe szare dżinsy, czarny top i czarny nabijany ćwiekami pasek. Na obnażonym biodrze widać było króliczka Playboya, tandetny akcent, ale kto nie popełnia błędów, kto nie chciałby czegoś cofnąć?

— Cześć — powiedział. — Co cię tu sprowadza?

— Czasami przyjeżdżam tu na obiad. — Pokazała mu kanapkę w białym pergaminie. — Cicho tu. Dobrze się myśli. O Igu i w ogóle.

Skinął głową.

— Co masz?

— Z bakłażanem i szynką. I doktora peppera. Chcesz połowę? Zawsze kupuję dużą, nie wiem dlaczego. Nie mogę tyle zjeść. Nie powinnam. — Zmarszczyła nos. — Bardzo się staram zrzucić pięć kilo.

— Po co? — spytał Terry.

Roześmiała się.

— Przestań.

Wzruszył ramionami.

— Zjem połowę twojej kanapki, jeśli to ci pomoże w odchudzaniu. Ale nie masz się o co martwić. Wyglądasz w porządku.

Usiedli na przewróconym pniu na poboczu trasy Evela Knievela. Słońce zapalało na wodzie złote gwiazdki. Terry nie wiedział, że jest głodny, dopóki nie dostał połowy kanapki i nie zaczął jeść. Wkrótce skończył i oblizał palce. Nie rozmawiali. Terry'emu to pasowało. Nie chciał żadnych towarzyskich

pogawędek, a Glenna jakby o tym wiedziała. Milczenie jej nie deprymowało. Zabawne; w Los Angeles ludziom gęby się nie zamykają, jakby przerażała ich nawet minuta ciszy.

— Dzięki — odezwał się w końcu.

— Nie ma za co.

Przesunął dłonią po włosach. W tych ostatnich tygodniach wyczuł, że włosy na czubku głowy mu rzedną. Dlatego je zapuścił, stał się niemal kudłaty.

— Powinienem wpaść do salonu, żebyś mnie obcięła. Te kłaki robią się nie do wytrzymania.

— Już tam nie pracuję. Wczoraj był mój ostatni dzień.

— No co ty!

— Mhm.

— Coś takiego. Czyli — następny rozdział.

— Następny rozdział.

Pociągnęli po łyku doktora peppera.

— Fajnie było zrobić ostatnią fryzurę? — spytał Terry. —
Dałaś z siebie wszystko?

— Ogoliłam klienta na łyso. Starszego faceta. Na ogół starsi nie chcą się golić. Już raczej młodzi. Znasz go, ojciec Merrin, Dale Williams.

— Tak. Znam go, mniej więcej — powiedział Terry i skrzywił się, walcząc z falą smutku wielkości tsunami, nie całkiem zrozumiałą.

Oczywiście Ig zginął przez Merrin; Lee i Eric spalili go z powodu tego, co według nich jej zrobił. Przez ostatni rok Ig czuł się strasznie, był taki nieszczęśliwy... Terry dałby głowę, że brat tego nie zrobił. Nigdy by nie zabił Merrin. Teraz pewnie już nikt się nie dowie, kto był mordercą. Terry zadrżał, przypominając sobie noc jej śmierci. Był wtedy z tym pieprzonym Lee Tourneau, z tym zasranym mendowatym socjopata, i nawet dobrze się z nim bawił. Parę drinków, jakaś tania trawa wypalona nad rzeką — a potem zasnął w samochodzie i obudził się dopiero o świcie. Czasami wydawało mu się, że zaledwie wczoraj był naprawdę szczęśliwy, grał z Igiem w karty, włóczył się bez celu po Gideon w sierpniową noc pachnącą rzeką i petardami. Nie wiedział, czy istnieje na świecie drugi tak słodki zapach.

— Czemu chciał być łysy? — spytał Terry.

— Powiedział, że wyprowadza się do Sarasoty, a kiedy tam dotrze, chce poczuć słońce na głowie. Poza tym jego żona nienawidzi mężczyzn z ogolonymi głowami. A może to już jego była żona. Chyba wyjeżdża bez niej. — Wygładziła na kolanie

listek, wzięła go za łodyżkę, rzuciła na wiatr i patrzyła, jak odlatuje. — Ja też wyjeżdżam. Dlatego odeszłam z pracy.

— Dokąd jedziesz?

— Do Nowego Jorku.

— Do samego Nowego Jorku?

— Aha.

— A niech to diabli. Odezwij się do mnie, jak już tam będziesz.

Pokażę ci dobre kluby — powiedział Terry. Już zaczął wypisywać numer swojej komórki na starym rachunku.

— Jak to? Nie mieszkasz w Los Angeles?

— Nie. Nie mam powodu tam być, skoro nie ma „Hothouse”, a Los Angeles przy Nowym Jorku to pikuś. Wiesz? Nowy Jork jest... prawdziwszy. — Podał jej swój numer.

Usiadła na ziemi, trzymając karteczkę i unosząc do niego uśmiechniętą twarz. Łokcie oparła na pniu, na twarzy kładły się jej plamki słonecznego światła. Ładna była.

— No tak — powiedziała. — Raczej będziemy mieszkać w różnych dzielnicach.

— Po to Bóg wynalazł taksówki.

— O, to On je wynalazł?

— Nie. Wynaleźli je ludzie, żeby mogli bezpiecznie wrócić do domu po nocy spędzonej na zalewaniu pyska.

— Skoro o tym mowa, najlepsze wynalazki powstały po to, żeby łatwiej było grzeszyć.

— To prawda.

Wstali i żeby spalić te kanapki, poszli krętą trasą wokół odlewni. Kiedy znaleźli się przed drzwiami budynku, Terry znowu przystanął, patrząc na szeroką połąć spalonej ziemi. Śmieszne, ale wiatr pchnął ogień w stronę lasu i pożarł tylko jedno drzewo. To drzewo. Nadal stało — wielka, poczerniała, straszliwa korona, mierzące w niebo rogi. Ten widok go uderzył, na chwilę unieruchomił. Zrobiło się chłodniej, jak w październiku w Nowej Anglii. Zadrzał.

— Ty, patrz! — Glenna pochyliła się i podniosła coś ze spalonego poszycia.

Był to złoty krzyżyk na delikatnym łańcuszku. Zakołysała nim w powietrzu; złociste światło musnęło jej ładną twarz.

— Fajny — powiedziała.

— Chcesz?

— Pewnie bym stanęła w ogniu, gdybym to założyła na szyję. Ty weź.

— E, nie. To babskie. — Podszedł do młodego odrostu pod ścianą odlewni, zawiesił krzyżyk na delikatnych gałązkach. — Może właścicielka po niego wróci.

Ruszyli dalej, nie rozmawiając, ciesząc się światłem i dniem, aż dotarli do jej samochodu. Terry nie wiedział, kiedy wzięli się za ręce, ale tak właśnie doszli do saturna. Glenna z wyraźnym ociąganiem wysunęła palce z jego uścisku.

Wiatr powiał mocniej, niosąc zapach popiołu i jesienny chłód. Glenna oplótła się ramionami, zadrżała. Z oddali dobiegł głos trąbki — zawadiackie, zadzierzyste tony. Terry przechylił głowę, nasłuchując, ale to była chyba muzyka z samochodu przejeżdżającego szosą, bo po chwili ucichła.

— Tęsknię za nim okropnie — odezwała się Glenna.

— Ja też. Ale... to śmieszne. Czasami... czasami jest tak blisko mnie, że mógłbym go zobaczyć, gdybym się odwrócił. Zobaczyć, jak się uśmiecha.

— Tak. Ja też tak czuję — powiedziała i uśmiechnęła się: dzielnie, wspaniałomyślnie, szczerze. — Słuchaj, muszę lecieć. Do zobaczenia w Nowym Jorku. Może.

— Nie może. Na pewno.

— Dobra, na pewno. — Wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwiczki, pomachała ręką na pożegnanie i ruszyła.

Terry został jeszcze. Wiatr szarpał jego płaszczem, a on patrzył na pustą odlewnię, osmalone pole. Wiedział, że powinien czuć coś z powodu Iga, powinien być złamany bólem... ale tylko

zastanawiał się, kiedy Glenna do niego zadzwoni i gdzie powinien ją zabrać. Znał parę fajnych klubów.

Znowu powiał wiatr, nie chłodny, autentycznie zimny. Terry przechylił głowę. Usłyszał dalekie dźwięki trąbki, chrapliwe pozdrowienie. Wspaniale zagrany kawałek. Po raz pierwszy od wielu tygodni zapragnął znowu grać. Potem tony ucichły, odpłynęły z wiatrem. Na niego też przyszła pora.

— Smutne jak diabli — powiedział, wsiadł do wynajętego samochodu i odjechał.

PODZIĘKOWANIA, UWAGI, WYZNANIA

Znawcy spierają się co do słów hitu Romantics z roku 1980 „What I Like About You”. Ig przytacza je w wersji „szepczesz mi do ucha”, ale wielu innych słuchaczy twierdzi, że Jim Marinos ryczał „ciepło szepcze mi do ucha” albo nawet „telefon szepcze mi do ucha”. Uznałem, że mogę pozwolić Iggy’emu na własną interpretację, ale przepraszam wszystkich rockowych purystów, którzy będą mi to mieli za złe.

Redaktor zwrócił mi słusznie uwagę, że cykady umierają w lipcu, lecz postanowiłem udawać, że jest inaczej, ze względu na te sławne artystyczne powody, o których tak wiele słyszymy.

Dziękuję doktorowi Andy’emu Singhowi za dostarczenie mi ogólnego opisu BRCA1, odmiany raka, która zabiła siostrę Merrin i zabiłaby także ją, gdyby akcja książki potoczyła się inaczej. Wszelkie błędy dotyczące faktów medycznych wynikają jedynie z winy autora. Dziękuję także Kerri Singh i reszcie klanu Singhów za cierpliwe znoszenie moich historii w związku z tą powieścią podczas wielu wspólnych wieczorów.

Jestem również wdzięczny Danielle i doktorowi Alanowi Adesowi. Kiedy potrzebowałem miejsca do pracy, w którym nikt

by mi nie przeszkadzał, znajdowali mi je. Dziękuję też ekipie z Lee Mac's za karmienie mnie przez cztery miesiące. Dziękuję moim przyjaciołom Jasonowi Ciaramelli i Shane'owi Leonardowi, którzy przeczytali tę książkę w wersji roboczej i służyli mi licznymi i pomocnymi radami.

Dziękuję Rayowi Slymanowi, który opowiedział mi o krzyżu Don Orione, mojej siostrze, pastor Naomi King, która wskazała mi parę użytecznych ustępów Biblii. Książka Barta Ehrmana „God's Problem: How The Bible Fails to Answer Our Most Important Question — Why We Suffer” także stanowiła pomocne źródło informacji. Zapoznałem się z nią, pogrążony po uszy w piątej wersji powieści. Podejrzewam, że gdybym przeczytał ją wcześniej, moja książka wyglądałaby zupełnie inaczej. Może nie lepiej ani gorzej, po prostu — inaczej.

Nad „Rogami” pracował z oddaniem zespół z William Morrow/HarperCollins: Mary Schuck, Ben Bruton, Tavia Kowalchuk, Lynn Grady, Liate Stehlik, Lorie Young, Nyamekye Waliyaya i redaktor Maureen Sugden. Dziękuję całej ekipie za to, że zrobili tak wiele, żebym mógł się dobrze prezentować.

Należy również docenić Jody Hotchkiss i Seana Dily'ego za ich oddanie książkom (oraz filmom) i występowanie w roli żarliwych i radosnych zwolenników tej powieści.

Na pewnym etapie pracy diabłem zaczęła mi się wydawać własna książka. Jestem wdzięczny moim redaktorom, Jedowi Brehlowi, Jo Fletcher i Pete'owi Crowtherowi, oraz mojemu agentowi Mickeyowi Choate'owi za cierpliwość, z jaką znosili moje zmagania z tekstem, i za pomoc, dzięki której przedarłem się przez bezdroża własnej opowieści. I wreszcie — wyrazy miłości dla moich bliskich, Leanory i chłopców. Bez nich za diabła bym „Rogów” nie skończył.

sierpień 2009 r.

J.H.